



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

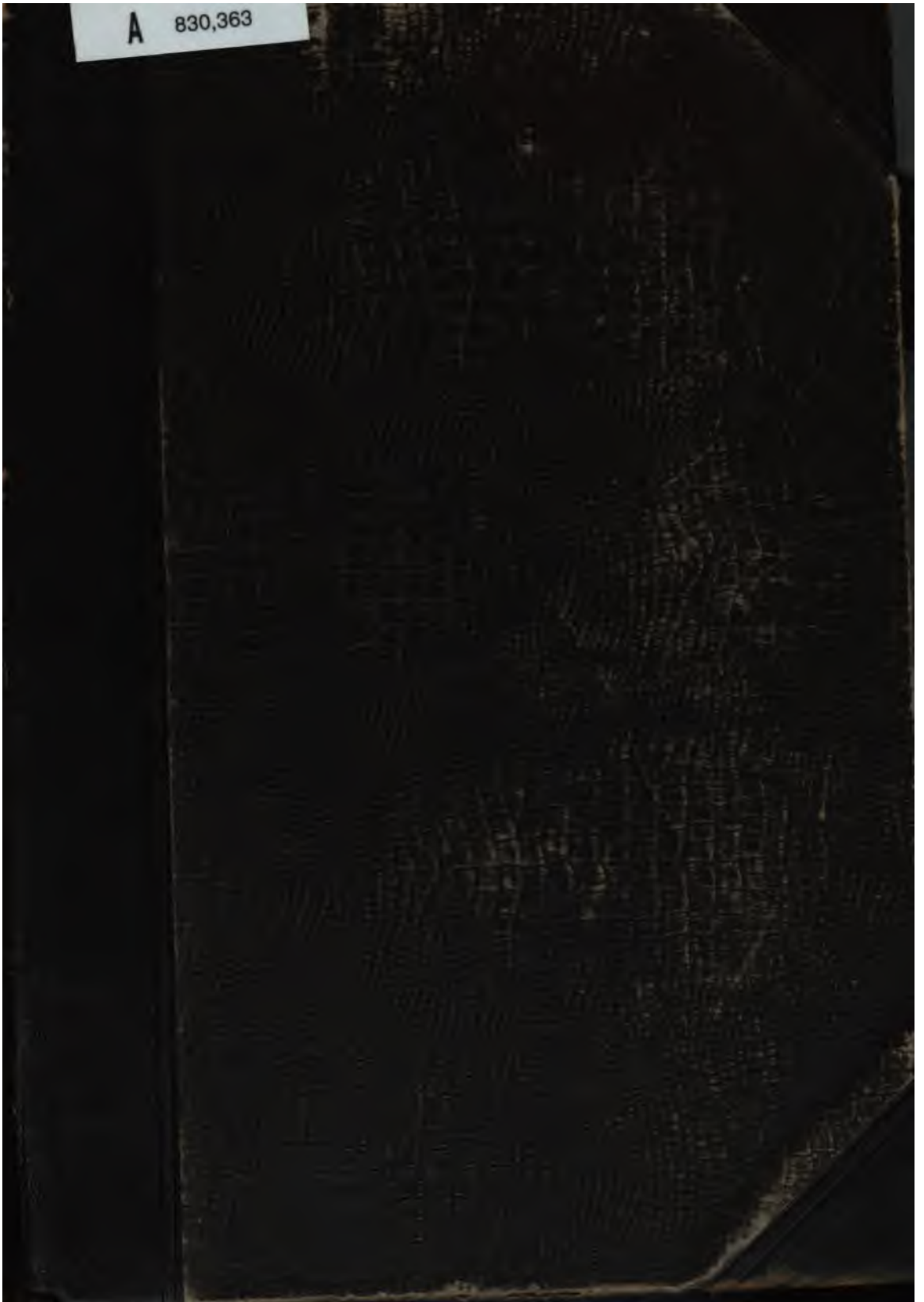
- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

A

830,363



30. I. d.

Ms. B.
J. 1786
190







PRAWEM I LEWEM



Łoziński, W.

PRAWEM I LEWEM

OBYCZAJE NA CZERWONEJ RUSI

W PIERWSZEJ POŁOWIE XVII. WIEKU

PRZEZ

WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO



WYDANIE DRUGIE, PRZEJRZANE I ZNACZNIE POMNOŻONE



TOM PIERWSZY
CZASY I LUDZIE

Z 42 RYCINAMI W TEKŚCIE



WE LWOWIE 1904

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI P. F.: E. WENDE I SP. W WARSZAWIE.

DK
411
.L91
1904
v.1

1196487 1110

Materyał wyłącznie archiwalny, który posłużył do nakreślenia obrazu a raczej szeregu szkiców obyczajowych zawartych w tej książce, obejmuje Akta grodzkie ziemi lwowskiej (z żydaczowską), halickiej (z trembowelską), przemyskiej i sanockiej, a więc całego Województwa Ruskiego z wyłączeniem ksiąg ziemi chełmskiej, które nie były autorowi przystępne, a poczynając od ostatnich dwudziestu lat XVI. sięga aż do połowy XVII. wieku, posuwając się tylko wyjątkowo w czas późniejszy.

Luki, jakieby w tym obrazie życia całej jednej dzielnicy Polski uderzyć mogły czytelnika, niech usprawiedliwi uwaga, że praca niniejsza nie rości sobie pretensyi do monograficznej niejako dokładności, że jest raczej streszczeniem zawartości obyczajowej wspomnianych u góry aktów i że traktuje społeczne życie w potrójnem ograniczeniu: czasu, miejsca i źródła.

Niniejsze drugie wydanie różni się znacznie od pierwszego tak zasobem treści jak i jej układem. Pierwszą zwłaszcza część książki autor nie-

tylko przerobił ale i w dwójnasób prawie pomnożył; rozdziały bowiem, które w pierwszym wydaniu obejmowały razem wzięte mało co więcej nad 200 stronic, składają się obecnie na tom osobny o 400 przeszło stronicach. Taksamo w tomie drugim znajdzie czytelnik liczne uzupełnienia pierwotnej treści. Tłumaczy się to przyrostem materiału, wynikłym z rozszerzenia granic chronologicznych opowiadania, które w pierwszym wydaniu zamykało się z panowaniem Zygmunta III., w niniejszem zaś, drugim, kończy się dopiero na r. 1650.

Za przerobieniem i pomnożeniem treści poszła i zmiana jej układu. Kto miał kiedykolwiek do czynienia z materiałem archiwalnym tego rodzaju, jaki się zawarł w niniejszej pracy, materiałem złożonym z tysiąca faktów, rysów, szczegółów obyczajowych z rozmaitych dziedzin społecznego i towarzyskiego życia, ten wie, jakie trudności następuje takie jego ugrupowanie, aby całość nie była tylko czysto-mechanicznym aglomeratem, ale choć do pewnego stopnia miała organiczną kompozycję. Autor usiłował w drugim wydaniu pokonać te trudności z lepszym skutkiem, aniżeli mu się to powiodło było w pierwszym. O ile w usiłowaniu tem był szczęśliwy, osądzi czytelnik.

We Lwowie, w lipcu 1904.

SPIS TREŚCI TOMU I.

	Strona
Rozdział pierwszy: NIEDOSTATKI PRAWA	1— 91
Wstęp	3— 5
I. Laudatores <i>temporis acti</i> . Klątwa bezkarności. Brak władzy wykonawczej. <i>In recenti</i> . Prawne wybiegi. <i>Salvus conductus</i> . Starościńskie egzekucyje. <i>Mota nobilitas</i> . Kary kompromisowe. Wieża. Banicya i infamia. Labirynt procesowy. Intromisyje. <i>Woźny</i>	6- 52
II. Odpowiedzi. <i>Vadia regalia</i> . Rzadkość pojedynków. Zajazdy. Sprawa Derśniaka i konfederacya szlachty przemyskiej. Gubienie zwłok. Porywanie ludzi. Niemirycz i Uberowicz. Łaziński i Montelupi. Dalsze przykłady. Krwawe odwety. Konkluzya.	53 - 91
Rozdział drugi: SPRAWY DOMOWE	93- 157
I. Wolność czy niewola? Zameczki. Służba i czeladź zbrojna. Milicje domowe. Cudzoziemskie żołdactwo. Hajduki i sabaty. Mieszkania. Zbytek. Zamki i dwory.	95 -129
II. Fortuny. Gospodarstwo. Wywóz ziemiopłodów. Niszczenie lasów. Popioły. Z roli i soli.	

	Strona
Żegluga. Dzierżawy. Z inwentarzy i testamentów. Obyczaj rycerski.	130 -157
Rozdział trzeci: PLAGI ŻYWOTA	159- 254
I. Tatarzy jako plaga chroniczna. Fatalistyczna rezygnacya. Rozprężenie moralne. Wykup z jassyru. Alexander Bałaban i Jan Żółkiewski. Opowieść wypraw okupowych. Samozwańcy.	161 -184
II. Żołnierz swawolny. Związki wojskowe. Bezkarność buntowników. Wypląty zaległego żołdu. Listy przypowiednie. Wybrańcy. Ciurrowie. Werbunki zagraniczne. Ucisk wojskowy. Stacye. Lisowczycy.	185 -218
III. Rozbójnictwo. Toporowski i Kostka. Opryszki ziemi halickiej. Środki zaradcze. Hersztowie szlacheccy. Beskidnicy. Bracia Białoskórscy i bracia Policcy. Udział drobnej szlachty w rozbojach. Watahowie wołoscy.	219- 238
IV. Zły sąsiad. Zatargi o miedzę. Ligęza i Humnicki. Zdradzieckie domy. Rosińscy. Obrazek z natury. Krwawe biesiady. Deprekacye.	239 -254
Rozdział czwarty: AMOR I DEMON	255 - 285
I. Zajścia rodzinne. Tragedye domowe. Mężobójczynie. Beata Zawiszanka. Brat i siostra. Dramatyczna zagadka. Zofia Herburtowa i Ewa Podolecka. Piękna Helena. Mściwa świekra. Dwaj kochankowie. Piąty akt dramatu. Pani Kłofasowa. Dramat w rodzinie Makowieckich.	257 - 269
II. Porywanie panien. Przyczyna raptów. Panna Halszka. Zosia Szpandowska. Kalinowski i Krystyna Strusiówna. Panna wojewodzanka Mniszcówna. Chorążanka Wyszogrodzka. Dramat grabowniczy. Mieszczaneczka. Niedyskrecya rodzinna. Mezaliansy.	270---285

	Strona
Rozdział piąty: RZESZA SZLACHECKA	287—350
I. Drobną szlachta. Jej mnogość i stanowisko społeczne. Jej występowanie jako stan i jako ród. Jej stanowisko w walkach o unię. Wojna dwóch władcyków.	289—320
II. Drobną szlachta jako ród. Nagana szlachectwa i wywody rodowe. Kaduki. Krwawe odwety. Schłopienie. Ambicya stanu. Okazowanie. Rozrodzenie gniazd. <i>Milites caligati</i> . Pospolite ruszenie.	321—350
Rozdział szósty: CHŁOPI	351—411
I. <i>Infernus rusticorum</i> . Opieka królewska nad ludem. Akcja chłopów przeciw starostom i dzierżawcom. Glejty królewskie i ich lekceważenie. Inwentarze robót i danin. Nadziejów i Raków. Jerzy i Stanisław Krasiccy. Gminy Leżajskie. Komisye królewskie. Ekonomia Samborska. Zamożność ludu. Osadcowie.	353—391
II. Chłopi w dobrach szlacheckich. Przykład sądu na chłopu. Wypadki otwartego oporu. Opiekunowie ludu. Wybuch w roku 1648. Ihnat Wysoczan, <i>dux primarius</i> . Udział miast, księży i szlachty w buncie pokuckim. Kałusz jako stolica ruchu. Stłumienie buntu i odwet	392—411

SPIS RYCIN ZAWARTYCH W TOMIE I.

	Strona
Fig. 1. Ornamentyka z 451 tomu Aktów Gr. Lwowskich	16
„ 2. Wieża więzienna, zachowana w ruinach zamku przemyskiego. (Rysunek uwidocznia piętro górne, przeznaczone na lekkie więzienie, i podziemia dla winowajców, odsiadujących karę <i>in fundo</i> , na samem dnie)	25
„ 3. Ornamentyka z 451 tomu Aktów Gr. Lwowskich	48
„ 4. Szlachcic-zajazdowiec. (Według współczesnego sztychu K. Luykena w zbiorach Pawlikowskich)	64
„ 5. Lew Lorencowiczowski we Lwowie	77
„ 6. Inicyał z aktów Gr. Lwowskich	88
„ 7. Hajduk wielkopański. (Z ryciny współczesnej w zbiorach Pawlikowskich)	101
„ 8. Sabat. (Według statuetek w posiadaniu ks. Batthyany w Kőrmend)	105
„ 9. Z zamku w Krasieczynie	109
„ 10. Z zamku w Krasieczynie	117
„ 11. Z zamku w Krasieczynie	121
„ 12. Wierzchowce magnackie w bogatych rzędach. (Według sztychu Stefana Della Bella).	125
„ 13. Zamek w Staremsiole	133

	Strona
Fig. 14. Zamek w Staremsiole	141
„ 15. Chorągiew nagrobna. (Ze zbiorów Muzeum Czartoryskich)	149
„ 16. Ornament z Aktów Lwowskich XVII. w.	157
„ 17. Pomnik Stanisława i Jana Żółkiewskich w kol- legiacie w Żółkwi	172
„ 18. Regina Żółkiewska, żona hetmana. Z pomnika w kollegiacie żółkiewskiej	176
„ 19. Wybraniec. (Z współczesnego malowidła w zamku podhoreckim)	188
„ 20. Wybraniec. (Z współczesnego malowidła w zamku podhoreckim)	192
„ 21. Dragon. (Z współczesnego malowidła w zamku podhoreckim)	197
„ 22. Grupa Lisowczyków. (Współczesny szkic J. Callota)	201
„ 23. Lisowczyk. (Współczesny szkic J. Callota)	205
„ 24. Lisowczyk. (Według obrazu Rembrandta w zbiorach Dzikowskich)	213
„ 25. Rajtar. (Rysunek marginesowy z Aktów Gr. Lwowskich)	217
„ 26. Herszt Beskidników. (Z współczesnego malo- widła)	229
„ 27. Beskidnik. (Rysunek z Aktów Lwowskich)	237
„ 28. Ornamentyka z Aktów Grodzkich Lwowskich (tom 451)	262
„ 29. Władyka Atanazy Krupecki. Z pałacu biskupów gr. kat. w Przemyślu	295

W otoku portretu umieszczony następujący
czterowiersz:

Athanazy śmierć z swego wyrzucił imienia,
Dobry to znak owczarni jego powodzenia;
Był to pasterz Przemyski, cóż tera też myśli?
Byśmy wszyscy do Nieba tamże za nim przyszli.

Fig. 30. Władyka Sylwester Hulewicz-Wojutyński. Z pałacu biskupów gr. kat. w Przemyślu	303
W otoku portretu umieszczony następujący czterowiersz: Sylwester Vester cóż był, zacni Przemysłanie? Że nie wiele paśł, trudno dać też o nim zdanie. Była w onym gorliwość wielka i staranie, Była i w drugim także. Bogu rozeznanie.	
„ 31. Monaster w Ławrowie	309
„ 32. Krzyż (miownik) cedrowy w złotym obramieniu, zabytek z czasów naszego opowiadania, w skarbcu katedry ruskiej w Przemyślu . . .	313
„ 33. Mitra władczyca z skarbcza katedry ruskiej w Przemyślu	317
„ 34. Typ szlachcica. (Ze zbiorów Pawlikowskich) .	325
„ 35. Typ szlachcica. (Ze zbiorów Pawlikowskich) .	329
„ 36. Typ szlachcica. (Ze zbiorów Pawlikowskich) .	333
„ 37. Scena sejmikowa. (Z współczesnej ryciny w zbiorach Pawlikowskich)	336
„ 38. Grupa szlachty konnej. (Według sztychu St. Della Bella)	341
„ 39. Chłop niemiecki, według rysunku A. Dürera .	359
„ 40. Torki pod Medyką z starożytną cerkiewką, która pamięta czasy naszego opowiadania. Rysunek Kielisińskiego	382
„ 41. Chłopi polscy XVII. w. według rysunków Jana Matejki z współczesnych rycin i obrazów . .	397
„ 42. Chłopi polscy i żydzi z XVI. i XVII. w. według rysunków J. Matejki z współczesnych obrazów i rycin	405

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NIEDOSTATKI PRAWA



Co za świat, co za świat! Groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy. Świat bez władzy, bez rządu, bez ładu i bez miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, zabił go sąsiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna.

Takie jest pierwsze wrażenie, które się odnosi z czytania aktów grodzkich województwa ruskiego w pierwszej połowie XVII. wieku. Wrażenie odpychające, na prawdę bolesne. Uciec się chce z tego świata, od tych czasów i od tych ludzi, zostawić te księgi w pył, tę przeszłość w zapomnieniu. Ale ten moment krytyczny jest rzeczywiście tylko momentem. Przewyciężyć go łatwo -- daleko trudniej byłoby przerwać czytanie. Zaczyna się oswajać z tym światem, poznawać tych ludzi, żyć z nimi poufnie, rozumieć te stosunki, a zrozumiawszy, wiele przebaczyć.

Historia polityczna, trzymająca się „wielkiego światła i szerokiego gościńca“, jak to pięknie powiedział Strykowski, ogarnia dalekie horyzonty, ale oddaje wyraziście tylko pierwsze plany epok i wypadków. W aktach widzimy to, czego tam nie widać, widzimy drugi i trzeci plan dziejowego obrazu. Zbliżają one dziwnie stulecia, czasem aż w niebezpiecznym stopniu, bo stają się niekiedy z lunety mikroskopem. Synteza wielkiej historii rozbija się w tych

aktach znowu w życie, w ruch, w zjawiska, w pierwiastki, w przykłady, dokumenty; w kółka, ogniwka i sprężynki całego warsztatu ewolucji społecznej. Nikt z tych aktów nie złoży historii narodu, ale gdy je poznamy wszystkie, złożyć się z nich może historia naturalna Polaka.

Ale pierwsze wrażenie nietylko, że przykre, ale co równie zniechęca: niejasne, bałamutne, prawie chaotyczne. Stoi się, jak gdyby przed stosem drobnych kamyczków rozprysniętych z tego, co było mozaikowym obrazem, jakby przed rozsypanym mechanizmem zegara, którego niepodobna tak złożyć, aby wskazywał i wydzwaniał godziny. Trzeba się dopiero uczyć tego życia na niem samym — zadanie tem trudniejsze, że t. zw. nauki pomocnicze w literaturze naszej historycznej bardzo niedostatecznie były uprawiane i że przedewszystkiem brak jest dotkliwy prac, któreby traktowały prawo polskie, ten główny klucz do zorientowania się w dawnym życiu naszym, w jego praktycznej, niejako aktualnej relacji nietylko z organizacją i czynnością instytucyj publicznych, ale także z codziennymi sprawami i zwyczajami społeczeństwa.

Po takim oswojeniu się ze światem, od którego dzieli nas trzy wieki, zaczyna łagodnieć pierwsze wrażenie. Powiadamy sobie, że przecież nie cały świat jest w tych aktach, że nie wszystkie objawy życia w nich się zawarły, że to są przeważnie akta prawne i sporne, protestacye i pozwy, obdukcye, wizye i t. p., a więc materiał obyczajowy pośredni, jednostronny, a o ile jest procesowej natury, nie zawsze i nie we wszystkiem wiarygodny. Pocieszamy się dalej spostrzeżeniem, że nie wszystko, co tam czytamy, stało się istotnie, że wobec zasady: *acta nemini denegantur*, przyjmowano do ksiąg bez kontroli i krytyki urzędowej wszystko, co się komu podobało wnieść do nich: rekognicye bajek, manifestacye o zmyślonych wypadkach, wybryki satyryczne, paszkwile, oskarżenia podyktowane złością tylko i imaginacją. Pocieszamy się doświadczeniem,

którego rychło się nabywa, że w protestacjach o gwałty, o zajazdy i zabójstwa bywa najczęściej wielka przesada i że trzeba zawsze czekać, czy reprotestacye, pozwy, skrutynia, a w końcu wyrok, a gdy i ten nie wystarcza, jeśli zaocznie wydany, czy sam fakt odbycia kary lub przejednania strony potwierdzą zarzut jakiejś zbrodni, i że często takiego potwierdzenia nie ma. Bierzemy na uwagę, że po za tymi ludźmi, co się zaciekle pieniali, zajeżdżali zbrojno sąsiadów, srożyli się nad słabszymi, rozbijali i zabijali, istniała przecież większość spokojna, pocziwa, szanująca prawa boskie i ludzkie. Przychodzimy do przekonania, że przy niepojętych nam dziś brakach prawodawstwa i jeszcze trudniejszym do pojęcia niedostatku władz wykonawczych i policyjnych, trzeba było idealnych ludzi, aby było lepiej, niż bywało; a w końcu pocieszamy się faktem, że r ó w n o c z e ś n i e w e w s z y s t k i c h s ą s i e d n i c h k r a j a c h działo się nie o wiele lepiej, jeżeli nie równie źle albo jeszcze gorzej, niżli w Polsce.

Ale nie bójmy się cieni na obrazie przeszłości. Nie zgaszą one światła a dadzą wypukłość. Wygląda to na paradox, a przecież tak jest: Miarą wysokich przymiotów polskiego społeczeństwa są jego przywary. Miarą jego żywotności jest jego anarchia. Miarą jego światła są jego cienie. Bo gdzie drugi naród, coby tak, jak Polska, bez rządu był potężnem państwem, bez stałego żołnierza odnosił wielkie zwycięstwa, bez wewnętrznej zgody zdobywał się na taką jedność w patriotyzmie? *Sarmatorum virtus veluti extra ipsos*. Cnota Polaków po za Polakami. Patrząc z osobna i z blizka na pewne epoki i objawy przeszłości, zda się nam, że to prawda, że nie ma w nich ani światła ani chwały. Obejmując jednak całe horyzonty wieków, widzimy, że jest i światło i chwała. Jest jakby po za Polakami, a przecie z nich, od nich i przez nich, jest w rasowym geniuszu, w zbiorowej duszy, w dziejowej emanacyi narodu.



I.

LAUDATORES TEMPORIS ACTI. KLĄTWA BEZKARNOŚCI. BRAK
WŁADZY WYKONAWCZEJ. IN RECENTI. PRAWNE WYBIEGI. SAL-
VUS CONDUCTUS. STAROŚCIŃSKIE EGZEKUCYE. MOTA NOBILI-
TAS. KARY KOMPROMISOWE. WIEŻA. BANICYA I INFAMIA.
LABIRYNT PROCESOWY. INTROMISYE. WOŹNY.

Odwoływanie się do dawnych „lepszych” czasów jest tęsknotą do ideału, cofniętego w przeszłość. Jak pragniemy, aby było, tak nam się zdaje, że niegdyś było. Gdyby się opierać przyszło na samych głosach laudatorów *temporis acti*, dla których zawsze minione czasy były złotym wiekiem prawości i cnoty, trudno by było oznaczyć porę, w której zaczęła się anarchia społeczna w Polsce; posuwać by trzeba początek skażenia obyczajów ciągle naprzód, albo jak kto chce, cofać epokę cnoty ciągle w tył, choćby do Piasta. Aby nie bardzo wychodzić po za chronologiczne ramy, w które ujęliśmy tę pracę, wspomniemy tylko, że dla chwalców przeszłości z pierwszych lat XVII. wieku taką błogosławioną porą społecznej cnoty były jeszcze ostatnie lata Zygmunta Augusta a nawet tak niedawny a krótki okres Batorego. Wszystko złe było dopiero dzisiejsze, co najwyżej wczorajsze. Ale pominąwszy już głosy pisarzy naszych z najlepszej pory Zygmunto-wskiej, nie

brakło przecież innych świadectw, aby najuporniejszych wielbicieli minionego czasu przekonać, że to popsucie społecznego ładu, to zdziczenie obyczajów, jakie oplakują w społecznem sobie pokoleniu, było niestety w bardzo znacznej mierze spadkiem tej błogiej na pozór przeszłości, klątwą niejako dziedziczną, i nie urosło z samego usposobienia społecznego społeczeństwa, ale miało swój związek w odległych wiekiem przyczynach, że było tylko pogorszeniem jednej i tej samej choroby, nurtującej w organizmie polskim, a w miarę rozwoju swego wybuchającej coraz to ostrzejszymi symptomatami.

Jeżeli w pierwszych zaraz latach panowania Zygmunta III. przyszło do »zapalenia wszystkiej przemyskiej ziemi«, która nas w tej pracy także specjalnie obchodzi, to był to już dalszy tylko a coraz gorszy skutek oplakanych, anarchicznych obyczajów w tej części Polski, jakie nam tak żywo skreślił Orzechowski w swoim liście do Jakóba Przyłuskiego,¹⁾ była to już spuścizna czasów Zygmunta Augusta, który wszystko, na co się skarżył Orzechowski, stwierdza w mandacie swoim do przemyskiego starosty, gdzie czytamy, że z powodu bezkarności i niewykonywania dekretów wzrosła tak straszliwie zuchwałość mężobójców, że w przemyskiej ziemi »już nikt nie jest pewny życia.«²⁾ Kto w tych czasach, o których mówimy, tęsknił do stosunków niedawnej pory Batorego, ten zapominał, że już Zygmunt August odumarał kraj w takim upadku instytucyj publicznych, że »została się tylko sama forma prawa, z której nikt nie miał korzyści, wyjąwszy rzeczników, woźnych i pisarzy, że niespełniane były wcale wyroki, a zbrodniom prywatnym nie było miary i granicy,«³⁾

UWAGA: Skrócenie Agr. oznacza Akta grodzkie.

¹⁾ Orichoviana, str. 99—112.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 24 p. 660.

³⁾ Orzelski, Bezkrólewia, II. 61.

zapominał, że już właśnie sam Batory wkrótce po objęciu rządów w uniwersale swoim do szlachty wypowiedział straszne zaprawdę słowa: »Nierząd wszystkie obyczaje psuje, na których miejsce nastąpiły srogie zbrodnie, mężobójstwa, gwałty, łupieztwa, mordy, z rusznic zabijania, wszeteczeństwo, krzywoprzysięstwo, zbytki, utraty i innych wiele szkaradnych występków.«¹⁾

Co za registr! Co za werdykt na społeczeństwo, wydany przez człowieka, który widział może tem lepiej, że nie był jego synem i patrzył nań obcym okiem a z wyżyn naczelnego stanowiska. Niestety, w sądzie tym nie było tak wiele przesady, chociaż go dosłownie nikt nie weźmie. Tak było po części, a że tak być mogło a nawet być musiało, temu główną przyczyną to wielkie nieszczęście społeczeństwa polskiego, ciężka klątwa przeszłości: bezkarność. Nie brak prawa zgubił obyczaje, ale brak władzy, nie brak sankcyj karnych, ale brak ich wykonania. Wiemy, że prawa były dorywcze, niedostateczne, niestanowcze, niejasne i pełne niekonsekwencji, ale to było mniejsze złe, stokroć gorszem było to, że były bezsilne, że istniejąc a nie działając, już samem tem martwem swoim istnieniem robiły niekiedy więcej szkody, niż gdyby ich wcale nie było, niż gdyby bieg spraw społecznych pozostawiony był samym instynktom moralnym ludzi, przyrodzonemu ich sumieniu i wyrabiającym się z społecznej konieczności zwyczajom. Bo przychodziło do tego, że kto chciał, aby prawo było wykonane, sam je wykonywać musiał, a wtedy nie mogło być inaczej, jak tylko, że prawa stawały się pozorem, legalnym tytułem występków, narzędziem gwałtu, środkiem przemocy, sankcją samowoli.

Dwa kardynalne warunki społecznego bytu: bezpieczeństwo życia i bezpieczeństwo mienia były zachwiane;

¹⁾ Źródła Dziejowe, Stefan Batory pod Gdańskiem p. XIII.

ani jedno ani drugie nie miało dostatecznej opieki. Zabijano otwarcie i skrycie, po domach, po drogach i rynkach miejskich, na sejmikach, zjazdach, bankietach a nawet i sądach, zabijano o co bądź, a zabijano bezkarnie. „O ziemię naszą, jakoś wiele krwi w się nabrała! — woła z boleścią Skarga — jako z niej wiele głosów Ablowych puszcza się o pomstę wołających!»¹⁾ Górnicki pamiętał „jednego, którego mianować nie chce, który za króla Zygmunta Staroego dwadzieścia głów zabił i umarł swą śmiercią, a do żadnej mu karni nie przyszło”²⁾ — cóżby dopiero powiedział, patrząc na to, co się działo w województwie ruskiem w czasach Zygmunta III. a osobliwie w ziemi halickiej i przemyskiej! Są lata, w których akta tych ziem jakby ociekały krwią; co trzecia prawie stronica zapisuje prezentację trupa (*praesentatio cadaveris*) lub obwołanie głowy (*proclamatio capitis*), co druga uderza nagłówek: *A. vulneratus, B. saucius, C. laesus, D. concussus*.

A przecież istniały prawa przeciw mężobójcom. Były one bardzo łagodne, bo nikt prawie prócz chłopa nie dawał głowy za głowę, nie płacił życiem za życie, ale gdyby i ta sankcyja karna, jakkolwiek nie stała w sprawiedliwym stosunku do ciężkości winy, była bezwzględnie i zawsze wykonywana, zabójstwa niewątpliwie byłyby w Polsce bardzo rzadkie. Tymczasem bywały pory, zwłaszcza w pierwszej połowie panowania Zygmunta III., w których trzeba było szczególnego nieszczęścia lub wielkiej osobistej pokory, aby uleść karze w rzeczywiście jej rygorze. Przypomnijmy sobie w zwięzłym streszczeniu najważniejsze szczegóły karnego prawodawstwa w Polsce. Szlachcic, który zabił szlachcica bronią sieczną lub obuchową, podlegał pierwotnie karze siedzenia na dnie więzy przez rok i 6 tygo-

¹⁾ Kazania Sejmowe. Wydanie Turowskiego p. 129.

²⁾ Rozmowa Polaka z Włochem. Wyd. Turowskiego str. 19.

dni i musiał zapłacić za głowę zabitego 120 grzywien, konstytucya z r. 1588 podwoiła tylko sumę głów szczyzny, nie podnosząc kary więziennej. Szlachcic, który zabił szlachcica z broni palnej, podlegał według tejże samej konstytucyi karze podwójnej: siedzieć miał *in fundo* dwa lata i 12 tygodni i zapłacić za głowę zabitego 480 grzywien. Krewni zabitego mieli obowiązek ścigać prawem zabójcę, mieli najdalej do dwunastu niedziel wnieść w grodzie protestacyę czyli obwiedzenie głowy; ktoby się od tego uchylał i najdalej do roku o zbrodnię nie pozywał w tym celu, aby głównik t. j. zabójca uszedł bezkarnie, miał ponieść taką samą karę, jak gdyby sam dopuścił się zabójstwa; jednać się tedy z zabójcą prawo wzbraniało surowo. Gdyby zabity nie miał krewnych, konwikcyę głowy przeprowadzić ma sam urząd grodzki.

Kto zajedzie dom i gwałtu się dopuści, traci majątność swoją i poczciwość *ipso iure et facto*. Szlachcic, który szlachcica gwałtem pojmał, ma być karan winą 120 grzywien i jednym rokiem więzy *pro poena publica* a nadto ma tyle troje siedzieć, jak długo w więzieniu trzymał. Rusznic niewolno zażywać na sądach, zjazdach i biesiadach, a ktoby kogo na tych miejscach zabił lub ranił z rusznicy, ten nietylko za zabitego głów szczyznę a ranemu nawiązkę płacić ma, ale *ipso facto* gardłem karan być ma *et poena infamiae*.¹⁾ Rany zadane szlachcicowi opłacają się według osobno uchwalonej taryfy.²⁾ Niepodanie się dekretem sądów królewskich i trybunalskich,

¹⁾ Konstytucye z lat 1576, 1588, 1601. Volumina Legum, wyd. petersburskie t. II. pp. 172, 255—6, 402.

²⁾ Krwawa rana kosztowała 20 grzywien, sina 6 groszy z winą sądową, obliczna rana znaczna 30 grzywien, ucięcie każdego palca 30 grzywien, wybite zęba 20 grzywien; chroмота wieczna na nodze, ręce, tudzież oślepienie, także ucięcie nosa kosztowało połowicę głowę, a więc 120 grzywien. Konstytucya z r. 1588, Vol. Leg. II. p. 255.

nieodsiedzenie więzy, nieopłacenie główszczyzny i t. p., wogóle nieuczynienie zadość prawu pospolitemu i jego sankcyom karnym pociąga za sobą najwyższą karę, jaką rozporządza sprawiedliwość: wywołanie i infamię.

Oto w krótkości wszystko, co miało strzedz życia, zdrowia i wolności osobistej. Mało tego, ale jak powiedzieliśmy, i to, gdyby było surowo i ściśle przestrzegane, byłoby wystarczyło do zapobieżenia występkom, bo Włoch Górnickiego ma zupełną rację, kiedy powiada: »Gdyby ustawicznie sądzono kryminały, maluczko by tu było zbrodni, bo natury wasze polskie dobre są, karne, łaskawe, dobrotliwe«. Niestety kryminałów ustawicznie nie sądzono. Sprawy cywilne szły do trybunału, sprawy wybitnie kryminalne na sądy królewskie czyli sejmowe. Sejm zwoływany był raz co dwa lata i trwać miał sześć tygodni, a i w tych odstępach czasu często nie dochodził, jakżeż można było myśleć, aby wszystkie sprawy kryminalne, nagromadzone przez dwa lata, mogły być osądzone w tak krótkim czasie i to przy nawale spraw sejmowych? »Sprawiedliwości nie masz; przez sejm cały, ledwie osądzim ze dwa kryminały« — powiada poeta Grochowski, a Górnicki, ten najdowcipniejszy i najbystrzejszy krytyk instytucyj polskich, tak przedstawia praktyczne następstwa tego urządzenia: »Najedzie kto kogo na dom wnet po sejmie i zabije. Naprzód to wygrał, iż ma frysztu dwie lecie, a tymczasem zabije już i drugiego i trzeciego i dziesiątego a może tak długo bić, aż go samego zabiją. Tu obacz, że wszyscy, które ten mężobójca po owem pierwszym mężobójstwie pobił, byliby byli żywi, by ten był zbrodzień po pierwszym mężobójstwie pozywan i skaran.« »Przez siedmnaście sejmów za szczęśliwego panowania króla naszego — woła Skarga — ledwie kilaś o najazdy i o zabijanie i o krew skarano, a mężobójców i krwie wylewców i najezdników sąsiad bez liczby się w oczach wszystkich urzędów wło-

czy.¹⁾ Za tem poszło, że o sprawy stanowczo kryminalne, jak n. p. zajazdy połączone z gwałtami i zabójstwami, nie pozywano *criminaliter* ale *civiliter*, aby tym sposobem rzecz przyspieszyć i przecież doczekać się nareście wyroku.

Ale gdyby nawet sądy odbywały się i częściej i dłużej, gdyby nawet były czynne stałe, szybkiemu wymiarowi sprawiedliwości stanęła by na zawadzie owa nietykalna zasada, palladium i smutna chluba szlacheckiej wolności: *Neminem captivabimus nisi iure victum*, która nie pozwalała pojmać osiadłego szlachcica nawet po spełnieniu najoczywistszej zbrodni, chyba na gorącym uczynku, *in recenti*, co się bardzo rzadko zdarzało, zwłaszcza gdy gwałtownikiem był możniejszy szlachcic, otoczony zawsze zgrają zbrojnej czeladzi, i co zresztą w razie możliwości takiego pojmania było rzeczą o tyle utrudnioną, że starostowie przyjmowali do więzienia pojmany prywatnie złoczyńców tylko pod warunkiem, że utrzymywani będą kosztem, wiktem i pod strażą — *cura, custodia et victu* — tego, który ich pojmał i dostawił.

Pojmanie osiadłego szlachcica na gorącym uczynku i odstawienie go do grodu spotykamy też bardzo rzadko w aktach województwa ruskiego, a i w tych rzadkich wypadkach uwięziony nie pada ofiarą gorącości prawa, ale najczęściej wyręczony przez krewnych i przyjaciół, opuszcza więzienie, a sprawa bierze w dalszym ciągu zwykły, leniwy i niepewny obrót i nie kończy się mieczem, ale więżą lub prostem odprzysiężeniem. Jedyne wypadek, w którym szlachcic, pojmany *in recenti* na zabójstwie, daje gardło pod miecz po straszliwie skróconej procedurze, zapisały nam pod rokiem 1596 akta trembowelskie.²⁾ Ale i tu chodzi o chudopachołka, na którego głowę na-

¹⁾ Wezwanie do pokuty. Wyd. Tur. str. 128.

²⁾ Agr. Trembowelskie, tom. 102 pp. 1401–7.

staje możniejszy szlachcic, a cała rzecz odbywa się tak doraźnie, z takim terroryzmem, z taką mściwą porywcznością, z tak stronniczem odjęciem oskarżonemu środków obrony, że robi wrażenie improwizowanego okrucieństwa i jest tylko krwawym kontrastem owej pospolitej bezkarności, którą nazwaliśmy klątwą czasów. Wypadek ten nie tylko rzadkością swoją, ale i z tego powodu zasługuje na uwagę, że daje nam wyobrażenie, jak wyglądała w praktyce »gorącość prawa«, akta podają nam bowiem całą ostateczną rozprawę czyli t. z. *actum controversiae*. Oto wielce charakterystyczny przebieg rzeczy:

Dwaj szlachcice ziemi trembowelskiej, Stanisław Łoboski i Arnulf Chocimirski, toczyli z sobą proces zacięty i uporczywy. Chodziło o małą sumę, bo zaledwie o 50 zł., ale spór tak się zajątrzył i rozognił, że przyszło do namiętnej osobistej nienawiści. Nieszczęście chciało, że obaj spotkali się w Kamieńcu; przyszło do czynnego starcia i Chocimirski padł z dłoni Łoboskiego. Krewny Chocimirskiego, Paweł Ciemierzyński, pospieszył mu z pomocą, ale przybył za późno, aby uratować mu życie, pojmał jednak Łoboskiego na miejscu utarczki i odstawił go do grodu. Nastąpił natychmiast sąd na winowajcę. »Naprzód uczynił przemowę p. Ciemierzyński od strony powodowej — czytamy w akcie kontrowersyi — uskarżając się żałobliwemi, a na poły popędliwemi słowy na p. Łoboskiego, iżby on miał gwałtownie, umyślnie, nie mając żadnego zajścia i przyczyny do nieboszczyka Chocimirskiego, onego zatracić. Tego domawiając szerokiemi słowy swemi, uderzył mową swą, iż do tej niewinności naszego powinnego nie zdobędziem się na instygatora do sprawy, a ten p. Łoboski będzie tak szczęśliwy, iż mu się zarazem także zły, niebaczny człowiek, *fautor et defensor* jego haniebnego uczynku, znajdzie, i widzę, że go już ma za sobą nagotowanego.«

Ciemierzyńskiemu chodziło o to, aby odstraszyć obrońcę oskarżonego, niejakiego Jana Tchórzewskiego, któ-

remu też, jak się wyraża dalej akt kontrowersyi, »z niemałym ubliżeniem sławy jego sromotnemi słowy łajał i groźbami, pełnemi odpowiedzi, oddać mu to obiecawał przed tym urzędem... Zatem jął p. Ciemierzyński prosić o instygatora, aby przydany był na stronę p. Chocimirskiego, o czym były *preces*, aby się p. Zakrzowski tego podjął i przydawał go p. podstarości, lecz on się tego nie chciał podjąć, gdyż po temu czasu swego nie miał.«

»Tedy sam p. Ciemierzyński rzekł te słowa: »Ja sam jestem tej sprawy instygator jako przyjaciół i przywiązany krwią opiekun, a tak proponuję na niego, jakom wyżej nadmieniał.« A tamże stojąc oblicznie szlachetny Stanisław Łoboski, będąc zdrowy na ciele i umyśle, sam przez się rzekł:

»Wiem, iż się nieszczęsny *casus* trafił; jestem w rękę i w mocy; nie proszę o więcej, tylko, aby to między mną a między onym było uznano, kto komu do tego przyczynę dał, bowiem gdym był w domu swym, chcąc do obiadu sięść, tamże dwaj słudzy moi przyszli, powiadając mi, że p. Chocimirski z tym umysłem w domu był, pytając o mnie u Pawełkowej wdowy, gdzie przedtem miał gospodę, a dowiedziawszy się, gdzie stał, umyślnie z sługami i wielu inszych przyjaciół do gospody mej przyszedł, i na chłopca mego, który zamykać drzwi poszedł był, naprzód z łuku strzelił, zatem wpadłszy do dworu sługę mego Wałowskiego ranił szkodliwie, i tak bacząc go już dobrze zajuszonego, że się nie dał hamować, musiałem się bronić i jakom mógł, odpór dawałem, i Bóg Wszechmogący niech mi będzie świadkiem, a niech mnie odeszle na męki ogniowe piekielne, bodaj dusza moja w piekle gorzała, iżem mu do tego przyczyny nie dał, anim do niego w dom nachodził. Lecz to, co i jako było, dajam o sobie sprawę, tylko proszę o sprawiedliwy sąd.«

Zabiera teraz głos obrońca oskarżonego, podnosząc, że i na gorącym prawie trzeba dobrze wysłuchać

tę rzecz, a wysłuchawszy i kontrowersję popisawszy tak, iżby już ani ta ani owa strona nie myliła, ani więcej przytaczała, choć na prędcę poteterminować, co kto mówi. Proszę o słuchanie, łaskawy panie urzędzie! *Crimen facti* obudwu stron na placu stoi; *quod factum actum*, lecz *dubius eventus litis*. Kto czego nie szuka, ten nie najdzie, a kto czego szuka, ten najdzie. Pan Łoboski, który *onus causae* na sobie niesie, to przezemnie mówi: iż to uczynił broniąc swego żywota; jeśli się okaże z inkwizycyi albo z powieści świadków wiele wiarygodnych, że tak jest, jako p. Ciemierzyński mówi, za to *poenas criminales*; jeśli się też pokaże, że on w domu swoim spokojen był, tedy ująć ma gorącości prawa. A to i pan Jerzy Zieleniecki w tenże czas będąc postrzelony, da sam świadectwo, iż nie p. Łoboski do p. Chocimirskiego, ale p. Chocimirski do p. Łoboskiego szedł, *et ad hanc inquisitionem* zeszliz Wmość wiarygodnego, aby i jego świadectwo było w jedno zgodzone. *Interim*, jakie prawa między obiema stronami były, z tych Wmości trzeba uznawać, który się nie chciał usprawiedliwić. Nieboszczyk p. Chocimirski w młodości swojej chciał mieć i pieniądze i majątność, dał się pozyskać, a na ostatek chciał i wygrozić, mając około siebie przyjaciół dosyć znaczne, co iż to nie tajemne jest, jeszcze sprawa jego w rejestrze *ad terminos querellarum* stoi wpisana nierozparta, a za tą tragedją nie będzie miała końca. A tak proszę posłać do p. Zielenieckiego i do tych, którzy widzieli i słyszeli, iż nie p. Łoboski ale p. Chocimirski dał przyczynę.«

Sąd grodzki, a jest nim w rzeczy samej tylko sam jeden podstarości Walenty Pliszkowski, odrzuca to żądanie oskarżonego, a kiedy jego obrońca czyni ruszenie za dworem, t. j. odwołuje się przeciw temu do sądów królewskich, odrzuca i tę apelację, dekretując, że oskarżony ma *directe respondere*. Winowajca czyli pryncypał, bo to była nazwa używana, protestuje przeciw odjęciu sobie



Fig. 1.

Ornamentyka z 451 tomu Aktów Gr. Lwowskich.

środków obrony i oświadcza, »że gdzieby mu się w tej mierze gwałt miał stać przez prawo, na potem to swoim sukcesorom zachowuje, czynić o to prawem, jako przymuszony do dalszego postępku. »Nie prę się tego — mówi delinkwent — że się stało mężobójstwo, ale z jego przyczyny *in defensione vitae meae*, i to nie wiem, przez którego sługę mego, który jeden z gorącego prawa uszedł. Kto dał przyczynę, Pan Bóg sam wie, a *scrutinium* to, o które silnie proszę, okaże, a tak biorę sobie na *scrutinium* w tej sprawie do jutra.

Sąd odrzuca i tę prośbę o jeden dzień delaty celem uzupełnienia śledztwa. Ponawia ją błagalnie Łoboski mówiąc: »Też wszystkie obrony me wcale sobie zachowuję i do nich się odwołuję, prosząc o dylację na krótki czas do jutra na inkwizycję albo *scrutinium*; do tego, abym wždy żonę i czeladź sporządził; niech gwałtu jako koronny syn w tem nie odnoszę. Uznajcie WMość panowie z tego *scrutinium*, że być mogę próżen gorącości prawa. Proszę o miłosierdzie, o nieskwapliwość do małego czasu, abym tylko żonę oglądać mógł.

Na ostatku p. Tchórzewski (obrońca) jako sfukany groźbami nie miałem, wody wodą próżno mierzyć nie chcąc, rzekł: Mam wolny umysł mój, czyniąc dosyć tym przemowom ze strony p. Łoboskiego. Tegom nie uczynił za najem, za obietnicę, za przyjaźń, nieprzyjaźń, lecz tylko samego Pana Boga się bojąc a według miłości bliźniego, którą każdy chrześcijański człowiek powinien okazać do ostatniego stopnia grobu jego. To, co się mówiło, i teraz mówię, to czego się prosiło, i teraz proszę, lecz iż też po sobie dekretu żadnego nie mam, *solemniter obtestor*, zaczem chociażbym co najmędrszego mówił do prawa, *a vi et iudicio et potestate illi attributa* onego samego filozofią nie wydrę. *Deus videat!* Ale to samo na mnie tak zrozumieć przyszło, bym się sam oponował gardło zań stawić, mając takiego instygatora przeciwko sobie, który nietylko

na pryncypale ale też radby i na prokuratorze (t. j. obrońcy) też winy otrzymał. A urząd u niego w mocy będąc i na jego się *severitatem* oglądając, tak już niech skaże, co rozumie. A zatem ostatek milczeniem zbywam.« Po tem przemówieniu próbuje jeszcze obrońca uratować głowę Łoboskiego, wnosząc, aby sąd pozwolił mu odprzysiądz się samosiedm, t. j. z sześciu świadkami, że mężobójstwa tego bezpośrednio nie winien. Wniosek ten sąd odrzuca i feruje wyrok śmierci. Łoboskiego natychmiast ścięto. Wdowa straconego wytacza pozwy podstarościemu, nie dowiadujemy się jednak z aktów, jaki był skutek wytoczonego procesu.

Wyjątkowy to, jak powiedzieliśmy, i osamotniony fakt »gorącości prawa« — w regule nie tylko ukaranie ale nawet samo tylko uwięzienie winowajcy *in recenti* było utrudnione i najczęściej całkiem udaremnione, a jeżeli nie odbyło się dosłownie w chwili czynu i na samym czynie, *in manuali facto*, narażało na przykrą odpowiedzialność i na ciężkie niekiedy kłopoty podstarościę czy też innego urzędnika grodu. Wymowny tego przykład znajdujemy w aktach sanockich. W górach tamtejszych pod Hołuczkiem przebywał na ustroniu szlachcic nieosiadły w tej okolicy, niejaki Piotr Rambuł, którego domostwo uchodziło za schronienie rozbójniczym łotrzykom i za schowek zrabowanych przez nich rzeczy. W r. 1634 wracał z jarmarku jarosławskiego bogaty kupiec z Krotoszyna, żyd Jeleń, który wiózł z sobą 70.000 złr. gotówką. Niedaleko Jarosławia, w osławionej karczmie pod Bukiem, zasadziło się na niego kilku opryszków szlacheckiego pochodzenia, a kiedy Jeleń minął karczmę, opadło go na odludnej drodze i złupiło do nitki. Łotrzykowie ci należeli do bandy, która miała swoją główną kwaterę u wspomnianego Piotra Rambuła pod Hołuczkiem, tam też udali się wprost z pod Jarosławia, aby zadeponować swoją bogatą zdobycz. Odtąd już ich oko ludzkie nie oglądało więcej. Chodziła wieść,

że chciwość popchnęła gospodarza do zdrady i morderstwa, i że przy pomocy swego pasierba Samuela Krawińskiego i niejakiego Załuszkowskiego skrytobójczo zamordował wszystkich trzech opryszków a ciała ich pogubił, to jest zakopał czy też utopił. Ale żyd Jeleń, który uszedł był z życiem z napadu, wysłedził złoczyńców aż do Hołuczkowa i udał się do urzędu grodzkiego w Sanoku z skargą i prośbą o sprawiedliwość. Podstarości sanocki Jan Pieniążek rozwinął tym razem niezwykłą energię, wyruszył z gronem szlachty do Hołuczkowa, pojmał Rambułta, okuła i osadził w więzy zamkowej.

Cóż tedy dalej? Oto żona uwięzionego, Beata, zanosi protestacyę przeciw uwięzieniu męża, opierając się na wyrażnem prawie, że szlachcica osiadłego nie wolno imać i więzić, chyba schwytanego na gorącym uczynku. Rambułt wprawdzie nie posiadał majątku w Sanockiem, ale posiadał coś gdzieś indziej, i nie był schwytyany *in recenti*, nie wzięto go na samym uczynku. Beata wytacza sprawę przed trybunał i sama spieszy do Piotrkowa, aby poprzeć ją osobiście. Skutek był rychły i stanowczy. Trybunał orzekł, że urząd grodzki naruszył prawo i nietykalność szlachecką, nakazał Rambułta bezzwłocznie wypuścić z więzienia, skazał podstarościęgo na karę 120 grzywien i na rok więzy pod rygiorem banicyi, a żyda Jelenia za to, że spowodował uwięzienie, na 240 grzywien pod infamią i gardłem. Sama istota czynu, zbrodnia ciężka i oczywista, pozostała na boku, poszła na nieskończenie daleki plan osobnego procesu, Rambułt po 9 tygodniach odzyskał wolność i zupełne bezpieczeństwo swojej osoby aż do przyszłego wątpliwego dekretu, podstarości wyleczył się radykalnie z swojej niewczesnej energii, a złupiony Jeleń odszedł tym razem dosłownie z kwitkiem, bo z poświadczeniem, że pod grozą miecza zapłacił grzywnę.¹⁾

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 152 pp. 393—5, tom 153 pp. 790—1, 812 i tom 154 pp. 42—55.

Dalszą niemniej zgubną dla publicznego bezpieczeństwa zasadą było: *Nemine instigante reus absolvitur*. Nie było właściwie władzy, któraby ściagała zbrodnie z urzędu, bez względu na to, czy kto prywatny skarży lub nie skarży — ściganie takie było wprost niedozwolone. Do przestępstw politycznej i skarbowej natury był instygator, ale i temu ściagać i pozywać nie było wolno bez delatora. Gdzie nie było delatora, tam nie było pozwu, ścigania, dochodzenia, tam, jakby nie było zbrodni, choć zbrodnia się stała otwarta, oczywista, wszystkim i samej władzy wiadoma, o pomstę wołająca. Przy jednej tylko zbrodni mężobójstwa musiał być delator, oskarżyciel, ale prywatny. Prawo nakładało obowiązek delatorstwa i pozywania zabójcy na krewnych zabitego, jak już wiemy, pod rygorem tej samej kary, jakiej podlegał sam zabójca. Miało to zapobiegać bezkarności, ale akta grodzkie tych czasów, o których piszemy, zawierają niestety dowody, że tak nie było, że umiano obchodzić i to na pozór tak stanowcze i surowe prawo. Bliższy lub dalszy krewny zabitego oskarżał, t. j. zanosił protestacyę w grodzie i wytaczał pozew, czyniąc tem zadość prawu, następnie zaś godził się z zabójcą, brał pieniądze i procesu nie było, bo oskarżyciel nie stawał na terminy, nie domagał się śledztwa, czyli t. zw. *scrutinium*, nie prezentował świadków i t. p., zgola pozwalał na to, aby rzecz ugrzęzła na zawsze. Jakób Niezabitowski zabija w r. 1633 Gabryela Sadowskiego i jedna się następnie o głowę z bratem zabitego Andrzejem, a ten brat nie godzi się bynajmniej potajemnie, poza oczyma prawa, z wstydliwą świadomością występku, ale jawnie i otwarcie, bo nie waha się ugody roborować w grodzie. Dowiadujemy się o tem z protestacyi drugiego brata ofiary, Krzysztofa, który pozywa Andrzeja o takie prawem wzbronione, a przecież prawnie roborowane jednanie, i przypuszczamy radzi, że czyni to wiedziony braterskim pietyzmem i obrażeniem uczuciem prawa, a nie chęcią udziału w okupie.¹⁾

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 351 p. 922.

Mamy w aktach przykłady, że obowiązek delatorstwa w wypadkach zabójstwa służy za sposobność do spekulacji. Najchudszy pachotek, najsamotniejszy na świecie szlachetka, jeżeli go zabił człowiek możny i zapaśny, znajdzie natychmiast krewnych, którzy występują w roli mścicieli przed prawem, znajdzie ich w najdalszych stronach Polski, zabity n. p. na Rusi we Lwowie znajdzie ich w dalekiej Wielkopolsce, na Mazowszu, na Litwie. Czasami znowu chęć zemsty i osobista nienawiść chwytają się takiej sprawy, krewny jest narzędziem w ręku obcych osób. Stanisław Warszucki, wojewoda mazowiecki, zabił niejaką Magdalenę Kopańską, a matkę jej trzymał samowolnie w więzieniu. Jako delatorowie zbrodni występują dwaj bracia zabitej, Władysław i Stefan Wyleżyńscy. Zapewne wiedzeni nienawiścią, chęcią zemsty lub inną jaką osobistą pobudką — akta nie dają pod tym względem wskazówki do domysłów — dwaj książęta Wiśniowieccy, Konstanty, starosta czerkawski, i syn jego, Janusz, koniuszy koronny, chwytają się tej sprawy i zawierają formalną intercyzę z Wyleżyńskimi, którzy »z pewnych respektów z panem wojewodą (Warszuckim) bez woli i osobliwego konsensu książąt Wiśniowieckich przystępować ani się jednać nie mają, owszem, doznawszy wielkiego dobrodziejstwa książąt Ich Mości, pozwalają tak, jako się będzie zdawało najlepiej na stronę książąt Ich Mości, z p. wojewodą jednać, czemu kontradykować nie mają, owszem *pro rato et grato* przyjąć i do tego ostatniego stopnia prawnego wedle woli książąt obudwóch popierać pod zakładem 100.000 polskich grzywien. Wyleżyńscy nie dotrzymują intercyzy, godzą się z Warszuckim, a Wiśniowieccy nie sami, ale przed podstawionego delatora pozywają ich o to i domagają się, aby obaj bracia za niedozwolone jednanie się o głowę ponieśli karę, ustanowioną na mężobójcę.¹⁾ Warszucki widocznie lepiej zapłacił — intryga się nie udała.

¹⁾ Agr. L w o w s k i e, tom 388, pp. 371—3, 395—7.

A kiedy już nareście sprawa jakaś wytoczyła się przed sądy, ileż to jeszcze pozwanemu pozostawało wybiegów, kruczków, środków przewłoki, ile t. zw. »lekarstw prawnych,« zarówno w sprawach kryminalnych jak cywilnych! Dawano się zasądzać zaocznie, czekano na pierwszy wyrok banicy, który nic albo bardzo mało znaczył, a dopiero wtenczas zaczynała się gra właściwa. Było mnogo środków obalenia wyroków, zniszczenia całej pracy i nakładu strony pozywającej, cofnięcia sprawy tam, gdzie się dopiero zaczynała: pozwy źle położono, rzecz *iniuridice* traktowano, dekret nieważny *de male obtento, de male narrata*, i tak dalej bez końca. Charakterystyczne są pod tym względem kautele, jakie dla zapobieżenia późniejszym zarzutom czyniono przy zawieraniu uгод i intercyz natury cywilnej, a nie lepiej *mutatis mutandis* działało się i w sprawach natury kryminalnej. Strony zastrzegały sobie, że nie będą się w razie sporu zastaniać i bronić »żadnemi lekarstwami, zwłokami, które tak z prawa jak i zwyczaju pozwolone bywają, t. j. ani prawdziwą ani zmyśloną niemocą, ani na munimenta, na kwit o większą rzecz, na lata potomków młodych, na zastępcę wymówekami, ani także zawilemi albo doskonałemi jako niedoskonałemi statutami i konstytucjami, ani dawnością, ani odbiciem prawem, ani złem i nierychłem na cudzych dobrach pozwu kładzeniem, ani woźnym niedoskonałym, ani zjazdem, ani sejmem, ani nieprzyjacielem postronnym, ani wody, ognia, mostów, grobli przeszkodami etc.«¹⁾

Jednym z najwyczejniejszych środków przewlekania sprawy i tamowania biegu sprawiedliwości w procesach cywilnych zarówno jak kryminalnych, był głej królewski, t. z. *salvus conductus*. Głej były w zasadzie potrzebne

¹⁾ Agr. Halickie, tom 105 pag. 309. W intercyzie między wojewodką Alexandrą Tyszkiewiczówną a Krzysztofem Łozińskim z r. 1598.

a nawet konieczne; chroniły one przed bezzwłocznem wykonaniem dekretu, wydanego zaocznie lub osiągniętego podstępnie, były zatem tarczą dla niewinnie lub nieważnie zasądzonych — ale niestety, wydawane zbyt pochopnie a lekkomyślnie przez kancelaryę królewską, przechodziły w nadużycie, bo częściej bywały ucieczką i ochroną winnych aniżeli niewinnych. Taki glejt miał niekiedy znaczenie zupełnej restytucyi sprawy, która już docierała po długim czasie do mety, miał zazwyczaj walor sześciomiesięczny, zastępował skazanego przed egzekucją wyroku, banicie przywracał prawa obywatelskie, pozwalając mu przebywać swobodnie i bezpiecznie — *tute, secure et libere* — w granicach państwa, stawać przed sądami, dokonywać aktów prawnych. Taką samą rolę odgrywały sublewacye i relaxacye banicy na czas pewien, po którego upływie następowały znowu prorogacye. Cóż powiedzieć o samej procedurze karnej, w której ostatecznie rozstrzygała przysięga nie świadków, ale stron bezpośrednio interesowanych. Trybunał po wysłuchaniu stron i świadków, po zbadaniu wyników śledztwa (*scrutinium*) orzekał, kto ma przysięgać: oskarżający czy oskarżony, a tak nie sam dowód winy rozstrzygał sprawę, ale potępiał przysięgą oskarżyciel, uwalniał się nią od winy oskarżony. „Mało nie wszystko prawo wasze na przysiędze zawisło — mówi Włoch Górnickiego.

Zapada wreszcie wyrok prawomocny. A więc według stopnia przewinienia: miecz, wieża, banicya, infamia. Kto miał wyrok wykonać, kto miał pojmać winowajcę i zniewolić go do expiacyi, skoro władzy wykonawczej, silnej, trwałej, zorganizowanej tak jakby nie było? Kara śmierci bardzo rzadko zdarzała się w Polsce — oczywiście mowa tu o szlachcie, bo chłop szedł za byle kradzież wołu na szubienicę a miasta nadużywały miecza na mocy swego okrutnego prawa magdeburskiego — chyba że winny ścigany był prawem przez bardzo możnego oskarżyciela,

chyba że był bardzo mizernym, nieosiadłym szlachetką i należał do warstwy herbowej »zgołoconej i obdartej« — *golotae et odardi*, jak się w swojej zabawnej łacinie wyrażają nasze akta — albo gdy podpałał i rozbijał a pojmany był *in recenti* na podstawie zasady prawnej: *Fur, latro, incendiarius, viarum depopulator ubique capiatur*. Gdy się zważy mnogość najcięższych nawet zbrodni, niepomszczonych mieczem w Polsce — »do tego przyszło, woła Skarga, że ten, co ojca własnego zabił, na tym przeszłym sejmie bez karania został« — zrozumie się łatwo, dlaczego stracenie Samuela Zborowskiego na znacznej części społeczeństwa sprawiło wrażenie wyjątkowego okrucieństwa, aktu osobistej zemsty.

Wieża uchodziła za bardzo ciężką karę. Według konstytucji z r. 1588 winowajca siedzieć miał *in fundo*, na samym dnie wieży, w takiej głębokości, że od podłogi do okna miało być 12 łokci odległości, a taż sama konstytucja wzbroniła starostom pod karą 400 grzywien czynić ulgi odsiadującym wieżę, mianowicie podbudowywać im piąterka i kominy. Była opinia, że gdyby »tak siedział mężobójca, jako ma siedzieć, rzadkoby który wyszedł żyw z wieży«. Ale tak nie było; podstarościowie i burgrabio- wie czynili więźniom najrozmaitsze ulgi i ustępstwa; zobaczmy, jak ta straszna kara w rzeczywistości wyglądała. »A co o wieży powiadasz — czytamy u Górnickiego — iż trudno rok w niej wysiedzieć, to wiem jednego, który trzy lata i kilka niedziel nie wychodząc w wieży siedział, a żyw i teraz, i ma się dobrze.« Dokazał tego samego także szlachcic Walenty Cebrowski, który za zabicie dwóch braci Czerniowskich odsiedział trzy lata i 18 tygodni.¹⁾ W bardzo licznych wypadkach skazany wieży nie zasiadał i uchodziło mu to bezkarnie, bo nikt się o to nie upomniał. »Ale to niektórzy farbują, wywodząc srogość kaźni

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 355 p. 2246.

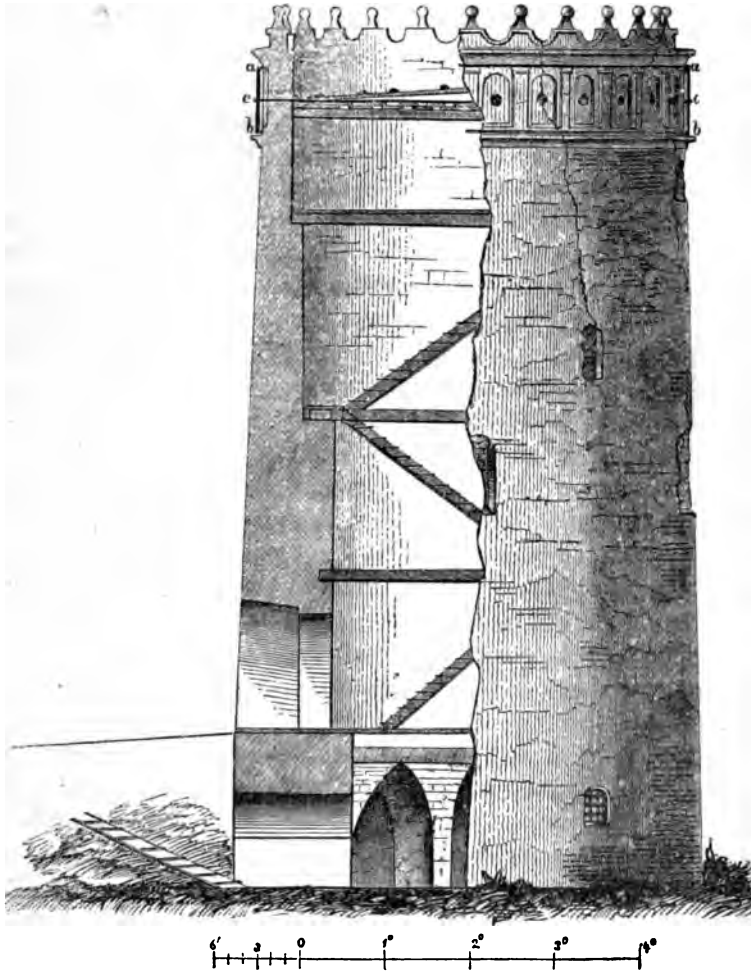


Fig. 2.

Wieża więzienna, zachowana w ruinach zamku przemyskiego. Rysunek uwidacznia piętro górne, przeznaczone na lekkie więzienie, i podziemia dla winowajców, odsiadujących karę *in fundo*, na samym dnie.

polskiej — czytamy u Modrzewskiego — że na rok do tarasu mężobójcę sadzają... O jako wiele jest ludzi, pobitych za naszej pamięci w domu i na ulicach, w mieście i na polu, w świętych i nieświętych miejscach! A któryż był z tych morderców, któryby się nie wymknął z tego siedzenia dorocznego?«¹⁾ A działa się tak wobec surowych konstytucyj, które stanowiły, że »ktoby będąc *convictus* do więzy czasu oznaczonego nie siadł albo z niej wyszedł, nie wysiedziawszy, ma być *infamis ipso facto*; ma być przez starostę albo stronę imany i na gardle karany.

Przez starostę albo stronę. Niestety, częściej przez stronę niż przez starostę. Spotykamy w aktach ciągle przykłady, że gdy chodziło o zniewolenie kogoś do zadośćuczynienia prawomocnemu wyrokowi, musiała zająć się tem strona, a tak egzekucya dekretu przechodziła w ręce prywatne i nie bezstronne. Starosta był jedynym organem wykonawczym, a nie było beczynnniejszej władzy nad starościńską. Nie dlatego, żeby zakres kompetencji i środków starosty był niedostateczny — przeciwnie zakres ten pod względem sądowym, wykonawczym i administracyjnym był bardzo szeroki a dotacya materyalna bywała zwykle hojną, ale dlatego, że do rzadkości należał starosta, któryby na seryo i sumiennie pojmował swoje stanowisko urzędowe, któryby spełniał gorliwie swoje nadzwyczaj ważne funkcyje jako szef władzy sądowej i policyjnej na wielkim zazwyczaj obszarze kraju, jako stróż bezpieczeństwa publicznego, jak *brachium regale* i wykonawca woli prawa. Starostwo uważało się za osobistą dotacyę, za źródło dochodu, z którego zaledwie nieznaczna część szła na cele urzędowe. Najczęściej pan starosta nie zajmował się sprawami swego urzędu, zdawał wszystko na swoich podwładnych — podstarości bywał wszystkim. Lepiej tak

¹⁾ O poprawie Rzeczypospolitej. Wydanie Tur. str. 192.

może jeszcze było, aniżeli kiedy starosta chciwy i samowolny nadużywał swojej władzy, która w ręku despotycznego i bezwzględnego człowieka z rękojmi bezpieczeństwa zmieniała się w środek ucisku słabych i bezbronnych, jak tego mamy przykład na staroście przemyskim, sławnym i osławionym zarazem Kmicie, którego rządy w ziemi przemyskiej w tak czarnych kolorach odmalował nam Stanisław Orzechowski w cytowanym już wyżej liście do Przyłuskiego. Takich starostów, o jakich opowiada Starowolski, który »pamiętał, gdy dwu starostów niegdy sądzono o zdzierstwo albolii rozbój jawny: jednego, że dwóch cudzoziemców na moście wzięwszy, kazał potopić, pieniądze i klejnoty od nich pobrawszy, drugiego, co sobie w jarmark targowe gwałtem wybierał od kupców, sztuk kilkanaście bławatów brał od sklepu, kufę albo dwie małmazji od piwnicy; za sługą, co wybierał, zaraz dwoje sań poszóstnych ze stem piechoty chodziło, któremi rzeczy wydarte na zamek odwożono«¹⁾ — takich starostów zapewne do wyjątków liczono, ale do wyjątków też należeli gorliwi, bezstronni i urząd swój na seryo biorący.

Bez odpowiedniej siły zbrojnej trudno było strzedz bezpieczeństwa publicznego i być egzekutorem wyroków. Miał starosta przeciw sobie setki szabel niesfornej szlachty i powinien był utrzymywać znaczniejszą straż bezpieczeństwa. Pozwalały mu na to środki, których dostarczały dochody starostwa — mógł ją mieć, ale nie miał, bo to kosztowało, a jeżeli miał, to nie zawsze dla utrzymania porządku a częściej dla prywatnych celów, n. p. dla staczania bitew z przeciwnikami swymi, jak mamy tego przykład na Janie Tomaszu Drohojowskim i Adamie Stadnickim, obu starostach przemyskich. Osobną straż zamkową spotykamy w województwie ruskiem tylko w Haliczu, gdzie starosta

¹⁾ Reformacja obyczajów polskich. Wyd. Tur. str. 146.

Struś utrzymuje 100 piechoty służącej, zorganizowanej po wojskowemu, pod osobnym rotmistrzem, ale i tu ją rozpuszczono po kilku miesiącach,¹⁾ czego panu staroście przyszło w lat kilka później mocno żałować, bo Adam Kalinowski, starosta winnicki, podkopał się pod zamek i wykradł mu córkę.

Cóż się tedy działo, kiedy nareście chodziło o konieczne wykonanie wyroku siłą urzędową, o poskromienie zuchwalca, który nietylko urągał wszelkiej powadze kraju, ale był niebezpieczeństwem i plagą całego powiatu? Szedł mandat po mandacie od króla do starosty, aby wykonał egzekucję *mota nobilitate*, szły uniwersały do szlachty, aby na mocy konstytucyi z r. 1609 dała mu pomoc. Na oznaczony przez starostę dzień, każdy szlachcic wyruszyć był obowiązany pod karą 100 grzywien — ale to pospolite ruszenie powiatu rzadko kiedy przychodziło do skutku w takiej sile, jakiej było potrzeba. Kiedy w r. 1603 wezwano uniwersalami królewskimi i starościńskimi szlachtę sanocką, aby ruszyła na Stanisława Tarnawskiego, chorążego sanockiego, jako banitę obłożonego infamią i buntownika przeciw pospolitemu prawu — stanęło dwóch szlachciców, jak to z oburzeniem stwierdza w protestacyi swojej podstarości Zygmunt Chamiec.²⁾ Kończyło się tedy na tem, że przy pomocy jakiejś błędnej chorągwi, wałęsającej się po kraju i wybierającej bezprawnie stacye, jeśli się nawinęła w pobliżu, po zebraniu zgraji luźnego hajductwa a nawet Tatarów i owych obszarpańców szlacheckich, ochrzczonych nazwą *golotae et odardi*, wyruszyła wyprawa, podobna raczej do wszystkiego innego, aniżeli do prawowitego *brachium regale*. To też t. zw. egzekucye miawały niekiedy otwarte cechy gwałtu, wyglądały raczej na rozbójniczy najazd, aniżeli na akt powagi i siły rządowej, na represyę z ramienia króla.

¹⁾ Agr. Halickie, tom 120 p. 183, 285.

²⁾ Agr. Sanockie, tom 140 p. 2731—3.

Marcin Krasicki jako starosta przemyski wykonał kilka takich egzekucyj, między innymi na synach Stadnickiego Dyabła, Zygmuncie i Władysławie — wielbi go za to epitaphium: *regum rebelles, pacis turbatores et praedones viriliter repressit*. Jak wyglądała jednak niekiedy taka urzędowa represya, dowiadujemy się od jednej z jej ofiar, szlachcica Maryana Zielińskiego, który zarzuca staroście, że pod pretekstem egzekucyj i prawie o północy nasał na jego dwór w Rolowie sługi swe a z nimi Tatarów Hasana, Sołumacha, Dusaja i inszych około 70 ludzi, którzy z okrzykiem tatarskim i strzelaniem drzwi do dworu dobywać poczęli a nie mogąc dobyć, ogień pod nie położyli, a przepaliwszy drzwi, ostatek siekierami wyrąbali, Zielińskiego obuchami zbili, prawie *nudum*, bo tylko w bieliźnie na koń wsadzili i nogi pod konia powrozami związali, *interim* wszystek sprzęt i ochędóstwo jego zabrali, a potem nocą, nie drogą ale manowcami do Dołhego wsi jezuickiej zawieźli, nazajutrz przez Sambor *captivum contumeliose* prowadzili, a z tamąd na noc do Brześcian zawieźli, gdzie Zieliński przy pomocy rodzzonego brata uszedł.¹⁾

Egzekucya starościńska z ramienia królewskiego - *de brachio regali, fortiter et finaliter*, jak na to opiewała formułka — była zresztą rzadkim wypadkiem i mnóstwo spotykamy pozwów przeciw starostom, że mimo ostatecznych dekretów trybunalskich i nakazów ich egzekucyj, nie chcą jej przeprowadzić urzędową mocą. I nie można się dziwić temu. Jak miał starosta przeprowadzić egzekucyę mocą, kiedy mocy tej nie miał, bo prócz prywatnej swojej służby i hajduków domowych publicznej siły zbrojnej nie miał do dyspozycyi, a szlachta mimo mandatów królewskich nie wyruszała zbrojnie na jego wezwanie, jak miał spieszyć się z egzekucyą nawet wtedy, kiedy miał siłę

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 379 z r. 1628 p. 1631—37.

po temu, kiedy po każdej zbrojnej jego interwencji, podjętej na mocy prawomocnych wyroków, przynaglonej kilkukrotnymi mandataми króla, wytaczano mu pozwy o gwałt publiczny i naruszenie wolności szlacheckiej, wygrywano przeciw niemu procesy, zyskiwano dekrety odszkodowania? Doświadczył tego na sobie starosta przemyski, wspomniany właśnie Marcin Krasicki. Za przeprowadzenie egzekucji na Zygmuncie Stadnickim, synu Łańcuckiego Dyabła, w Rudawce, pozywa go brat tegoż Zygmunta Stanisław o 200.000 złr. odszkodowania, uzyskuje nawet w trybunale dekret przychylny i jeszcze w r. 1642, a więc w 20 blisko lat po tej egzekucji rudawieckiej, ściga jego spadkobierców i w r. 1642 pozywa starostę przemyskiego Daniłowicza, że nie chce przeprowadzić przymusowej egzekucji za szkody wynikłe — z przymusowej egzekucji.¹⁾ Po egzekucji na innym synie Dyabła, Stanisławie, pozywają Krasickiego mieszczanie łańcuccy o 18.000 zł. odszkodowania, bo im popsuł bramy i ostrokoły miejskie.

Powierzenie siły wykonawczej samym że obywatelom, oddanie sprawiedliwości pod opiekę ich szabel, było niewątpliwie w zasadzie rzeczą szlachetną, godną wolnego i cnotliwego narodu, a fantantom i chwalcóm przeszłości wydać się może obyczajem, w którym zakochać się warto. Jak większa część praw polskich, tak i to urządzenie wychodziło z supozycji idealnego społeczeństwa, którego szukać by chyba w bajecznej krainie Morusa, *in nova insula Utopia*. Takiemu społeczeństwu nie potrzeba by było zresztą ani praw ani ich wykonawców. Widzieliśmy na kilku przytoczonych u góry przykładach, jak to wyglądało w rzeczywistości, na ziemskim gruncie, i jak się praktyka biła z ideałem — a grubo silniejsza bywała od niego. W obrębie całego województwa ruskiego i w okresie całego półwiecza jedyne go może tylko spotykamy starostę, który

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 156 p. 920.

umiał jako tako pogodzić ustawę z trudnościami praktyki i miał szczęśliwą rękę przy egzekucjach *mota nobilitate*— ale była w tem zasługa jego osobistych wyjątkowych przymiotów, jego sprytu i popularności u braci szlachty.

Był nim Piotr z Ossy Oźga, referendarz kor., po Pretficzu w latach 1609—1623 starosta trembowelski. Osobistość wielce charakterystyczna, szlachcic wyjadacz, jowialista, do tańca i do różańca, mocny w gębie i w pięści, łeb tęgi przy kuflu, gracz na szable, orator, statysta, gospodarz, nawigator, zawsze dobrze na swoim miejscu i dobrze w swojej roli, czy to na bankiecie przy dobrej myśli, czy marszałkując na sejmiku, czy zasiadając w sądach, czy też odprawując poselstwa do Wysokiej Porty. Umiał gadać doskonale z sułtanem, z królem, z magnatem, szlachcicem i żydem, a z tym ostatnim mawiał gęsto, bo pozostał po nim nawet foliał z wymownym tytułem: *Rachuba z żydy*. Miał w skrzyni żelaznej zawsze kupę złota; kiedy umarł, doliczono się 8.000 dukatów, 270 portugaliów, każdy po 20 dukatów, 700 duplonów, 1000 złotych dzieg moskiewskich i 2000 talarów; utrzymywał całą flotylę, którą słał pszenicę do Gdańska; na okazowaniu rozpinął namiot, który go kosztował 800 zł. w Stambule, miał dwie stadniny ale jeździł na starym koniu dożywotniku, a kiedy parada, to w aksamitnej karecie okutej srebrem, miał w domu 200 ksiąg dużych a 100 mniejszych, i co mu także jedna reputację niepospolitego człowieka, trzymał w Trembowli papugi.¹⁾

Otóż ten pan referendarz Oźga umiał wybornie przeprowadzać egzekucje i sam jeden przeprowadził ich może tyleż, co wszyscy współcześni mu starostowie całego województwa razem wzięci, a zawsze gładko i skutecznie, nie narażając się nigdy na rekryminacje i na pozwy o gwałt i nadużycie władzy. Nim się zabrał do takiej egzekucji

¹⁾ Agr. Trembowelskie, tom 115 pp. 616—618.

zapomocą szlachty swego powiatu, zwlekał jak najdłużej, dał się pozywać przez stronę, domagającą się od niego wykonania dekretu, czekał na powtórne mandaty królewskie i nakazy trybunalskie, aby zrzucić z siebie wszelkie *odium* osobiste i przekonać szlachtę, że nie p. Oźga ale nieszcześliwy starosta pod gwałtem prawa domaga się od nich pomocy, a od odpornej strony uległości. Dopiero, gdy nadszedł ten moment krytyczny, zabierał się do dzieła po sąsiedzku, po ludzku, w familiarny poniekąd sposób. Oto próbka jego uniwersałów, wzywających szlachtę do ruszenia się przeciw odpornej dekretom stronie: »Moim Mościwym Panom i łaskawym braciom po zaleceniu służb moich łasce Waszmościów, wiadomo czynię, iż szlachetna pani Jadwiga Rudzka przewiodłszy prawo przeciw księżnej JMć Annie Chodkiewiczówny Koreckiej pozywała mnie z urzędu mego starościńskiego *pro facienda finali executione* z księżnej Jejmości na trybunał i tam na mnie otrzymawszy zysk, żądała egzekucyi i świętej sprawiedliwości, zarazem ja będąc prawu posłuszny czas tej egzekucyi i św. sprawiedliwości składam *pro die* 30 miesiąca sierpnia, na który proszę, abyście się Waszmości bez wymówki podług powinności swej pod miasteczko Borek zjechać raczyli a z tamąd do Skałata majątności księżnej Jejmości ruszyli się i tamże czynili, co święta sprawiedliwość nieść będzie, gdzie i ja, użyczyli mi Pan Bóg zdrowia, nie będę li służbą Króla JMci zabawny, na pośrodek Waszmościów stawić się nie omieszkam.«¹⁾ Egzekucya poszła gładko, »świętej sprawiedliwości« stało się zażość, a szlachta rozjechała się do domów z wielką satysfakcją, że pomogła biednej wdowie przeciw potężnej księżnej. Ale, niestety, takich Oźgów nie wielu było między starostami na Rusi.

¹⁾ Agr. Trembowelskie, tom 114 p. 1472.

Jest to w ogóle bardzo znaczącym objawem, że odbycie jakiejś kary, zapłacenie winy, spełnienie obowiązku upokarzającej deprekacji, najpewniej i najłatwiej przychodziło do skutku, jeżeli wy pływało nie z prawomocnego wyroku sądowego ale z kompromisu, z t. zw. przyjacielskiego wynalazku. Więcej ufano naciskowi prywatnemu, niż urzędowej egzekucji. Spotykamy często takie przykłady. »Szlachetny Maciej Wrocki jawnie i dobrowolnie opowiada się, iż za urazę, którą JM. panu Jakóbowi Dobrzyńskiemu, szlachcicowi zacnemu, sławy jego i domu starożytnego dotykając, wyrządził, idzie na Wysoki Zamek tutejszy lwowski siedzieć do wieży, żałując i pokutując za to, i tam tak długo siedzieć powinien będzie, aż p. Dobrzyński nad nim miłosierdzie chrześcijańskie uczyni.«¹⁾ Feliks Zawisza zasiada wieżę *ex amicorum consensu* za krzywdę wyrządzoną Tobiaszowi Krzywieckiemu; tak samo Mikołaj Staniński *ex concordia certa*, t. j. za ugodą zawartą z Piotrem Ożgą;²⁾ Stanisław Błoński odsiaduje wieżę w Przemyśle na mocy intercyzy zawartej z braćmi Grzybowskiemi; Paweł Jasiński i Andrzej Sarnicki czyniąc zadość *amicabili compositioni*, poddają się taksamo karze siedzenia w wieży przemyskiej, jak niemniej Konstanty Korniakt na mocy prywatnej interwencji Stanisława Żółkiewskiego w sprawie z rotmistrzem Stanisławem Branickim.³⁾ Kiedy natomiast chodziło o odsiedzenie wieży z wyroku sądowego, czuwać nad tem musiała najczęściej sama strona przeciwna, aby winowajca odbył karę istotnie, a jeżeli przyszło do jakiej interwencji grodu, to tylko na prośby i skargi z prywatnej strony, a nie z urzędowej inicjatywy.

Dowiadujemy się z takich prywatnych upomnień i reklamacyj, z skarg wnoszonych na starostów, że nie

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 356 p. 251.

²⁾ Ibidem p. 72, 242.

³⁾ Agr. Przemyśkie, tom 320 p. 857; tom 332 p. 1029; tom 334 p. 296; tom 319 p. 1740.

spełniają swego obowiązku czuwania nad egzekucją wyroków, że wieża, którą prawo karne chciało mieć ciężkim więzieniem, nie zawsze bywała tak straszną, jak ją sobie malowano. Pan burgrabia był ludzki człowiek, przystępny argumentom zwłaszcza brzęczącej natury — wychodzono też z wieży do miasta, bawiono się w niej niekiedy wesoło, przerywano siedzenie według upodobania. Strona, która osiągnęła dekret wieży na winowajcę, doglądać musiała przez woźnego lub czeladź, czy też skazaniec siedzi *in fundo*. Stanisław Ligęza, członek bardzo burzliwej i rogatej rodziny, o której nam później mówić przyjdzie, poprzestaje n. p. na manifestacyi, że *impedimenta* nie pozwalają mu odsiadywać wieży za zabicie Jana Leszczyńskiego, i to wystarcza władzy; drugi Ligęza siedzi niby na Wysokim Zamku lwowskim w baszcie t. zw. Żulińskiej, ale spaceruje po mieście; Krzysztof Żurawiński i jego dworzanin, skazani na wieżę we Lwowie za gwałtowny zajazd Zboisk, zamiast *in fundo* siedzą »na wierzchu,« a i tam właściwie nie siedzą, ale »rekreacje swawolne i bankiety rozmaite czynią« i t. p.¹⁾

Ale najjaskrawszy przykład tego, pod jakim rygorem odbywało się niekiedy siedzenie w wieży, daje nam wyodek, który się zdarzył na zamku halickim (r. 1647). Teodor Bełzecki skazany był na wieżę za gwałty zbrojne, popełnione w zatargach z własnym rodzonym bratem Ewarystem. Sługa Ewarysta, Dymidecki, dowiedziawszy się, że Teodor nie siedzi bezustannie — *sine intermissione* — ale nocami opuszcza więzienie i robi sobie wycieczki, udaje się do wieży z woźnym i dwoma szlachcicami, aby formalnie sprawdzić takie lekceważenie prawa. O godzinie 1 w nocy łapie Bełzeckiego w bramie zamkowej na gorącym uczynku, bo wychodzącego właśnie do miasta. Na

¹⁾ Agr. Lwowskie, t. 357 p. 777. Rok 1601. T. 383 p. 3227.

widok Dymideckiego wpada Bełzecki w furę, uderza go czekaniem, chwytą go za czuprynę, wlecze go za sobą do wieży, tam go okłada kijem, a gdy Dymidecki chce uciec drzwiami górnej wieży, dwaj hajducy Bełzeckiego chwytają go i zrzucają na dno, *in fundum*, wieży, ztamtąd omdlałego i owiniętego w płachtę na rozkaz swego pana wynoszą, aby go utopić w Dniestrze, ale na szczęście przestraszeni krzykiem jakiejś kobiety, nie spełniają rozkazu.¹⁾

A cóż z najsroźszą karą na szlachcica, z proskrypcją i infamią, która naznaczona była za nieodsiedzenie wieży, jak w ogóle za każdy bunt przeciw woli i rozkazaniu popolitego prawa? Infamia, gdyby w całej swej grozie i we wszystkich swych konsekwencyach zaciężyła nad głową winowajcy, byłaby zaiste straszliwą karą, szczytem zemsty społecznej. Prosta banicya była tylko śmiercią cywilną, pozbawiała skazańca praw obywatelskich, czyniła go niezdolnym do spełniania aktów prawnych — infamia skazywała na śmierć cywilną, moralną i fizyczną zarazem, wyrzucała z społeczeństwa, robiła z winowajcy dzikiego zwierza; można było nań polować jak na wilka, zabijać bezkarnie na miejscu. Tak przynajmniej wypływało z formuły dekretu, skazującego na infamię. Według swojej osnowy dekret infamii odejmywał cześć osobistą, wszelkie urzędy i zaszczyty, bezpieczeństwo wolności i życia, wywoływał z wszystkich ziem Rzeczypospolitej, pozwalał a nawet nakazywał winowajcę imać i zabijać bezkarnie, zabraniał wszystkim utrzymywania z nim jakichkolwiek stosunków, nakładał na każdego, ktobykolwiek dał infamisowi radę, pomoc, schronienie, opiekę choćby chwilową, takąż samą karę infamii. Ale formuła dekretu stała w sprzeczności z konstytucją, uchwaloną na sejmie w r. 1588, a konstytucya stała znowu w sprzeczności z sobą samą. Orzeka, że „nie mają starostowie w dworzach szlacheckich wy-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 140 p. 45—8.

wołańców imać, chyba by im tego szlachcic dozwolił dobrowolnie; na innych miejscach imać wolno« — i zaraz dalej powiada: »Ktoby wywołańca w domu przechowywał albo mu rady i pomocy użyczał i z nim obcował, ma być pojmany od *iudicium castrense* i podpada *poenae complicitalis*.¹⁾ Tedy jak? Nie wolno przechowywać wywołańca, i nie wolno imać przechowanego? Ależ ten, kto przechowuje wywołańca, według brzmienia prawa *ipso facto* staje się wywołańcem, a więc nie wolno imać wywołańca w domu wywołańca? Nie wolno imać wywołańca w domu szlachcica, ale znowu wolno imać tegoż szlachcica? Na domiar tych sprzeczności też sama cytowana powyżej konstytucya powiada: że wolno imać wywołańców stronie *jure vincenti*, t. j. stronie, która wyrok na osobie wywołańca przewiodła, a powiada to bez wszelkiego bliższego zastrzeżenia, z czego by znowu wypływało, że czego nie wolno staroście, stróżowi bezpieczeństwa i wykonawcy woli prawa, to wolno prywatnej osobie.

Nie dziw, że przy takiej chwiejności i dwuznaczności prawnych przepisów, nie tak źle się działo wywołańcom i infamisom. Uragają władzy, zuchwale uwijają się po kraju, sieją postrach na okół; zamiast żeby oni się bali społeczeństwa, społeczeństwo ich się boi, bo wywołaniec nie ma nic do stracenia i waży się na wszystko. »Wywołaniec mieszka sobie doma albo u powinnego — mówi Górnicki — najmniej go to nie obchodzi, że jest wywołany, a będzie miał na sobie nie jedną, ale siedm, ośm i dalej banicyj, na które on spi bardzo dobrze. A będzie takich 50, 60 i więcej w jednym powiecie... Nie wiem, co po tem odsądzać ich czci, gdy się do prawa nie stawiają? Bo ten, kto go o to przeprawił, ciepło głowę o to chować musi; jeść, pić, spać w domu swym bezpiecznie nie może, ustawicznie bać się musi, a ów, co jest czci odsądzony, nie

¹⁾ Vol. Legum, tom II. p. 257.

boi się nikogo, owszem, każdy się go boi, jako szalonego.«¹⁾ Sejmik wiszeński wstawia się w r. 1632 za niejakim Janem Mościńskim, który będąc skazany na infamię za zamordowanie Kaspra Prusinowskiego, 24 lat miał ją na sobie i nic mu się nie stało, aż się nareście doczekał, że szlachta uznała go za godnego »łaski i klemencyi« i poleciała swoim posłom, aby się starali u króla o jego rehabilitację. Tym razem jednak, trzeba przyznać, nie uczyniła tego szlachta bez ważnych powodów, bo najpierw syn zabitego, Janusz Prusinowski, zgadzał się na to, powtóre Mościński na polu bitwy krwią własną starał się zmyć z siebie tę plamę. »Zdrowie i dostatki swoje — są słowa sejmikowej uchwały — na wszelakich expedyacjach moskiewskich ważył pod Smoleńskiem, na wycieczkach i szturmach pod oczyma ś. p. króla Zygmunta, pod Carowem Zamieściem, pod Kłuszynem i pod Moskwą, potem w wyprawie chocimskiej i z Tatary.«²⁾

Jeżeli wywołaniec jest istotnie ścigany, to najczęściej nie ściga go prawo, nie ściga starosta, ale zemsta tego, którego skrzywdził. Tak ściga n. p. Jadwiga z Herburtów Ossolińska Prokopa Orzeckiego, wynajduje go schronionego u brata Adama w Ursku i na tego brata wyrabia wyrok wywołania.³⁾ Tak ścigają wywołańca Stanisława Tarnawskiego, chorążego sanockiego, Drohojowscy, ścigają go u Stanisława Derśniaka, później u Marcina Sienieńskiego i obu pozywają o przechowywanie infamisa.⁴⁾ Zdarza się także, że strona pokrzywdzona, widząc bezkarność człowieka, na którym wyrok infamii wywalczyła, sama bierze na siebie rolę sprawiedliwości. Leonard Wyszynski, osiągnąwszy dekret wywołania i infamii na Adama

¹⁾ L. c. str. 73, 74.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 383 p. 3459—60 i Agr. Sanockie, tom 151 p. 2249.

³⁾ Agr. Przemyskie, tom 316 z r. 1600 p. 1439.

⁴⁾ Agr. Przemyskie, tom 321 z r. 1605 p. 519, 1126.

Świechowskiego, widząc go obracającego się mimo to swobodnie po sąsiedztwach, chwytą go w r. 1613, najmuje kata i sam na własną rękę ściąć go każe; Jakób Cebrowski i jego czterej synowie mają w r. 1616 wywołańca Jakóba Stockiego, odstawiają go do zamku w Trembowli, ale nie ufając w miecz sprawiedliwości, sami go na zamku koncerzami przebijają a ciało topią,¹⁾ Krzysztof Kurzański chwytą skazanego infamisa, niejakiego Łysaka Kisiele *alias* Zgłobickiego, przebywającego sobie swobodnie w domu szlachcica Łubniowskiego w Ułycznem, i na progu domostwa głowę mu ucina, mszcząc się tym sposobem na wywołanym przez trybunał łotrze, który napadłszy w r. 1631 na dwór jego krewnej Doroty Czartoryskiej w Poddniestrzanach porwał jej starszą córkę, potem wrócił, samą Czartoryską okrutnie zamordował, a jej młodszej córce, dwunastoletniej dziewczeczce, głowę na progu domu uciął.²⁾ Nie godzien był piekielny łotr innego losu, ale smutne to znamię czasu, że zbójcę po zbójce karać było potrzeba. Tym sposobem ukaranie zbrodni staje się znowu zbrodnią, aktem gwałtu i prywatnej zemsty, a tak sprawdzają się słowa Orzechowskiego: *Parit una iniuria mille iniurias, unus latro innumeros latrones.*³⁾

Bardzo wymownym przykładem upadku władz i powagi rządów jest sprawa wywołańca Mikołaja Białoskórskiego. Ten Białoskórski za zbrodnie publicznej natury, bo jak czytamy w mandacie królewskim: *in causa nos et Rempublicam afficiente*, a więc za zdradę stanu, na infamię i proskrypcyę jeszcze w r. 1619 na sądach sejmowych skazany, przez sześć lat bezkarnie i swobodnie żyje sobie w Polsce i kto wie, jak długoby był szydził z dekretów królewskich i sejmowych, gdyby tak, jak w przytoczonych

1) Agr. Przemyskie, tom 329 p. 1205 i Agr. Lwowskie, tom 370 p. 1741—3.

2) Agr. Przemyskie, tom 350 pp. 611—14.

3) Orichoviana, p. 21.

powyżej wypadkach, nie doścignęła go nienawiść i zemsta osobistej natury. Miał na niego nieprzejednany »rankor« słynny starosta doliński, Jerzy Krasicki, o jakieś nieznanie nam zajścia i kiedy Białoskórski bawił sobie bezpiecznie we Lwowie w r. 1625, zwabił go przez swoją służbę pod pozorem kupna konia na schadzke, pojmał, okuł, zakneblował mu usta, rzucił go do krytej karety i uwiózł do Dubiecka, gdzie go osadził w najgłębszym i najciemniejszym lochu swego zamku.

Całe cztery lata trzymał starosta doliński infamisa w swoim prywatnem więzieniu. Ale Białoskórski miał krewnych i przyjaciół, którzy dowiedziawszy się o jego losach, zaczęli przemyśliwać o jego wyswobodzeniu. Ująć się otwarcie i w drodze legalnej o szlachcica więzionego bezprawnie, było w tym wypadku trudno, bo uchodzić by to mogło za protegowanie infamisa, a więc za czyn, który prawo karało równą infamią. Znalazł się przeciw śmiały szlachcic do protestacy i znalazł się też sposób nadania tej protestacyi poniekąd prawnej podstawy. Niejaki Jan Otwinowski zaprotestował r. 1629 w grodzie sanockim przeciw Krasickiemu, zastrzegając się, że czyni to nie w obronie infamisa, którego potępia, ale w obronie zgwałconych praw pospolitych i znieważonej wolności szlacheckiej, bo starosta doliński nie pojmał Białoskórskiego z gorliwości obywatelskiej, ale z osobistej nienawiści i żądy zemsty, prywatnym gwałtem i z pominięciem władz publicznych, bo zamiast go wydać staroście dla czynienia zeń egzekucyi, trzyma go w swoim dubieckiem więzieniu. Równocześnie woźny, którego Otwinowski wysłał był do Dubiecka, stwierdził urzędowo uwięzienie Białoskórskiego i zdał przed grodem relacyę.

Sprawa stała się głośną i wywołała poruszenie między szlachtą. Krasicki, widząc, że to był pierwszy sygnał do akcji, która się skończyć może jakimś zamachem na niego i gwałtownem uwolnieniem Białoskórskiego, nie

zastanawiał się długo, ale zaraz odstawił więźnia do zamku sanockiego i równocześnie doniósł o jego pojmaniu i odstawieniu królowi. Zbrodnie publicznej natury, jakich się dopuścił Białoskórski, musiały być bardzo ciężkie i mimo upływu dziesięciu lat niewymazane z pamięci, bo Zygmunt III. wyprawił bezzwłocznie mandat do starosty sanockiego Mniszcha, wzywając go, aby najdalej w przeciągu trzech dni zarządził stracenie Białoskórskiego. Tymczasem pokazało się, że Białoskórski posiadał nie tylko gwałt hetmański ale i *salvum conductum* od króla samego. Mniszech, czy to rzeczywiście z szczerzej wątpliwości, czy też ujęty przez przyjaciół i krewnych Białoskórskiego, odwłókt egzekucję i udał się do króla po wyjaśnienie, *pro meliore informatione*, podnosząc zarazem, że w tej sprawie brak ważnej formalności, bo nie ma delatora. Król odpisał, że delatora wobec przewidzianego wywołańca nie potrzeba a gwałty i listy żelazne, jakiemiby się zastąpić mógł Białoskórski, uważać należy za nieważne. Był to więc nieodwołalny wyrok śmierci. Gdy tak sprawa stoi, krewny Białoskórskiego, kasztelan oświęcimski Andrzej Zborowski, który z swojemi rotami znajdował się w pobliżu, wpada na czele 500 żołnierzy i ośmiu dział do Sanoka, uwalnia skazańca i zabiera go z sobą.¹⁾

Taka możliwość i łatwość prywatnej egzekucji na wywołańcach nie tylko że niegodna była praworządnego państwa, ale kryła w sobie i pod innym względem wielkie niebezpieczeństwo, bo zagrażała osobom mało winnym lub wcale niewinnym, wydając ich na łup zemście i intrydze, robiąc z nich ofiary t. zw. wexy ze strony ludzi przemożnych i podstępnych. Bo trzeba wiedzieć, że bardzo łatwo było ściągnąć na siebie wyrok infamii i wywołania. Każde nieposłuszeństwo prawomocnemu wyrokowi karane

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 150 pp. 2205, 2325, 2380 i Agr. Przemyskie, tom 348 p. 2157.

było infamią, a prawomocny wyrok mógł zapaść i dojrzeć zaocznie, przez zaniedbanie, ubóstwo lub nieporadność pozwanej osoby. Dość było nieuiścić wywalzonego długu, przegrać proces o niedotrzymanie intercyzy, nie zapłacić winy sądowej, nie odsiedzieć dwunastu tygodni więzy za obrazę czci i t. p., aby w ostatecznej konsekwencji po pierwszych banicyach narazić się na dekret infamii, a wtedy było się na łasce przeciwnika, który wygrał sprawę, t. zw. *jure vincentis*, zwłaszcza jeżeli ten *jure vincens* był stroną znacznieszą, silniejszą, wpływową. To też było dobrą stroną królewskich glejtów, owych *salvus conductus*, że zawieszały na pewien przeciąg czasu następstwa dekretu infamii i dawały niewinnie lub zaocznie skazanemu czas i możliwość obronnych kroków prawnych. Ale kogo ścigała wexa możniejszego, w kogo godziła nienawiść i żądza osobistej zemsty, ten w czasie między ferowaniem dekretu a uzyskaniem sublewacy i glejtu, był w niebezpieczeństwie mienia, wolności a nawet życia.

Jako przykład posłuży nam sprawa niejakej Zofii Parżnickiej, szlachcianki ziemi sanockiej. Była to niespokojna bardzo kobieta, oddana nałogowo grasującemu w ówczesnem społeczeństwie pieniactwu, pozywała i procesowała się zawzięcie, nie szczędząc w swoich pozwach i protestacjach najcięższych i najdotkliwszych zarzutów. Miała sprawę w r. 1632 w grodzkim sądzie sanockim, przegrała ją i czując się pokrzywdzoną wytoczyła pozwy staroście Mniszchowi, pisarzom tegoż grodu Włostowskiemu i Kosmowskiemu i wszystkim w ogóle urzędnikom sądowym o zgwałcenie prawa, o korupcyę, o pofalszowanie i kradzież skrutyniów i munimentów. Proces źle się skończył dla Parżnickiej; nie mogła udowodnić żadnego z swoich hańbiących zarzutów i skazana została na trybunale za oszczerstwo. Nim skazana zdążyła wyrobić sobie *salvum conductum*, jeden z spotwarzonych przez nią, Kosmowski, zasadza się na nią, chwyta ją jadącą do Piotrkowa i jako

wywołankę odstawia do zamku sanockiego. Okuta w ciężkie kajdany, z obręczem żelaznym na szyji, zagrożona karą miecza, w śmiertelnej trwodze przebywa ta kobieta dłuższy czas w więzieniu, aż nareście krewny czy też przyjaciel jej domu Jan Skarbek wyręcza ją z wieży, płaci za nią grzywny i daje satysfakcję spotwarzonym przez nią osobom. Swoją drogą, Parznicka wyszedłszy z więzienia, niepoprawna litygantka, zasypuje znowu wszystkich pozwami, nie wyjmując nawet i Skarbka, któremu zawdzięczała ocalenie.¹⁾

Ten sam brak władzy wykonawczej przy zawilości prawa, którego »nikt nie umiał,²⁾ sprawiał, że nie było także bezpieczeństwa mienia. Procesy nie miały końca. Szły w fatalnym spadku z pradziada na prawnuka, bywały dziedziczną klątwą rodzin. Nikt, chyba jakiś specjalny znawca starodawnego polskiego prawa, nie zorientuje się w tym labiryncie, do którego autor nie próbuje wieść czytelnika, aby się w nim zaraz na wstępie nie zgubić. Nie podobna według aktów zorientować się w tym chaosie pozwów, terminów, astycyj, kontrawersyj, dekretów i nareście intromisyj, które mają kończyć sprawę a zaczynają ją *ab ovo*. Taka niejasna, powikłana, ciężka i leniwa procedura musiała przy wrodzonej szlachcie skłonności do pieniactwa wywołać liczną klasę zawodowych prawników, t. z. prokuratorów, którzy dla zysku włóczyli biednego klienta przez ten ciemny labirynt procesowy, podniecali waśnie rodzinne, budzili najgorsze instynkta napaści i chciwości, odwodzili od zgody, podejmowali się spraw najnieślusniejszych i bogacili się ruiną swoich ofiar. »Wspomnę najemne łgarze, prokuratorzy — powiada anonim-szlachcic około r. 1606 w liście do przyjaciela — jest to u nas *pestientiale virus*; ażaż nie widzisz, jako idą w rzeczach,

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 143 pp. 97—100, tom 150 pp. 22, 661, 1464.

²⁾ Górnicki, Rozmowa Polaka z Włóchem, str. 46.

jako się bogacą, jaka presumpcyja u nich; ludzie zacni przededrzwiami stoją u nich, a jakimi figłami, szalbierstwcy ci ludzie roszą!... Najemnymi łgarzami dlatego je zowę, że ja, kiedybym miał jaką niesprawiedliwą kauzę, wstydzilbym się jej popierać. Ale najmę prokuratora, dam mu, a on łże za mnie, łże tak dobrze, że ziemia schnie, czyni z białego czarne, z czarnego białe. A toż i tymby się zabieżało, kiedy by był gętszy człowiek w Koronie godny, coby pokój między ludźmi krzewili, jednaliby lityganty, samiby się sądzili, a ci szalbierze stanieliby prędko. Bym tego jeszcze doczekać mógł, daj mi to Panie Boże, aby się w tym powiecie naszym choć dziesięć osób godnych a cnotliwych na to udało, żeby tę fatygę *propter Deum* podjęli, niżli nadejdzie trybunał, a wszystkie sprawy, któreby *per appellationem* wyszły na trybunał, doma pojednali, porównali, aby wždy choć jeden powiat nie był na trybunale, a tym kauzo-łgarzom, aby ile tyle *questu* ubyło — jużbym rad potem umarł zaraz.¹⁾

Takim zawodowym prawnikom, wierutnym szynkarzom moralnego alkoholu, którym dosłownie rozpajali swych klientów aż do szału pieniactwa, zależało nietylko na tem, aby sprawę powierzoną sobie wikłać, jątrzyć, przewlekać, ale także na tem, aby z drobnej rzeczy zrobić wielką, z małego zajścia srogi gwałt, z drobnego przewinienia zbrodnię. Na samym wstępie tej książki podnieśliśmy już, jak ostrożnie trzeba się liczyć z prawdomownością protestacyj i pozwów, jak trzeba koniecznie doszukać się prawomocnego wyroku lub aktu jednania, aby uwierzyć w sam fakt, o który chodzi. Najdziksza, że się tak wyrazimy, przesada panuje w protestacyach i pozwach, spisrywanych przez prawnych rabulistów owego czasu w imieniu strony pozywającej. Niekiedy protestacya cała jest zmyśleniem, zuchwałem kłamstwem co do joty. Na-

¹⁾ Rękopis Bibl. Ossol. nr. 314 p. 29.

zywało się to robić *ex causa mentali realem, ex civili criminalem*; chodziło o prostą napaść, o zastraszenie słabszych i lękliwszych, o extorsyę czyli jak to zwano o usiłstwo, czasem o sam paszkwil tylko bez dalszych konsekwencyj. Wyrobił się osobny styl w tych pozwach i protestacyach: przesadny, napuszysty, pełny fałszywego akcentu tragiczności i niesmacznej a czasem komicznej tautologii, która miała sam fakt podnieść, uwydatnić i jak najjaskrawiej oświetlić, a zasypywała go raczej sieczką słów niepotrzebnych. Wyrządził ktoś komuś małą szkodę w lesie, to sakramentalną formułką pozwu było, że »1000 drzew rodzajnych, ogromnych, budulcowych, masztowych wyrębał,« nigdy mniej i nigdy więcej; naruszył ktoś komuś uprawne pole, to już je »spustoszył, zniszczył, zniósł i w niwec obrócił;« dopuściła się służba czyjaś burdy na własną rękę, o czem słuźbodawca nie wiedział i nie słyszał, to stało się to przecież »za jego sprawą, wolą, wiedzą, mandatem, znową i rozkazaniem;« a zabił ktoś kogoś w zwadzie, to nie zabił go krótko i wężłowato, ale »ważył się zabić, zamordować, uśmiercić i z żywego nieżywym uczynić, jakoż i zabił, zamordował, uśmiercił i z żywego nieżywym uczynił.«

Wobec tego wszystkiego nie dziw, że sprawy cywilne z powodu swojej przewlekłości wyczerpują cierpliwość przeciwników i przechodzą w sprawy kryminalne. *Cose lunghe diventano bische*, powiada włoskie przysłowie, a zastosować je można z osobliwą trafnością do procesów polskich, które rzeczywiście przez nieskończone długie trwanie plątały się w jakiś nierozwikłany nigdy kłęb żmij jadowitych. Pomagano sobie gwałtem; urosła owa nieszczęsna praktyka dochodzenia swoich pretensyj »prawem i lewem,« trybunałem i kryminałem. *Prawem i Lewem* weszło w zwyczaj i w codzienny słownik szlachecki — *jure et gladio* nazywano to po łacinie już w pierwszej połowie XV. wieku ¹⁾ — i odtąd aż w głąb

¹⁾ Ulanowski, Acta Capitularia III. 375 z r. 1440.

XVIII. stulecia ani słowo ani rzecz nie wychodzi z użycia. Używa tych słów jeszcze Matuszewicz w swoich pamiętnikach i to wcale nie w znaczeniu tradycyjnego tylko przeżytku, ale jako żywego hasła.

Pozew położony w domu szlachcica przez woźnego był zazwyczaj straszliwym gościem; był żagwią wniesioną w dom zdradziecko, zniszczeniem bytu i spokoju, zapowiedzią nieszczęścia, wojny, ruiny — i wprawdzie niepodobna usprawiedliwić ale łatwo zrozumieć, że w r. 1604 trzech bracia Grochowscy, ujmując się za swym krewnym starcem schorzałym, napadli na niejakiego Przyłuskiego w Sanoku i z okrzykiem: „Tyżeś to ten Przyłuski, co starca twojemi pozwami nękaś!.. — wypalili do niego z półhaków i na miejscu trupem położyli. ¹⁾ „Jeśli mnie p. Hościślawski będzie pozywał — odgraża się szlachcic sanocki Paweł Dwernicki — tedy pozew jego uwiążę koniowi do ogona, szukać go będę w domu jego, szyję mu utnę, a sam ujdę na Ukrainę — niech mnie tam żona jego szuka!« „Czemu mnie pozywasz!.. — woła Aleksander Mużyło Buczacki — i przebija sztychem szabli szlachcica Radziszewskiego, który go ciągle obsyłał pozwami. ²⁾ Wszystkie prawie głośnie i niekiedy bardzo krwawe wojny prywatne w województwie ruskiem, o których w dalszym toku będzie mowa, bratobójcze zajścia między Łahodowskimi w ziemi lwowskiej, między wojewodziną Golską a Potockimi, Bałabanem a Jabłonowskim, między braćmi Bełzeckimi w ziemi halickiej, między Stadnickimi a Drohojowskimi, Stadnickim a Herburtem, Herburtem a Porudeńskimi w ziemi przemyskiej miały źródło w procesach cywilnych. Bo i w nich, gdy już ostatecznie, niekiedy po najdłuższych latach, przyszło do dekretu, nie było go komu wykonać.

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 141 p. 3—6.

²⁾ Agr. Trembowelskie, tom 117 p. 616.

Po przysądzeniu komuś jakiejś wywalczonej sumy lub jakiejś posiadłości ziemskiej miała nastąpić t. zw. intromisya, t. j. oddanie wyprocesowanej rzeczy. Na tę intromisyę udawał się zawsze woźny z swoimi dwoma szlacheckimi asystentami i oczywiście powracał z kwitkiem, bo zasądzony wzbraniał zawsze intromisyi, czyli jak się wyrażał stereotypowy frazes relacji woźnego lub wicesgerenta: *temere denegavit*. Po każdej takiej intromisyi rosły koszty i zakłady, rosły zyski i przezyski, intromisya szła za intromisyą, a zawsze była *denegata*, i stawało na tem, że wygrywający proces, mając sobie przysądzony przedmiot sporu *cum lucris, perlucris et vadiis duplicatis, triplicatis* itp. widział się bezwładnym i bezradnym wobec upornego dłużnika. »Ono lepak bardzo śmieszna — mówi o tem Modrzewski — że też i władności królewskiej, którą ramieniem królewskim zowią, majątność czyją z wynalazku prawa wziąć i baba jednym słówkiem zabronić może. Skazując więc sędziowie sowite i trojaki zakłady tym, co wyganiają z przysądzonych imion, ale nie wiem, jeśli kto kiedy płacił.«¹⁾ I tu starosta miał obowiązek wykonać egzekucyę zbrojną ręką, *armata manu*, i z przyzwaniem szlachty całego powiatu do pomocy, *mota nobilitate*, ale widzieliśmy już przy sprawach kryminalnych, z jaką trudnością przychodziły do skutku takie starościńskie egzekucye. Cóż tedy pozostawało? Nie można było dojść końca »prawem,« dochodziło się go »lewem.« Następował zbrojny zajazd — co miało być aktem sprawiedliwości, zmieniało się w akt prywatnego gwałtu.

A przez ten cały labirynt prawny i obyczajowy, przez ten cały kalejdoskop społeczny przemyka się bezustannie w najrozmaitszych rolach postać szczególna, specyficznie polska, od całego życia w przeszłości nieodłączna, jaskrawym kontrastem między pozornie wysokim znaczeniem

¹⁾ O poprawie Rzeczypospolitej str. 234—5.

a rzeczywistością nicością niewiedzieć czy komiczna czy tragiczna, wszędzie obecna, wszędzie konieczna, wszędzie posyłana i zewsząd wypędzana — w o ż n y! Lekceważony, przeplaszany kijem, szczuty psami, pławiony w wodzie, czasem okrutnie zabijany — ten woźny polski jest przecież początkiem, środkiem i końcem wszystkiego, alfą i omegą każdej sprawy, sprężyną administracji i sądownictwa, okiem i uchem władzy, człowiekiem na wszystko, dla wszystkich i do wszystkiego. A jakby w dziwnym dopełnieniu tych swoich losów, człowieczek ten sam jeden żyje do dziś dnia, kiedy to wszystko zginęło. Mickiewicz zachował nam woźnego w *Panu Tadeuszu* jak »muszkę w bursztynie,« zrobił go postacią wieczystą.

Nie wiemy, czy jest w historii prawnej i obyczajowej jakiegoś innego narodu postać podobna, jak naszego polskiego woźnego, z takim szumnym tytułem a z tak nikczemną dołą, z takim ogromnym zakresem agend a z tak nędznymi warunkami do ich spełniania. Mianowany przez samego króla, osobnym majestatycznym dekretem czyli t. zw. autentykiem pod pieczęcią koronną, który go »obiera, czyni i postanawia« funkcjonaryuszem publicznym, daje mu »moc i wolność« do spełniania swego urzędu we »wszystkich województwach i powiatach,« obdarzony tytułem, który brzmi równie pompatycznie po łacinie: *Ministerialis Regni Generalis*, jak po polsku: »Woźny Ziemski, Generał Koronny,« zaszczycony przydomkiem »opatrzny,« który ma określać niejako warunek czujności i przezorności — woźny spełnia czynności sądowe i administracyjne niepospolitej wagi, bo nawet takie, które dziś powierzane bywają tylko notaryuszom a nawet całym komisjom sądowym i politycznym. On jest nietylko woźnym w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, nietylko sługą i posłańcem sądu, nietylko doręczca, czyli jak to się nazywało »kładzie« pozwy, ale odprawia urzędowe wizye, zbiera informacje dla stron i sądu, daje roki licowe, ogląda rany i klasyfi-



Fig. 3.

Ornamentyka z 451 tomu Aktów Gr. Lwowskich.

kuje je według obowiązującej taksy, jeździ na czynienie sprawiedliwości przy oddawaniu zbiegłych poddanych, nadzoruje wykonanie wyroków, asystuje przy przysięgach, »aresztuje« rzeczy i osoby, to znaczy stwierdza urzędownie ich istnienie na pewnym miejscu i w pewnym czasie i kładzie na nie niejako dłoń prawa, obwołuje głowę zabitego czyli odprawia t. zw. *proclamatio capitis*, co się zawsze odbywało uroczyście w ten sposób, że woźny przy pogrzebie zabitego, nim trumnę złożono do grobu, obwoływał po trzy i cztery kroć ponad formę prawa — *ter quaterque ultra formam iuris* — kto jest sprawcą zabójstwa. Oczywiście, że stosownie do powszechnego zwyczaju szlachty popierania sporu »prawem i lewem,« i on też służy stronom na prawo i na lewo, nadaje formę prawną najprzeciwiejszym prawu obwieszczeniom, bo nosi kartele wojownicze czyli t. zw. odpowiedzi, i na rynkach i jarmarkach ogłasza nawet, że ktoś na kogoś zamierza uczynić zbrojny najazd. W każdej czynności jego asystować muszą mu dwaj osiadli szlachcice.

Ale ten funkcjonariusz publiczny, spełniający urząd tak wielostronny i pełny odpowiedzialności, jest zazwyczaj prostym chłopem, bardzo często nie eliberowanym jeszcze poddanym szlacheckim, bierze za każdą czynność po groszu od mili, nie umie najczęściej ani czytać ani pisać, a owa »moc i wolność« w spełnianiu urzędu, zapewniona mu dekretem monarszym, w rzeczywistości tak wygląda, że nic nie może i nic mu nie wolno, jeżeli nie chce się narazić na zniewagę, na sińce, na rany albo na śmierć nawet, i jeżeli nie umie się ratować sprytem, chytrym podstępem, i nie potrafi położyć pozwu z nienacka, szybko, złodziejskim chytkiem, aby zaraz potem ratować zdrowie ucieczką. Ci dwaj asystenci jego, ci dwaj sakramentalni szlachcice, co powagą swego świadectwa mają uwierzytelnić jego relacje, to dwaj chodaczkowi lub zagonowi biedacy, tego samego zapewne co i on poziomu, na któ-

rych pan wójt lwowski, Anczewski, nie waha się wołać publicznie: »Bijcie kijem woźnego i szlachtę a wypchnijcie ich z ratusza! Wej że wej! Łacno dostać za szóstak szlachcica!«¹⁾ Można sobie wyobrazić, jakiej wagi i wartości były relacye takiej trójki! Prawo ustanawiało ciężkie kary na woźnych przekupnych i zeznających fałsze; woźny przekonany o to przez sześciu świadków, »miał być z urzędu zrzucen a na twarzy na wieczny znak jego fałszu miał być przepalony i pryskowany,«²⁾ ale to, jak tyle innych surowych a nigdy niewykonywanych postanowień karnych, nie zapobiegało złemu. »Mówią ci woźniowie — czytamy u Górnickiego — gdy, prawi, zeznam sprawiedliwie, tylko mi grosz dadzą, a gdy nieprawdę zeznam, dadzą mi kopę. A co większa, woźne macie swe własne chłopcy, których życie i śmierć jest w ręku waszych, jakoż tu woźny zeznać nie musi tego, co mu każą?«³⁾

I kurta, której poły podpięte na guzy
 Można zakasać albo spuścić na kolana;
 Czapka z uszami, sznurkiem u wierzchu związana,
 Wznosi się na pogodę, spuszcza się przed słońcą.
 Tak ubrany wziął pałkę i ruszył piechotą,
 Bo woźni przed procesem, jak szpiegi przed bojem,
 Muszą kryć się pod różną postacią i strojem.

Tak opisał Mickiewicz woźnego Protazego, wybierającego się z pozwem. Obrazek ten dałby się przenieść zapewne i w czasy, o których piszemy. Mamy atoli kilka szczegółów, które pozwalają nam wyobrazić sobie, jak wyglądał ówczesny woźny, i dostarczają także garstki rysów do charakterystyki jego fizyognomji zewnętrznej i moralnej — a to dzięki humorystycznej oblicie, jednemu z tych żartobliwych conceptów, któremi podpiskowie za-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 396 p. 1601.

²⁾ Volumina Legum, tom II. p. 169.

³⁾ L. c. str. 47.

pełniali niekiedy próżne karty ksiąg grodzkich. W aktach lwowskich ¹⁾ czytamy ujętą we wszystkie formułki i floresy prawne inskrypcyę, zeznaną przed grodem konstantynopolitańskim, mocą której chan tatarski Szangierej Sołtan darowuje (*dat, donat, inscribit et resignat*) lwowskiemu woźnemu Maryanowi Krobniewskiemu w wieczyste posiadanie miasto Oczaków i pozwala mu intromitować się tam bezzwłocznie przez któregokolwiek woźnego, jednakże w asystencyi nie dwóch ale 200.000 szlachty polskiej i t. p. Dowiadujemy się z tej wesolej elukubracji, że woźny miewał przy lewym boku szablę z kagańcem a przy prawym torbę sarnią *seu capsam*, w której prócz papierów miał »czarną juchę« na posiłek w podróży; że lubił bawić w »hultajskiej gospodzie,« zaglądając do kieliszka, że pod hasłem: Pal bracie, aby do mnie! *multos quatircas et półgarnczków gorzałki ebibit*, że grywał w karty i kości *ante stajniam cum masztalerzibus* i t. d. — same szczegóły, które nie zbyt pochlebne dają wyobrażenie o obyczajach i gustach tego sługi prawa.

Życie i zdrowie woźnego stało pod opieką prawa; kto woźnego rani, płaci sowito za ranę szlachecką, choćby woźny szlachcicem nie był; kto go zabije w urzędzie, płaci sowito głowę szlachecką a za winę ma siedzieć rok i sześć niedziel. Tak przynajmniej było wedle zwyczajów mazowieckich, zatwierdzonych na sejmie walnym toruńskim z r. 1576, ²⁾ czy jednak te same postanowienia obowiązywały w innych ziemiach polskich, nie wiemy; w aktach województwa ruskiego, jakie znamy, spotykaliśmy liczne zapiski o gwałtach popełnionych na osobie woźnego, ale ani jednego śladu ukarania winowajcy. W rzeczywistości biedna ta figura narażona była na dotkliwe zniewagi a nawet na okrucieństwa. Woźny mu-

¹⁾ Tom 382 pp. 713—722.

²⁾ Volumina Legum, tom II. p. 169.

siał często używać podstępu, aby dostać się niepostrzeżenie do dworu i położyć pozew, bo wiedział, że tak będzie przyjęty, jak gdyby podkładał ogień; kiedy chodzi o położenie pozwu Jerzemu Krasickiemu w Dolinie, woźny dostaje się na furze w beczce soli do zamku. Z przykrości, jakie spotykały woźnego, najczęstsza była i najdłużej też żyła w tradycji ta, która Protazego spotyka ze strony Wołodkowicza, co

Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,
I postawiwszy przy drzwiach z kijami hajduki,
Sam nad woźnego głową trzymał goły rapier,
Krzyząc: albo cię zetnę albo zjedz twój papier!

Protazy skradłszy się do okna wpadł w ogród kopny. Nie tak szczęśliwie powiodło się woźnemu Maciejowi Wołosieckiemu, któremu szlachcic Jan Hynek w Dublanach każe w r. 1588 zjeść pozew, a gdy się biedak wzbrania, zmusza go do tego, wpychając mu papier szablą do gęby, czem go okrutnie rani, poczem przywiązuje do ogona końskiego i tak ze wsi wywlec każe.¹⁾ Inny szlachcic, Stanisław Bolestraszycki, każe gwałtem pić woźnemu wodę z solą, wlewa mu ją przemocą w gardło i taką torturą o śmierć go przyprawia.²⁾ Adryan Orzechowski w okrutny sposób zabija woźnego, który jawi się u niego z dekretem intromisyjnym na rzecz Maryi Fredrowej,³⁾ Jerzy Ostrowski, rozgniewany, że mu woźny Jan Terlecki doręcza pozew przy gościach, każe go służbie bić aż do omdlenia, do na pół żywego strzela jak do celu, zwłoki rzuca do wiru Zgniłej Lipy, a dokonawszy tej zbrodni woła z satysfakcją: „Jużem wygrał i jużem *liber*, bom woźnego zabił!“⁴⁾

1) Agr. Przemyskie, tom 304 p. 1330.

2) Agr. Przemyskie, tom 304 p. 1264.

3) Agr. Przemyskie, tom 339 p. 563.

4) Agr. Halickie, tom 118 p. 744—8. R. 1608.

II.

ODPOWIEDZI. VADIA REGALIA. RZADKOŚĆ POJEDYNKÓW. ZAJAZDY. SPRAWA DERŚNIAKA I KONFEDERACJA SZLACHTY PRZEMYSKIEJ. GUBIENIE ZWŁOK. PORYWANIE LUDZI. NIEMIRYCZ I UBEROWICZ. ŁAZIŃSKI I MONTELUPI. DALSZY PRZYKŁADY. KRWAWE ODWETY. KONKLUZJA.

Rozprawiano w Polsce ustawicznie o korekturze prawa i o skróceniu postępków sądowych, ale kończyło się na tem, że jedyną korekturą była »odpowiedź« i gwałt za nią idący, a jedynym skróceniem zajazd i wojna sąsiedzka.

Odpowiedź, po łacinie *litterae diffidationis*, była kartelem, pisemnem uwiadomieniem, które szlachcic przesyłał szlachcicowi, wypowiadając mu walkę na śmierć lub życie i wzywając go, aby się strzegł przed nim na każdym kroku. Odpowiedź nie była zwyczajem pierwotnie polskim, z gruntu swojskiego urosłym; jak tyle innych zwyczajów dostała się do nas z Niemiec. Sama nazwa »odpowiedź« jest niezgrabnem przetłumaczeniem niemieckiego terminu *Absage, Absagebrief*. W Niemczech bardzo starożytny, obyczaj ten u nas a specyjalnie na Rusi Czerwonej jeszcze w wieku XV. nie istnieje; najstarsza zresztą odpowiedź, jaką znamy z literatury, datuje się z r. 1532

a publikowana była wraz z innymi późniejszymi z aktów plockich, sandomierskich i łomżyńskich.¹⁾ Z zwyczaju zapewne rozpowszechnionego ale prawnie nie uznanego, a więc tylko tolerowanego, odpowiedź stała się od r. 1588 rodzajem legalnego aktu, autoryzowanego środka obrony na wypadek następstw kryminalnych po krwawej jakiejś waśni osobistej. Konstytucja z pomienionego roku, wierna tradycyjnej niekonsekwencji ustawodawstwa sejmowego, zabrania właściwie odpowiedzi i uważa ją za naruszenie pospolitego pokoju, orzeka bowiem, że szlachcic, któryby szlachcicowi posłał odpowiedź, ma zapłacić szkody ztąd wynikłe i winę 100 grzywien, ale zaraz następnie stanowi: »A gdyby kto będąc pozwany *criminaliter*, bronić się chciał odpowiedzią, którąby *ante crimen* miał posłać, tedy się inakszą bronić nie może, jedno taką, którąby przez woźnego i dwóch szlachciców uczynił i onę dał do ksiąg grodu, pod którymby mieszkał ten, komu odpowiedział, wpisać *personaliter*, a po wpisaniu nie ma przeciwko stronie on odpowiednik nic *violentim* poczynać do sześciu niedziel. Gdyby się tak nie zachował, tedy takowa odpowiedź nie ma iść *ad defensionem criminis*.«²⁾ Z konstytucji tej i z samej jej niekonsekwencji wyływałyby, że właśnie około tego czasu odpowiedzi zagęściły się bardzo i przybrały dziką cechę gwałtów; próbowano tedy najpierw odwieść szlachtę od zwyczaju przesyłania sobie odpowiedzi nałożeniem dotkliwej dla wielu kary pieniężnej, a równocześnie ująć sam zwyczaj w karby przystojniejsze, nadać mu cechę pewnej lojalności, utrudnić go warunkiem osobistego stawienia się z odpowiedzią do grodu, dać czas dłuższy, bo sześciotygodniowy, stronie wyzwaney do obrony, wyzywającej do rozwagi.

¹⁾ Adolf Pawiński w artykule o »Odpowiedzi.« Ate-
neum z r. 1896 tom IV. str. 389.

²⁾ Volumina Legum, tom II. p. 254.

Odtąd zaczynają się w aktach pojawiać odpowiedzi z powołaniem się »na konstytucję szczęśliwej koronacy króla Pana naszego« i mają walor obrony na przyszłość. W grodzie przyjmują je do ksiąg z początku tylko na zasadzie: *cum nemini acta deneganda sint* i z zastrzeżeniem, że to się czyni bez uszczerbku i zagrożenia pospolitego prawa i spokoju, później jednak bez żadnych wyraźnych zastrzeżeń. Spotykamy odpowiedzi często aż do pierwszych kilkunastu lat XVII. stulecia, poczem zwyczaj ten ginie powoli. Najwięcej było ich w ziemi przemyskiej — sam Dyabeł Stadnicki wydał ich kilkadziesiąt — mniej w ziemi lwowskiej i halickiej, najmniej w sanockiej. Odpowiedź miała swoją stałą formę, której się zawsze trzymało z małymi odmianami; zaczynała się od powodu, który ją wywołał, a kończyła się przestrogą, aby wyzwany strzegł się odpowiadającego »w domu, w kościele, w łaźni, na polu, pijąc, jedząc, śpiąc, w drodze i na każdym miejscu, bo się na nim mścić będzie i na gardle jego usiedzie.« Czasem odpowiedź wbrew konstytucji jest ustną i nie zgłoszoną w grodzie; tak n. p. w r. 1602 Kasper Krzeczowski posyła woźnego z dwoma szlachcicami do Teodora Szeptyckiego z krótkim poleceniem: »Powiedzcie mu, że go koniecznie zabiję i na gardle jego usiedę.«¹⁾ Zazwyczaj odpowiedź idzie od jednej osoby do jednej osoby, zdarzają się jednak przykłady, że całe grono osób przesyła jednemu lub jeden całemu gronu odpowiedź. Stanisław Kałuski, Piotr Zawadowski, Floryan Ostrowski i Bartosz Żminkowski przesyłają zbiorową odpowiedź Michałowi Moszyńskiemu, iż »żałując niepomału okrutnej śmierci nieboszczyka pana Jana Kałuskiego, brata ich i powinno, przez niego zabitego etc., mścić się chcą na gardle jego, aby krew krwią zapłacona była.«²⁾ Maciej Poradowski odpowiada Krzy-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 318 p. 68.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 368 p. 1094—5.

sztofowi Kostce, wojewodzie pomorskiemu, datując z obozu pod Derptem, »jemu i wszystkim sługom jego szlachcom, których na ten czas przy nim zastanie i kogokolwiek zastanie.«¹⁾

Przy zbiorowej odpowiedzi zachodzą niekiedy osobne zastrzeżenia; przesyłając odpowiedź oświadczają, że tylko w pewnym szczególnym wypadku nastawać komuś będą »na gardło.« Tak n. p. niejaki Tomasz Kulczyński przesyła w r. 1574 odpowiedź Alexemu Krasickiemu z Rusiatycz, »za krzywdę nieznośną, a to dlatego, iżes ty, gdyś mi służył, częścią namową a na ostatek srogą kaźnią mnie jako tego, który nie rozmyśliwszy się na to, żeś powinien być gardło być dać, aniżeli takowy cyrograf na się, przywiodeś do tego, iżem ci pozwolił być, w więzieniu będąc, na cyrograf od ciebie wedle myśli twojej napisany, którym mnie obowiązałeś, wyjmując mnie z szlachectwa mego, tobie z przodków twych dobrze wiadomego,« t. j. za to, że Krasicki zmusił Kulczyńskiego do podpisania dokumentu, w którym tenże zeznawał, że nie jest szlachcicem. Za Kulczyńskim ujęto się całe grono przeciw Krasickiemu, oświadczając że wszyscy wspólnie przy pokrzywdzonym »o gardło stawać mu będą,« jednakże tylko wtedy, jeśli go spotkają w obecności Kulczyńskiego. Przyłącza się do tej gromadnej odpowiedzi także Andrzej Fredro z Pleszowic z tem samem ograniczeniem: »Że Kulczyński, przyjaciel mój — są słowa jego odpowiedzi — tak wielce jest od ciebie ukrzywdzony, przy nim opowiedzieć się, przestrzegając gniazda swego pocziwego Fredrowego, muszę... A gdziebym się z tobą bez przyjaciela swego potkał (t. j. bez Kulczyńskiego), pokój zachowuję, ale przy bytności jego o gardło ci stać będą.«²⁾

1) Ibidem, p. 476.

2) Agr. Przemyskie, tom 291 pp. 630, 631—3.

Zdarza się także, że wyrwie się szlachcic »lew i rezolūt,« który na wzór niemieckich *Raubgrafów* przesyła odpowiedź całemu miastu. Tak zrobił w r. 1623 Janusz Tyszkiewicz, który odpowiada burmistrzowi, wszystkim rajcom i całemu miastu Lwowowi, tak, że mieszczanie lwowscy, niepewni życia w domu i podróży, uciekają się pod opiekę króla, który ustanawia przeciw Tyszkiewiczowi *vadium* w sumie 50.000 dukatów.¹⁾ Za przykładem Tyszkiewicza poszedł w cztery lata później wojewodzie bełzki Aleksander Prusinowski, który przesłał odpowiedź *proconsuli, consulibus, advocato, scabinis totique civitati Leopoliensi* za obrazę, która go spotkała ze strony magistratu lwowskiego.²⁾ Bywa i tak, że odpowiedź traci rycerskie cechy otwartego wyzwania, a staje się tylko środkiem pospolitego gwałtu i extorsyi. Tomasz Grochowski, kasztelan derpski, posyła dworzan swych do szlachcica z Komarnik Libichowskiego z odpowiedzią taką: »Jeśli mnie z tych wszystkich protestacyj, procesów prawnych i dekretów wszelkich kwitować nie będziesz, wiedz o tem, że cię pewnie zabić każe.« »Czeladź swoją wszędzie rozesłał — żali się biedny szlachcic — którzy mnie ustawicznie szpiegowali, nigdzie bezpieczny zdrowia nie byłem, w dzień nigdy *secure* nie mogłem jechać, chyba nocą i to drogami niezwyčajnymi — co ja widząc a wiedząc, że już kilku przedtem z takiejże przyczyny zabić rozkazał i według jego rozkazu pozabijano, musiałem poniewolnie w grodzie przemyskim z procesów i dekretów kwitować.«³⁾ Pomijamy dalsze przykłady, chociaż każdy z nich dorzuca jakiś drobny rys do charakterystyki społecznej, a przytoczymy w całości jedną odpowiedź z r. 1603, która nietylko oryginalną swoją formą ale i treścią jest

1) Agr. Lwowskie, tom 376 p. 216.

2) Agr. Lwowskie, tom 378 p. 2518—21.

3) Agr. Halickie, tom 131 p. 905.

małym obrazkiem obyczajowym. Stanisław Malawski przeżyła Stanisławowi Chinowskiemu do Chmielnika następującą odpowiedź:

»Chinowski! Żeś ty zapomniawszy przystojności szlacheckiej, zapomniawszy zwyczaju cnotliwych ludzi i prawa pospolitego, nie »odpowiednie,« bez wszelkiej przyczyny strzeleń do mnie, gdy polując, jechał z charty, zdradliwie z tyłu, czego nie zwykli jeno zdrajcy czynić, koniaś podemną postrzeleń, który mi zaraz, skorom do domu przyjechał, zdecht — a iż lepiej poczuwam się w przystojności szlacheckiej, niżli ty, i zwyczajem takich zdradliwych sposobów i sztuk, których ty nademną bez wszelkiej przyczyny dania zażył, podchodzić cię nie chcę, przeto czyniąc prawu pospolitemu dosyć i powinności mej szlacheckiej, odpowiadam ci przez woźnego i szlachtę, abyś się mnie strzegł na wszelkiem miejscu, w domu, w kościele, w polu, w łaźni, śpiąc, chodząc, za to postrzelenie, któreś do mnie czynił zdradliwie a niecnotliwie, bez wszelkiej przyczyny mi dania, bom z tobą, jako żywo, ani jadł ani pił i dzieściu słów nigdy nie mówił, zaczem na twem gardle mścić się będę. Pochwalileś się po tem strzelaniu rycerstwem; siła takich rycerzy, co z krzaków strzelają, poćwiartowano; ciebie to nie minie. A kiedyżeś ty rycerstwa dokazał? Któż o tem słycał? Przeciwno któremu też się ty nieprzyjacielowi koronnemu mężnie stawił? A kiedyżeś Turczyna, Tatarzyna, Moskwicina w polu do boju stojącego widział? Cożeś ty za rycerz, żeś rok, albo dwa, żołniersko służył, kokosze dławiał? I takiś ty rycerz, jako ów Cieszko, błazen litewski, który króla Stefana tak prosił: *Miłostywy korolu, proszu o nahrodu, na dwudziestu wojnach buwał, nikoli sia nie bijał!* Toś ty też tak żołniersko służył, a jako żyweś, nieprzyjaciela koronnego nie widział. Ażaż nie pod wiechą gęba i oko przecięte? Dobryś basarunek za to wziął, na który i teraz zarabiasz. Mój miły panie rycerzu, czemużeś się też o oko nie zemścił, kiedyś tak mężny,

o co zawždy, upiwszy się, przegrażasz? Wszystko twoje męstwo w gębie. Ukażę ja tobie, że cię lepiej ugodzę, niż ty mnie, nie konia, jako ty, ale ciebie.«¹⁾

Nie było żadnej władzy prewencyjnej, któraby zapobiegała z urzędu swego takim jawnym groźbom, takim głośnym, publicznym zapowiedziom gwałtu i zabójstwa. Był tylko jeden środek, na pozor bardzo potężny, w istocie rzeczy bardzo błahy i płonny. Były to zakłady, czyli t. zw. *vadia*. Jeszcze w XV. wieku takie *vadium vallatum* albo *treuga pacis* zakładane bywa między stronami przez wojewodów, starostów i t. zw. *tutorów* ziemskich, a rzadko bardzo przez samego króla; później już tylko król je ustanawia. Na zażalenie i prośbę zagrożonej strony, czasem także, ale rzadziej, za interwencją osób trzecich, król zakładał między przeciwnikami *vadium* pieniężne, stanowiąc, że strona, która pierwsza rozpocznie kroki nieprzyjacielskie, zapłacić ma stronie, która zachowała się spokojnie, połowę zakładowej sumy, druga zaś połowa ma być wzięta na skarb królewski. Spotykamy w aktach bardzo wiele mandatów takich królewskich, najwięcej w aktach ziemi przemyskiej, a opiewają one na rozmaite, czasem bardzo wysokie sumy. Najniższy zakład wynosi 300 zł., najwyższy dochodzi do 200.000 zł. i 150.000 grzywien, jak n. p. w r. 1605 między referendarzem kor. Janem Tomaszem Drohojowskim a Stanisławem Stadnickim z Leska, między Łukaszem Opalińskim a Stanisławem Stadnickim z Łańcuta (Dyabłem). Zdarzają się takie wadya nietylko między jednostką a jednostką, ale także niekiedy między całym zastępem ludzi a jedną osobą, jak n. p. w r. 1611 wadyum między całą niemal drobną szlachtą ruską ziemi przemyskiej a wyniesionym wbrew jej woli na biskupią stolicę władycą Aتانazym Krupeckim (50.000 dukatów;²⁾ dalej

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 319 pp. 474—5.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 327 p. 19.

nietylko między szlachcicem a szlachcicem, ale między szlachcicem a plebejuszem, jak n. p. w r. 1621 między cho-
rążym przemyskim Prokopem Pieniążkiem a »uczciwym«
Tomaszem Bieńkowiczem (300 zł.); między szlachtą a całemi
miastami, jak n. p. w r. 1608 między Janem Brzuchowskim
a miastem Rzeszowem (5000 grzywien), między Januszem
Tyszkiewiczem i Aleksandrem Prusinowskim a miastem
Lwowem (50.000 dukatów), między Piotrem Bolestraszy-
ckim a mieszczanami przemyskimi (10.000 zł.); między wo-
jewodziec lubelskim Piotrem Firlejem a miastem Kro-
snem (20.000 zł.); między Janem Męcińskim a miastem
Jasłem (6000 zł.); czasem także między mężczyzną a ko-
bietą, jak n. p. w r. 1607 między Jordanem Spytkiem a cho-
rążyną czerwińską, Jadwigą Biejkowską, (30.000 zł.) lub
między Stadnickim z Leska a wdową po Janie Toma-
szu Drohojowskim (200.000 zł.). Nikogo te wadya kró-
lewskie nie obroniły i żadnej wojnie prywatnej nie
zapobiegły. Mimo olbrzymich zakładów królewskich ode-
grała się krwawo i skończyła tragicznie wojna Stadnickiego
Dyabła z Opalińskim, zginął z rąk żołnierzy swego prze-
ciwnika referendarz Drohojowski, zastrzelił Jan Bąk Lanc-
koroński Jerzego Wystempa, miecznika ziemi halickiej.
Nie spotkaliśmy się też z najmniejszym choćby śladem,
aby ktokolwiek zapłacił lub przynajmniej był pozywany
o zapłacenie takiego królewskiego wadyum. Niestety, po-
waga królewska w owych czasach tylko cieniem i echem
stoi, a jedno i drugie fałszywe; majestat rzuca cień okazały
w uniwersałach i mandatach, odbija się uroczystem echem
w nieszczerych, pełnych lojalności frazesach szlachty —
ale po za cieniem nie ma rzeczy, po za echem nie ma
gromu. Dzwon pusty a od małego serca głośny.

Odpowiedzi uchodziły za rzecz rycerską a nie były
nią wcale. Gdyby były deklaracją wojny między rodem
a rodem, byłyby miały przynajmniej za sobą tytuł tradycyj-
nej, niejako rasowej, fizycznej nienawiści szczepu przeciw

szczepowi, imienia przeciw imieniu, jak n. p. walki *clanów* szkockich, albo to dzikie zapewne, choć ze stanowiska rodowego zrozumiałe poczuwanie się do obowiązku dziedzicznej pomsty za krew przodków, jakie było zasadą *vendetty* włoskiej. Ale zapowiedź morderczej zasadki jednego przeciw jednemu z przyczyn dorywczych, przygodnych, nie miała honorowego, rycerskiego uzasadnienia; wzięta żywcem z grubych, zbójeckich obyczajów niemieckich najgorszego czasu, nie przystawała do charakteru polskiego. Lepszym i uczciwszym byłby już pojedynek, bo otwierał najkrótszą drogę do celu. Ale, dziwna rzecz, w społeczeństwie niewątpliwie na wskrós rycerskim, jak polskie, w tym świecie szlacheckim, gdzie tak co chwila wołano: »Bij się ze mną!« — że jeden z tych zabijaków dobywa szabli przed figurą Chrystusa pod kościołem franciszkańskim we Lwowie i woła: »Jeśliś Bóg, bij się ze mną!« a to bardziej z nałogu niż z bluźnierczej intencji — w tym świecie pojedynki właśnie o tej porze należały do rzadkości. Podzielać można zupełnie zdanie Górnickiego, który mówi: »Ba i *duella*, chociaż ich *concilium* zakazało, nie wiem, czemuby wrócić nie miały? Bywały za króla Zygmunta Starego i potrzebnie bywały.«¹⁾ O ileż potrzebniejsze byłyby w tym właśnie czasie, o którym piszemy! Szkoda byłaby daleko mniejsza, a zdziczenie obyczajów, od którego nie uchroniła się nawet najwyższa warstwa społeczna, nie byłoby przybrało takich rozmiarów. Ileż to krwi, ile spustoszenia oszczędziłoby się było ziemi przemyskiej, gdyby spór Stadnickiego z Drohojowskim i Herburtem, Dyabła Łańcuckiego z Opalińskim, załatwił się był pojedyńkiem!

Przez całe niemal półwiecze w całym województwie ruskiem przechowały się w aktach zaledwie ślady trzech pojedynków, a i z tych jeden był raczej morderstwem, ani-

¹⁾ L. c. str. 101.

żeli rozprawą rycerską. Piotr Łaszcz wyzwał Joachima Ślaskiego w r. 1607 na kopie i pchnięciem w głowę zabił swego przeciwnika, ale i tutaj trzeba dodać, że obaj byli husarzami. Łukasz Dzierżek wyzwał rotmistrza Rafała Lipnickiego, a za warunek postawiono, aby pojedynek odbył się na lodzie stawu gródeckiego. Lipnicki padł zabity a Dzierżka skazał trybunał na wieżę. Mikołaj Grochowski, wyzwawszy Stanisława Cikowskiego, dopuścił, że wyzwanego jego służący zastrzelił.¹⁾ Spotykamy natomiast daleko liczniejsze protestacye wyzwanym, uciekającym się przed pojedykiem pod opiekę prawa, które według konstytucyi z r. 1588 karało pojedykujących się siedzeniem przez sześć miesięcy w wieży i winą 60 grzywien. Zabawnie żali się przed urzędem grodzkim halickim szlachcic Adam Kuczyński na Stefana Strzemeskiego: »iż on nie wiem jakim duchem wiedziony, przed mojem gumnem we wsi Chocimierzu i przed mojemi oczyma zajął moich świń dwadzieścia i morzył trzy dni i trzy noce; ja posyłałem trzy razy szlachtę do niego, nie chciał puścić; poszedłem sam do niego a on porywając się do mnie z szablą wyzwał mnie na pojedynek. Potem wyjechawszy w pole z p. Jabłonowskim na koniach z pistoletami, wyzwali mnie na pojedynek. Mało co potem z szwagrem swoim p. Miłaszowskim podjechawszy na mój dwór, wyzwał mnie na pojedynek...« Tak samo skarży się Jakób Michałowski na Jana Telejowskiego, a Jerzy Koniecki na Feliksa Wilczka, który kiedy Koniecki jako *paccatus et quietus cives* bić się nie chciał, kazał go famulusom swoim poturbować, coby było niewątpliwie nastąpiło, gdyby bogobojny szlachcic za pomocą Bożą nie poradził zdrowiu ucieczką.²⁾

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 141 p. 142, Lwowskie, tom 378 p. 2879, Lwowskie, tom 372 p. 415.

²⁾ Agr. Halickie, tom 131 p. 705, tom 116 p. 615, tom 138 p. 646.

Jak »odpowiedź« była uprawnieniem bezprawia, tak znowu zajazd był ubezwłasnowolnieniem prawa. Odpowiedź była ujętą w pewne prawne formy aktem *iuris manuarii*, niemieckiego *Faustrechtu*, przeniesionego w polskie stosunki — *inequitatio*, po polsku zajazd, była pierwotnie aktem prawnego objęcia w posiadanie rzeczy, przyznanej wyrokiem sądowym. Wykonywać się miała całkiem legalnie za interwencją organu rządowego, a w razie oporu pokonanej strony następować miała egzekucja z ramięnia króla. Ale gdy tym organem był znany już nam woźny wraz z swymi dwoma szlachcicami, a władza egzekucyjna istniała tylko z imienia, więc po całym szeregu intromisji, niedopuszczonych przez dłużnika — *temere et rebelliter denegatae* — zniecierpliwiony wierzyciel wykonywał zajazd zbrojny i zajmował przemocą majątek strony pokonanej prawem. Niekiedy gwałtowny taki zajazd maskowany był pozorami egzekucji prawnej; ten, który go urządzał, przybierał sobie wices-gerenta i woźnego, najczęściej jednak i bez tego się obchodziło. W takim stanie rzeczy zrobiły się zajazdy rozbójniczymi napadami, a jeśli strona przeciwna miała środki po temu i pomyślała o obronie, przychodziło do krwawych bitew, do zabójstw i spustoszeń całych majątków. Zajazdami obejmowali zaraz po śmierci czyjejs — niekiedy nawet jeszcze *praesente cadavere* — spadkobiercy pozostawiony majątek, rugowano w ten sposób dzierżawców, zajmowano przemocą sporne grunty i t. p.

Zajazdy bywały tak częste, w porze przez nas traktowanej tak weszły w obyczaj, zresztą wobec niemocy władz bywały niekiedy tak konieczne, że wyrobiła się klasa specjalistów, którzy fachowo trudnili się ich organizacją i dostawą potrzebnych szabel. Udawano się do nich z zamówieniami, godzono się z nimi stosownie do trudności i niebezpieczeństwa wyprawy. I nie mogło być inaczej: jak był specjalista-prawnik do prawa, tak mu-



Fig. 4.

Szlachcic Zajazdowiec.

Według spóczesnego sztychu K. Luykena w zbiorach
Pawlikowskich.

siał być specjalista-rębacz do »lewa.« Takim specjalistą był n. p. Jacek Dydyński z Niewistki w sanockiej ziemi, rodzaj zajazdowego *condottiera*, który oddawał się na usługi braci szlachty, potrzebującej jego szabli i jego doświadczenia. Lisowczyk, zaprawiony w dobrej szkole, ćwiczony na czatach, zasadzkach i podjazdach, śmiały ale bardzo ostrożny i przebiegły, lis szczwany, co się zowie, tylko do terminu wierny, po terminie bez skrupułu gotów przejść do partyi przeciwnej. Służył młodym Stadnickim, synom Dyabła, ale sparzył się na tem, bo kiedy ich po swojemu porzucił, doznał bardzo przykrego odwetu; od Stadnickich przeszedł też wprost do ich śmiertelnego wroga Konstantego Korniakta; służył Stanisławowi Krasickiemu w zajeździe starostwa dolińskiego i przerzucił się wkrótce do obozu jego przeciwników. Oberwał też tem, czem wojował, bo trafiwszy na niemniej dobrego gracza, również starego Lisowczyka, Mikołaja Tarnawskiego z sanockiej ziemi, przegrał z nim i prawem i lewem, bo Tarnawski w drodze do Lublina porąbał go srodze a trybunał doprawił, bo skazał go na sześć tygodni więzy.¹⁾

W czasie naszego opowiadania najczęstsze i najgwałtowniejsze zajazdy zdarzały się w ziemi halickiej. Odbywały się na wielką skalę i z bardzo potężnym aparatem wojennym, bo chodziło o wielkie fortuny i o bardzo możne osobistości. W niedługim okresie czasu zbiegły się tam takie zacięte wojny zajazdowe, jak Radziwiłłów i Potockich z wojewodziną Golską o Buczacz i Podhajce, jak zięciów Mohiłowych o dobra Uście i inne majątki, jak Bałabanów o Perehińsk i t. p., o których będzie później mowa. Na tem miejscu podamy tylko kilka ciekawszych przykładów zajazdu. Osobliwością w swoim rodzaju bywały zajazdy, że tak powiemy rolnicze, w których chodziło o gwałtowne odjęcie zbiorów, o wykonanie prawa używania pewnej

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 373 p. 62.

spornej przestrzeni roli. Pod silną eskortą zbrojną wyjeżdżano w setkę pługów i orano rolę, spędzano setki żeńców i zaraz wywożono snopy. Takim był w r. 1604 zajazd, wykonany przez Kaspra Wielżyńskiego z Temerowic, słynnego z gwałtowności, na Medynię Olbrychta Odrowskiego. »Zebrawszy ludzi, jezdnych kozaków i usarzy i inszego towarzystwa także liczbę nie małą, która wynosiła 200 — czytamy w akcie protestacyi — z działki, hakownicami i inszą armatą wojenną, ręką zbrojną, umyślnie i gwałtownie przyszedłszy i sprawiwszy ławami ludzi do bitwy, od wsi Temerowic na grunt wsi Medyni, a działka i hakownice za niemi na kołach i woziech prowadząc, we zboże jare i ozime weszli, piechotę na dwa boki z strzelbą ręczną wprzód puściwszy, a potem poddanych z różnych majątności swych na 100 człowieka z kosami przywiódłszy, ono zboże tak ozime jako jare pokosili, na wozy, których także było nad sto, nie wiążąc brali, a ten lud do bitwy zbrojny po inszem zbożu harcował i harce ku wsi Medyni czynił, a gdy skarżący do Wielżyńskiego posłał szlachetnego Eustachego Żylińskiego, aby takiej szkody nie robił, ten odpowiedział: »Jedźże, skądś przyjechał, nietylko żebym zboża psować nie miał, ale i wieś spalę a tego przywójcę Odrowskiego i w domu szukać będę i od moich rąk pewnie gardło da!« I zaledwie ten posłany zdrów odjechał, za nim zaraz kopijników w zbrojach 30 puściło się i skarżących się, do bitwy niegotowych, jeśli gonić, za którymi także kozacy na stronach zasadzeni na koń wpadłszy gonili i strzelali, i tam Bartosza Odrowskiego, brata tego Olbrychta, p. Wielżyński pojmał, którego kazał związać i w izbie piekarnianej w Temerowcach osadził, chcąc go dać ściąć, którego potem w nocy wyprosili pacholikowie jego.... I tak cały tydzień zboże medyńskie kosili — takim ordynkiem, gwałtem, zbrojną ręką, jako na Tatarzyna pewnie by się nie stawil; zboże

jako trawę wywożono a nakoniec bydła i stada zagnano ku wiecznemu zniszczeniu tej wsi.«¹⁾

Zajazdy uważane były za rzecz zwyczajną, za *malum necessarium*, i nie obruszały sumienia publicznego, chyba kiedy dokonane były z niezwykłym okrucieństwem lub kiedy ofiarą zajazdu padła jakaś osobistość szczególnie szanowna lub między szlachtą bardzo popularna. Tak było w ziemi przemyskiej z sprawą Stanisława Derśniaka z Rokitnicy. Derśniak był winien Jakóbowi Sienieńskiemu, wojewodzie podolskiemu, 12.000 zł. inskrybowanych na Rokitnicy i Woli Rokitnickiej. Sienieński na mocy wyroku sądowego chciał wykonać intromisyę w dobrach swego dłużnika i wysłał w tym celu woźnego w nieodłącznej asystencji dwóch szlachciców, przydawszy mu orszak swojej czeladzi. Woźny posiłkowany taką eskortą śmiało spełnił swoją czynność, wtargnął nawet do dworu i zwykłym trybem chciał ogłosić intromisyę poddanym, przekazując im posłuszeństwo nowemu panu. Na to Derśniak kazał uderzyć w dzwony kościelne, zwołał gromadę rokitnicką i swoją służbę, obległ dwór, bombardował go ogniem z pułhaków i przypuściwszy szturm, zmusił do ucieczki woźnego wraz z czeladzią Sienieńskiego. W krótko potem przypadały roki ziemskie i Derśniak pojechał do Przemyśla, aby w grodzie złożyć przypadającą Sienieńskiemu sumę i zadeponować ją aż do formalności kwitacyjnych. A trzeba wiedzieć, że odliczanie znaczniejszej sumy w ówczesnej monecie, wyłącznie brzęczącej, przeważnie srebrnej, było rzeczą nadzwyczaj pracowitą, wymagającą bardzo długiego czasu i przerywaną dla odpoczynku. I tak n. p. szlachcic Mikołaj Staniński, odbierając 10.000 gotówką od chorążyny Sieniawskiej, liczyć je musiał przez całe trzy dni.²⁾ Podczas kiedy więc Derśniak odlicza w Przemyślu

¹⁾ Agr. Halickie, tom 110 p. 1459.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 387 p. 16.

pieniądze, Sienieński, korzystając z jego nieobecności, rozgniewany despektem, jaki go spotkał przy niedopuszczonej intromisyi, urządza zbrojny zajazd na Rokitnicę. Dragoni jego i kozacy wdzierają się gwałtem do dworu, staczają krwawą walkę z broniącą im wstępu czeladzią Derśniaka, zabijają z niej jednego, kilku śmiertelnie ranią, wpadają do komnat wśród ciągłego strzelania, przyczem kula z pułhaka rani w czoło dwuletnią córeczkę Derśniaka, dobywają się do skarbcza, zabierają zeń 400 czerwonych złotych, srebra i inne kosztowne przedmioty, i kto wie, na czem by się był skończył ten barbarzyński zajazd, gdyby nie przypadkowa interwencya Stanisława Lubomirskiego, który przejeżdżając właśnie po pod dwór rokitnicki do Żurawicy wysłał swych dworzan na pomoc Derśniakowej i spłoszył napastników.¹⁾

Stało się to dnia 2. lutego. W Przemyślu zgromadziła się była na roczki ziemskie bardzo licznie szlachta okoliczna; wieść o tym gwałcie, która zaraz w parę godzin po jego dokonaniu dostała się do Przemyśla, wywołała żywe oburzenie. Postanowiono bezzwłocznie ująć się za Derśniakiem i w tym celu zawiązano zaraz na miejscu i tegoż samego dnia konfederacyę. Spisano też formalny akt tej konfederacyi *totius nobilitatis terrae Premisliensis*, który oblatowano w grodzie. »Rycerstwo i obywatele ziemi przemyskiej — opiewa akt w skróceniu — zjechawszy się tu do Przemyśla na roki ziemskie, wziąwszy żałośną wiadomość i skargę o nasłaniu JM. pana Derśniaka w Rokitnicy przez p. Jakóba Sienieńskiego, wojewodzica podolskiego, (tu następuje opis dokonanych gwałtów), my tedy przeszłemi domowemi nieszczęsnymi przykłady i trwogami ukarani będąc a idąc torem cnych i dzielnych przodków naszych, którzy przy każdym zgwałceniu praw, swobód i pokoju pospolitego uciekali się *ad mutuas et*

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 323 pp. 161—163, 199.

unitas vires suas, ponieważ nam *majestas et auctoritas* Jego Kr. Mości Pana naszego i prawa tudzież egzekucya labefaktowana jest, *et misere flectuatur* ta Rzeczpospolita nasza, obowiązujemy się dobrem sumieniem, wiarą, cnotą, szlachectwem i poczciwościami naszemi, iż w tej sprawie przy p. Derśniaku, bracie naszym, tudzież przy JM. panu Adamie Stadnickim, kasztelanie kaliskim i staroście naszym a ramieniu Jego Kr. Mości, którego o proces dalszy w tej sprawie prosimy, także i sami przy sobie i przy każdym z nas z osobna do gardł i majątności naszych stać i popierać tej krzywdy na każdym placu aż do dojścia ostatecznej egzekucyi będziemy, i ktoby nas od tej zgody naszej rozrywać chciał, tak też ktoby się na potem do takiego excessu udać i domy i wsie szlacheckie najeżdzać, pokój pospolity gwałcić chciał, przeciw takiemu wszyscy powstaniemy i popierać krzywdę każdego chcemy *sub fide et honore nostris*, nie folgując w tem ani krewności ani przyjaźni.« Podpisali ten akt Adam i Stanisław Stadniccy, Stan. Wapowski, Remigian Orzechowski, Wojciech Herbut, Jan Krasicki i wielu innych.¹⁾

Ten szumny akt konfederacyi nie miał oczywiście żadnych następstw. Do egzekucyi nie przyszło, Sienieńskiemu nic się nie stało, a wśród zawichrzeń i gwałtów, jakich po tym akcie konfederacyjnym była widownią ziemia przemyska, nie ma śladu jakiejś zbiorowej interwencji. Ale sam akt wart był zapisania jako dokument do psychologii ówczesnej szlachty polskiej. Zapał jej i zamiary nie miały jutra. Upijała się nie tyle winem, co własnym temperamentem. Oburzenie, które podyktowało konfederacyę, było najniewątpliwiej szczere, decyzya w danej chwili całkiem na seryo; gdyby Sienieński był w Przemysłu, rozniesionoby go na szablach. Co więcej, każdy szlachcic, co podpisał akt konfederacyjny, odjeżdżał do

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 323 p. 258.

domu z najgłębszym i najpocziwszym przekonaniem, że spełnił czyn, że złożył pozytywny dowód obywatelskiej cnoty i szlacheckiej rezolucyi. Zrobił swoje — niechże teraz król Jego Mość, niech p. starosta przemyski, niech wreście sam p. Derśniak dokończą roboty.

Podaliśmy już przykład zajazdów, które możnaby nazwać rolniczymi, przytoczymy teraz takie, którym by dać można nazwę pogrzebowych. Na śmierć chorego czekali w pogotowiu krewni; jeden czujniejszy od drugiego, każdy przemysłiwający wcześniej nad tem, jakby uprzedzić innych członków rodziny i mieć za sobą *ius primum occupantis*. Leżały jeszcze niepogrzebione zwłoki spadkodawcy a już wykonywano zajazd zbrojną siłą, aby zająć majątek i nie dopuścić współzawodnika, roszczonego sobie również prawo do schedy. Działo się to niekiedy pod pozorem uczczenia zmarłego, wzięcia udziału w pogrzebie z licznym honorowym orszakiem. Tak zrobili zięciowie Strusiowej, wdowy po słynnym żołnierzu Mikołaju, kasztelanie kamienieckim, tak zrobił książę Władysław Ostrogski po śmierci swego teścia kasztelana Ligęzy w Rzeszowie; tak postąpił sobie książę Janusz Zasławski wspólnie z Janem Szczęsnym Herburtem po śmierci Stanisława Herburtu w Dobromilu, o czem znajdzie czytelnik bliższe szczegóły w ustępie poświęconym stosunkom rodzinnego życia owych czasów. Z innych przykładów dość przytoczyć zajazd na Założce, urządony przez księcia Michała Hieremiego Wiśniowieckiego pod pretekstem nawiedzenia ciała zmarłego ks. Jerzego Wiśniowieckiego, przyczem wygnano zaraz wdowę Eufrozyne z Tarnowskich i złupiono zamek z kosztowności i gotówki, która wynosić miała według zeznań srodze pokrzywdzonej wdowy 58.000 zł.¹⁾ Rafał Grochowski, podkoniuszy królewski, zajeżdża tak samo *praesente cadavere* dobra Mi-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 392 p. 821—8.

kulińce po śmierci Alexandra Zborowskiego teścia swego, i wypędza z zamku syna nieboszczykowskiego Adama, Jezuitę, który jednakże nie dbając o sukienkę zakonną, zbiera zaraz szlachtę i przyjaciół a znalazłszy nadto sukurs w dawnych żołnierzach z pod chorągwi zmarłego ojca, wraca i wypędza nawzajem Grochowskiego.¹⁾ Jan Strzeszowski dopuszcza się haniebnego barbarzyństwa przy podobnej okazji, bo zajęchawszy po śmierci rotmistrza Władysława Łaszczka wieś królewską Tuczapy, do której rości sobie pretensję, nietylko wygania na mróz rodzinę ale wyrzuca z dworu *contumeliose* nieopogrzebione jeszcze zwłoki zmarłego.²⁾ Trzej bracia Pełczyccy na wieść o śmierci Wiktoryna Łodzińskiego, który był ożeniony z ich owdowiałą matką, zjeżdżają tłumnie przed samym pogrzebem nieboszczyka do Czaszyna, wypędzają rodzinę ojczyma i fortyfikują się w dworze, ale Łodziński zwerbowałszy sobie naprędce zbrojną kupę, uderzają na nich szturmem i oto stacza się krwawa potyczka, w której dwór i całe obejście czaszyńskie idzie z dymem a jeden z Pełczyckich ginie od kuli. Z spalonego domostwa wynoszą dwie trumny i podwójny odbywa się pogrzeb.³⁾

Okrucieństwo jednakże nie leżało nigdy w naturze polskiej. Jak zabójstwa, popełnione w pierwszym uniesieniu gniewu, jak krwawe starcia, do których przychodziło o lada słowo, były nadzwyczaj częste i nadawały społeczeństwu nietylko szlacheckiemu cechę dzikości, tak znowu przykłady zimnego, obmyślanego okrucieństwa były rzadkie. Zdarzały się, ale należały do wyjątków i budziły grozę. Istniał jednak łotrowski zwyczaj ucinania głowy po

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 389 p. 418—20.

²⁾ Agr. Halickie, tom 132 p. 52.

³⁾ Agr. Sanockie, tom 156 p. 512, 517, 598 z roku 1641.

zabiciu i t. zw. gubienie ciał. Nie działo się to jednak bynajmniej z okrutnej chęci pastwienia się nad zwłokami nieprzyjaciela i nasycenia serca zemstą, było to tylko środkiem zatarcia śladów zbrodni, a czyniono tak za radą jurydycznych praktyków. »A iż się mężobójstwa różne trafiają — powiada Górnicki — bo drugi zabije i spali ciało, drugi utopi, trzeci pochowa na roli albo w ogrodzie, porze na zabitym ziemię i posieje... To gubienie ciał pospolicie z prawników rady się stawa.« Prawo wymagało, aby zwłoki zabitego krewni prezentowali w grodzie jako dowód dokonanej zbrodni i dla sprawdzenia osoby, gubienie więc zwłok utrudniało dowód morderstwa a ucięcie głowy nie pozwalało stwierdzić, kto był zabity. Jan Raszowski kładzie dziesięciu strzałami trupem Stanisława Rabrowskiego, odcina głowę, zabiera ją z sobą i ukrywa.¹⁾ Tak samo Stanisław Ciekliński czyni zabitemu przez się Piotrowi Skibickiemu, tak samo trzech bracia Rytarowscy, którzy z zgrają żołnierzy i kozaków z wyprawy moskiewskiej Mniszcha, stojących pod Samborem w r. 1604, napadają na dwór Wawrzyńca Wessla w Beńkowej Wiszni, rabują 10.000 zł. gotówki i dużo klejnotów, zabierają Wessla do Lubienia, własności swego wspólnika Mikołaja Wilczka, ztamtąd prowadzą go do lasu, rąbią nieszczęśliwą swą ofiarę niemal w sztuki, ucinają głowę i osobno ciało a osobno głowę porzucają w lesie.²⁾ Mikołaj Tysarowski kazawszy zabić sługom swym Abrahama Cieszanowskiego, rzuca zwłoki do stawu; Hieronim Hornostaj najeżdża na Tomasza Żołądzia w Rychcicach, łupi dwór do szczętu, Żołądzia zabija, a ciało jego każe porąbać w małe sztuki i częścią zakopać, częścią rzucić do

¹⁾ Agr. Halickie, tom 131 p. 742—7.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 335 p. 1319, tom 320 p. 1173, 1523.

rzeki,¹⁾ a dwaj szlachcice Albert Skniłowski i Piotr Gajowski rozstrzelawszy Piotra Chamca ćwiartują ciało i rzucają je psom (*in receptaculum caninum vulgo do psiarni*²⁾) i t. d.

W zestawieniu okrucieństwa te sprawić by mogły straszne wrażenie i rzucić czarniejszy cień na społeczeństwo ówczesne, aniżeli ono na to zasługuje; jakoż i w samych aktach, skracających wielkie przestrzenie miejsca i czasu, robią one optyczne, że tak powiemy, złudzenie wielkiej gęstości — w rzeczy samej, jeżeli zważymy, w jakim okresie czasu i na jak rozległej zdarzyły się widowni, musimy przyjść do przekonania, że były wyjątkowemi zjawiskami i nie mogą żadną miarą uważane być za dowód wrodzonych instynktów barbarzyństwa. Przykłady okrucieństwa, jakie znaleźliśmy w aktach, złożyłyby się może na liczbę trzydziestu jaskrawych wypadków, oczywiście z pominięciem tego, czego się dopuszczał taki wyjątkowy tyran i gwałtownik, jak Dyabeł Łańcucki. Jak na całe półwiecze i na całe województwo ruskie, jest to bardzo nieznaczna cyfra, i nie wiemy, czy w porze współczesnej mogłyby się nią były pochwalić w tym samym stosunku sąsiednie Polsce kraje, nie wyjmując Niemiec.

Do bardzo częstych zbrodni w całej Europie owego czasu a nawet i znacznie później należało porywanie ludzi, albo dla wywarcia na nich zemsty albo dla okupu lub wymuszenia pewnych ustępstw. W niektórych językach pozostał po tym zwyczaju osobny pomnik w słowniku, w Anglii n. p. *kidnapping* i *blackmail*, we Włoszech *ricatto*. Przy braku władz bezpieczeństwa i bardzo niedołężnem wykonywaniu ustaw, zdawałoby się, że w Polsce występki ten należeć był powinien do rzeczy codziennych.

¹⁾ Agr. Halickie, tom 139 p. 1285; Agr. Przemyskie, tom 312 p. 1499.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 395 p. 1006—8.

Przecież tak nie było. Wypadki imania i więzienia ludzi były dość rzadkie, jeżeli i tu pominiemy to, co wyprawiał Stadnicki z Łańcuta, zwany Dyablem, który więził szlachtę, mieszczan i chłopów, i kazał się im szacować. Oczywiście mówimy tu tylko w ograniczeniu lokalnym, jakiego trzyma się nasza opowieść. Dopuszczał się takiego porywania Jan Szczęsny Hubert, jednakże nie dla okupu, dopuszczał się i słynny z swoich wybryków Jerzy Krasicki, starosta dołiński, który w r. 1603 porywa z gospody w Przemyślu mieszczanina gdańskiego Teodora Schulemberga, uwozi do Dubiecka i tam osadza w zamkowym więzieniu.¹⁾ Dwa takie wypadki porwania osób głośne były swego czasu w lwowskiej i sanockiej ziemi. W jednym z nich pobudką była chęć pomszczenia obrazy, w drugim zbójce chciwość, oba skończyły się źle dla sprawców.

W roku 1619 bawił we Lwowie Samuel Niemirycz, z możnej szlacheckiej rodziny, osiadłej w Kijowskiem. Mieszkając gospodą na halickim przedmieściu, dopuszczał się rozmaitych gwałtów i awantur, rzucał się na przedmieszczan, strzelał do nich, siał postrach do koła, a w końcu zgwałcił kobietę, która roznosiła placki. Burmistrz ówczesny, Bartłomiej Uberowicz, korzystając z prawa, jakie mu przysługiwało, wysłał nań cepaków miejskich, pojmał go, osadził w ratuszu i stawił przed sąd mieszany (*iudicium compositum*), który go na śmierć skazał. Za instancją usilną szlachty darowano Niemiryczowi życie i zmieniono karę na odsiedzenie wieży na Wysokim Zamku i na zapłacenie wina piętnej. Niemirycz poprzysiągł za to zemstę miastu i zaraz po opuszczeniu Lwowa zabrał się do jej spełnienia. Wróciwszy do swojej majątności, Iwania, oddalonej o 64 mil ode Lwowa, zebrał kilkunastu jak on sam rezolutnych pachotków i posiłkowany przez szwagra swego Jerzego Lasotę, stanął z nimi pode Lwowem i zasa-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 356 p. 495.

dził się na to, aby któregoś z najznacniejszych mieszczan, przede wszystkim któregoś z rajców, dostać w ręce. Uberowicz bawił właśnie w Skniówku, który dzierżawił, o czym dowiedziawszy się Niemirycz, udał się tam dnia 23. lipca o północy. Zapukał do drzwi dworu a na zapytanie Uberowicza, ktoby go budził tak późno, udał, że jest Swoszowskim, i prosi o nocleg. Swoszowski, pisarz ziemski lwowski, był bardzo popularną osobistością, znał go i Uberowicz, i na takie wezwanie, nieubrany, tak jak wstał z łóżka, szubkę tylko narzuciwszy, drzwi otworzyć pospieszył. Ledwie się jednak drzwi uchyliły, Niemirycz chwycił go, na konia rzucił i nogi pod konia podwiązać kazał; mieszek aksamitny z 47 dukatami, który Uberowicz ówczesnym pospolitym zwyczajem »dla przygody« na szyi nosił, zerwał, konia zaciąć kazał i tak z więźniem swym pędem w drogę ruszył. »Ujeżdżał ze mną dziwnymi manowcami bez wszelakiego miłosierdzia -- opowiada tę przygodę swoją sam Uberowicz -- tak żem dwa razy omdlewał, a gdy do siebie przychodził, prosiłem, aby mnie ściał dla ciężkości, którą cierpiałem, odpuszczając mu przed Panem Bogiem. I tak gwałtownie mnie pobrawszy, na świtanie Żurów miał, potem jechaliśmy mimo Putiatyńce zamek, mimo Gliniany, mimo Gołogóry, przez przedmieście założenie, przez Inopole, mimo Zaslów, wsi JM. księcia Zaslowskiego, wojewody wołyńskiego.«¹⁾ Tu jednak przybyła odsiecz Uberowiczowi. Niósł ją jego kolega, rajca lwowski Jan Julian Lorencowicz, który korzystając z tego, że tuż nazajutrz po porwaniu Uberowicza przechodziła przez Lwów rota ks. Zaslowskiego, uprosił sobie u księcia pościg za Niemiryczem. Dopadnięto go pod samymi Wołkowicami, majątnością księcia, i odbito jeńca. Wielka była radość we Lwowie z szczęśliwego powrotu starca, odprawiano tryumfy na cześć jego i na cześć jego wybawiciela

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 372 pp. 1028--1033.

Lorencowicza, którego czyn burmistrz Marcin Kampian upamiętnił olbrzymim lwem kamiennym, do dziś dnia zachowanym we Lwowie.¹⁾

Uwolniony z rąk Niemiryca Uberowicz nie zaraz wrócił do Lwowa. Bał się powracać bez odpowiedniej osłony zbrojnej i dopiero hetman Stanisław Żółkiewski w sierpniu zapewnił mu bezpieczeństwo w powrocie. Hetman wydał osobny uniwersał w tej sprawie, w którym mówi: »P. Uberowicz obawiając się i znowu od tego łotra (Niemiryca) niebezpieczeństwa, w Zaslaviu dotąd się bawi, co przywodząc do wiadomości WPanów, proszę wszech obec, iżbyście z ludzkości swojej, mając kommitteracyą nad tym utrapionym sędziwym starcem, raczyli go głejtować, jakoby przezpiecznie do Lwowa zajechać mógł, a ten łotr Niemirzyc, jeśli by gdzie prześcigniony był, żebyście W. M. jako przeciw zbójcy i gwałtownikowi raczyli dodać pomocy i ratunku, żeby go tem snadniej mogło się pojmać.«²⁾ Niemiryca wprawdzie nie pojmano, ale bez kłopotów dla niego się nie obeszło. Poparte przez tak możne osobistości, jak hetman Żółkiewski, ksiązę Zaslawski i inni, miasto Lwów poczęło rozprawiać się *criminaliter* z Niemirycem, a musiało dojąc mu bardzo, skoro i on sam i jego krewni i przyjaciele udają się z prośbami i instancjami do mieszczan, aby zaniechali kroków prawnych. Szwagier Niemiryca, ten sam Jerzy Lasota, który go poślukował w pojmaniu Uberowicza, udaje się listownie z prośbą o pośrednictwo do Stefana Czołhańskiego, podwojewódzkiego ruskiego. List ten, na pół w prośbie na pół w groźbie, jako charakterystyczny przyczynek do historii wyobrażeń ówczesnych, jest rodzajem obyczajowego dokumentu, który nie stracił i dziś wagi swojej.

¹⁾ Obecnie ustawiony przy kopcu Unji Lubelskiej. Cf. Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie w XVI. i XVII. wieku, str. 106—7.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 372 p. 1039.



Fig. 5.

Lew Lorencowiczowski we Lwowie.

»Bystrości młodych ludzi — pisze pan Lasota — ile żalem uwiedzionych, Waszmości jako baczmemu niewiele trzeba deklarować, bo wspomnij Waszmość na spowiedź swoją, kiedy się Waszmość w młodym wieku spowiadał; mało powiedzieć: szyderstwo, a wiele powiedzieć: ciężka pokuta. Poświadcza za młodymi i Kochanowski: *Jakoby ludzie rok bez wiosny mieć chcieli, żeby młodzi nie szaleli*. I Paweł św. powiada o sobie, że gdy był młody, młodość miał przed oczyma. Waszmości jako mądrymu a w młodości lat będącemu wiele się tego przygadzało, aż się z gęby i szkło wybierało. Mając ja to przed sobą, że WPan moim mościwym panem i przyjacielem być raczysz, uciekam się z prośbą swoją a to w tej sprawie: Szwagier mój, p. Niemierzycz, za żalem pojmał był mieszczanina lwowskiego, za którego Lwowianie otrzymali na nim banicyę zaocznie; wzięwszy o tem wiadomość a nie chcąc w tem leżeć, chce to z siebie złożyć przystojnie, życząc sobie tego, żeby przez zgodę a nie przez prawo; umyślnie tedy z tem pisanem mojem do Waszmości mego pana posyłam i wielce proszę, racz mi Waszmość w tej sprawie być przychylny i pomocny jako we własnej mojej, a o to starania przyłożyć, żeby się pp. mieszczanie z p. Niemierzycem pogodzili, bo urodziwszy się znacznym szlachcicem, zmazy żadnej na sobie mieć nie chce i onę prawem spychać gotów. Nie wiem, co za rozkosz z tego panom Lwowianom będzie, jeśli przy uporze staną; niech uważają jego młodość i przewagę; uchowaj Boże, aby potem do gorszego komuś z nich nie przyszło, o czem nie rozumiem, bo urodziwszy się w domu zacnym, przestrzegać chce honoru swego, mając na to przystojne sposoby, bo jako jego bystrej młodości i tego, co uczynił, przyjaciele ganią, ale ciż przyjaciele a prawie wszystko województwo tej krzywdy i zelżenia od Lwowian brata swego żałują i przy onym stać chcą, nie zaniedbywając tego i na sejmikach i na każdym placu i t. d.«¹⁾

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 373 p. 1593—5.

Drugi wypadek był już tylko zbójcekim zamachem, obliczonym na okup. Bogaty kupiec krakowski Waleryan Montelupi, członek znakomitej rodziny florentyńskiej, która ze względów politycznych opuściła swoją ojczyznę i osiedliła się w Polsce, posiadał folwark Piersice w sandomierskiej ziemi. Kiedy w r. 1609 Montelupi bawił w Piersicach, napadł go w nocy szlachcic Zygmunt Łaziński z bandą zbrojną, pojmał go, zawiązał mu oczy, wsadził na konia czyli jak się Montelupi skarży: »w jarczak na kłusaka,« i bocznymi drogami zawiódł do jakiejś nieznaney miejscowości, gdzie znowu wrzucił go do jego własnej karety, zrabowanej w Piersicach, przykrył mu głowę kobiercem i w trzecią noc po porwaniu zawiózł go do swojej posiadłości Siniawy w sanockiej ziemi. Tu go zamknął w lochu piwnicznym i dręcząc podeszłego już wiekiem Montelupiego pogroźkami tortur i śmierci, usiłował go zmusić do hojnego okupu wolności a raczej już i głowy. Kazał wykopać grób w piwnicy, w której go zamknął, i groził, że go w nim żywcem zakopie, jeśli nie rozpisze listów do swoich braci, zapewne Dominika i Karola, i do krakowskiego kupca Forzonego, i nie skłoni ich, aby przystali na wykupienie go od śmierci 12.600 zł., z których 8000 zł. miało być wypłaconych gotówką w złocie, 4000 zł. w puharach i misach srebrnych nie według wartości roboty ale według wagi srebra, 600 zaś złotych w innych włoskich towarach. Z Siniawy, gdzie się Łaziński nie czuł bezpiecznym, przewiózł Montelupiego do Moszczańca i umieścił go w domu tamtejszego popa, ale ten, jak się zdaje, ujęty przez sprytnego Włocha, dał znać do Sanoka, z kąd przybył z odpowiednią eskortą podstarości i jeńca Łazińskiemu odbił. ¹⁾ Sam Łaziński uciekł, ale zemsta Montelupiego doścignęła go w rok później. Była to zemsta okrutna i krwawa, wykonana na własną rękę, bez interwencji władz — jedna

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 142 pp. 1334—6.

z tak licznych niestety ilustracyj anarchicznych stosunków ówczesnych. Miał Montelupi w sanockiej ziemi zięcia, szlachcica Damiana Balińskiego, i wraz z nim i gromadą zbrojnej czeladzi napadł po północy na dwór Łazińskiego w Siniawie. Pojmanego szlachcica-opryszka, zamiast dostawić do grodu w Sanoku, wywiedziono na podwórze, przywiązano do drzewa i rostrzelano.¹⁾

Studzy Adama Alexandra Sanguszki, wojewody wołyńskiego, porywają gwałtem braci Brzezińskich i dostawiają ich najpierw księciu do Sambora, ztamtąd wiozą ich dalej do Drohobycza, gdzie ich wykupuje »od gardła« żona jednego z nich sumą 800 zł.²⁾ Można szlachcica ziemi halickiej, Alexander Giedziński, niewiadomo z jakiej przyczyny, osadza Zofię z Bolinowskich Mniszewską wraz z dwoma jej synkami najpierw w zameczku w Łuce a następnie w Bolechowie i trzyma ją przez całe lata w więzieniu, gdzie też Mniszewska umiera. Mąż zmarłej upomina się o zwłoki, ale Giedziński odmawia i każe grzebać je *sine obsequiis et observantia Christiano homini solita*. Sam Giedziński umiera, a synowie jego trzymają nadal w więzieniu obie małe sierotki. Sprawa oparła się o trybunał, który nakazał dekretem swym uwolnić bezzwłocznie obu chłopców i oddać ich ojcu, a obu Giedzińskich i ich siostry, które były współwinne w tem niestychanem bezprawiu, skazał za samą inkarceracyę Mniszewskiej na rok więzy w zamku halickim i na zapłacenie 10.000 zł. mężowi, zaś za spowodowanie jej śmierci na dalsze siedzenie więzy przez rok i sześć tygodni i na zwykłą główszczyznę 240 grzywien.³⁾ Trzeba wierzyć, że każdy z tych opisanych gwałtów był tylko odwetem za jakąś ciężką obrazę, krzywdę, czyn zbrodniczy, ale zawsze takie wymierzanie sobie samemu doraźnej sprawiedliwo-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 143 pp. 97—100.

²⁾ Agr. Halickie, tom 137 p. 1501.

³⁾ Agr. Halickie, tom 141 pp. 1431—6.

ści, czy to z buty i samowoli, czy to nawet z konieczności spowodowanej brakiem lub niedołęztwem władz karnych i wykonawczych, jest zarówno smutną cechą społecznych stosunków.

Trafiał się odwet i na tych przemocnych, wszechwładnych, udzielnych — trafiał się odwet i na swawolną szlachtę, ale to było wielką rzadkością. Nie ruszał się lud przywalony ciężarem ucisku, cierpliwy, milczący, otepiały w rezygnacyi, nie ruszały się i miasta, wydane na pastwę samowoli, pozbawione najkonieczniejszych warunków nie już rozwoju, ale prostego bytu. Dopiero na kilka lat przed wielką katastrofą polityczną i społeczną, przed buntem kozackim, jakoby wstępne, ostrzegające wybuchy kipiącego już wulkanu, zdarzają się objawy zbiorowego oporu miast, osobliwie w ziemi halickiej. W roku 1646 Śniatyn podnosi formalny rokosz przeciw swemu staroście Piotrowi Potockiemu, który odbiera mu resztkę dawnych municypalnych wolności. Mieszczanie i przedmieszczanie zdobywają się na krok oryginalnej, prawdziwie rozpaczliwej determinacyi — opuszczają miasto wszyscy co do głowy. Cała ludność z dziećmi, dobytkiem, bydłem, nawet z ulami pszczoł wynosi się z miasta i zakłada wielki obóz w czystym polu nad granicą wołoską. Odbywwszy tam wiece, mężczyźni wracają do Śniatyna, wpadają do cerkwi, wynoszą krzyż na rynek i przysięgają na mękę Zbawiciela, że się nawzajem nie opuszczą i wytrwają w walce o swoje prawa przeciw staroście. Następnie z swoich obozowisk wysyłają delegatów do króla, a po ich powrocie z giejtem królewskim wpadają tłumnie do opustoszałego miasta, każą woźnemu obwoływać pismo królewskie na czterech rogach rynku, szturmują i opanowują ratusz i usiłują dostać się do zamku. Dowodził im niejaki Wasyl Cynta, wołoskiego pochodzenia. ¹⁾

¹⁾ Agr. Halickie, tom 139 p. 1479.

Rok jeszcze przedtem wybucha podobny bunt w Haliczu także przeciw staroście, drugiemu Potockiemu, Stanisławowi. Tym razem szlachcic, dzierżawca wójtostwa halickiego, Wojciech Tyrawski, mając osobiste powody do nienawiści przeciw Potockiemu, staje na czele ruchu. Na jego wezwanie mieszczenie gromadzą się zbrojni w nasadzone kosy na rynku i opanowują ratusz; Tyrawski odbija jednego z przewodców ruchu, który był więziony w zamku, niejakiego Łesiuka z Załukwi, prezentuje go jeszcze okutego ludowi i wśród podburzającego przemówienia każe go uwolnić z łańcuchów, a gdy nadbiega z strażą burgrabia zamkowy Paweł Grembowski, Tyrawski woła na Haliczan: »Zrzućcie go z góry, rozsiekajcie psiego syna!« Grembowski ledwie uchodzi z życiem, mieszczenie pewni są wygranej sprawy, ale cały ruch kończy się na zuchwałej awanturze, wyprawionej przez Tyrawskiego, który lud podburzał tylko dla dogodzenia osobistej zemście. Urządza zamach na Potockiego w czasie sejmiku a umówiwszy się z mieszczanami, że na gwałt uderzony w dzwony kościelne mają mu przybyć z zbrojną pomocą, i ukrywszy w plebanji gromadkę żołnierzy, których mu dostarczył jego przyjaciel Adam Kałuski, wpada do kościoła, gdzie się odbywał właśnie sejmik i z okrzykiem: »Co ma być potem, czemu nie zaraz!« rzuca się z szablą na Potockiego, rani go i byłby go zabił na miejscu, gdyby obożny Adam Kazanowski i chorąży ruski Jan Turobojski nie byli pospieszyli z ratunkiem. Tymczasem kilku z szlachty zapobiegło uderzeniu na gwałt w dzwony, a tem samem zbiegowisku i nieochybnemu rozlewowi krwi.¹⁾

Skazanie szlachcica schwytanego *in recenti crimine* przez władze miejskie po za Lwowem prawie nigdy się nie zdarza, a i Lwów, który oprócz większych praw miał

¹⁾ Agr. Halickie, tom 138 pp. 501—3, 559—562.

także i większe siły do ich wykonania, ciężko nieraz za taki akt sprawiedliwości musiał pokutować — zdarzył się nawet w r. 1647 godny zapisania fakt, że szlachcic pewien nieznacznym, Piotr Kaliszkowski, skazany na ratuszu lwowskim za poranienie mieszczanina na 100 grzywien i na 6 tygodni więzienia, osiągnął formalny wyrok śmierci (*poenam talionis videlicet colli*) na całym urzędzie lwowskim, bo trybunał zadekretował, aby burmistrz i ławnicy dali głowy pod miecz katowski (*eosdem capite plectendos esse mandat!*¹⁾) Nie spotykamy śladu, aby w którymkolwiek z najznacniejszych po Lwowie miast województwa ruskiego magistrat śmiało ukarać szlachcica. Jeden tylko Halicz w roku 1610 wyjątkowo zdobył się na to. Urząd miejski pojmał za jakiś szkaradny występki Jakóba Jabłonowskiego, osądził go na śmierć i natychmiast ściąć kazał, o co wdowa po straconym wytoczyła miastu proces.²⁾ Kołomyjski magistrat uczynił tak samo z administratorem prowentów starostwa, ale ten nie był szlachcicem. Natomiast tłumny odwet uciskanej i krzywdzonej ludności — rodzaj dzisiejszego amerykańskiego *lynchu* — zdarza się niekiedy. Liczna rodzina Ramułów była bardzo ciężkim sąsiadem miastu Drohobyczowi, najeżdżała je nawet zbrojną i dopuszczała się otwartych gwałtów, jak n. p. w roku 1603, kiedy to Ramułowicze wyprawili w mieście krwawą awanturę i dwóch ruskich księży ranili a trzeciego, Fedora, popa Raniowskiego, zabili — przy najbliższej sposobności mieszczanie uderzają na gwałt w dzwony, napadają tłumnie na dwóch Ramułów, srodze ich turbują, do uciekających szturmują w gospodzie, czeladź ich rozpędzają, tak że obaj szlachcice tylko cudownym sposobem uchodzą śmierci chroniąc się do kościoła.³⁾ Tego samego doznał w r. 1633 w Krośnie podkomorzyc sanocki Stanisław Sienieński,

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 396, p. 2115—20.

²⁾ Agr. Halickie, tom 114 p. 1624.

³⁾ Agr. Przemyskie, tom 320 p. 527, 653.

który długo swawolnemi wybrykami niepokoił mieszczan tamtejszych, aż nareście miarka się przebrała. Przy najbliższej zaczepce uderzono w mieście na gwałt, a cała męzka ludność, tym razem nie wyjmując i żydów, uderzyła zbrojnie na podkomorzycę i jego towarzyszy. Jeden z nich został zabity, a pojmany Sienieński znalazł się w więzieniu ratuszowem, z kąd go dopiero po pewnym czasie wypuszczono.¹⁾ Ludność miasta Sanoka, doznawając ciągłych krzywd od administratorów dóbr starosty krośnieńskiego Stanisława Kazanowskiego, urządziła w r. 1626 pospolite ruszenie i zorganizowawszy się w zbrojny hufiec uderzyła na Posadę, zdobyła szturmem dwór, zabiła rządcę niejakiego Herburtowskiego, a posunąwszy się do dalszej wsi Olchowiec, rozniosła dwór tamtejszy, którego mieszkańcy zaledwie zdolali ucieczką ocalić życie.²⁾

Ludność miasta Kołomyi dokonała w r. 1613 aktu strasznej zemsty na szlachcicu Tomaszu Błudnickim, który zarobił sobie na jej nienawiść. Jadącego z Kołomyji do Lwowa tłum porwał z sanek i wśród okrutnego znęcania się nad pojmanym zawlókł do saporowieckiego lasu, następnie znajdujący się między tłumem pop Hrehory Oseredo, odwiódłszy nieszczęśliwego w las na stronę od owej wielkiej gromady, przymusiwszy go, aby przykleknął na ziemi, z urąganiem i bluźnierstwem wielkiem — opowiada syn Błudnickiego — przeciwko wierze św. katolickiej jadowicie spowiadać mu się przed sobą kazał, po której spowiedzi tenże pop naprzód sam rękami swemi rohatyną albo oszczepem srogim weń uderzył w pierś i aż na drugą stronę przebił, za czem i insi wszyscy hurmą wielką przypadłszy, kto jako i czem mógł, siekli, kłuli okrutnie, już zabitemu haniebnie rany rozmaite zadawali. Zabrawszy potem szkatułę z 2000 zł. i papierami, szablę, łuk, sajdak, i rozebrawszy zabitego do naga, na

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 151 pp. 2142—7.

²⁾ Ibidem, tom 150 p. 572.

ostatek nie nasyciwszy się krwi jego, ciało obnażone na sanki ułożywszy tenże pop i z inszymi, których było do 400 albo 500 ludzi, mieszczan i przedmieszczan kołomyjskich, za spólną namową między błota bagniste w las daleko zawieźli i ciało nie wiedzieć gdzie podzieli, sława tylko ta jest, że w błotach i jezierzyskach utopili. Sług też dwóch nieboszczykowskich pojmawszy i także w las zaprowadziwszy pozabijali i potopili.«¹⁾ Syn zamordowanego, który właśnie wrócił z Moskwy, z »wojska stołecznego,« ścigał Kołomyjan prawnie o śmierć ojca i osiągnął na głównych przywódcach wyrok śmierci, infamji i konfiskaty majątków, dał się jednak przejednać, bo w r. 1620 rodzina Błudnickich odstępuje od akcyi i zwalnia oskarżonych a król mandatem z tego samego roku przywraca ich do czci.²⁾

Nie lepszą ale daleko oryginalniejszą śmiercią zginął w r. 1618 we Lwowie szlachcic Jan Kurnatowski z ręki Ormian. Był to akt »biblijnego« prawdziwie odwetu. Przejeżdżając ulicą św. Jana, zamieszkaną przez samych Ormian, Kurnatowski dopuścił się jakiejś niewiadomej burdy — *contentione quadam nescitur unde prius orta*, wyraża się zapisek w aktach. Pod przewodem Krzysztofa Chaczki rzucili się ku niemu Ormianie i ukamienowali go dosłownie. Wszystko, co żyło na tej ulicy, nawet kobiety i dzieci — poczęło miotać kamienie na Kurnatowskiego, który padł trupem pod tym gradem pocisków.³⁾

Szczegóły podane w całym tym ustępie naszego opowiadania składają się już na ponury obraz obyczajowy, to wszystko co nam przyjdzie przytoczyć w dalszym ciągu, przyczyni mu jeszcze cieni i przykrej wypukłości. A przecież wniosek, któryby się opierał na samem tylko pierw-

1) Agr. Halickie, tom 116 pp. 632—4.

2) Agr. Halickie, tom 120 p. 89—90.

3) Agr. Lwowskie, tom 371 pp. 1487—9.

wszem wrażeniu, byłby fałszywy, a o ile by z krytyki stosunków prawnych i publicznych przechodził w krytykę narodowego charakteru i moralnych usposobień społeczeństwa, byłby krzywdzący. I dlatego wyprzedzając niejako ostateczne wnioski, już na tem miejscu stwierdzić musimy, że z wertowania aktów całego województwa ruskiego wynieśliśmy tę wielką pociechę, że wbrew pierwszym wrażeniom wysnuć się z nich da dodatnie kryterium narodowego charakteru. *Quid sunt regna sine iustitia nisi magna latrocinia?* Przy takich ciężkich niedostatkach instytucyj publicznych, przy tak chwiejnym i dorywczem ustawodawstwie, przy takiej niemocy prawa i takim braku władz wykonawczych, każde inne społeczeństwo stałoby się istotnie jednym wielkim zbójeckim tłumem, *magnum latrocinium*. A tak przecież nie było. Widzimy jak dalece ma rację Włoch Górnickiego, kiedy mówi: »Natury wasze polskie dobre są, karne, łaskawe, dobrotliwe« — widzimy, jak wrodzona poczciwość kładła granice temu, co nie miałoby być granic, gdyby sam grunt społeczny, sam instynkt moralny jednostek, nie miał zachowawczej i odpornej siły.

Przy wydawaniu sądu o społeczeństwie tego czasu należy liczyć się z dwoma rozstrzygającymi czynnikami. Z jednym wewnętrznym i bezwzględnym, z drugim niejako zewnętrznym, zawisłym od wyjątkowych stosunków czasu. Wewnętrznym i bezwzględnym czynnikiem jest w naszym wypadku ów nieszczęsny ustrój a raczej zupełny rozstrój urządzeń prawnych i politycznych, przy którym chyba tylko społeczeństwo, złożone z samych ludzi bez namiętności i bez egoizmu, z samych wyznawców »kategorycznego imperatywu« Kanta, z samych istot o niezmiernych cnotach mogło żyć w spokoju, w ładzie, w bezpieczeństwie mienia i życia. Czynnikiem drugim, zewnętrznym, jest pora ze swemi wypadkami, która była tego rodzaju, że nawet w doskonale zorganizowanem i pod ścisłą opieką

prawa żyjącem społeczeństwie musiałaby była wywoływać koniecznie objawy obyczajowej anarchji i zdziczenia. Troje bezkrólewi połączonych z zawichrzeniem całej Polski, rokosz Zebrzydowskiego, nieszczęsna awantura z Dymitrem Samozwańcem, wojny moskiewskie, szwedzkie, tureckie, kozackie, zaciągi rot swawolnych na służbę zagraniczną — oplakane akcye, skierowane na zewnątrz a wracające zgubną falą klęsk, nieszczęść i spustoszenia w wnętrze kraju — buntownicze konfederacye wojskowe, które były potężnem źródłem anarchji nie tylko politycznej ale i społecznej i daleko więcej przyniosły klęsk Polsce niż tego były warte zdobycze oręża; ustawiczne zagony tatarskie, których sam Stanisław Żółkiewski, jak to powiada w jednym z swych listów z r. 1618, zapamiętał trzydzieści, a które obok bezprzykładnego spustoszenia niosły tej właśnie dzielnicy polskiej, o której piszemy, także i klątwę koniecznej w następstwie demoralizacyi, jaką wywołać muszą popłoch, trwoga i gwałtowne zerwanie wszystkich normalnych warunków codziennego życia — zważmy to wszystko i zapytajmy, gdzie jest na świecie naród, gdzie kraj taki, w którym by wśród takich czasów i takich wypadków nie pękały podwaliny publicznego ładu, nie dziczały obyczaje, nie wyradzał się nie rząd społeczny?

A na domiar wszystkiego, co za sąsiedztwo, jakie ściany miała Polska! Wołosza, palenisko, ciągle krwią dogaszane i ciągle nowym płomieniem ziejące, Węgry zawichrzzone do dna wojną turecką i walkami domowemi, Siedmiogród, w którym w ciągu 13 lat (1601—1613) siedm razy zmieniają się książęta, kolejno mordowani lub wypędzani — nie mówiąc już o bezpośredniem pobliżu »paszczki tatarskiej,« zawsze rozwartej i zawsze głodnej łupu i jasyru!

Dopiero porównanie społecznych stosunków w Polsce z tem, co się równocześnie działo w innych krajach,

co się działo przedewszystkiem w Niemczech, o tyle dalej posuniętych w organizacyi władz publicznych, może nam dać miarę sprawiedliwego sądu. Porównanie to wychodzi stanowczo na korzyść Polski. Właśnie w ostatnich latach



Fig. 6.

Inicyał z Aktów Gr. Lwowskich.

XVI. i pierwszych XVII. wieku, a więc w czasie, z którego datują się przeważnie przytoczone przez nas gwałty i występki, zdiczenie obyczajów niemieckich doszło do takiego stopnia, że nawet to, co najgorszego i najdro-

źniejszego wydać mogła anarchia obyczajowa w ziemi ha-lickiej i przemyskiej, blednąć musi i tracić znaczenie wobec rozbestwienia, wobec straszliwego rozpasania się wszelkich zbrodni i nikczemności w niektórych krajach niemieckich. Czem były nasze »odpowiedzi« wobec *Fehdebriefów* niemieckich uszlachconych zbójców, które w roku 1603 tak się rozmnożyły, że żadne miasto, żadne sioło nie było bezpieczne przed bandami, domagającemi się okupu pod groźbą rzezi i pożogi? Czem były nasze najazdy i za-jazdy wobec napadów niemieckich *Mordbrennerów*, zorganizowanych nietylko pod tajemnymi hasłami, ale i pod otwartymi znakami zbrodniczego związku, jak n. p. bandy »skaczącego lwa,« »krzyża św. Andrzeja,« »strzały z pierścieniem« i t. p., które pustoszyły całe okolice Meklemburgji, Saksonji, Turyngji?«¹⁾ Czemże była lepsza od naszej szlachta niemiecka, której cesarz Rudolf II. w r. 1616 zarzuca, że dopuszcza się »morderstw, zabójstw, samowolnych gwałtów i zbrodni, cudzołóstwa, kazirodztwa,«²⁾ którą jeden z współczesnych pisarzy nazywa »bandą epikurejczyków, obrzydłych wieprzów, zuchwalców, pyszałków, bluźnierców, warcholów sprośnych, pasibrzuchów, żartoków i pijaków, dla których obyczajność i honor są hańbą, a wszelka hańba i nikczemność honorem, którym za prawo stoi gwałt, bunt, zuchwalstwo i samowola.«³⁾ Gdzie było więcej morderstw, czy w Polsce, którą własni jej pisarze osławili jako ojczyznę bezkarnych mężobójstw, czy w Niemczech, gdzie w r. 1581 stracono dwóch złoczyńców, z których jeden zamordował 964 osób i 6 dzieci, drugi 544 osób, gdzie na tak małej przestrzeni, jaką zajmowało księ-

1) Janssen Joh., *Geschichte des deutschen Volkes*, tom VIII. p. 354.

2) *Codex Augusteus* u Janssena l. c. p. 354.

3) Nicolaus Selnecker u Janssena l. c. p. 226. Spangeberg, *Adelsspiegel*, ibidem p. 227.

stwo Ansbach-Beureuth, liczące razem tylko 90.000 dusz, w przeciągu lat 28 (od 1575 do 1603) torturowano 1441 złoczyńców, stracono 174 a innemi ciężkimi katuszami skarano 309? ¹⁾)

W dwóch ostatecznościach utkwiała niejako literatura polska, współczesna dobie, która nas zajmuje: w satyrze i panegiryzmie. Nie ma całej prawdy ani w jednej ani w drugim. Z jednej strony panegiryzm obrzydliwy, panegiryzm w utworach nawet najznakomitszych naszych poetów — żaden z nich nie jest wolny od tej wady — panegiryzm w pochlebnych elukubracjach pismaków i pieczeniarzy, w kazaniach i pogrzebowych mowach klechów, panegiryzm w gębach oratorskiej szlachty, lubującej się w obłudnej i samochwalczej swadzie — *linguam nostram magnificabimus!* — panegiryzm nareście w dyplomach i nadaniach królewskich, robił z tego, co było najprostszą uczciwością, wysoką cnotę; z najskromniejszej miary obywatelskiego zmysłu robił wzniosłą ofiarność, z spełnienia zwykłego obowiązku żołnierskiego heroizm — z drugiej strony wszyscy niemal krytycy współczesnych wad obyczajowych i społecznych począwszy od Orzechowskiego a skończywszy na Krzysztofie Opalińskim, wytykając rzeczywiste zdrożności, przesadzali nie tyle samym nadmiarem w ich potępieniu, co ich generalizacją, tak że wynosi się z ich czytania niekiedy wrażenie, jakoby Polska była Sodomą i Gomorą. Zaledwie kilku z nich odróżnia winę samego społeczeństwa od winy instytucyj; większość nie chce reform, chce, aby pozostało przy starych »wolnościach,« przy starem bezprawiu, i szuka dla Rzeczypospolitej chyba nie ludzi — ale aniołów. Nawet Szymonowicz, echo przecież Zamoyskiego, woła w swojej *Lutni Rokoszańskiej*:

¹⁾ Pomersche Chronik, u Janssena l. c. pp. 454—8.

Gani cię ktoś nierządem i odmienić radzi?
Dla Boga, komu nasza starożytność wadzi!

I nie w tem leży cały smutek rzeczy, że o tej porze tak źle się działo, ale w tem, że nie miało być lepiej. Równie źle działo się po za granicami Polski, ale tam właśnie już w samej porze najgorszej zaczęła działać represyjna siła władzy państwowej. W chwili, kiedy w Polsce zaczynają tryumfować żywioły anarchji, we Francji Henryk IV. ustala władzę publiczną i społeczną sprawiedliwość, razem z głową Birona upada buta i swawola szlachecka; w kraju ustaje ucisk ludu, rozpoczyna się epoka prawa i ładu. W Niemczech rusztowanie, na którem okrutną śmiercią stracono Grumbacha, było niejako słupem granicznym dwóch epok; on sam jest już poniekąd ostatnim bohaterem anarchji społecznej i politycznej, z jego straceniem kończy się okres buntowniczych magnatów, zamyka się pora zbiorowych, na szeroką skalę organizowanych gwałtów i wojen prywatnych. W Polsce stan rzeczy pozostaje niezmieniony, te same przyczyny wywołują te same ale w miarę postępu czasu coraz zgubniejsze skutki — i tak trwa ciągle, aż do smutnego końca.



ROZDZIAŁ DRUGI

—

SPRAWY DOMOWE

I.

WOLNOŚĆ CZY NIEWOLA? ZAMECZKI. SŁUŻBA I CZELADŹ
ZBROJNA. MILICYE DOMOWE. CUDZOZIEMSKIE ŻOŁDACTWO.
HAJDUKI I SABATY. MIESZKANIA. ZBYTEK. ZAMKI I DWORY.

Ta gloria wolności szlacheckiej — jakżeż ona mizer-
nie gasła w codziennej rzeczywistości prywatnego, nawet
domowego życia! »Sarmatowie, którzy wszystko mają,
nic nie mają!« — słowa te Wespazyana Kochowskiego
doskonale się stosują do owej wrzekomej swobody, do
owej wystawianej udzielnosci szlacheckiej. Wolnym na-
prawdę i nietylko wolnym, ale udzielnym był wielki pan,
a i ten dopóty tylko, dopóki nie usiadł mu na karku jeszcze
większy, jeszcze możniejszy przeciwnik — zwyczajny wio-
skowy szlachcic żył w niepewności, w trwodze, w zależno-
ści, prawie w niewoli, a jego *magna charta libertatum*
była kwitkiem na trybunał. »Mówi: króla się nie boję,
a przed sąsiadem ucieka i drży« — powiada Skarga w je-
dnem z swych kazań sejmowych. Dom szlachecki miał
według praw być warownią wolności i bezpieczeństwa,
szlachcic szczylic się miał dumną dewizą angielskiego oby-
watela: *My house is my castle* — nie miał też prawa zastu-
kać do jego domostwa król, nie miał tego prawa repre-
zentant króla i stróż praw: starosta, ale hajduk wielkiego

pana, ale zbrojny sąsiad, ale Tatar, gość niemal coroczny, ale grasant Lisowczyk z pod rozbitej chorągwi, ale opryszek wołoski, węgierski, lub t. zw. Beskidnik nie uszanował pewnie jego progów. Tak było we wszystkich ziemiach województwa ruskiego w czasie naszego opowiadania.

Mieszkało się daleko od siebie, daleko sąsiad od sąsiada, co zresztą często na lepsze, rzadziej na gorsze wychodziło — nie było drogi wcale, a jeżeli była, to bez mostu, a jeżeli z mostem, to z dziurawym i karkołomnym. Miasto dalekie a w mieście niczego nie dostać. Czekano się na jarmark. Dom musiał sam sobie wystarczać; życie w nim było homeryczne. Wszystko robiło się w domu: wódka, piwo, miód, lekarstwa, płótno, mydło, świece, atrament, nawet proch strzelniczy. Czego się nie robiło w domu, tego się nie robiło w ogóle w kraju, przychodziło to z za granicy, kupowało się u Niemca, Włocha, Szkota i Żyda, który stał zazwyczaj za tych wszystkich trzech razem, a miał towar najrozliczniejszy i najlichszy — *roba per Polonia*. Smutną prawdą były słowa poety: »Nikt do nas, my na wszystkie posyłamy światy — po trunki, po korzenie, szkiełka i bławaty.«

Każdy dom szlachecki był małą forteczką. Był okopany a otaczał go ostrokół, okna były zakratowane, drzwi bardzo silne i gęsto okute. Każdy zamożniejszy szlachcic starał się mieć na domostwie swoim basztę. Taka baszta bywała zazwyczaj drewniana i służyła do obrony i do straży — gdzie nie było baszty, tam chłopci na dachu kolejno odprawiali nocą warty, śpiewając, trąbiąc lub dmąc w piszczałki na znak czujności. Choć dom był z drzewa sklecony a czasem miewał nawet chruściane ściany, nie obywał się przecież bez takiej baszty. Czytamy n. p. w inwentarzu wsi Pisarowice w ziemi sanockiej z r. 1645, że część dworu składała się z komóreczek, plecionych z chruštu i lepionych gliną, a przecież dom ten miał basztę, wysoką na cztery sążnie, z strzelniczką na szczycie o sześciu

oknach. Najdzielniejszym i najwycyzajniejszym jednak środkiem obronnym był okop — opasywał on dom szlachecki fosą i wałem, nie potrzebował ani rzemieślnika ani kupnych materiałów i kosztował mało, bo sypali go obowiązani do pańszczyzny poddani. Sztuka sypania wałów, improwizowania okopów, była u nas do wysokiego stopnia rozwinięta, a już osobiwie na Czerwonej Rusi, nad którą wiecznie wisiała trwoga tatarska. Celowało zawsze w improwizowaniu fortyfikacyj ziemnych wojsko polskie, w którym był piękny zwyczaj, że pierwszy do sypania szanćów stawał z rydlem w dłoni sam hetman; celowała w tem szlachta, mieszkająca w okopach, celował chłop, któremu tylko puszcza leśna albo okop dawały ochronę przed Tarem. Zazwyczaj miewał taki okop wszere 4 łokcie, w głąb 3 łokcie, a ziemia, wyrzucona na wierzch, tworzyła wał wysokości 6 łokci. Było to regułą dla najuboższego nawet szlachcica, mieć dom przynajmniej o tyle obronny, aby jak mawiano: nie był pierwej »*Pomagaj Bóg*« aniżeli »*Otwórz!*« W Ożomli, rezydencyi niegdyś Stadnickich później Heleny Kiskkowej, wojewodziny mćisławskiej, był dom obszerny drewniany, którego obwarowanie opisuje nieco bliżej inwentarz sporządzony przy oddawaniu dóbr w dzierżawę. Sam dwór wraz z głównem podwórzem opasany był wysokim ostrogiem (ostrokołem) z dębowych palów, u góry w groty zaciosanych, ostrog ten był »mocno stawiany,« a od ziemi do pasa płotem podgrodzony. Za tym ostrogiem było dokoła drugie podwórze, które znowu obwarowane było t. zw. tynem, t. j. wysokiem i zaciernionem u góry ogrodzeniem, wzdłuż którego biegła głęboka fosa i wał wysoko usypany.¹⁾ Z licznych opisów zajazdów i napadów wynika, że do takiego domostwa napastnik tylko z wielkim trudem mógł się dostać, że okóp trzeba było wziąć szturmem, ostrokół wyrąbać, drzwi

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 150 pp. 1791—9.

wystrzelać, podpalić, czasem prochem wysadzić. Bardzo często czytamy, że szlachcic tak napadnięty wytrzyma obłężenie; czasem nawet sama kobieta pod nieobecność męża skuteczny stawia opór szturmowi. Ubogi nawet szlachcic ma w domu mały arsenał i odpowiedni zapas żywności a utrzymywać musi bardzo liczną służbę. Na sygnał dany z domu dziedzica uderzają we wsi dzwony cerkiewne, a poddani mają wtedy obowiązek z siekierami, kosami i pałkami spieszyc na odsiecz dworowi.

Zamożniejsza szlachta posiada zameczki, drewniane wprawdzie najczęściej, ale opatrzone w basztowe czatownice, otoczone wałem lub potężnym ostrokołowym parkanem. W aktach dwory takie zawsze wymienione są jako *fortalitia*, jeżeli zameczek jest murowany z dodatkiem *muratum*; zamek większy, już naprawdę według reguł fortyfikowany, nazywa się stale *arx*. Zameczków małych było bez liku; w ziemi halickiej najwięcej. Spotykamy je w miejscowościach, w których nikt dotąd nie przypuszczał ich istnienia, bo ślad ich zginął w tradycji a zachował się już tylko w aktach. Następujące miejscowości ziemi halickiej miały zameczki: Andrzejowce, Błudniki, Bukaczowce, Bobolińce, Bolechów, Bereźnica, Boryszkowce (Makowieckich), Bołszowce, Czerniejów, Chlebiczyn, Chocin, Czernelica, Dolina, Delatyn, Debestawce, Dołhe, Horodenka, Jaroszów, Kociubińce, Kąkolniki, Korszów *alias* Kazanów, Krzywółuka, Korniów, Lisiatycze, Lisowice, Łuka (Gidzińskich), Łączyn, Łucza, Mogilnica, Monasterzyska (Dzierżków), Morachów, Międzygórsko, Obertyn, Perehińsko, Pałacze, Peczeniżyn, Rakowiec, Roźniatów, Strutyn, Studzienka, Sarnki, Tyśmienica, Turka, Uście, Utorop, Uściczko, Wołczków (zameczek zwany »Boża Wola«), Zabłotów, Żuków, Zarwanica. W ziemi lwowskiej, przemyskiej i sanockiej: Bruchnal, Bereźnica, Bolestraszyce, Białoboki, Chodorostaw, Dobrzany, Dziewiętniki, Dołhołucze, Dąbrówka, Hodynie, Koniuszki, Krzywca, Kornalowice, Kło-

dnica, Kuropatniki, Kamienobród, Komarno, Łuczyńce, Mikulińce (Zborowskich), Mużyłowice, Manasterce, Milatycze, Nowosiółki, Niedźwiedza, Nowotaniec, Nieczujów (dziś Nozdrzec), Oleszyce, Orsko, Pieczychwosty, Przedzielnica, Przemyślany, Putiatyńce, Rokitnica, Romanów, Rychcice, Snowicz, Śliwnica, Sośnica, Suszyca, Sierakowce, Tadanie, Tyrawa, Tarnawa, Trzcianiec, Twierdza, Wojtkowa, Wróblowice, Zboiska, Żurawno.

Zameczki te drobne — a to co wyliczyliśmy, będzie zapewne tylko częścią wszystkiego — obfitowały w broń i były dobrze zaprowiantowane. W zamczku n. p. w Bobolińcach, własności Łodzińskich, piszących się z Radwanowa, zajęchym i zdobytym w r. 1630 przez Ludwika Wydżę, było 12 śmigownic, 24 hakownic, 50 kobył niemieckich, 35 polskich, 20 wileńskich, 6 toruńskich muszkietów, 8 janczarek, 22 guldynek, bandoletów, rur ptaśszych i zwierzęcych i t. p. ¹⁾ W Obertynie, zdobytym przez chłopstwo, było strzelby sztuk 18, prochu kamieni 10, ładunków gotowych 700, ołowiu kamieni 10; w Bereźnicy, która uległa temu samemu losowi, prochu kamieni 8, ładunków gotowych 1500, kul działowych 300; w zamczku pałacim kobył knotowych 40, muszkietów klepaczowych 10, hakownic 6 i t. d., prochu kamieni 16, nabojów hakowniczych i muszkietowych 2000, ołowiu kamieni 8; ²⁾ w Orsku, zamczku pierwotnie Orzeckich później Boleszasyckich, dwa działa żelazne czterolokciowej długości, dwa moździerze na półtora łokcia, 7 hakownic na wózkach z szkatułami kowanemi, z »wszystkim porządkiem,« 15 śmigownic spiskich, 40 kobył, dużo strzelby mniejszej, 20 kamieni prochu, 4 centnary ołowiu, 2000 gotowych nabojów i t. p. ³⁾ W nieco znaczniejszych, chociaż

¹⁾ Agr. Halickie, tom 141 p. 1345.

²⁾ Ibidem, p. 1706.

³⁾ Agr. Przemyśkie, t. 355 p. 114.

wcale nie pierwszorzędnym jeszcze zamkach znajdował się już wcale okazały arsenał, jak n. p. w Sidorowie i Strusowie, w których Kalinowscy, po wypędzeniu z nich Sienieńskich, zdobyli w r. 1629 w pierwszym 6 dział spiżowych, każde wartości 5000 zł., 4 działa żelazne, 30 śmigownic, 60 hakownic; w drugim zaś 10 dział spiżowych po 5000 zł., 5 dział żelaznych, 100 kobył niemieckich z krzosami, 80 hakownic, 40 śmigownic, 2 organki, prochów kamieni 7.¹⁾

Już sama obronność takiego zameczka a tem bardziej zwykłego domostwa wymagała bardzo licznej czeladzi, jakoż był to największy ciężar w budżecie każdego możniejszego szlachcica. Nietylko bezpieczeństwo w domu, ale jeszcze bardziej bezpieczeństwo w podróży wymagało zbrojnego towarzystwa, a z tej potrzeby wyrobił się z czasem zwyczaj reprezentacyjny, i szlachcic, który się szanował, nie wychylał się z domu bez orszaku. Do grodu, na roczki ziemskie i kwerele, na sejmik, na pogrzeby, w gościnę do sąsiada, na nabożeństwo do kościoła wyjeżdżało się jakby na małą wojnę i miało się też wojnę za lada okazyą. Największa część krwawych burd powstawała z powodu takiego zwyczaju; bo jeśli nie zwadzili się pomiędzy sobą panowie, pewnie powadzifa się służba, a jak przykazaniem było sługi, mścić się krwawo obrazy pańskiej, tak znowu uchodziło to za honorowy obowiązek pana, ująć się krzywdy swego sługi. Wszakże dochowało się przysłowie: »Kto się o psa i o chłopca nie weźmie, ten się i o żonę nie weźmie.« Jak łatwo z winy służby przychodziło do krwawych zająć między panami, pokaże jeden przykład, wzięty z pomiędzy niezliczonych. Stolnik przemyski Zygmunt Fredro miał spór prawny z Mikołajem Ossolińskim i obaj z tego powodu poróżnili się z sobą. Pewnego dnia spotkali się na ulicy

¹⁾ Agr. L w o w s k i e, tom 380 pp. 2393—2399.



Fig. 7.

Hajduk wielkopański.

Z ryciny współczesnej w zbiorach Pawlikowskich.

w Przemyślu, a jak kazał zwyczaj, obaj mieli liczny orszak czeladzi przy sobie. Ossoliński przystąpił do Fredry, podał mu rękę i rzekł: »Gniewasz się na mnie? Przepróśmy się!« Fredro byłby się zgodził na pojednanie, ale mając żal wielki do Ossolińskiego, odpowiedział na razie cierpkimi wymówkami. Sługa Ossolińskiego, niejaki Lasocki, nie dał mu skończyć, ale wołając: »Następujesz na dobrodzieja mego! W głowie twojej utopię siekierkę!« — rzucił się nań z czekanem. Przyszło do bitwy między obiema stronami i Fredro wyszedł z niej ciężko porąbany.¹⁾

Służba szlachecka miała swoją hierarchię, nawet miernej fortuny szlachcic miał jej dwa rodzaje, szlachciców i poddanych. Wśród służby szlacheckiej wielkich domów magnackich spotykamy często członków rodzin starożytnych i znakomitych, starożytniejszych i znakomitszych niekiedy od familji, której służą. Między »starszymi sługami« marszałka w. koronnego Mikołaja Wolskiego, pana licznych włości w ziemi przemyskiej, znajdujemy Piotra Bolestraszyckiego, podczaszego ziemi sanockiej, Piotra Mniszka i t. p.²⁾ na dworze Jerzego Radziwiłła figuruje jako *famulus* Władysław Cetner. Sługa szlacheckiej kondycji przystając do pana, ślubował mu wierność i posłuszeństwo podaniem ręki i ztąd powstała nazwa: sługa rękodajny, *famulus manu stipulatus*. Nawet taki Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki, szlachcic starego a nawet znamienitego rodu, właściciel dóbr w ziemi sanockiej, kiedy szablę swoją oddaje na usługi Krasickim, nazywany jest w aktach »sługą rękodajnym.« Odnosi się wrażenie z czytania aktów, że stosunek służby do pana bywał przychylny, choć prawda i to, że obie strony łączył nietylko węzeł wzajemnego przywiązania, ale niekiedy, i to często, solidaryzowała je z sobą wspólność popełnionej burdy, jakiegoś gwałtu, za-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 371 p. 1803.

²⁾ Agr. Sanockie, tom 151 p. 198.

jazdu, zabójstwa. Z dwóch tych stron była jedna zawiślejsza od drugiej, a tą zawiślejszą był prawie zawsze słuźbodawca, jeśli nim nie był magnat na wielką skalę ale zwykłej miary ziemianin. Taki szlachcic zdany był na łaskę lub niełaskę słuźby butnej, zbrojnej, próźniaczej, chciwej nieprawych zysków, a przecieź potrzebnej a nawet niezbeźdnej. Był to rodzaj niewoli. Częściej się teź spotyka w aktach przykłady przeniewierstwa i otwartej zdrady czeladzi szlacheckiej wobec pana, aniźeli dowody niesumienności lub srogości pana wobec słuźby. Unikatem potwornym, unikatem w całem półwieczu i na całej przestrzeni województwa jest taka Agnieszka Opacka, która mszcząc się jakiegoś przewinienia, porywa swoją dawną pannę słuźebną pod kościołem w Brzozdowicach, każe jej uciąć głowę i patrząc na jej bujne złote warkocze, rzuca głowę do ognia wołając: »Nie warta była takich pięknych włosów!« — odpokutowała teź okrutnica tę zbrodnię więźą na zamku lwowskim i sowitą grzywną; ¹⁾ wyjątkiem bardzo rzadkim jeźeli nie unikatem jest taki n. p. Jan Kopyciński, który w r. 1602 przywoławszy do siebie swego długoletniego słuģę, szlachcica Ujejskiego, żądał od niego jakichś odkryć w poufnych sprawach domowych — *in domesticis*, wyraża się zapisek, naprowadzając na myśl jakąś intrygę rodzinną, może małżeńską — a gdy Ujejski nic mu odkryć nie chciał czy teź nie umiał, zabił go na miejscu dwoma uderzeniami czekana.²⁾ Natomiast często pada pan ofiarą niewierności albo otwartej zdrady swojej słuźby, czego w dalszym ciągu niejedyn przytoczymy przykład.

Nie brak jednak w aktach także wzruszających przykładów serdecznego przywiązania czeladki do państwa, państwa do czeladki, wierności z jednej, rodziciel-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 387 pp. 1004—6 i tom 388 R. 1637.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 355 p. 1541.

skiej prawie opieki z drugiej strony, nie brak ujmujących rysów z patryarchalnego ustroju i życia wielkich a cnotliwych domów. Przedewszystkiem matrony po macierzyńsku dbały o losy swojej czeladzi, a były na Czerwonej Rusi wielkie panie, które utrzymując całe rzesze służby męskiej i żeńskiej i za życia i na łożu śmiertelnem obejmowały dobrotliwą troską każdego domownika. Wojewodzina Golska, o której później obszernie będzie mowa, miała służby męskiej, rękodajnej, samej dobrej szlacheckiej, głów dwadzieścia; w testamencie swoim pamiętała o każdym. Starościna malborska Zofia Kostczyzna, drugiego małżeństwa Gulczewska, pani wielkiej fortuny, która zapisała klasztorom jarosławskim i tyczyńskim 120.000 zł., a ukochanemu przez siebie chłopięciu, wnukowi wojewody krakowskiego Stanisława Lubomirskiego, 50.000 zł., miała fraucymer złożony z 20 szlachcianek i tyleż mniej więcej służby męskiej, a w testamencie swoim nie przepominając o nikim, nawet o kuchcikach, rozdziela między nich ostatnią wolą swoją 22.000 zł. — a co więcej znaczy, troszczy się o zapewnienie im bezpiecznej przyszłości. Między pannami służącymi były takie, które już urodziły się w jej domu, »które sama chrzciałam i na których rękę umieram,« jak się wyraża w testamencie — o tych też przedewszystkiem pamięta. Kilku pannom poleca dać obok legatu także wyprawę, jak za mąż pójdą; jednej radzi aby się »wydała za p. Buchowskiego, bo to poczciwy szlachcic« i przeznaczą jej posag i t. d. Niektórym z męskiej służby każe pokupić wójtostwa, innym pośledniejszym zagrody na dziedziczne posiadanie.¹⁾

Rzecz dziwna i do pewnego stopnia zagadkowa, że ludzie despotycznego i burzliwego charakteru, gwałtownicy i tyranie, otoczeni nienawiścią i trwogą wszystkich, którzy kiedykolwiek zetkną się z nimi musieli, straszni w domu,

¹⁾ A gr. Przemyskie, tom 372 pp. 2393—99.



Fig. 8.

Sabat.

Według statuetek w posiadaniu ks. Batthyany w Körmend.

straszni po za domem, posiadali między swoją służbą oddanych duszą całą, pełnych poświęcenia, wiernych do śmierci ludzi. Taki straszny człowiek, jak Stanisław Stądnicki, zwany Dyablem Łańcuckim, miał sługę legendarnej wierności i ślepego przywiązania, Zegarta, któregooby przyrównać można do Walter-Scott'owskiego Caleba a o którym na swoim miejscu będzie jeszcze wzmianka — taki Andrzej Łahodowski, którego czytelnik pozna bliżej w rozdziale o ziemi lwowskiej, szlachcic despota i gwałtownik, miał rękodajnego sługę, któremu sam w testamencie swoim daje świadectwo wyjątkowych cnót i przymiotów. »A słudze mojemu p. Maciejowi Olszowskiemu — są słowa ostatniej jego woli — któregoś życzliwości szczerzej, gorącej i w staraniu pilnej o dobru mojem doznawał, i jako baczylem, że lubo zatrzymane myta mając, nic a nic się w życzliwości nie odmienił, ale raczej gorącej około dobra mego pieczołowania przykładał, oddaję majątności moje wszystkie do dyspozycji i gospodarowania, onego prosząc, aby z ich dochodów i intrat dziatki moje z długów coprędzej oswobadzał i majątność wcale do lat syna mego dotrzymał, a gdy syn mój według naznaczenia mego swoje *tirocinia* skończy i odprawi a majątnością zechce rządzić, tedy ja naznaczam za wierne zastugi p. Olszowskiemu i małżonce jego Rożnowską Wolę w dożywocie, a jeżeliby syn mój albo kto inszy biorąc się do dziedzictwa chciał mu uczynić bezprawie i woli mojej sprzeciwiać się, tedy go na straszny sąd Boski pozywam a tem samem sprzeciwieniem się wiecznemi czasy tracić ma tę majątność. A p. Olszowskiemu wolno ją będzie komu chcieć dać, darować, jako swoją własną, którą ja tym testamentem daję, daruję onemu *in casu* kontrawencyi mojej dyspozycji.«¹⁾

Nieszczęsny nałóg naśladowania wielkich domów magnackich, które roily się od służby, rujnował średnio

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 380 p. 238.

zamożną szlachtę, a zamiast dodawać splendoru domowi, okrywał go często śmiesznością. W bardzo ciekawym liście szlachcica-anonima, z którego już poprzednio przytoczyliśmy wyjątek, znajdujemy ustęp, który daje nam doskonały obrazek takiej pompy nad stan. »W mieszkaniu nie proporcya to — czytamy — kiedy izba wielka a chłopów we wsi mało; więc kiedy jedno sam pan z woźnicą, a kiedy mu piwa każe nalać, to go nie usłyszysz. Mieszkanie ma być szlacheckie według wsi i według poddanych. Więc życie szlacheckie: limonie, oliwki, salsecany, cukry, dobre to rzeczy, ale kto niema 1000 kóp żyta, dobry mu ogórek, kiełbasa, chrzan, rzodkiew i rzerzucha. Do szat byłoby tu co pisać; nie proporcya zaprawdę: axamitna delia a białe karazyowe portki, baczmagi czarne, kord z węgorzanką a chłopiec bosy. Do axamitnej delji albo żupana trzeba kilku pacholarzów i ochędóstwo inakże. Nuż sług niepotrzebnych chowanie, co owo jeno wasy kręcą a nic więcej nie umieją, jeno się z miednicą a nalewką kłaniają. Więc to nie proporcya: na gumnie pięć brogów żyta a dziesięć kręciwasów w izbie. Według gumna mają być pacholarze, barwa i honor; kiedy kto ma 1000 kóp żyta, może chować pachółków trzech i chłopiąt dwoje. A koni, ile set kop owsa, tyle koni chować, a na dwa folwarki niech będzie kolebka o dwu skrzyniach, a jeśli jeden folwark, tedy kareta o jednej skrzyni; a na trzy folwarki niech parą koni za kolebką wózek idzie. Nie proporcya dać łamane serwety na stół a piwo zgniłe; ma być wino do łamanych serwet; i to nie proporcya dać wino na stół a muzyka dudy; do wina ma być regał a do piwa dudy.¹⁾

Magnaci ziemi halickiej i przemyskiej utrzymywali całe rzesze czeladzi zbrojnej w zwykłym czasie, a małe armie wojennego żołdactwa w porach wyjątkowej potrzeby. W czasie rokoszu Zebrzydowskiego Stadniccy, Herburto-

¹⁾ Rękopis Bibl. Ossol. nr. 314 p. 30.

wie, Ligęzowie, Krasiccy, Golscy, Potoccy, Jazłowieccy, mieli na swym żołdzie formalne korpusy, złożone z jazdy, piechoty i artylerji, ale już przed rokoshem i jeszcze po rokoshu t. zw. »zaciągi,« t. j. zbieranie kup zbrojnych było zwyczajem bogatej szlachty, która staczała z sobą prywatne wojny. Był pod ręką obfity materiał werbowniczy, który mógł dostarczyć dostatecznego kontyngentu do takich wojsk prywatnych, a materiałem tym była drobna szlachta zaściankowa, której zwłaszcza w halickiej i przemyskiej ziemi były całe zastępy — jednakże magnaci wyjątkowo tylko uciekali się do niej — woleli zawsze mieć kadry cudzoziemskie, które dopiero w razie potrzeby uzupełniały się miejscową szlachtą. Brzydki zwyczaj otaczania się bandami cudzoziemskiego żołdactwa jest jednym z jaskrawszych objawów egoizmu i anti-patryotycznego usposobienia polskich prepotentów — chodziło im o wrogie a przynajmniej obce krajowi narzędzie ambycji i tyranji, chcieli tym sposobem osiągnąć zupełną niezawisłość od własnego społeczeństwa, zapewnić sobie exterytoryalną udziałność. Można by powiedzieć o nich, że stali po za ojczyzną i przeciw ojczyźnie.

Tak zwane »zaciągi,« które w przemyskiej zwłaszcza ziemi aż do roku 1620 były w użyciu u wszystkich rodzin możnowładczych, datują się głównie od bezkrólewia. Zwyczaj werbowania Węgrów przeciw własnemu krajowi i rodakom już po śmierci Zygmunta Augusta wszedł w życie, a stał się wielkopańską modą od czasu Batorego. Zaraz po śmierci ostatniego Jagiellończyka spotykamy zaciągi węgierskie; wojewoda sieradzki Łaski używa madjarskich hajduków w wojnie swojej z wojewodą krakowskim Zborowskim, kiedy go chce wyrzucić siłą oręża z zamku Lanckorony; starosta sandecki Mężyk sprowadza przed elekcyą Batorego do Stężycy 1600 hajduków, górali węgierskich.¹⁾ Odtąd grasuje w Polsce plaga t. zw. sabatów,

¹⁾ Orzelski, Bezkrólewia, tom II, str. 61, 111.



Fig. 9.

Z zamku w Krasicy.

o których w następnych rozdziałach niejednokrotnie będzie obszerniej mowa, i nie masz wojny prywatnej, nie masz jakiegoś znacznieszego aktu gwałtu w województwie ruskim, w którymby nie zaznaczyli się krwią i łupieżstwem ci hajducy zakarpaccy. Ale po za Węgry, którzy są starym kontyngentem, składają się na milicje magnackie także inne narodowości. W opisach gwałtów i zajazdów wymieniani bywają Wołoszynie, Tatarzy, Niemcy, Szkoci, nawet Hiszpani. W halickiej ziemi kupy zbrojne magnackie składają się przeważnie z Wołochów, najbliższych sąsiedztwem, w przemyskiej i sanockiej z węgierskich sabatów, a po nad to z kozaków-czeremisów, cyganów, zwanych w aktach łacińskich Filistynami, i z Tatarów. W przemyskiej ziemi utrzymują Tatarów Wapowscy, mają ich także Marcin i Jerzy Krasiccy, ten ostatni tylko w swoim starostwie dolińskim. Marcinowi Kalinowskiemu, wojewodzie czernichowskiemu, kiedy w r. 1653 obejmuje siłą zbrojną nadane mu przez króla dobra starostwa przemyskiego, zarzuca szlachta w pozwach, że nasyła na nią *Valachos, Serbos, Cosacos, Tartaros et Cyganos*.

Milicje dworskie, to największy i najkosztowniejszy zbytek pański; był on też pobudką do łupienia publicznego grosza i przyczyną upadku tych wielkich fortun, które nie zaznaczyły się niestety tak, jak się zaznaczyły w Niemczech, we Włoszech, we Francji, w całej zresztą Europie, pomnikami monumentalnej architektury, zbiorami sztuki, instytucjami humanitarnej i oświaty. Nie wiele, bardzo niewiele było szlachetności w wielkopańskim zbytku -- bardzo nieliczni byli ci, co ozdabiali kraj wspaniałymi zamkami, zakładali szpitale i szkoły, utrzymywali t. zw. *kunstkamery*, zbierali biblioteki. W całym województwie ruskim, w czasie, który nas obchodzi, policzyć by ich można na palcach. Najwięcej jeszcze ofiarności objawiało się w fundowaniu kościołów i klasztorów; powstało ich dużo w tym czasie hojnym nakładem Krasickich, Opaliń-

skich, Korniaktów, Mniszchów, Golskich. Po za tem, tak w tych czasach jak i w późniejszych, nie było zaprawdę wiele przesady w satyrze Krzysztofa Opalińskiego:

Nie wyśmienity
Luxus panuje, ale brzydki, nierozumny.
Insza by to wysypać na jakieś fabryki,
Na ozdobę ojczyzny, na szumne kościoły,
Na kosztowne ogrody i pyszne pałace,
Na mury, szkoły i tym podobne struktury.¹⁾

Monumentalnym zmysłem góruje w całym województwie ruskiem szlachta ziemi przemyskiej, po niej idzie ziemia lwowska. W czasie, w którym zamyka się nasze opowiadanie, powstaje kilka wspaniałych zamków, pałaców i kościołów. Jerzy Mniszech, wojewoda sandomierski, kończy przepyszny swój zamek w Laszkach, jedną z najwspanialszych rezydencji nietylko polskich ale może europejskich, i ozdabia go parkiem, który kto wie, czy nie należałoby uważać za pierwszy w Polsce monumentalny objaw umiłowania natury ujętej w ramy sztuki, Jan Szczepny Herburt wznosi rezydencję pod Dobromilem i ozdabia ją malowidłami allegoryczno-politycznej treści; Marcin Krasicki kończy zaczęty przez ojca Stanisława olbrzymi i wspaniały zamek w Krasieczynie — *Krasieczynum mundo admirandum fecit*, jak się wyraża jego epitafium — Stanisław Lubomirski nabywszy od synów Stadnickiego Dya-bła Łańcut, buduje tam pyszny zamek, rezydencję odpowiednią powstającej właśnie w tym czasie świetności swojej fortuny i karyery. W lwowskiej ziemi powstają zamki w Podhorcach i Brodach, wzniesione przez Stanisława Koniecpolskiego, w Pomorzanach Sienieńskich, w Staremsiole Ostrogskich, w Żółkwi Żółkiewskich, w Świerzu Cetnerów; w halickiej ziemi Mohilanka Potocka roz-

¹⁾ Satyry: Na polski zbytek.

szerza i upiększa zamek buczacki, Czartoryska z domu Stanisławska wznosi zameczek w Czernelicy.

Dumne zamki powstają jakby na to tylko, aby tem przykrzej odbijały od nich nędzne wsie i słomą kryte dwory szlacheckie. Tylko w ziemi przemyskiej niektóre możniejsze rody budują sobie wspanialsze rezydencye. Drohojowscy jeszcze przed wykończeniem zamku Krasyczyńskiego posiadają taką wielkopańską siedzibę w Wojutyczach, Korniaktowie w Złoczkowicach, Lipscy w Lipsku. Bogata bardzo rezydencya w Głuchowie, zaniedbana przez zięcia starego Konstantego Korniaкта, Jana Gratusa Tarnowskiego, spustoszała do reszty podczas wojny Opałińskiego z Dyabłem Stadnickim. Była tam sala wspaniała, której sufit był ozdobiony »tysiącem i pięciuset wielkich złocistych róż, z których każdą płacono snycerzowi po pięć złotych, a małych także złocistych róż było 1000; te róże wszystkie wybrano i salę zgnojono« — powiada inwentarz dóbr krzemienickich z r. 1600.¹⁾

Marcin Krasicki, wojewoda podolski, starosta przemyski, jeden z najdostojniejszych postaci magnackich w ówczesnej Polsce, pan w wielkim stylu, pełen ambicyj rodowych i publicznych, posiadał w wysokim stopniu zmysł monumentalny, pragnął wspaniałemi pomnikami architektury utrwalić splendor familijny Krasickich a zarazem ozdobić i obwarować całą ziemię przemyską. Gdyby mu były starczyły fortuna i żywot, byłby ją zasiał zamkami, pałacami i kościołami. On to z gruntu wznosił zamek przemyski, bo ten, który mu zostawili poprzedni starostowie, był zniszczoną ruiną, a wznosił go wspaniale i warownie, używając do tego tych samych architektów włoskich, których dziełem jest zamek krasyczyński, a z których jeden, Gallazzo Appiano, był zajęty także przy budowie pałacu Drohojowskich w Wojutyczach. Sumptem

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 316 p. 464.

Krasickiego powstał kościół Karmelitów Bosych w Przemysłu i kościół św. Marcina w Krasieczynie — do budowy kilku innych przyczynił się hojną ofiarą. W dobrach swoich zbudował lub obwarował sześć zameczków: w Krzywcy, Sierakowcach, Rokitnicy, Przedzielnicy, Suszycy i Kraśniku, i każdy z nich opatrzył w działa, moździerze i śmigownice.

Zamek krasieczyński dziś jeszcze, mimo zniszczenia przez pożar, należy do najwspanialszych i najpiękniejszych pomników architektury zamkowej w Polsce, ale z bogactwa i świetności jego wewnętrznego urządzenia nie pozostało już śladu. Sale i komnaty olśniewały drogiemi szpalerami i arrasami, sufity czyli jak je wówczas nazywano podniebienia okryte były najbogatszą rzeźbą złożoną i malowaniami w kasetach, marmurowe odrzwia, międzyścieża, kominki były arcydziełami dłuta. Kilka skąpych niestety, ale niemniej przeto interesujących szczegółów o salach i komnatach krasieczyńskiego zamku znajdujemy w bardzo pobieżnym inwentarzu,¹⁾ spisany po śmierci Krasickiego przez jego wdowę. Dowiadujemy się z tego inwentarza, że jedna z sal obita była 150 brytami adamaszku i atlasu, bryty adamaszkowe były gładkie żółtego koloru, bryty atlasowe w wzorzyste kwiaty na tle błękitnem — górą tego obicia biegł fryz haftowany na jedwabiu, dołem zamykały obicie t. zw. kolumny, również kosztownym haftem ozdobione. Pokój w Bramie Papieskiej obity był brokatelem, pokój przed basztą miał obicie w t. zw. strefy kitajkowe, czerwone i zielone. Pokój zielonym zwany miał dwa starożytne duże szpalery i trzeci mniejszy, w framudze okiennej miał kobierzec czerwony, a nadto zdobity go t. zw. koltryny malowane na płótnie »na kształt wzoru szpalerowego.« Za tym pokojem szedł pokój przyjacielski, który obity był

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 360 pp. 1964—81.

czterma olbrzymimi kobiercami dywańskimi a miał w framugach okiennych także same kobiercowe wschodnie opięcia. Przed tym pokojem była sień albo sala, »którą chodzą do stołowej królewskiej« — jak się wyraża inwentarz — również cała oponami, sama zaś sala szpalerami obita. Z tejże sali izba mała pięciu szpalerami obita; pokój »na drugiej stronie ku bramie« jedynastu kobiercami, pokój na bramie kirem czerwonym malowanym, pokój moskiewski »szpalerami z herbami Jego Mci« obity. Framugi okienne, które w starych zamkach bywały tak głębokie i szerokie, że równały się przestrzenią małym pokojom naszych dzisiejszych pomieszkań, obite były niemal w wszystkich komnatach i salach kobierczykami wschodnimi, między którymi spotykamy także owe słynne jedwabne na tle złocistem, niegdyś tak liczne po domach polskich, a dziś należące do najrzadszych i najdroższych zabytków artystycznego rękodzielnictwa. Owe szpalery, o których wspomina inwentarz, a których część opatrzona była w herby Krasickich, były to niewątpliwie arrasy i tapiserye flamandzkie, które dziś bez różnicy a niewłaściwie nazywamy gobelinami.

Podczas budowy zamku krasiczyńskiego i zamku przemyskiego utrzymywał Krasicki całą kolonię artystów i rzemieślników w Krasiczynie i Przemyślu. Miał dwóch malarzy, którzy freskami ozdobili sale i komnaty nowego zamku; ich są pędzla niewątpliwie sgraffity, które się dotąd utrzymały częściowo na środkowem podwórzu (*cour d'honneur*) zamku w Krasiczynie. Jednym z nich był Kasper Brachowicz, który musiał mieć niejaką sławę, skoro pleban węgierskiej miejscowości Humienowy, własności hr. Drugethów de Hommonay, zamawia u niego w r. 1608 duży obraz ołtarzowy do tamtejszego kościoła za cenę ugodową 60 zł.,¹⁾ drugi, osiadły w Przemyślu, Jan,

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 324 p. 369.

zwany Francuzem zapewne dla swego pochodzenia, ozdabiał w r. 1612 malowidłami także dwory podkomorzemu bełzkiemu Tomaszowi Lipskiemu w rodzinnym Lipsku i w Krasnobrodzie.¹⁾ Snycerz nadworny tegoż Marcina Krasickiego, nazywany w aktach tylko po chrzestnym imieniu Jan lub Jasiek, jeżeli był twórcą drewnianych rzeźb i intarsyi, zachowanych dotąd w kaplicy zamku, musiał być niepospolitym mistrzem w swojej sztuce. Brat Marcina, Jerzy Krasicki, starosta doliński, wykończając i urządzając w tym czasie zamek w Dubiecku, zatrudnia go również rozmaitemi robotami. Miał mu robić w r. 1611 »czworo drzwi do gmachów dubieckich i dwoje drzwi z kratami do frambugi na gankach snycerskiej roboty z staturami i problematami i kraty albo wrota do bramy,« a nadto »miał urobić troje rogów jelenich do trzech lichtarzy a do nich figury pewne, to jest: do jednego lichtarza Judyt z głową Holofernesową i z mieczem, do drugiego lichtarza Kupidyna z łukiem i z strzałami, a zaś do trzeciego Samsona tym kształtem jako do Złoczkowic (majątności Korniaktów). A pod te trzy lichtarze głowy też jelenie miał robić, oprócz tego i gotowe Meluzyny miał wyrzeźbić i rogi przyprawić, a k'temu drzwi dębowe jedne dwoistym kształtem, jako w Krasieczynie, do pokoju.« Do tegoż zamku w Dubiecku zamawia Jerzy Krasicki »szyb wielkich okrągłych, przezroczystych, jako najcudniejszych, 10.300 według formy podanej.«²⁾

Dwory i zamki to wyjątkowe, które przytoczyliśmy — szlachta nawet bardzo można i rodem znakomita mieszkała w domostwach drewnianych, na zwykłą tylko wygodę opatrzonych. Istniał jednakże typ wiejskiego dworu z XVII. wieku, typ prześliczny, który przechował się do nas nie-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 328 p. 1233—8.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 327 p. 1210, tom 328 p. 14, tom 324 p. 18.

stety tylko na papierze, a sformułował się zapewne tylko w fantazyi. Przekazał go nam Jakób Ponętowski, kasztelan brzeski, który tak sobie wyobraża wiejskie mieszkanie szlachcica miernej fortuny: »Niech ma dwór swój a gotowy, rządnie rozmiarzony, na moc zbudowany a ochędżny, na zdrowym placu, na widoku, a kształtnie postawiony; w nim gmachy różnej miary, żonie, dzieciom do wczasu sprawione, zimie ciepłe, lecie chłodne, zawsze k'temu chędogie. Do tego niech by było złożenie przyjacielowi, schowanie sprzętom, mieszkanie czeladzi. W śródku podwórza woda; kuchnia rządna przy domu a kuchenka w mieszkaniu. Więc spiżarnia sucha, piwnica chłodna, lodownia pewna, łaźnia pobok przy wodzie; stajnia na stronie, psiarnia namniej w półmilu. Zegar wierny na domu. Dom rzemieślniczy, tamże i gospodarski, za nim blech, w bok sadzawki, a coby snadnie złowne; niech płynie pod dwór rzeka w pewnych brzegach zawarta, bystra, przezornie sprostowana, za nią niech będzie ogród w kwadrat wymierzony, od niej a kęs z południa ku słońcu nachylony, suchy, równy, wyniosły, porządnie ogrodzony, pergolami¹⁾ okraszony, w kwadraty rozdzielony, fontanami polany, a ziół rozlicznych pełny. Za ogrodem sad w cynek najmniej w dwadzieścia rzędów drzew młodych a już rodnych gładko z płonki, bujno z koron wybiegłych.... Chciałbym jeszcze ptasznika, chciałbym ziółkom, drzewkom schowania, ile więc przewoźnym. Tamże też wirydarz ze swych ziółek i przewoźnych. Przeciw temu wszystkiemu niechby stanął zwierzyniec, ciemny, zielony, cichy, wymierzony po sznurze, podzielony łakami i na krzyż i od płotu, tamże drogi w kwaterach a rzeczka przez pośrodek; las lipowy przeciwko, tamże zaraz pasieczka.«²⁾

¹⁾ Pergola, z włoskiego, altanka ogrodowa, chłodniczek.

²⁾ Rękopis Biblioteki Ossolińskich Nr. 207 k. 135—137.



Fig. 10.
Z zamku w Krasieczynie.

Typ to idealny domostwa wiejskiego, i sam p. Ponętowski pewnie tak nie mieszkał. Spotykamy jednak dwory, które się zbliżyły po trosze przynajmniej do tego ideału komfortu i sielanki. Zdarza się, że i szlachcic miernej fortuny zdbi swój domek i po amatorsku dba o jego utrzymanie, jak n. p. Bernat Suchorabski, który w testamencie nie zapomina o dworze swoim murowanym, »który wielkim sumptem i nakładem postawił« i nawet się przy nim pogrzebać każe »na górze, w ogrodzie, gdzie jest chłodniczek,« i na grobie kapliczkę zmurować, aby już to samo, że tam leżeć będzie jego ciało, było »jakoby pieczęcią, aby tej pracy mojej działki moje nie zbywały ani w obce ręce nie puszczały i żeby ten klejnot z rodu nie wychodził.« Mniej po amatorsku ale wcale przystojnie przedstawia się dwór w Sannikach, siedziba pani Barbary Konstancy z Góraj Stadnickiej. Sień wielka (nazywamy to dziś z angielska *hallem*), z sieni jedne drzwi do pokojów, drugie wprost do wirydarza i sadu, dalej izba stołowa, oświetlona pięciu oknami o szybach weneckich w ołowiu, w niej do koła ławy dobrej stolarskiej roboty i piec błękitny malowany; dalej komora; naprzeciw stołowej izby izba biało-głowska o pięciu oknach z kwaterami szyb weneckich; z tej izby alkierz o ośmiu oknach, z alkierza komnata, z komnaty znowuż izba z kominkiem i piecem polewanym, tuż obok piekarniczka. Drzwi wszędzie stolarską t. j. wytworną robotą, o zawiasach i wrzeciędzach żelaznych pobielanych, co inwentarz za każdym razem zaznacza, bywały bowiem po dworach szlacheckich drzwi od ciesielskiej siekiery i na zawiasach drewnianych. Kuchnia w Sannikach mieści się w osobnym budynku. Ale oprócz dworu jest tam jeszcze drugi budynek, piętrowy, w którym na dole znajdują się spiżarnie a na piętrze mieszkanko małe ale jakby wypieszczone, zdaje się że *sanctissimum* samej pani domu, bo połączone z apteczką. Mieszkanko to ma tylko trzy pokoje, jeden

z nich z gankiem, ale mieści w sobie apteczkę, która musiała być cackiem w swoim rodzaju, jak to wpływa nawet ze skąpych wzmianek inwentarza — prowadziły bowiem do niej »drzwi rzezane z floresami snycerskiej roboty,« także i ławy były rzeźbione, a i sama szafa apteczna cała była ozdobiona rzeźbami. Okna w tym domku weneckie, piece malowane.¹⁾

Typem wielko-szlacheckiej siedziby jest dwór w Tropi, przez Wielopolskich zbudowany. Dwór ten był piętrowy i miał wraz z sienią 15 pokoiów. Wiodła do niego warowna brama, w której dwa działa i trzy moździerze gotowe były na powitanie napastników. W bramie tej złożone były także prochy, kule i gotowe już naboje do hakownic. Pokoje mają w inwentarzu swoje osobne nazwy, stosownie do rozmiarów i użytkowego przeznaczenia — a więc są to izby, izdebki, sale, salki, komory, alkierzyki i komnaty. Wejście stanowi obszerna sień na dole. Umeblowanie w ogólności skromne, z samych szaf, stołów, ław i zydlów drewnianych złożone, a wszystko to na zielono malowane. Tylko w jednej izdebce na piętrze spotykamy »krzeselka czarne dywanowe,« a zatem prawdopodobnie wyścielane i kobiercami obite. Izdebka ta jest zapewne gabinetem pana domu, bo głównym jej sprzętem jest sekretarz z szufladami od góry do dołu, w których złożone są przywileje, interczyzy, munimenta, listy i t. p. Na ścianach 26 obrazów, z których dwa na miedzi. Tu także znajduje się w bezpiecznym schowaniu talizman rodzinny, ów bajeczny róg jednorożca, któremu przypisywano moc cudowną od wszystkiego złego, a obok niego złożony jest także kosztowny i rzadki w mieszkaniu szlacheckim instrument: perspektywa. Jedna komnata służy za zbrojownię; są w niej zbroje szmelcowane, rzędy, przybory kostiumowe, między którymi także hełmy z kitami z piór strusich. Komory służą za garderoby, alkierzyk za apteczkę.

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 371 p. 1989.

Najświetniejszymi, jak wówczas mawiano, gmachami są: izba czerwona, izba stołowa i kaplica. Izba czerwona jest na dole a nazywa się tak dlatego, że cała obita jest czerwonym sukniem; ściany jej zdobi ośm obrazów w złotystych ramach. Izba stołowa znajduje się na piętrze, a przechodzi się do niej przez salkę, w której umieszczone jest ścienne półzegarze z ponderami. Jest to duży pokój, z którego pułapu zwiesza się pająk wielki na łańcuchach, gdański, z olbrzymiami rogami, a więc t. zw. Meluzyna. Ściany tej izby mają obicia — z inwentarza nie da się odgadnąć, czy to były flandryjskie arrasy czyli też t. zw. koltryny malowne — a obicia te wyobrażają historię Herkulesa. Izbę tę zdobi po nadto 14 obrazów w ramach. Przez całą jej długość bieżą dwa ogromne stoły zielone, a głównym sprzętem jest t. zw. służba, t. j. kredens, nad którym błyszczy się gwiazda złotista. W czasie spisowania inwentarza nie było w kredensie sreber, wypełniały go tylko szkła weneckie, w owych czasach mało co tańsze może od sreber, a mianowicie szklenice, puławy, kielichy rysowane i złoczone. Kaplica była bogato ozdobiona; miała strop czyli t. zw. podniebienie rzeźbione i na kasety podzielone, a w kasetach było 16 malowideł. Znajdował się w niej obfity i kosztowny sprzęt kościelny: kielichy, relikwiarze, mszały, ornaty. Ołtarz był szczerzo-złocisty i stały przy nim dwa posągi alabastrowe. Ściany były ozdobione przeszło stu obrazami małych rozmiarów, między nimi 65 »obrazów na pergaminie złotystych« a więc prawdopodobnie miniatur religijnej treści. Tak zwane formy, t. j. ławki czyli stalle do siedzenia, były pstro-złociste. Dowiadujemy się także z inwentarza, że gospodarz domu był miłośnikiem miedziorytów, jest ich bowiem w dworze tropińskim około 500, między nimi wiele »osób różnych cudzoziemskich i innych.«¹⁾

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 154 pp. 1211—1218. Z roku 1637.



Fig. 11.

Z zamku krasicyńskiego.

Bardzo skromnie mieszka p. sędzina Elżbieta Humnicka, z domu Stadnicka, w swojej Leszczawej. Jest tam dom wielki, w którym domu izba stołowa duża, okien siedm, u pięci jeno po połowicy błon a u dwóch niemasz nic, i jednej szyby, tylko same dziury; listwy w około zielono pofarbowane, ławy około, szafa farbowana, u której jest dwoje zamek bez klucza, stoły dwa wielkie, zydle dwa wielkie, piec malowany; przeciwko tej izby stołowej komnata, podle komnaty łazienka i t. p.«¹⁾

Przepych i świetność dworu Zygmunta III., o którym w czasie rokoszu opowiadała sobie szlachta, że podczas swoich godów weselnych miał na sobie raz strój szacowany na milion, a drugi na 600.000 zł., i któremu miano to za złe, że na wielkie festyny u dworu nie pożyczka sreber i innych »aparatów ochędóstwa« od senatorów i biskupów, ale ma swoje własne, a nawet z szczerzo-złotego jada serwisu — przepych ten dworski budził naśladownictwo u magnatów. Zbytek panuje wielki u możnej szlachty, ale ma coś wschodniego w sobie, jest gruby, jakby na teatralną pompę, na chwywanie oka nagłym efektem, na sam blask materyalnego bogactwa obliczony. Zasada się na kobiercach, futrach, szatach, srebrach, klejnotach i broni — i tu dochodzi niekiedy do beżprzykładnych gdzieindziej rozmiarów. Uderzającą jest nieprzebrana mnogość kobierców, makat i opon, przeważnie wschodnich. Były one najgłówniejszą dekoracją mieszkań. Na innem miejscu²⁾ mieliśmy już sposobność zwrócenia uwagi na powszechne zamiłowanie w kobiercach wschodnich, których nie brakło w najuboższym nawet dworku szlacheckim. W inwentarzach magnatów i zamożnej szlachty spotykamy je w takiej mnogości, że robi to wrażenie, jak gdyby już nie chodziło

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 144 p. 1218.

²⁾ Ob. Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie, str. 207—12.

o powszednią potrzebę lub nawet o zbytkowny komfort, ale o kollekcye czysto-amatorskie. Referendarz Piotr Oźga, starosta trembowelski i stryjski, wcale nie magnat, posiada ich 288 najrozmaitszej faktury i nazwy: adziamskie, dywańskie, kilimowe, słupiaste, jedwabne, z literami (t. j. z monogramami właściciela) z orłami i t. p. Ta obfitość kobierców w inwentarzach domowych tłumaczy się tem głównie, że służyły one nietylko do wyścielania mebli zazwyczaj bardzo prostych, z gołego tylko drzewa skleconych, ale i do obijania nagich, najczęściej drewnianych i nietynkowanych ścian domostwa, a dalej, że znaczna ich część towarzyszyła szlachcicowi w podróży i pozwalała mu najędźniejszą i najbrudniejszą nawet gospodę zmienić w apartament strojny, ciepły i wygodny.

Prawdziwie azyatycki zbytek panuje w garderobie. Inwentarze szatni wypełniają niekiedy grube zeszyty *in folio*, a nie mówiąc już o sukniach kobiecych, których ceny dosięgały sum bajecznych — suknia damska z złotogłowiu kosztowała około 500 dukatów dzisiejszych, nie licząc oczywiście feretów z drogich kamieni, które ją zdobiły — także garderoba mężka bywała nadzwyczaj kosztowną. W inwentarzach spotyka się szuby męzkie, których cena podana jest na 1000- 2000 zł. ówczesnej monety, co na dzisiejszą ewaluację stanowi już mały majątek, każdy guzik u delji podkomorzego przemyskiego Wojciecha Boboli († 1631) kosztuje 130 dukatów ówczesnych, a trzeba wiedzieć, że ten Bobola nie liczył się wcale do wielkich panów. Cóż dopiero mówić o registrach sreber stołowych i klejnotów! Robią one niekiedy wrażenie, jak gdyby spisywane były na dworze któregoś z indyjskich nabobów. Po wspomnianym Boboli pozostało około 100 półmisków szczero-srebrnych, wielkich złotych łańcuchów 21, twarz królewska złota na trzech łańcuchach, czarka złota z emalią, garnek złoty, kielich z złota i kryształu, zapona o 130 brylantach, mnóstwo miednic, nalewek, dzbanów, roztruchanów, pu-

harów i t. p., wszystko z szczerego srebra, które, jak o tem pamiętać trzeba, było w owych czasach bardzo drogie, kto wie, czy nie sześć razy droższe, aniżeli dzisiaj.¹⁾ Miano osobne srebro dla domu, osobne dla podróży. Marcin Krasicki, starosta przemyski, wybierając się na sesję trybunalską do Lublina, wiezie z sobą 8 flasz srebrnych dużych, 12 śrubowanych małych, 38 talerzy i półmisków, łyżek puzdro i t. p. Nawet w bardzo ubogich zresztą inwentarzach spotyka się najniespodziewaniej jakiś bardzo zbytkowny klejnot, jakby brylant na śmieciu. Taki n. p. szaraczek, jak Prokop Tysarowski, wśród bardzo skromnej garderoby posiada łańcuch perłowy, w którym pereł dużych kó p 74, w troje robiony, z perfumami w złotych kłatkach!« Całe miliony leżą w perłach, brylantach, rubinach i przeróżnych klejnotach — na jednym jarmarku w Jarosławiu kupiec amsterdamski, Dawid de Lima, rozprzedaje za 600.000 zł. biżuterii. Hieronim Sieniawski, starosta lwowski, pożyczając 30.000 zł., daje w zastaw swoje srebra stołowe, a gdy zważymy, że wartość zastawu musiała przewyższać przynajmniej o całą trzecią część pożyczoną kwotę, i że Sieniawski zastawił niewątpliwie tylko najzbędniejszą część swego serwisu, to uwzględniając nawet wielki spadek monety w owym czasie (około r. 1649) i współczesną drogość srebra, odniesiemy przecież wrażenie niepomiernego zbytku i bogactwa, zwłaszcza gdy pamiętać będziemy o tem, że za sumę 30.000 zł. szły wtedy w zastaw rozległe dobra ziemskie, że n. p. Alexander Korniakt w pożyczonych 17.000 zł. zastawia Radochońce, Ościslawice i Orysławice.

Nawet to, co powinno być dziełem sztuki a jako takie posiadać cenę idealną samo przez się i całkiem niezawisłe od wartości materialnej, nawet obrazy i książki muszą mieć oprawy srebrne, złote, czasem nawet dro-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 151 pp. 782—7.

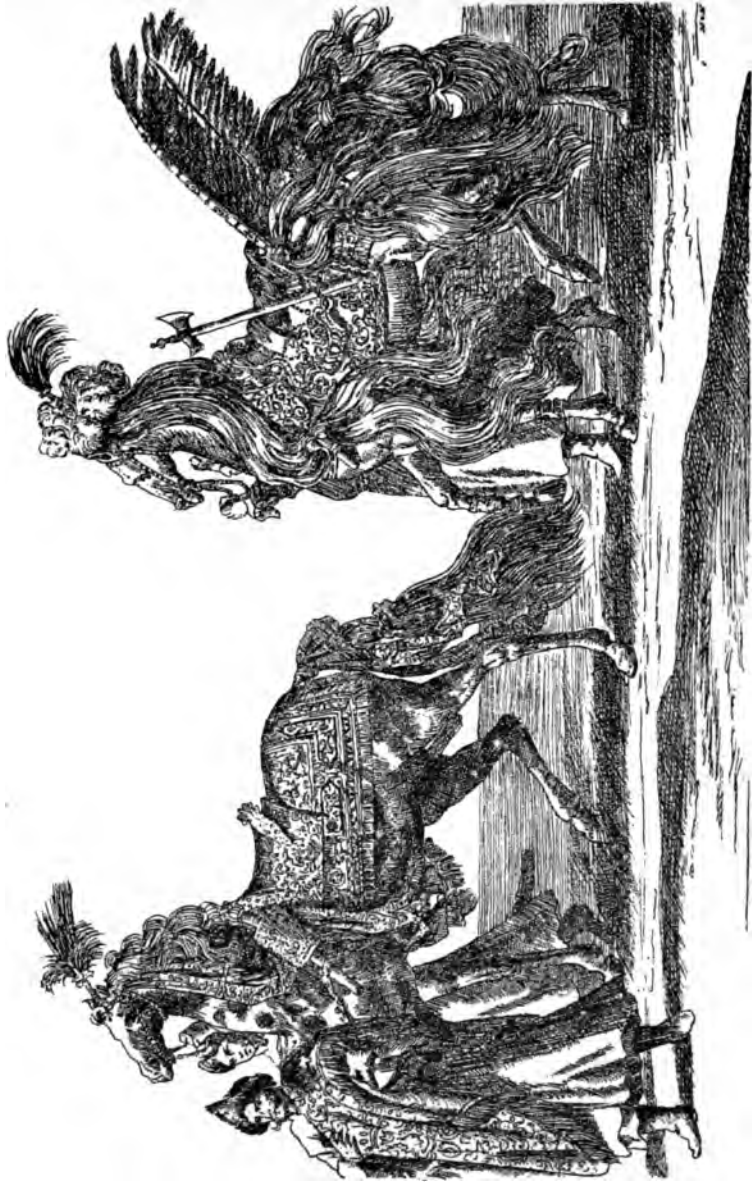


Fig. 12. Wierzchowce magnackie w bogatych rządzach. Według sztychu Stefana Della Bella.

giemi kamieniami sadzone; statuetki i posąжки muszą być z najkosztowniejszego kruszcu ulane. Niepodobna, aby żaden z magnatów Czerwonej Rusi nie kochał się w obrazach, lub nie kochając się w nich szczerze, nie naśladował z samej próżności króla Zygmunta Augusta lub Zygmunta III., którzy obaj byli miłośnikami współczesnej sztuki włoskiej i flamandzkiej — bez wątpienia w Łańcucie, Wiśniczu, Laszkach Mniszchowskich musiało być niejedno dzieło wielkiej sztuki; o Adamie Kazanowskim, o Radziejowskim staroście łomżyńskim, o Ossolińskim kanclerzu wiemy, że posiadali w swoich pałacach całe galerie obrazów włoskich, hiszpańskich, holenderskich, gabinety bronzów i rzeźb marmurowych — ale u ogółu szlachty, nie wyjmując nawet najmożniejszej, nie było dla sztuki zmysłu, smak jej poprzestawał raczej na bogatej galanteryi. Nawet w Krasicy, którego zamek sam był tak znamienitem dziełem sztuki, nie spotykamy płócien wybornego pęzła — spis obrazów i rzeźb, podany w inwentarzu przez wdowę po Marcynie Krasickim, obejmuje przeważnie obrazy religijne, uderzające tylko bogactwem złota i szlachetnych kamieni, w które były oprawne. Znajdujemy tam ołtarzyk otworzysty robotą piękną, passya w nim szczerozłota i dwa posąжки Matki Boskiej i św. Jana, resurekcyę srebrną szmelcowaną, Matkę Boską całą srebrną na pięć ćwierci łokcia długą, Zwiastowanie i *Ecce Homo* w ramach srebrnych, Wniebowzięcie i św. Jakób srebrne, koronacyę Najśw. Panny srebrną, obrazków srebrnych małych 8, passyę srebrną z posągiem Matki Boskiej ze srebra, barwione obrazki moskiewskie i t. p. Nawet meble krasicyńskie szczerze ozdobione są srebrem. Krzesła mają ćwieki, kaptury i gałki srebrne, łóżka poręcze srebrne, na innych sprzętach również okucia i herby srebrne. Księgi oprawne są także w srebro i spoczywają w skrzyni axamitnej, okutej srebrem. Właściwa biblioteka bardzo szczupła; jest w niej zaledwie sto dzieł przygo-

dnio zebranych: z klasyków Liwiusz, Horacy, Cycero, Terencyusz, Arystoteles, z polskich pisarzy Gwagnin, Warszawicki, Kromer, Herburt, Orzechowski, Górnicki.¹⁾

Zbytek w broni nie zawsze objawia się w połączeniu jej technicznej doskonałości z artystyczną formą, jak to widzimy współcześnie we Włoszech i Niemczech, polega najczęściej tylko na kosztowności materiału, na bogactwie ozdób ze złota i drogich kamieni. Czytając opisy tej zbytkowej broni, przeważnie kostiumowej a nie wojennej, przypominają się słowa króla Stefana, który zaraz na wstępie swoim do Polski zrobił spostrzeżenie, że szlachta ma na sobie uzbrojenie *ad mascaras non vero ad rem militarem*. Abraham Herburt ma dwa pancerze całe srebrne i złociste, a nadto drogiemi kamieniami sadzone, Jan Belzecki oskarżając niewiernego sługę, mówi: »Złocistego szyszaka niemasz żadnego, a było ich sześć czy siedm.«²⁾ Na bogatą broń i przybory jeździeckie, sprowadzane z Turcyi, łożono olbrzymie sumy, a Ormianie lwowscy głównie na broni i koniach robili fortuny. Krzysztof Jan Bernatowicz jednym targiem sprzedaje Bogusławowi Służce, podkanclerzowi W. X. Litewskiego, koni, ryszunków i siedzeń, t. j. rzędów tureckich, za 32.000 zł. a jak twierdzi jego konkurent Ormianin lwowski Czerkies, zarabia »nie żeby grosz na groszu, ale trzy grosze na groszu.«³⁾ Mnóstwo takich przykładów przytoczyć by można, gdyby nie obawa znużenia niemi czytelnika.

Koń, broń, złoto, a czwarte wino. Najmierniejszej fortuny szlachcic ma stajnię pełną koni przedniej rasy i wysokiej ceny, a po stajni najważniejszą jest piwnica, nawet w ubogim domu bardzo zapaśna, jeżeli nie w wino to przynajmniej w wódki i miody. Maluje to dobrze szla-

1) Agr. Przemyskie, tom 360 pp. 1964—8.

2) Agr. Przemyskie, tom 321 p. 364.

3) Agr. Lwowskie, tom 397 p. 1602.

chtę województwa ruskiego, że na każdym prawie sejmiku w Wiszni zapadają uchwały i petita o wino, domagające się to ułatwień dowozowych i celnych, to przymusowego obniżenia cen tego kordyału, albowiem wielkie uciśnienie ponosi stan szlachecki przez wzdrożenie wina przez *plebeias personas* — jak się wyraża jedno z petitów sejmikowych — którzy bogaciej *ordinem equestrem* w niwec wyciągają.¹⁾ Nie prawdą jest, aby szlachta polska tej pory była *bibacissima*, jak ją niesłusznie nazywano — pito daleko więcej w Niemczech i na Węgrzech niżli u nas — ale nie ulega wątpliwości, że w konsumpcji małmazji i węgryzna nie była ostatnią. Według rachunków Piotra Domaradzkiego, poborcy czopowego, sama szlachta ziemi sanockiej w przeciągu jednego roku, od stycznia 1602 do stycznia 1603 r., wypila 1966 beczek węgierskiego wina;²⁾ o wołoskiem, o małmazji, o alikancie i t. p. milczy statystyka.

Po za tem źródłem ochoty towarzyskiej nie wiele było innych, zwłaszcza szlachetniejszych. Najbardziej jeszcze lubioną była muzyka. Prawie w każdym nieco zaможniejszym dworze musiało być kilku grajków, skrzypków, śpiewaków, a przynajmniej trębaczy, i nawet skromne inwentarze sprzętów mieszcza w sobie instrumenty muzyczne. Obok hucznych biesiad, bankietów, łowów i t. zw. »dobrych myśli« nie spotykamy w źródle naszym śladów jakichś innych rozrywek towarzyskich i domowych, choć pewnie ich nie brakło, ale że nie kończyły się przelewem krwi, tak jak bankiety, więc nie dostały się do aktów. Spotykamy tylko wzmianki o t. zw. »tryumfach«, to jest o uroczystościach na cześć jakiegoś radośnego zdarzenia w życiu rodzinnem. Zazwyczaj przyjsie na świat upragnionego potomka obchodzono takim tryumfem, jak to

1) Agr. Przemyskie, tom 373 p. 939.

2) Agr. Sanockie, tom 142 p. 1253.

w r. 1603 uczynił w oryginalny sposób Stanisław Wapowski, kasztelan przemyski, w Dynowie, kiedy mu żona powiła córkę. Oto p. kasztelan urządził walkę byków, przy której jednak nie obeszło się bez nieszczęścia, bo jeden z dworzan postradał życie. Ojciec zabitego, Jan Pawłowski, zanosi przeciw Wapowskiemu protestację, »iż on, sprawując grę albo tryumf świeżo narodzonej córki swej, bawoła na poły szalonego, na to umyślnie przygotowanego, w miasteczku Dynowie w rynek ciasny wypuściwszy, domy pozamykawszy, ulice zabudowawszy i ludzi uczciwych na to *spectaculum* sposobiwszy, sam strzelał i sługom rozkazał, między którymi ledwie drugi rusznicę w ręce wziąć umiał. A iż syn mój Mikołaj też p. Wapowskiemu służąc, temże się jako panu swemu akomodował, młodzieniec lat 20, do wielu postug sposobny, cnót szlache-tnych i dobrych obyczajów, w tej to krotofili mało potrzebnej, nierządnej i pod pijanym czasem między ludźmi pospolitymi niebezpiecznej, postrzelony pod serce na skrós, żyw nie był do dziesiątej godziny, z podziwieniem wielu ludzi, że na tym jednym stanęło a nie na kilku, tak jako sprawę dawało wszystko miasteczko, że przez 200 razów strzelono.«¹⁾

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 319 pp. 819—21.

II.

FORTUNY. GOSPODARSTWO. WYWÓZ ZIEMIOPŁODÓW. NISZCZENIE LASÓW. POPIOŁY. Z ROLI I SOLI. ŻEGLUGA. DZIERŻAWY. Z INWENTARZY I TESTAMENTÓW. OBYCZAJ RYCERSKI.

Case di legno, molta neve, ma danaro assai — tak się wyraził o Polsce tego czasu jeden z włoskich podróżników. Dużo śniegu i jak śniegu dużo pieniędzy, takie wrażenie mógł istotnie odnieść cudzoziemiec, który stykał się tylko z klasą panującą i najmożniejszą. Ale pieniędzy naprawdę było mało w stosunku do nieprzebranych źródeł bogactwa, jakie kryła w sobie ziemia. Były jednostki, które rozporządzały i olbrzymim kapitałem i olbrzymim dochodem, i według tych to jednostek cudzoziemcy szacowali bogactwo kraju. Grosz nie był zarobiony i sam też nie zarabiał. Albo szalał albo spał. Szalał u marnotrawnych magnatów, spał u oszczędnych i skąpych. Nie było ani kredytu ani bezpiecznej lokacyi. Że nie było formalnych, zorganizowanych banków, nie dziw; były one o tym czasie rzadkością w Europie; posiadało je zaledwie kilka stolic handlowych: Wenecya, Genua, Hamburg. Ale wszędzie istniały już wielkie kantory kupieckie, załatwiające transakcyje kredytowe, podczas gdy u nas przy słabym rozwoju miast brak było takich kredytowych agencji z dostateczną

- siecią stosunków i z odpowiednią siłą kapitału. Kredyt stał na lichwie i zastawie. Nikt nikomu nie pożyczył pieniędzy bez zastawu, nawet magnaci posiadający krocie dochodów i milionowe majątki w ziemi, nawet królowie, gdy potrzebowali gotówki, pożyczali jej na zastaw. Zapisywano zastawem dobra ziemskie a w razie nagłej potrzeby szły w zastaw klejnoty i srebra. Nie było też innej lokacyi wielkiego kapitału, jak tylko pożyczanie na zastaw ziemi, ale i ten sposób przy rozwlekłości procedury sądowej i przy niesłychanych trudnościach egzekucyi nie zawsze był bezpieczny, unikali go też ostrożniejsi. Za tem poszło, że zwyczajną lokacyą grosza była żelazna szkatuła — a najostrożniejszym służyła za *safe-deposit* ziemia, w której zakopywano gotówkę w srebrze i złocie. Zwyczaj zakopywania pieniędzy nocą i w tajemnicy był bardzo rozpowszechniony. Że zakopywał skarby swoje pod dnem sadzawki Dyabeł Stadnicki w Łańcucie, że zakopywał je także syn jego Zygmunt w Rudawce, rzecz zrozumiała; były to *male parta*, gwałtem zebrane i mogły być gwałtem odebrane — ale że zakopywali w ziemi gotówkę ludzie, których nie ściagała zemsta pokrzywdzonych ani trwożyła bezbronność, że zakopywał je taki potężny i dostojny senator, jak kasztelan sandomierski Mikołaj Ligęza, to rzuca osobliwe światło na stosunki.

Fortuny były wielkie a powstawały w tym czasie szybko, ale niestety nie zawsze pracą, talentem, zasługą, przedsiębiorczą inteligencyą, i do wielu spanoszonych rodów ówczesnych możnaby zastosować słowa: *Omnis dives aut iniquus aut iniqui haeres*. Chłop żył z ziemi, szlachcic z ziemi i chłopa, magnat z ziemi, chłopa, króla i Rzeczypospolitej. Gospodarstwo było drapieżne, dochody całych lat eskontowano w jednym roku, a z tych nieprzebranych skarbów roli, z obfitości płodów »ziemi miodem i mlekiem opływającej« bogaciła się bardziej zagranica niż sam kraj, bogacił się przede wszystkim niemiecki Gdańsk,

słusznie nazwany »Chłciańskiem« przez Klonowicza, bo pochłaniał wszystkie korzyści handlu i wyzyskiwał całą Polskę. To rzucenie się do intensywnego handlowego wyzyskiwania ziemiopłodów, które datowało się już od XVI. wieku, nie polegało na żadnej rozumnej rachubie, nie szło w parze z racjonalnem podniesieniem produkcji, nie było rzetelną forsą ziemiańską, wypływało raczej z gorączkowej chciwości doraźnego zysku.

Próżna to, niech mi, wierę, jako kto chce łaje,
Niemasz dziś w Polsce jedno kupcy a rataje,
To największe misterstwo, kto do Brzegu z woły,
A do Gdańska wie drogę z żytem a popioły.

Słowa te Kochanowskiego stosowały się w całej pełni i do województwa ruskiego, którego szlachta, a zwłaszcza halickiej i przemyskiej ziemi, uległa w pierwszych dziesiątkach lat gorączce exportowej i była w ciągłych transakcjach nietylko z Gdańskiem ale i z Hamburgiem. Najracjonalniejszym jeszcze był wywóz zboża, choć i ten odbywał się zbyt często kosztem ludności narażonej na drogość chleba, rzucanej niekiedy nawet na pastwę głodu, natomiast marnowanie lasów, niszczenie całych puszczy nieprzebranych, rzucanie na targi zagraniczne po najgorszych cenach najkosztowniejszego materiału, wypalanie potaszów w barbarzyński sposób, było karygodną lekkomyślnością. Całe lasy płynęły do Gdańska; z polskiego drzewa budowały się floty hanzeatyckie, angielskie i holenderskie; reszta szła na wanczosi, klepki, falby, a już najbardziej na popioły. Był to najłatwiejszy sposób osiągnięcia doraźnego zysku, zdobycia gotówki; nadużywano go tedy, co się dało: »Gdzie spojrzeć, wszędy rąbią albo buk do huty -- albo sośnię na smołę, albo dąb na szkuty.«

Spotykamy w aktach ustawicznie zapiski o transakcjach na ogromne ilości popiołów czyli potaszów.

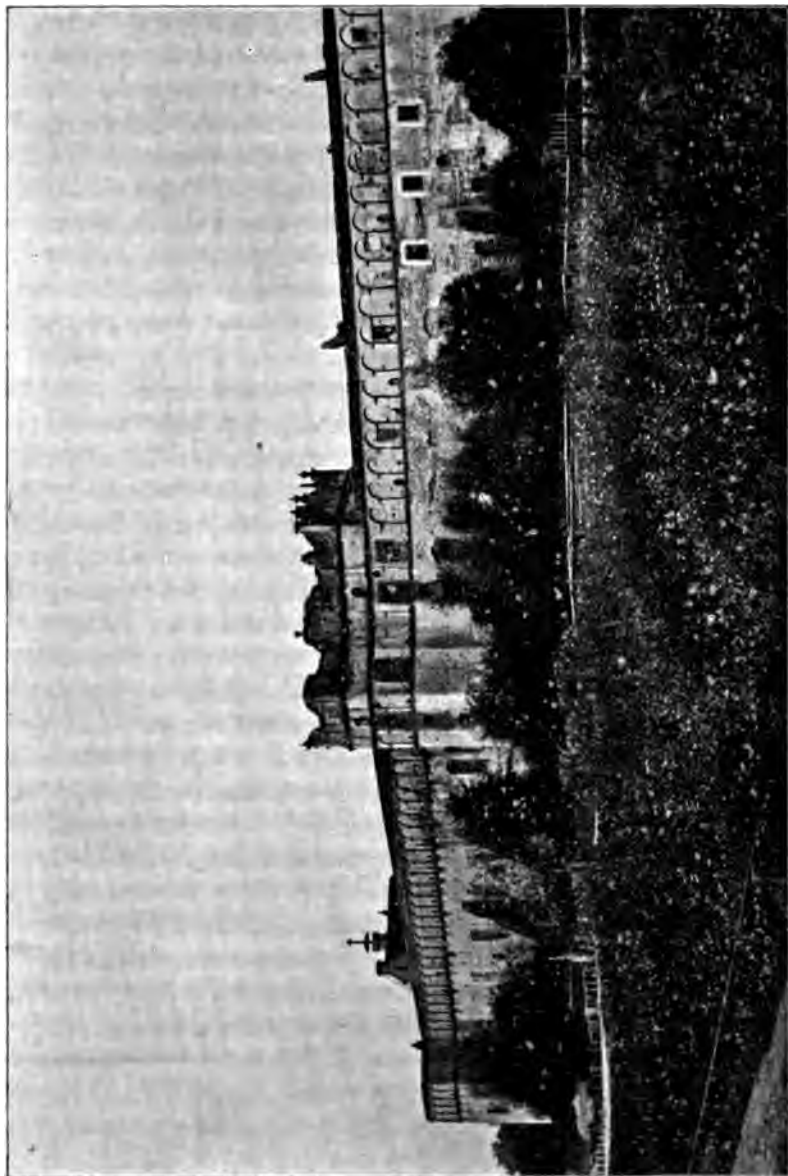


Fig. 13. Zamek w Staremsiole.

W pierwszych dziesiątkach lat XVII. wieku wyzyskiwali w ten sposób lasy, nie tylko swoje ale i królewskie: Ostrogowie, Wiśniowieccy, Potoccy, Sieniawscy, Kalinowscy, Kazanowscy, Koniecpolscy, Kuropatwowie, Warszycy, a z kupców gdańskich i hamburskich najczęściej zawierają z nimi kontrakty Jakób i Mateusz Krausowie, Jan Tomson, Jakób Demens, Ferdynand Faust, Jakób Baxa, Piotr Morelli, Jan Folmar, Dock i Eggerat; z krajowych przedsiębiorców tylko jeden Lwowianin dr. Paweł Boim. O jak wysokie sumy chodziło w takich transakcjach, daje nam miarę rejestrzyk przytoczonego powyżej Fausta, kupca hamburskiego, który przejął od niektórych firm gdańskich wierzycelności. W rejestrzyku tym figuruje jeden z Sieniawskich z sumą 32.993 talarów, jeden z Potockich z sumą 82.993 tal., jego żona 6.586, Grzybowski, dzierżawca dóbr starostwa halickiego, 25.588 tal. i t. p.¹⁾

Potasz wypalał albo sam właściciel lasu albo jego kontrahent gdański. Przedawano go na t. zw. szyfundy (*Schiffpfund*), na beczki lub łaszty. Szyfund miał wagę 11 kamieni²⁾ t. j. przeszło dwa centnary, beczka obejmowała 5 szyfundów a więc 10 centnarów, łaszt 12 beczek albo 120 centnarów, centnar jednakże liczył do 160 funtów polskich. Szyfund płacił się stosunkowo do jakości, terminu dostawy, konjunktury handlowej i t. p. po 17, 20 a nawet 27 złr. Hieremi Korybut Wiśniowiecki zawiera w r. 1636 ugodę z Pawłem Boimem o wypalenie 1500 szyfundów potaszu, a co nad 1500 z dwóch »artów«³⁾ w tym roku wyjdzie, to wszystko ma należeć Boimowi. Potasz ma być czysty, tłusty, nie węglasty, nie zamoczony i dobrze wyprawiony. Boim płaci po 17 zł. za szyfund; zadatku dał 27.000 zł. Podobny układ z Janem Tomsonem

1) Agr. Halickie, tom 139 p. 1621—2.

2) Kamień miał 32 funtów, centnar 5 kamieni.

3) Art = *Herd*.

opiewa na 2.000 szyfuntów. Stanisław Potocki wypala popioły w Wiktorowie i w dobrach podhajeckich, Piotr Potocki, wojewodzie braclawski, obowiązuje się Janowi Gerike dostawić na termin do Gdańska 1800 szyfuntów, Marcin Kazanowski, wojewoda podolski, sprzedaje Urszuli Scholen 1000 szyfuntów po 27 zł., ale potasz ma być »czysty, *lauter*, nie odfarbowany i nie mokry,« Marcin Kalinowski, wojewoda czernichowski, i żona jego Helena z księżąt Koreckich biorą od Jakóba Demensa, kupca gdańskiego, na »pilną potrzebę swoją« 108.000 zł., za co obowiązują mu się dostarczyć »potaszu przednio dobrego, bez wszelakiego fałszu, nie suchego, ale z obłupionej klepki i próbowanemi ługami polewanego i jako najlepszy urobić się może, beczek 1080 t. j. 5400 szyfuntów, każdy szyfunt po 20 zł.« Demens przy każdej racie ma dać kufę małmazyi i kufę alikantu. ¹⁾ Stanisław Konięcpolski oddaje wypalenie potaszu niejakiemu Maryanowi Dłuskiemu, swemu dzierżawcy, który ma dostarczyć »potaszu czystego, farbistego, najwyższej próby, któryby *pikowi* gdańskiemu korespondował« a nadto każdego roku dostawić 15 łasztów szmelcugi, łaszt po 40 zł. ²⁾

Z tych zapisków, a nie przytoczyliśmy wszystkich, można już nabrać wyobrażenia, na jakie rozmiary niszczone lasy, zwłaszcza gdy się zważy, że w aktach zachowały się tylko takie intercyzy, które stały się przedmiotem prawnego sporu, a więc tylko jakaś mała część transakcyj. Ofiarą tych spekulacyj padały głównie lasy dóbr królewskich, niestety często za wiedzą i pozwoleniem samego króla. I tak n. p. warto przytoczyć, że Władysław IV. pozwala w r. 1637 krajczemu kor. Mikołajowi Ostrorogowi »na

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 389 p. 290—2; Agr. Halickie, tom 134 pp. 195—209; Agr. Lwowskie, tom 396 pp. 23—28.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 396 pp. 2277—85.

wolne palenie potaszów i wyrabianie innych towarów leśnych w Lisiance do dwunastu lat »według upodobania!«¹⁾ Tym sposobem spustoszone najpiękniejsze lasy w halickiej ziemi, jak n. p. chomikowskie, kamieńskie, weleńskie, tym sposobem niszczyły olbrzymie odwieczne dąbrowy bołszowieckie, chorostkowskie, ihnatkowskie; tym sposobem wyrąbała i spaliła do szczętu lasy Tarnawicy leśnej i polnej spółka gdańska Dock i Eggerat, która zatrudniając kilkuset robotników przez całe dwa lata w nich grasowała,²⁾ tak wycięto lasy korczakowskie i t. p. Przemysł leśny tak był szeroko rozwinięty, że wyrobiła się cała armia specjalnych robotników, zajętych przy wypalaniu popiołów i gotowaniu smoły, t. zw. smolaków i harników.³⁾ Z ludzi tych, żyjących ciągle w puszczy leśnej, zahartowanych w trudach i niepogodach, odważnych i z instynktową bystrością dzikiego zwierza orientujących się wśród głuszy i niedostępnych borów, wytworzono też rodzaj straży granicznej od Wołoch i Węgier, która utrzymała się aż po wiek XVIII., a której już w czasie naszego opowiadania starostowie przemyscy i sanoccy nadają rodzaj wojskowej organizacyi, używając jej jako swojej milicyi. Starosta sanocki Franciszek Mniszech posługuje się nią przy egzekucyach, nasyła n. p. harników i smolaków na Piotra Bala, aby w Choczwi przeprowadzić intromisyę z trybunalskiego dekretu.

W ziemi halickiej chów i wywóz bydła był jednym z bardzo obfitych źródeł gospodarskich zysków. Potoccy wysyłają ogromne transporty wołów z swoich dóbr i z chłopskiej daniny, t. zw. powołowszczyzny, na wszystkie jarmarki krajowe i za granicę. Niektórzy panujący książęta

1) Agr. Lwowskie, tom 388 p. 351.

2) Agr. Halickie, tom 140 pp. 744, 880.

3) Ognisko przy wypalaniu popiołów nazywano od niemieckiego *Herd*, artem albo hartem, stąd robotników zajętych przy ogniwach harnikami.

niemieccy zaopatrują się w ziemi halickiej w woły za osobnem zwolnieniem od cła, przyznanem im przez króla, jak n. p. palatyn reński, elektor bawarski, dla którego w r. 1610 dwaj ajenci Maciej Basmanus i Andrzej Guttenberger zakupują po 500 i więcej sztuk wołów. ¹⁾ Piotr Potocki, starosta śniatyński, zawiera grube transakcye na woły z Gdańskiem; jedna z nich zawarta z Krausami obejmuje 2100 wołów za cenę kupna 55.000 zł. pod kaucyą 100.000 zł., ubezpieczającą dotrzymanie terminu dostawy. ²⁾ Na jeden tylko jarmark łucki pędzi szlachcic Sulatycki 4000 baranów, 2000 owiec, 3000 wołów i 600 jałowic. Według juramentów, zapisanych w księgach trembowelskich, wysłano z samych najbliższych okolic Trembowli na wiosnę w r. 1607 na targi przeszło 6000 wołów, głównie z danin chłopskich, t. zw. powołowszczyzny. ³⁾ Przeznaczone za granicę bydło szło przeważnie na Gdańsk lub na Szląsk — w kraju bywały na nie jarmarki w Kołomyji, Jarosławiu, Przemyślu, Kamionce strumiłowej, Jaworowie i t. d. Niezliczone wszakże myta i przykomórki szlacheckie, jak hamowały swobodny obrót towarów i były nieznośną plagą polskiego handlu, tak też i utrudniały export bydła. Nie płacił wprawdzie szlachcic cła od bydła własnego chowu lub z t. zw. powołowszczyzny poddanych, co stwierdzał zresztą bez żadnej kontroli przysięgą sługa prowadzący woły, ale opędzać się musiał prawem i lewem mytom szlacheckim, a jaka ich była ilość, da nam wyobrażenie fakt, że na przestrzeni od Turki do Jaworowa, od Drohobycza do Jarosławia dopominano się 174 razy o myto słuszne czy też uroszczone, a na każdym takim mycie żądano od 2—6 groszy od sztuki. Niemniej zdziercze były opłaty targowe pobierane po miastach dzie-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 326 p. 1224—5.

²⁾ Agr. Halickie, tom 137 p. 1409.

³⁾ Agr. Trembowelskie, tom. 106 pp. 1457—76.

dzicznych przez szlachtę; w Tarnopolu n. p., własności kasztelana krakowskiego księcia Janusza Ostrogskiego, pobierał żyd arendarz książęcy w r. 1615 pięć opłat od razu: grobelne, spaśne, targowe, wozowe i pomierne.

Ale ziemia halicka i ziemia przemyska nietylko z roli żyły ale i z soli. Z roli i z soli powstawały tam fortuny, z roli i z soli urosły nowe możnowładcze rody jak Potockich i Lubomirskich, których nagła krescytywa właśnie w te pierwsze lata XVII. wieku przypada. Kto żyw, handluje w obu tych ziemiach solą: szlachcic, magnat, mieszczanin, chłop, żyd. Olbrzymie transporty rozchodzą się po całej Polsce, największe i najczęstsze do Torunia, do Bydgoszczy, do Kijowa i do Brześcia Litewskiego. Sól z ziemi przemyskiej wysyła się wyłącznie skutami, a San w czasie spławnego stanu wody roi się od statków wyładowanych solą. W Torkach pod Przemyślem jest rodzaj portowego składu soli; w r. 1603 wezbrany San zabiera ztamtąd 8000 beczek soli, a była to tylko część całej przygotowanej do spławienia ilości. Drugi takiż skład istnieje w Ursku, trzeci w Sońnicy, czwarty w samym Przemyślu. Żegluga na Sanie jest podstawą specjalnego przemysłu, istnieje w Przemyślu osobne rzemiosło skutników i osobna klasa frachtarzy, t. j. przedsiębiorców transportu, między którymi najznacniejszym jest mieszczanin Marcin Zając. Nawet szlachta i to znakomita podejmuje się frachtarstwa, i tak n. p. głośny Jan Szczęsny Herburt nie waha się bawić tego rodzaju przemysłem; w r. 1601 podejmuje się frachtu 3000 beczek soli dla Wacława Kielczowskiego, starosty wschowskiego.¹⁾ Drohojowscy, Śrzedzińscy, Herburtowie i inni ze szlachty przemyskiej zawierają wielkie transakcje o dostawę soli; sam Derśniak sprzedaje w jednym roku około 3000 beczek

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 317 p. 530.

soli w Toruniu — ale nad wszystkimi góruje oczywiście Jerzy Mniszech, wojewoda sandomierski, w którego rękę jest starostwo samborskie z wszystkimi swemi żupami. W r. 1600 Mniszech ma na Sanie 14 dużych komięg »godnych do ładunku, ze wszystkimi aparaty i instrumenty do żeglowania potrzebnymi.«

Szkuta mieściła w sobie około 450—500 beczek soli i wyglądała z swoim wysokim masztem i dużym żaglem jak mały okręt. Zachowała nam się z powodu pewnego sporu prawnego z r. 1611 wizya takiej szkuty Sanowej, podająca szczegóły i nazwy, tem godniejsze przytoczenia, że nie spotykamy ich w *Flisie* Klonowicza. »Żelazo i okowy oddarte — czytamy w dokumencie tej wizyi — rudel wzięty, burnice połamane, za głową komora rozebrana, nie dostaje pojazd 16, lasek 9, a z przeczkami 6, maszt zepsowany w niwec, żagiel podarty, na który kilkadziesiąt półsetków płótna wychodzi, trysty z błodzem niemasz; sud dwóch i gar niemasz, dymaka i jakieru niemasz; rysi niemasz; bosaka niemasz, drzwi u komory wyprawnej niemasz, sformia zależnego od szyby niemasz, plichta zgniła, w rufie narożnice żelazne poodrywane; reja zgniła, wręga w rufie spadana; tamże sama szkuta u tej wręgi w umrachu się naruszyła, że dnem bardzo ciecze.«¹⁾ Na takich szkutach przewożono także zboże i popioły do Gdańska, a Anglicy Wilhelm Alandt i Ryszard Lewes głównie z Przemyśla i Sanem wyprawiali wielkie ładunki polskiej pszenicy na zamorskie targowiska. Ale te wszystkie szkuty, komięgi, tratwy, dubasy, unoszące falami Sanu i Wisły bogactwa ziemi polskiej, nie podnosiły niestety ekonomicznie kraju — i wiele prawdy boleśnej leży w słowach współczesnego poety:

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 327 pp. 616—18.

Pan nie nasyci morza bezdennego,
Wsie nie nasycą pana choć jednego,
Tak wszystko ginie, co użną poddani,
Jakby w otłchłani!

Dochody magnackie rzeczywiście ginęły jakby w otłchłani. Choć bywały olbrzymie, nie stały przecież w odpowiednim stosunku do bogatej wydajności źródeł, z których płynęły. Ogromne obszary ziemi w posiadaniu jednostek, w ręku najczęściej marnotrawnym a zawsze niezabiegliwym i nieprzedsiębiorczym, najgorzej administrowane, nie dawały i części tego, co dać mogły, bogaciły tylko dzierżawców, którzy gospodarowali na nich prawdziwie po tatarsku. Przyczyniała się do tego i krótkość czasu dzierżawnego (3—4 lat), która zmuszała niejako dzierżawcę do gospodarki bez jutra, polegającej raczej na rabunku ziemi niż na jej uprawie, a co stokroć gorsza: na bezlitośnym, tyrańskim wyzyskiwaniu pracy i dobytku poddanych chłopów. Puścić dobra w zastaw lub dzierżawę, znaczyło to najczęściej wydać je na spustoszenie, chłopów na pastwę chciwości. Lustracye majątków i inwentarza poddanych, spisywane przy oddawaniu w dzierżawę i przy odbieraniu z dzierżawy, spotykane często w aktach województwa ruskiego, dają nam tego wymowne przykłady. Po panach Odrzychłopskich — tak nazywano niesumiennych dzierżawców — wyglądało jak po Tatarach. Budynki poniszczone, chłopci zubożeni i w uszczupionej liczbie, bo ich wiele puciekało, lasy spustoszone, role zjałowione — a na domiar złego czynsz dzierżawny nie zapłacony i dzierżawca krnąbrny i uporny, który ustąpić się nie chce i przemocą wyrzucać go trzeba. Bez wyboru, na chybi trafi, przytoczymy tu jeden przykład. Oto w jakim stanie odbiera wsie swoje Berezki i Matyaszową Wolę cześnikowa sanocka Anna z Sienieńskich Balowa od dzierżawcy Dunikowskiego: »Dla ucisku chłopów kilku uciekło; pola pod zimę nie zasiane, grunta spustoszały, bo ich trzy lata

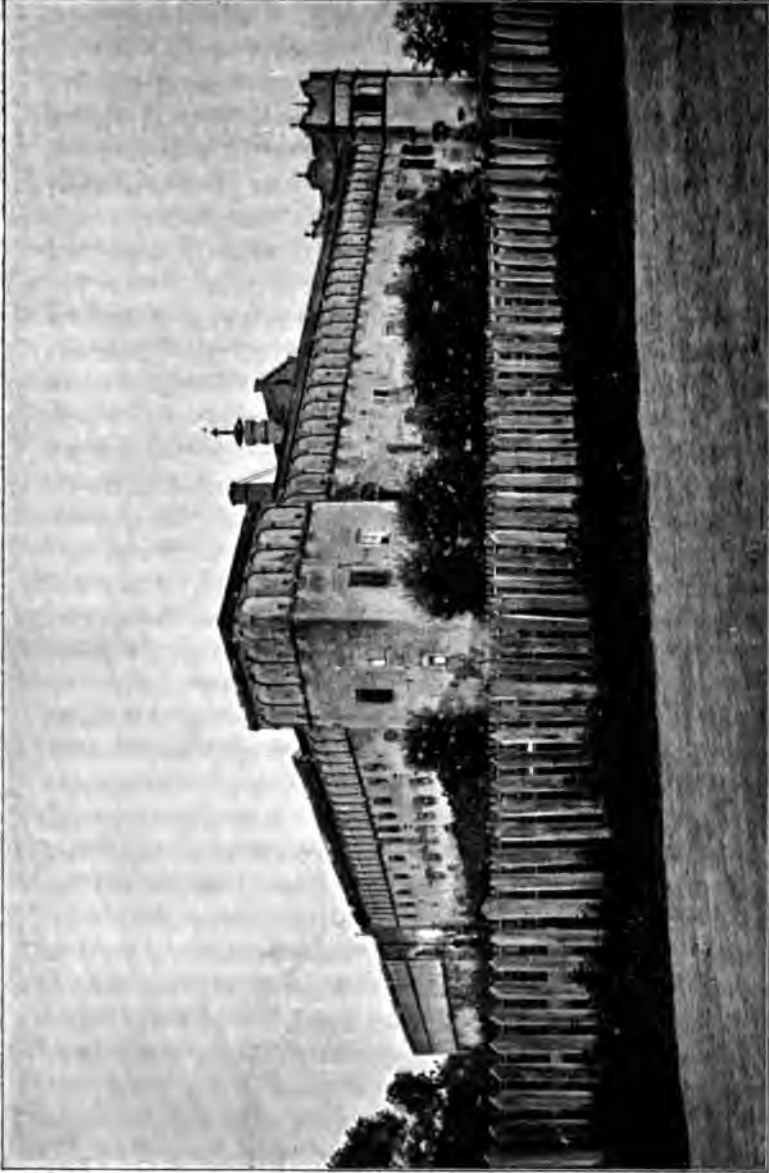


Fig. 14. Zamek w Staremsiole.

nie uprawiano; słomę przez cały czas sprzedawano; kmiecie zamożyste zgnędniono, iż się ledwie na rolach zatrzymali; dwór spustoszony, pogniły i obleciały, że kiedy deszcz przypadnie, głowy niemasz kędy skłonić; pieca ani okna nigdzie całego niemasz; komory i spiżarnie podobierane, deski z nich pozabierane; szopy rozwalone; ostrogi i parkany wszystkie popalone; stoły, sprzęty, naczynia powywożone, lasy haniebnie przerabane, staw w Berzkach do szczętu wyłowiony i pusty; pod zimę ziarnka jednego nie zasiano; żadnego osiewka na jarz nie ma; chłopów dzierżawca bijał, tłukł i sadzał; pierwej obuchem uderzył niż słowo wymówił, ani się było sprawić ani wyprosić.«¹⁾

Nie Tatarzy to sami, nie Kozacy, nie Szwedzi tylko poniszczyli nasze wspaniałe zamki, nie sam ząb czasu, nie sam ogień, nie same klęski publiczne w pustkowiu i gruzy obróciły monumentalne wielkopańskie rezydencje — w bardzo znacznej jeśli nie równej mierze padły one ofiarą dzikiego zaiste niedbalstwa, cnciwości i wandalizmu niesumiennej dzierżawców, którym się dostały w opiekę i czasowe posiadanie. Zamek w Starem Siole, jeden z najwspanialszych swego czasu monumentów na polskiej ziemi, zbudowany około r. 1654 przez księcia Władysława Dominika Zasławskiego, dziś jeszcze imponujący szczątkami swej pierwotnej architektury, już w trzydzieści lat po swoim ostatecznym wykończeniu był ruiną, a to dzięki tylko dzierżawcom. Warto przytoczyć, w jakim stanie odbiera go w r. 1687 od dzierżawcy Mikołaja Strzałkowskiego, podstolego żydaczowskiego, wdowa po Zasławskim, Katarzyna z Sobieskich, wtórego małżeństwa księżna kancelaryna Radziwiłłowa. »A naprzód zamek starosielski — czytamy w akcie kondescensyi — *cum tota circumferentia* począwszy od baszty, która ma w sobie stołową izbę, aż

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 158 pp. 1231—8.

do pokoiw, które są jeszcze w fabryce nieskończone, ku kapustnej baszcie: Dachy wszystkie nad tą basztą i pokojami miejscami *permixtim* to po jednym to po dwóch szarach nowemi gontami pokryte, jednakże to wszystko jako rzeszoto i dziur siła, przez co pułapy i belki pogniły, aż ze strachem po nich chodziliśmy. W pokojach zaś od tejże stołowej izby w baszcie okno z rzadka które całe, więcej ich jest gontami to po połowie to całkiem pozabijanych. W dolnych zaś pokojach takież nieporządek, gdzie ani pieców ani okien niemasz, drzwi bardzo ladaco, gdzie też *ad praesens* konie postawiono; gnojów co nie miara przed nimi i przed cekauzem. Baszta kapustna, tej *medietas* niepokryta, i piwnica pod nią zapadać się poczęła, połowę zaś zapierzył tarcicami p. Strzałkowski dla zboża sypania. Od tej baszty kapustnej aż do baszty cebulnej ganków niemasz, tak samo aż do baszty nad nową bramą. Baszta cebulna rozpadła się na dwoje, nic nie przykryta *minatur ruinam*, aż ją dwoma dębami teraz świeżo wsparto. Baszta nad bramą, gdzie jest mieszkanie i ganek, ta się rozpadła w czterech miejscach do połowy i t. d.¹⁾

Jakoż nie dziw, że między właścicielem a dzierżawcą przychodziło do najostrzejszych zatargów. Większa część tych zbrojnych napadów i zajazdów, o których czytamy w księgach grodzkich, to tylko energiczne rumacye, do których uciekać się musi doprowadzony do ostateczności dziedzic, a którym rugowani dzierżawcy w protestacyach swych i pozwach w potwarczy sposób nadają postać aktów gwałtu, samowoli i okrucieństwa. Mimo tak niedobrych doświadczeń mało który z panów sam administrował nadanem sobie starostwem; otrzymawszy je puszczano zaraz w dzierżawę, bardzo często za bezcen.

Przytoczymy kilka przykładów i cyfer, wprowadzie niedostatecznych do wysnowania z nich jakichś stanowczych

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 451 pp. 1157 i dalsze.

wniosków, ale zawsze orientujących do pewnego stopnia. Starostwo lwowskie, liczące około 30 wsi i dwa miasta: Szczerzec i Gliniany, przyniosło wraz z przypadającymi na starostę opłatami z miasta Lwowa, które czyniły 2236 zł., w r. 1617 razem dochodu 12.316 zł., a dochód ten spadł w r. 1639 na połowę, bo na 6869 zł.¹⁾ Jerzy Mniszech płaci w latach 1606—10 za całą ekonomię samborską do skarbu tenuty rocznej 20.000 zł.; Piotr Opaliński, krajczy kor. wydzierżawia w r. 1595 Ormianinowi Janowi Łukasiewiczowi starostwo rohatyńskie na trzy lata za roczną tenutę 5200 zł., a nadto ma mu dzierżawca co roku na Matkę Boską Gromniczną przysyłać do Leżajska dwie baryły muszkatela, dwie baryły miodu-patoki, dwie beczki przednich ryb solonych, a na św. Jan Chrzciciel 200 baranów i 16 wołów.²⁾ Stanisław Górka, wojewoda poznański, wydzierżawia Ormianinowi lwowskiemu Krzysztofowi Awedykowiczowi całe starostwo buskie wraz z stawami i użytkowaniem lasów na cztery lata, a tenuta dzierżawna za czwarty rok (1583) wynosi 7150 zł.³⁾ Jan Szczęsny Herbut wypuszcza Gdańszczaninowi Jakóbowi Kemmerling starostwo mościskie na 4 lata (do r. 1603) za ryczałtową sumę 25.000 zł., a następnie znowuż na 4 lata Wojciechowi Witosławskiemu już tylko za 17.000 zł. Roczna tenuta wynosi tedy w tym wypadku tylko 4250 zł., a dzierżawa oprócz miasta Mościsk obejmowała 12 wsi.⁴⁾ Przerembscy, Maxymilian i Elżbieta z ks. Zasławskich, objąwszy po śmierci tegoż

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 372 pp. 1231—1274 i tom 390 p. 773.

²⁾ Acta Consular. miasta Lwowa z r. 1595 p. 1149.

³⁾ Inducta Jud. Civil. miasta Lwowa, tom XV. pp. 275—285. Bliższe interesujące szczegóły kontraktu podałem w książce mojej: Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie str. 287—289, dokąd czytelnika odsyłam.

⁴⁾ Agr. Przemyskie, tom 356 p. 528 i tom 321 p. 1052.

Herburta starostwa mościskie i wiszeńskie, wydzierżawiają w r. 1623 starostwo mościskie Samsonowi Powalskiemu już tylko za 1700 zł. rocznej tenuty, a starostwo wiszeńskie w r. 1618 na 3 lata Stanisławowi Michałowskiemu za rocznych 3000 zł.; Adam Hieronim Sieniawski, podczaszy kor., wypuszcza swemu podstarościemu Filipowi Rykowskiemu w r. 1619 starostwo jaworowskie wraz z zamkiem i miastem Jaworowem, piętnastu folwarkami i wsiami, z rudą krechowską, hutą i szabelnią, z wszystkimi prowentami, z poddanymi i ich robocizną, z podatkami, czynszami, karczmami, młynami, z miarami słodowymi, z paleniem gorzałek i z browarem krechowskim, z paśnem, mytem, »nic *penitus* w mieście i we wsiach sobie nie zastawując,« na lat cztery, na każdy rok za sumę 13.200 zł.¹⁾ Książę Karol Korecki wydzierżawia Jędrzejowi Łochowskiemu miasteczko Skałat, Nowosiółki, Kamionkę, Kołodziejówkę i dwie inne wsie na trzy lata za ryczałtową sumę 6450 zł., Katarzyna z ksiąząt Ostrogskich Tomaszowa Zamoyska, podkanclerzyna kor., Stefanowi Wronowskiemu całą Tarnopolszczyznę z olbrzymim obszarem ziemi, z »czynszami, młynami, miodami, stawami, daninami« za roczną sumę 22.000 zł.; Piotr Potocki Janowi Łęskiemu dobra starostwa śniatyńskiego na cztery lata za ryczałtową sumę 28.000 zł., Jerzy Kalinowski Alexandrowi Ubaldiniemu i Robertowi Bandinellemu dobra Snowicz i Czyżów na trzy lata za ryczałtową sumę 6000 zł., Maryna Mohilanka Firlejowa, wojewodzina sandomierska, Nikodemowi Kurowskiemu miasto Manasterzyska i wsie Jezierzany, Wierzbiatyn, Borniki, Ciechów, Bernówka, Słobódka w ziemi halickiej na cztery lata za łączną sumę 21.000 zł.²⁾ Dochód roczny z dóbr Miżynieckich w przemyskiej ziemi (Miżyniec, Boratyn, Stroniowice, Gdeszyce,

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 372 p. 714—20.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 389 p. 484 i tom 390 p. 180.

Zwrotowice, Hruszatyce, Radochońce) wynosi w r. 1603 razem 13.107 zł.¹⁾

Począwszy od ostatnich lat XVI. wieku coraz częściej spotykamy na dzierżawach żydów. Z początku dzierżawią tylko karczmy i młyny, a także i myta, jeśli dziedzic ma prawo je pobierać. W r. 1597 żyd, który nawet w aktach nie figuruje już jako *infidelis* ale jako »pan« lcek, dzierżawi od starościny chmielnickiej Barbary z Potockich Strusiowej wszystkie karczmy i młyny jej dóbr rozległych. W pierwszej połowie XVII. wieku wszędzie już niemal żydzi trzymają karczmy, na których poprzednio siedzieli zawsze chłopci. Choć im niewolno było, zaczynają brać się do dzierżaw majątków ziemskich, zazwyczaj na imię podstawionego chrześcianina. Praktyka ta zagęszcza się coraz bardziej z biegiem czasów a około roku 1650 przybiera już takie rozmiary, że szlachta województwa ruskiego na sejmiku wiszeńskim bardzo energicznie przeciw niej występuje: »Żydy wbrew prawom arendują dobra szlacheckie i królewskie — czytamy w laudum sejmikowym — a to pod pretextem jakoby ze szlachecką osobą spisany. Starać się mają pp. posłowie, aby taki żyd arendarz *poena colli et confiscationis bonorum*, a szlachcic, pod którego imieniem i kontraktem takowe dobra żyd by trzymał, *poena falsi* w trybunale był karany.«²⁾

Przy taxowaniu wartości dóbr dziedzicznych brano za podstawę dochód roczny przez 15 pomnożony -- był to klucz prawem i zwyczajem utwierdzony — *ut moris et iuris est*, jak się wyrażają przy takiej sposobności taxatorowie. Kiedy syn Jana Szczęsnego Herburta, Jan Leon, zniewolony był zrzec się dobromilskich dóbr i oddać je wierzycielom, oszacowano cały dochód roczny tych posiadłości na mało co więcej niż 14.000 i oznaczono tym

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 319 p. 1861.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 377 p. 1766.

sposobem wartość ich na 215.000 zł.¹⁾ Suma ta stanie się wymowną, jeżeli zważymy, że Jan Leon Herburt miał oprócz samego miasta Dobromila 10 wsi, a między niemi dwie żupy solne, Lackie i Pastewnik, i że sam obszar dworski w tych dobrach wynosił co najmniej 7 do 8000 morgów — a gdzież wartość pańszczyzny, czynsze od łanów chłopskich, młyny, karczmy, sól i myta? W roku 1631, w którym te dobra taxowano, wartość złotego była już bardzo niska, suma więc 215.000 złotych ówczesnych nie przenosi znacznie dzisiejszego miliona koron i daje miarę, jak niskie były w tym czasie dochody z dóbr ziemskich.

Jak już wspomniano, wyjątkowy to był pan, który posiadając rozległe włości, nie oddawał ich na łup dzierżawcom lub nie puszczał ich zastawem, ale sam gospodarował na nich z znanstwem i zamilowaniem. Takim jedynym na całą Czerwoną Ruś wyjątkiem, jedynym przynajmniej nam znanym, był Jan Ostroróg, wojewoda poznański, jeden z najznakomitszych gospodarzy swego czasu w Polsce. Jego Komarno mogło być akademią rolniczą dla całej ziemi lwowskiej, ale nie było nią niestety, przeciwnie, wszystko przemawia za tem, że klucz komarzański, który dziś nawet, przy tak wielkim postępie teorii i praktyki agronomicznej, mógłby uchodzić za wzorowy okaz rolnego gospodarstwa, był jakby oazą na pustyni i nie wywoływał naśladownictwa. Podziwienia godny ład i rozum panował w tych dobrach; sam wojewoda, który lubił bardzo Komarno i najczęściej w niem przemieskiwał, zorganizował całe gospodarstwo aż do najdrobniejszych szczegółów i doprowadził do tego, że co tylko ziemia dać mogła w owych czasach bez przemysłu i bez komunikacyj, dawała mu w obfitości. Nie mówiąc już o wzorowej uprawie roli, czego tam nie było! Browary,

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 350 pp. 441—466.

gorzelnie, owczarnie, stadniny, gospodarstwo stawowe na wielką skalę, pszczelnictwo prowadzone racjonalnie i na ogromne rozmiary, młyny, rozległe sady o najszlachetniejszych szczepach, chmielarnie — zgoła wszystkie gałęzie gospodarstwa rolnego były do wysokiego stopnia rozwinięte. Ostroróg może sam jeden na Czerwonej Rusi dbał o konserwację lasów; podczas gdy inni wypalają je na potasz, on zalesia całe obszary dębiną, i jego to są słowa: »Kto dębu utnie, jakoby chłopą zabił.« Amator drzew i ogrodów, obsadza swój dwór we Lwowie i swoje dwory wiejskie w Komarnie, Dubaniowicach i t. d. topolami, tysiącami wierzb osłania budynki i zwierzyńce, utrzymuje rozkoszne wirydarze, ma pomarańczarnię i figarnię, uprawia wino. Sam wielki myśliwy, dba o ochronę zwierzyny, karmi ją w czasie ostrej zimy, zakłada zwierzyńce, prowadzi także chów łabędzi na szeroki rozmiar.¹⁾

O przemysłowej stronie gospodarstwa rolnego oczywiście mowy być może w tych czasach. Spotykamy zapiski o kilku hutach żelaza i szkła; tu i owdzie jakiś bardziej przedsiębiorczy szlachcic dobywa saletry, jak n. p. Michał Stanisławski między Zabłotowem a wsią Dymitrze. Bracia Buczaccy, Mikołaj i Jan Zbożny, czyniąc w r. 1591 między sobą dział majątkowy, zastrzegają sobie, że »zbieranie hałunu, żywicy, r o p y *alternative* być ma; *item* z ł o t a będą li chcieli szukać, wspólnie to czynić mają, a jeden przez drugiego tego czynić nie ma.«²⁾ Bogatym źródłem dochodu są stawy bardzo liczne w województwie ruskiem, jak n. p. złoczowski, szczyrzecki, kurowiecki, podhajecki, komarzański, brzeżański, tarnopolski, gródecki i t. p., które prawie wyłącznie wynajmują mieszczanie lwowscy.³⁾ Z ubo-

¹⁾ Cf. Jan Ostroróg, Kalendarz gospodarski na horyzont komarzeński w *Materyałach do dziejów rolnictwa w Polsce*, str. 64—82.

²⁾ Agr. Halickie, tom 115 pp. 23—7.

³⁾ Cf. Wł. Łoziński, *Leopolitana* w »Kwartalniku Historycznym« z r. 1890 str. 445.



Fig. 15.

Chorągiew nagrobna.
Ze zbiorów Muzeum Czartoryskich.

cznych działów gospodarstwa wiejskiego najbardziej rozwinięty jest chów drobiu i pszczelnictwo. Uderzającą jest mnogość drobiu, chowanego przez ówczesne gospodynie; podkomorzyna halicka Raszkowa chowa pawie białe i szare, ma na podwórzu 172 kapłonów, Wyganowska kur i kurcząt 750, kapłonów 700; Dorota Świejkowska, dzierżawczyni Bybła, 500 gęsi, 1500 kur, kokoszy i kapłonów, »co po dworze chodzili,« a w kojcach osobno 150. Ale najwyższej rozwinięte jest pszczelnictwo; w każdej szlacheckiej wsi jest po kilkaset, przy każdej gospodarce chłopskiej po kilkanaście a czasami po kilkadziesiąt ulów. W lasach leżających, dopóki ich dzierżawcy Opalińskiego nie zaczęli nielitościwie korczować, kwitnie na wielką skalę bartnictwo, z samej Jednej dań pszczelna bartników tamtejszych, przynależna staroście, wynosi około półtora sta ulów. Wspomniane wyżej szlachcianki mają ulów: pierwsza Raszkowa 240, druga Łozińska 600; tyleż ma ich Jakób Poniatowski w Mogilnicy; w założeniach dobrach książąt Wiśniowieckich jest ich 800, w Strusowie i Sidorowie 1600, w kluczu buczackim 2500, w podhajeckim 2000 i t. p. Nie było przesady w nazwaniu krainy »mlekiem i miodem płynącej« i nie daremnie śpiewał Klonowicz w swojej *Roxolanii*:

Włoski mieszkańcze, cóż twoje nektary?
Co twoje wina przed nektarem Rusi?
Wino jest z ziemi błotnistej i szarej,
Miód prosto z nieba spuszczonej być musi,
Miód rosa niebios i manna jedyna,
Pszczółka ją zbiera do swego zacisza
Miody sycone są lepsze od wina!

W ogólności, jak to zresztą zawsze bywać zwykło, rządność i rozumne wyzyskiwanie źródeł gospodarstwa rolnego spotykamy częściej na miernych majątkach niż na magnackich *latifundiach*. Z inwentarzy spadkowych, których liczba jednakże w aktach bardzo jest skromna, mo-

żemy powziąć niejaki wyobrażenie o stopniu zamożności średniej szlachty. Po szlachcicu ziemi halickiej Prokopie Raszko pozostało w jego majątności Kropiwniku 130 stóg rozmaitego zboża, każdy stóg wartości od 40—100 zł., 785 sztuk rozmaitego bydła, 93 koni stępaków, drygantów, woźników, klaczy rodzajnych; sreber stołowych za 1200 zł., klejnotów za 5800 zł., garderoba wartości 3000 zł., opony, obicia i kobierce wartości 550 zł., 15 zbroi »hecowanych« i szmelcowanych a jedna złocista, 15 koncerzy, rzędów 15, rusznic i półhaków 28 i znaczny zapas nieoszacowanych a kosztownych przedmiotów jak złotogłowia, kitajki, czapraki, namioty, płótna koleńskie, wilki, kuny, lisy, instrumenta cyprysowe i t. p. Między bardzo licznym ptactwem domowym figuruje ośm pawłów białych i szarych. Cały majątek ruchomy oszacowany na przeszło 100.000 zł.¹⁾ W procesie z Adamem Bałabanem z powodu gwałtownego zajazdu na Obelnicze Andrzejowa z Wyganowskich Łozińska produkuje inwentarz swoich ziemiopłodów i ruchomości. Inwentarz ten wykazuje jarego żyta kóp 900, pszenicy starej kóp 500, jęczmienia 600, owsa 1000, hreczki 400, prosa 200, krów dojnych i jałówek 140, wołów 130, wieprzów i prosiąt 300, słodów jęczmiennych 15, miodu gotowego beczek 20, słoniny półci 300, sadel 200, skór jałowicznych, baranich i owczych 220, masła fasek 60, krup rozmaitych półbeczków 60, jagieł 15, wielkie zapasy maku, siemienia i t. p. Garderoba nadzwyczaj bogata: ferezye, delie, żupany, kurty z najkosztowniejszych materyj, jak złotogłów, szkarłat, aksamit, adamaszek, atlas, podbite sobolami i rysiemi, ozdobione pętlcami i guzami z złota, pereł, rubinów, turkusów; broń wykwinna i bardzo kosztowna, jak pałasze złociste, sadzone drogiemi kamieniami, zbroje, rzędy, czekany bogato oprawne, strzemiona srebrne i t. d.²⁾

¹⁾ Agr. Halickie, tom 113 pp. 79—93.

²⁾ Agr. Halickie, tom 114 p. 1628 i tom 121 p. 1184

Z testamentów, które również rzadko tylko spotykamy w aktach z tego czasu, dają nam niektóre charakterystyczny obrazek człowieka i jego stosunków domowych i rodzinnych. Przedewszystkiem zapisać warto, że umierano śmiało, spokojnie, z prawdziwie chrześcijańską rezygnacją. Takie przynajmniej odnosi się wrażenie z ostatnich dyspozycji i z zeznań świadków stwierdzających w grodzie autentyczność testamentów. Podkomorzy halički Prokop Raszko, leżąc na łożu śmiertelnym, pyta swego przyjaciela Łychowskiego: »Panie Jakóbie, albo rozumiecie, że umrę?« On mu rzekł: »Umrzesz Waszmość.« »A kiedyż?« — Rzekł na to pan Łychowski, że dziś. »I tak?« »A tak!« Dopieroż p. podkomorzy: »Weźcież papieru i kałamarza.« Podyktował testament jasno i spokojnie, i kazawszy sobie podać pióro, rzekł: »Nie wiem, jeśliże podpiszę« — ale podpisał tak, jako za dobrego zdrowia podpisywał, czemuchmy się wszyscy dziwili.« ¹⁾

Bernat Suchorabski, o którym już była wzmianka powyżej, ewangelik, powiada w swym testamencie na wstępie, »że przyszedł na ten kres śmiertelnej choroby z wielu ustawicznych prac i kłopotów a po części z nieszczęśnej ludzkości polskiej, z niepomiernego życia swego.« Chciałby być pogrzebany na Rusi, jednak patrząc na czasy złe, »że te kwitnące pokojem kraje w wielką dezolację przychodzą od ręki pogańskiej i jako siła przykładów, że pogaństwo w nadziei łupów powydobywawszy z grobów i kościołów ciała zmarłych, płaćtu i psom je rozmiatywało,« każe się pogrzebać przy domu i na gruncie swoim w Bratkowskiej Górze. Pogrzeb ma się odbyć bez wystawy, a za to ubogim ma być dana hojna jałmużna. Z wielką czułością mówi o swojej żonie i o córkach, które żegna słowami pełnemi szczerego akcentu rzewności: »Najmilsze córki moje, zrzenie

¹⁾ Agr. Trembowelskie, tom 106 pp. 747—50.

oka i zdrowia mego, aż do ścia za mąż, co nie ma być prędzej nad lat 15 wieku ich, aby w czerni jako sieroty chodziły w muchajerze, a może być też adamaszek albo hatłas, ale żeby czarny.« Żonie wyraźnie poleca, aby po raz wtóry wyszła za mąż a to zaraz po wydaniu najstarszej córki Barbary, obierając sobie »przystojnego, poczciwego i osiadłego człowieka.« Niech za takiego człowieka wychodzi »z ostatkiem swej ojczystki i dostateczków i z temi 10.000 zł., które jej wiecznie darowuję, a to nie zawodząc i lat młodości swojej i obmowiska ludzkiego uchodząc.« Posagu córkom wyznacza po 10.000 zł. W gotówce zostawia 4000 zł. i około 600 dukatów, ale ma 28.000 zł. u wojewody poznańskiego Piotra Opałińskiego i u potomków Konstantego Korniakta na procencie. Żona ma być główną opiekunką i depozytaryuszką całej schedy, a w sprawach, »gdzieby się prawem pospolitem trudno ognać,« oddaje ją pod protekcję Tomasza Zamoyskiego, wojewody kijowskiego, i Mikołaja Firleja, kasztelana wojnickiego. Przy łożu chorego byli dwaj lekarze Włosi, Jan Secchini i Krzysztof Sapelli. ¹⁾

Niemniej charakterystyczny jest testament Alexandra z Rytwian Zborowskiego, założyciela szpitala dla starych żołnierzy we Lwowie. Sam osiwiął w służbie Rzeczypospolitej wojownik, w r. 1637 »czyni fundację na żołnierze stare, którzy częścią w potrzebach szwanki i okaleczenia ponosząc, częścią też dla strawienia pocztów i szkód podjętych od dostatków odpadłszy, a nie mając *modum vivendi*, mizernie z nędzy, z niedostatku, tułając się, umierają« — na co wyznacza 10.000 zł. »A ktoby się ważył temu postanowieniu lub *in toto* lub *in quavis minima parte* kontradykować, takiego każdego powoływa na straszliwy sąd Boży.« ²⁾ Testament Zborowskiego przeplatany jest cały

¹⁾ Agr. Lwowskie, z r. 1624, tom 376 pp. 774—81.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 388 pp. 670—2.

legatami w koniach, których znać wielkim był miłośnikiem — konie służą tekstowi jakby za interpunkcję. »Jako najczęściej bywa kontrawersyi o sumie i zbiorze pozostałym po umarłym — pisze Zborowski — tedy ja wzywam sobie na świadectwo Boga mego i nim się świadczę, iż w jednym trzosie 1000 czerwonych zł., w drugim trzosie 350 — więcej nie mam, tak mi Panie Boże daj oblicze swoje widzieć. Od żydów arendarzy Mikulinieckich wziętem dziś, jako to 10 *junii*, półszostaset zł., z tych zaraz posłałem doktorowi do Lwowa na potrzeby i na strawę 270 a aptekarzowi tarnopolskiemu 12 zł. Powiniennem dać p. podkoniuszemu kor. (szwagrowi Rafałowi Grochowskiemu) 10.000 zł. *ex nunc*. Jest złota niemało i klejnocików moich przykupionych, a jeśli by nie wystarczyły, jest srebro zgotowane. Są woźniki szpakowate poszóstne i kareta zaś poszóstna i wóz z przykryciem skarbowy. Koń turecki siwy z rzędem nowym z puklikami szmaragdowemi, z siodłem oprawnem w srebro i strzemionami srebrnemi, czaprak czerwony kanafacowy, bom cudniejszego nie miał — to wszystko ma pójść na odprawowanie sług. Gospodyni pani Maryi 200 czerw. zł. — a dla miłosierdzia Bożego nie bierzcież jej nic, zaklinam was i powoływam na sąd Boży.« Sługom dawniejszym zapisuje po 100 zł., »nowotniejszym« po 50, hajdukom po dwumiesięcznym żołdzie.

Pogrzeb ma być jaknajskromniejszy, nawet trumny mieć nie chce. »Schować moje ciało nigdzie jeno tam, kędym sobie nagotowałem, bez żadnych ceremonij, bez trumny, tylko w delurce a kapciach w kilim obwinąwszy biały. P. Korycińskiemu dropiasty koń turecki z nagłówkiem złocistym, temuż 20 klaczy stadnych, p. Hieronimowi Zborowskiemu koń turecki od Ormian, siodło czerwone półszkarłatne złociste z nagłówkiem. Pałasz mój złocisty i buławkę i sajdkę p. Korycińskiemu, koncerz też i kulbakę z strzemionami złocistemi nową. Panu Hieronimowi (Zborowskiemu) 6 klaczy stadnych, X. arcybiskupowi (Iłow-

skiemu Stanisławowi Grochowskiemu) 6 koni moich siwych woźników dropiastych. Koni 6 gniadych i karetę starą po nieboszczce pani pozostałych też żeby przyszły p. podkoniuszynie (Grochowskiej), bo się nie zawiezie z białogłowami na jednej. Mojej Maryni dawnom dał koniczków tarantowatych 6 niestarych i karetę starszą, żeby nie szła pieszo — niech jej tego nie biorą dla miłosierdzia proszę Bożego. Pani podkoniuszynie tak jakom dał, a pani Korycińskiej 30 koni i 100 owiec oddać i kłaczy 40. Panu podkoniuszemu i X. arcybiskupowi oddają w obronę i opiekę moją Marynię, której aby nie dał szarpać i marteryzować przez mękę Syna Bożego proszę; jako chciała Marynia zawsze na służbę się Bożą udać, tak i teraz ona nich dysponuje, proszę. Panu Wydźdze koń gniady turecki, kulbaka i rządzik mój złocisty srebrny, szablę złocistą, koncerzyk srebrny. Gospodarczyka p. podczasemu (Jakóbowi Sobieskiemu); panu przemyskiemu (kasztelanowi Felicyanowi Grochowskiemu rysiowaty wałach. Dłużnikom moim wszystkim, jako i pp. zięciom i p. synowcowi nizałd nie może być zapłata, jeno sprzedać majątność; dla miłosierdzia Bożego sprzedać ją jak najrychlej; pan krakowski (Stanisław Koniępcowski) już 160.000 zł. postąpił mi. Mikulińce, popłaciwszy ciężary, ostatek X. Adamowi, synowi memu dać. Panu Borkowi z dropiata tarant, panu lubaczowskiemu (kasztelanowi Albertowi Przedwojowskiemu) tarantowaty drygant; płowy wałach panu sędziemu...«¹⁾

Z innych nielicznych testamentów, jakie spotykamy w aktach, zapisać warto jako rys obyczajowy, że podczas gdy magnackie pogrzeby odbywają się z niesłychaną pompą a koszta ich dochodzą do sum bardzo wysokich, szlachta i to nawet zamożniejsza każe się grzebać skromnie, ale jednego przecież zawsze wymaga, a to zawieszenia nad grobem chorągwi. Szlachcic Piotr Karwowski prosi o to

¹⁾ Ibidem, pp. 686—90.

z naciskiem w swoim testamencie: »Chorągiew czerwoną kitajkową z napisem przystojnym pilnie proszę, aby małżonka moja miła dała zawiesić nademną.« Piękny i prawdziwie rycerski ten zwyczaj bywał jednak także powodem do zbytku; zawieszano nad grobami chorągwie z najdroższych materyj, haftowane złotem, malowane, obszywane bogatymi galonami a nawet koronkami. »Ciało, proszę — są słowa ostatniej woli Jakóba Hreczyny, podkomorzego pińskiego — w kościele Ojców Franciszkanów lwowskich śród kościoła niedaleko ławek sokołowskich przed wielkimi formami, kędym był zwykł swoje niegodne modły sprawować, aby pochowane było. Nad którym grobem dać z kitajki dubli czerwonej dwa ogony zrobić rycerskie, po brzegach onę kitajkę pozłocić i na rohatynie czapkę z piórem przewlec i tak nad cielskiem mojem zawiesić, napisawszy kilka słów, a rozumiałbym tak: *Tu leży szlachetny Jakób Hreczyna, zmarły die (vigesima septembris) Anno 1634. Oremus pro eo* — i dalej nic; wywijasów nie potrzeba i owych fartuchów białogłowskich zawieszać także nie potrzeba.«¹⁾ Jan Zaporski prosi żonę, aby go pogrzebała »bez wszelkich figłów i okazałości, tak mąszkar konnych jako i innych rzeczy niepotrzebnych« i aby go nie konie do grobu wiozły, ale żebracy nieśli, ale przecież żąda koniecznie, aby nad grobem chorągiew zawieszono. Lwowski kościół Bernardynów był ulubionem przez wojskową szlachtę miejscem do zawieszania takich chorągwi pamiątkowych po poległych w boju towarzyszach. W r. 1613 po powrocie z wojny moskiewskiej pietyzm rycerski uczcił pamięć tych, co już nie wrócili z pola bitew, zawieszeniem u Bernardynów takich *labara funebria*. Cały las żałobnych chorągwi zwieszał się z środkowego stropu kościoła; były tam chorągwie Zaporow-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 385 p. 863.

skich, Łaskich, Dawidowskich, Chmieleckich, Ramułów, Żaboklickich i innych poległych na polu chwały. Niestety, potomni nie uszanowali tych zabytków rycerskiego obyczaju — nie dochował się z nich ani jeden.



Fig. 16.

Ornament z Aktów Lwowskich XVII. w.

ROZDZIAŁ TRZECI

PLAGI ŻYWOTA

I.

TATARZY JAKO PLAGA CHRONICZNA. FATALISTYCZNA REZYGNACJA. ROZPRZEŻENIE MORALNE. WYKUP Z JASSYRU. ALEXANDER BAŁABAN I JAN ŻÓŁKIEWSKI. OPowieść WYPRAW OKUPOWYCH. SAMOZWAŃCY.

Tatar, żołnierz swawolny, opryszek i zły sąsiad, to główni wrogowie życia, wolności i mienia owych czasów.

Zagony tatarskie to chroniczna plaga i klęska, to nie-szczęście i hańba zarazem całej Polski, a w najpierwszym rządzie tych ziem, o których mówimy. Pojmujemy całą głębię gniewnego wstrętu króla Batorego, który na pierwszy widok posłów tatarskich, przybywających do Polski po upominki w złocie i kozuchach, woła uderzając się po szabli: *Nolo ego huius bestiae tributarius esse!* Nawet przy uwzględnieniu wszystkich niedostatków organizacji państwowej w Polsce niepodobna prawie dziś zrozumieć, że naród tak bitny i waleczny, a który w sztuce wojennej nie ustępował innym współczesnym w Europie, że naród Tarnowskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Konięcpolskich, Czarneckich, Sobieskich mógł znosić te bezustanne zagony hord nieregularnych, źle uzbrojonych i łatwych do pobicia, jak tego tyle mamy dowodów, że tylko przypomnimy Martynów, gdzie Konięcpolski z 5000 rycer-

stwa rozgromił 60.000 ordyńców, lub wyprawę wołoską Jana Zamoyskiego, podczas której 7000 Polaków oparło się zwycięzko 40.000 Tatarów — niepodobna prawie zrozumieć, że warstwy rządzące nie miały tyle rozumu, tyle energii, tyle ambycji, powiedzmy otwarcie: tyle wstydu, aby jeżeli już nie zdobyć się, jak to przecież uczyniła sąsiednia Rosya, na zdeptanie zbójckiego wroga w samym jego gnieździe, to przynajmniej czujnością, odporem, zorganizowaną stale obroną granic ubezwładnić jego najazdy. »Przedmurzem« chrześcijaństwa byliśmy niestety także w bardzo biernem znaczeniu tego frazesu, w znaczeniu tego, na co dziś Niemcy mają nazwę *Pufferstaat* — bo na co się zdało myśleć o chrześcijaństwie, skoro nie umieliśmy myśleć o sobie. Lepsza była dewiza wenecka: *Prima Venezia, indopo i Cristiani*.

W kilka lat Tatarowie pięć krok nas wybrali,
Bracię naszą w niewolę Turkom zaprzedali.

Powiedział to Kochanowski w r. 1563, a ileż to tysięcy a nawet ile kroków ofiar jassyru przybyło w ciągu całego stulecia od tego czasu! »Nie wspominając dawniejszych rzeczy — powiada Stanisław Żółkiewski w r. 1618 — za mojej pamięci ordą wielką jako teraz, byli Tatarowie po trzydziesty raz w Koronie: bywały wojska, bywali hetmani, któż ich kiedy gromił?») Kiedy te słowa pisał, miał Żółkiewski lat 70; jeżeli pamięć jego sięgała nawet najpierwszych lat dzieciństwa, przypuścmy piątego roku życia, wypada ztąd, że prawie regularnie co dwa lata najężdżali Tatarzy Polskę ordą wielką, nie licząc małych i krótkich zagonów! Napady tatarskie miały prawie zawsze cechę nagłego zaskoczenia — w ostatniej chwili dopiero alarmowano ludność, palono ognie, bito z dział po zame-

1) Pisma Żółkiewskiego. W liście do Gembickiego, str. 300.

czkach; szlachta uciekała do miast lub do zamków, lud do lasów. Król rozsyła wprawdzie uniwersały przestrzegające o niebezpieczeństwie — spotykamy je w aktach prawie co roku — ale nim starosta rozeszle je między szlachtę, Tatarzy już siedzą na karku ludności. Wojewoda wzywa szlachtę do zbrojnego oporu, ale zawsze albo za późno, albo kiedy dość jeszcze wcześniej, to nadaremnie. Z błagalnego tonu wojewodzińskich uniwersałów, z zaklęć, do jakich się one uciekają, widać, jak trudno było skłonić szlachtę do zorganizowania obrony. »Takiego baczenia są ludzie — biada w swoim uniwersale z r. 1610 wojewoda ruski Stanisław Golski — że wolą zniszczyć i w niwec się obrócić od ręki pogańskich, aniżeli żołnierza ścierpieć. Spodziewać się pohańców co chwila potrzeba, a żołnierze, na których do kilkaset już pozwów wniesiono, pilniej drzwi prokuratorskich aniżeli Ukrainy strzedz muszą.... Pewienem tego, iż Waszmość Panowie i Bracia nie będziecie chcieli, w domiech swych na żonach, dziatkach, poddanych i na wszystkich majątnościach swych tego poganina jako jastrzębia na kokoszy łowić, ale raczej tu na pograniczu onemu odpór dawać, i jeśliby przyszło do tego, i w gnieździe jego onemu z gardła łup, któryby złodziej-ską prędkością i przewagą swą odniósł, wydrzeć.«¹⁾ »Przychodzi mi Waszmość Panów i Braci prosić — zaklina szlachtę w r. 1623 następny wojewoda ruski Jan Daniłowicz — abyście z miłości swojej ku ojczyźnie każdy pod miasty swe okoliczne kupić się raczyli. Ja też sam podług możliwości swojej pode Lwów się ruszę, tam zniósłszy się i jako najprędzej do kupy zebrawszy się mozem ojczyźnie upadającej jakkolwiek ratunek dać, bo zaprawdę Mości Panowie, lepiej jest umrzeć, aniżeli na takie ciężkie i okrutne spustoszenia miłej ojczyzny patrzeć.«²⁾ Szlachta

1) Agr. Halickie, tom 114 p. 212.

2) Agr. Halickie, tom 121 p. 1168.

najczęściej pozostawała głucha na te nawoływania. Te zagony tatarskie tak często się powtarzały, próby obrony były zawsze tak słabe i bezskuteczne, trwoga tak się ustaliła w sercach i tak ją dziedziczyły pokolenia od pokoleń, że nareście przyjść musiało do tego, iż odpór stał się niejako psychologicznem niepodobieństwem, że nauczono się najazdy pogańskie uważać za złe konieczne, nieuchronne, które pada jak piorun z niebios za wolą Bożą i nie da się odwrócić ręką ludzką — a nawet taki wojownik jak Stanisław Żółkiewski podzielał tę wiarę, podlegał tej fatalistycznej rezygnacji, skoro otwarcie nie wahał się mówić, że »Tatary gromić tak to niemal podobna, jako kiedyby kto chciał ptaki na powietrzu latające pobić.«

Ziemia lwowska i halicka najwięcej cierpiały od Tatarów, mniej ziemia przemyska a najmniej sanocka. Niektóre zagony tatarskie kończyły się doszczętnem spustoszeniem, obracały większą połowę całego województwa w bezludną pustynię — *in solitudine*, jak się wyrażają współczesne źródła. W r. 1620 jesienią n. p. grasowali Tatarzy przez dwa tygodnie w ziemi lwowskiej i pozostawili po sobie tylko zgliszcza; wszystkie wsie lwowskiego starostwa zostały z ziemią zrównane, cała niemal ludność wieśniacza poszła w jassyr; siola, dwory, folwarki poszły z dymem; ocalał sam tylko Lwów — oprócz niego *reliquum nihil*, wyraża się starosta Mniszech w swojej manifestacji.¹⁾ W halickiej ziemi w r. 1622 całe okolice zmieniły się w pustkowie, starostwo śniatyńskie całkowicie było zniszczone. We wsi Jesieniowie tego starostwa było 300 poddanych, po inkursyi zostało ich tylko 8, wieś Głuszków »spustoszona *funditus* od Ordyńców i nie masz jej tylko miejsce,« wieś Russów miała kilkadziesiąt dużych osad, pozostało 8 nędzarzy, Steczowa miała już tylko 5 dusz wszystkiego, a i ta garstka tułała się przy mieście,«

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 374, p. 89.

w Budziłowie zostało tylko 6 chłopów, w Roztokach tylko 6 i t. d.¹⁾ W ekonomji samborskiej w 1631 r. 700 łanów roli leżało pustką i odłogiem, bo chłopci, którzy je uprawiali, albo poszli w łyka tatarskie albo poginęli na miejscu.²⁾ Nieskończony szereg t. zw. obdukcij spalonych i spustoszonych wsi i miasteczek wlecze się przez akta po każdym zagonie tatarskim — materyał do oplakanej statystyki! Ale samo pustoszenie kraju i zabieranie do niewoli ludu było wprawdzie klęską najcięższą, ale nie jedyną. Zgubnem następstwem każdego tatarskiego zagonu była demoralizacya połączona zawsze z każdym popłochem mas, gwałtowne rwanie się wszystkich węzłów społecznych a nawet rodzinnych, budzenie się najgorszych instynktów. Wśród każdego napadu tatarskiego i bezpośrednio po nim pojawiały się bandy rozbójnicze, dopuszczające się mordów i rabunków na rachunek Tatarów; okrzyk pogański *Hałaj! hałaj!* stał się hasłem swojskich opryszków.

W trwodze i powszechnym odmiecie znajdowano dobrą sposobność do wykonania zemsty i innych zbrodniczych zamachów, nawet do pozbywania się zawadzących krewnych. W r. 1622 przejęto listy pisane przez watażków wołoskich do niektórych mieszczan ruskich w Kołomyi i Haliczu, z których to listów wynikało, że czekano napadu tatarskiego, jako dobrej pory do rabunków na własną rękę. Jest w aktach protestacya przeciw Fedorowi, Piotrowi i Iwanowi Lachowiczom i »inszym wszystkim tego narodu potomkom, mieszczanom halickim« i przeciw Iwasowi, mieszczaninowi śniatyńskiemu, jako »przeciwko buntownikom, iż oni mając pewne handle i braterstwa z obywatelami wołoskimi, będąc od nich o przedkiem nastąpieniu tatarskiem do Korony ostrzeżeni,

¹⁾ Agr. Halickie, tom 120 p. 1029—1035.

²⁾ Agr. Sanockie, tom 151 pp. 1321—1369.

urzędowi tak miejskiemu jak zamkowemu tego nie oznajmili ani odkryli i owszem dla przyjaźni i związków swych z Wołochy listy do siebie pisane zataili, zaczem nieprzyjaciele prędko i bez wieści wpadli.«¹⁾ Szlachcic Krzysztof Strzemeski oskarża swego stryjecznego brata Wojciecha, iż »on po śmierci stryja Pawła wziął *in curam* dziełki jego nieletnie Józefa i Jagnieszkę panienkę, także dobra ruchome i nieruchome. Ten to Wojciech tę to szlachetną panienkę Jagnieszkę podczas inkursyi tatarskiej swoje rzeczy do miasta sprowadziwszy, w domu swoim we wsi w trwogę sierotę biedną zostawił, a to *studiose* uczynił, aby przez Tatary była wzięta; jakoż tego dokazał, bo zaraz Tatarowie napadłszy wzięli i w niewolę wieczną do Ordy zaprowadzili, którą i do tych czasów dla successyi dóbr wymienionych wykupić nie chce.«²⁾

Gdzie się znalazł szlachcic zdeterminowany albo chłop męzny i roztropny, tam się pod jego wodzą organizował w zbrojne gromady lud wiejski i nieraz skutecznie nie tylko bronił swego życia i mienia, ale podrywał dzielnie Tatarów; chłop z Wiktorowa Ilnat Wysoczan, o którym jeszcze później mówić nam przyjdzie, zebrałszy sobie zastęp pokuckich górali, podrywał w r. 1622 zwyciężko Tatarów na »szlakach bednarowskich« i odbierał im jeńców i łupy, z czego się nawet bardzo zbożcił. Były to atoli wyjątki; w regule lud wiejski, odbieżony przez swoich panów, bezbronny, pozostawiony własnemu losowi, krył się z kobietami, dziećmi i dobytkiem do lasów i na trzęsawiska, a zachowały się niestety przykłady, że i tę drogę ratunku miał zamkniętą. »Famulus« Alexandra Bałabana, Jan Miłaszowski, pod nieobecność swego pana w czasie zagonów tatarskich w r. 1620 wypędził lud okoliczny kryjący się z lasów Hołoskowickich i sprawił,

¹⁾ Agr. Halickie, tom 120 p. 627.

²⁾ Ibidem, p. 1464—6.

że go bardzo dużo w jassyr wzięto.¹⁾ Mikołaj Staniński oskarża dzierżawców swoich Stanisława Wiszniowskiego i Jakóba Gąsiorowskiego, że chłopów z Żulina do robót nieludzkich gwałtownie wygonili w dzień Bożego Ciała do siania zboża, włóczenia, rowów kopania; tymczasem Tatarzy się pojawiły. Jeden, który ich spostrzegł, zawołał, aby uchodzili, ale urzędnicy wzbronili tego; Tatarowie najechawszy, wielką liczbę poddanych, żon i dzieci i czeladzi ich na 600 wzięli w niewolę. Z dział w Stryju i Bolechowie bito a oni przecie robić kazali, przez co wieś całkiem opustoszała i w niwec obrócona.²⁾ Są to przecież na szczęście rzadkie, całkiem wyjątkowe wypadki i nikną wobec licznych przykładów heroizmu i poświęcenia, okazanego właśnie przy sposobności tatarskich zagonów. Z źródła, z którego czerpiemy, przykładów takich przytoczyć wprawdzie nie można, a tłumaczy się to faktem, że akta już z natury swej bywają ujemne, ale znajdzie je czytelnik w literaturze naszej historycznej, że tylko przypomniemy szkic Karola Szajnochy, traktujący o tym samym przedmiocie.

Wiele materiału obyczajowego podają spory, jakie się wywiązują z powodu wykupów z niewoli tatarskiej. Niekiedy wykupiony nie zwraca pieniędzy wyłożonych przez osobę, która go wykupiła, albo osoba ta rości sobie większą pretensję do nagrody, aniżeli jej przyznać chce strona przeciwna. Wykupem jeńców tatarskich zajmują się niemal zawodowo Ormianie polscy, obdarzeni sprytem wrodzonym do takich wielce utrudnionych niekiedy transakcyj, a przy tem doskonali znawcy całego Wschodu, jego języków i stosunków; obok Ormian pośredniczą w tem żydzi a między nimi specjalnie Karaici haliccy, w końcu zaś polscy renegaci, t. zw. poturmacy,

1) Agr. Halickie, tom 120 p. 189—191.

2) Ibidem, p. 694.

którzy przyjęli wiarę Mahometa i osiedli stale w Krymie lub w Turcyi, jak n. p. głośny tego czasu szlachcic z lwowskiej ziemi Białoskórski. W r. 1621 skarżą się Ormianie lwowscy, a to w liczbie dwudziestu trzech, że gdy Stefan Potocki, mąż Mohilanki, « był w Turczach w niewoli, ręczyli zań, za którym rękojemstwem z więzienia wyszedł, a z nich każdy *pro sua rata parte* zapłacił lichwę, która była urosła dla nieoddania sumy przez p. Potockiego i po dziś dzień roście.»¹⁾ Szlachcic Marcin Kuczowski świadczy się przed aktami: »Iż ja będąc w więzieniu w Tatarzech, gdzie i p. Sroczyński spólnie z p. Andrzejem Pawłowskim był w więzieniu, tamże p. Sroczyński starając się, aby jako najprędzej mógł być eliberowany, użył Tatarzyna swego, aby p. Pawłowski za rękojemstwem jego i innych Polaków był dla przedszego okupu zwolniony, który to p. Pawłowski za zł. 700 krom inszych upominków był oszacowany, za którą sumę p. Sroczyński Tatarzynowi za p. Pawłowskiego przyrzekał i ślubał... Pawłowski będąc za ślubem puszczony, nie pamiętając na przysięgę i sumienie swoje i na uczynność p. Sroczyńskiego, na czas pewny z Tatarzynem umówiony nie stawiał się, ani pieniędzy przysłał okrom ferezy falendyszowej, którą tylko za 100 zł. przyjęto, i Tatarzyna przez pacholka swego do Soroki przysłał, którego za p. Mokrzyckiego a nie w zapłacie p. Sroczyńskiego dano. Za czem p. Sroczyński musiał sumę, której nie dostawało, Tatarzynowi zapłacić. A co udawał p. Pawłowski, jakoby za mnie dał pieniądze Tatarom, tego nigdy nie było, bo mnie Makowiecki, sługa p. starosty halickiego, z p. Przyłuskim, szwagrem moim, wykupił.«²⁾

Przytoczyliśmy to zeznanie w jego całej osnowie, bo przykład jest typowy. Proces na temat wykupu z niewoli

¹⁾ Acta Consularia miasta Lwowa z r. 1621, pp. 122—145.

²⁾ Agr. Halickie, tom 121 p. 943.

najczęściej powstaje ztąd, że kilku jeńców za zgodą tatarską wysyła z pośród siebie jednego, aby postarał się o sumę wykupu dla wszystkich i z nią na termin oznaczony powrócił, przywożąc także okup za samego siebie; nieuczciwy wysłannik, rad że się wydobył z jassyru, nie wraca wcale, a ci współjeńcy, którzy mu zaufali, po długim a daremnem oczekiwaniu płacić muszą za siebie i za niego.

Przed temiż aktami halickiego grodu stawa w r. 1623 mnich Dominikanin Paweł Garwoliński i zeznaje: »Iż on z miłości swojej przeciw urodzonemu p. Andrzejowi Łozińskiemu i za pozwoleniem starszych konwentu czortkowskiego, w którym natenczas życie zakonne przyjąwszy mieszkał, jako się był podjął jechać do Ordy dla wyswobodzenia przereczonego p. Łozińskiego, tedy, że sumy tak wielkiej na ten czas nie było, za którą by był mógł być wolen od okrutnego pogańskiego więzienia, on za część pewną sumy pieniężnej za tego JM. p. Łozińskiego w więzieniu pogańskim zasiadł, z którego więzienia, aby go wyswobodził, p. Łoziński starał się, i gdy się okazała podała za bytnością tu w Haliczu posła sułtańskiego, a w niebytności samego p. Łozińskiego JM. p. Łozińska dała do rąk niewiernych Abrahama Kropiwczyna, którego Suką zowią, i Noego *alias* Nowickiego, rabina zboru karaimskiego halickiego, także Saczka Moszkowicza i drugiego Saczka Janiowego, karaimów halickich, 500 zł. i na upominki i insze potrzeby, jako o tem intercyza w grodzie halickim roborowana szerzej obmawia. A że Abraham Suka tak tu udawał, że on tam w Ordzie będąc pierwiej dał kilkaset zł. za przereczonego księdza Paulusa a ostatek teraz miał dać i onego z więzienia wyswobodzić i przywieźć bez omieszkania, tedy *idem recognoscens* tak zeznawa, iż ten Abraham Suka karaim halicki niesłusznie się tem chlubił, aby zań miał tam jakieś pieniądze dawać gotowe albo sukna coś dał, bo mu się nie ukazał ani go

widział. Ale za łaską Pańską, który zwykł miłosierdzie utrapionym pokazywać *et solvere compeditos, tempore opportuno* ks. Paulus z więzienia wyszedł....¹⁾

Po bitwie nieszczęsnej pod Cecorą głośną była sprawa między Alexandrem Bałabanem, starostą winnickim, a spadkobiercami Jana Żółkiewskiego, starosty hrubieszowskiego, który wraz z Bałabanem dostał się był w onej klęsce w ręce tatarskie. Bałaban pozwał Zofię Daniłowiczową, siostrę tegoż Żółkiewskiego, o zwrot 40.000 zł., które wrzekomo wydał na wykupienie brata z niewoli. W sporze tym zeznawali z obu stron świadkowie, a zeznania te tak pełne są interesujących szczegółów i tyle rzucają światła na cały proceder wykupu, że nie wahamy się podać ich tu w najgłówniejszych ustępach i słowami oryginału, aby nie zatrzeć pierwotnej barwy tych opowieści. Pozwana przez Bałabana Daniłowiczowa nie uznaje jego pretensyi, a niejaki Paweł Werner, niegdyś sługa Żółkiewskiego a obecnie dworzanin jej męża Jana, wojewody ruskiego, świadek naoczny klęski cecorskiej, składa przed aktami grodzkiemi lwowskiemi obszernie zeznania.

Na tymże placu pod Cecorą — opowiada — między inszymi fortuna p. starosty hrubieszowskiego i p. Bałabana taką częstką poczcila, że żywcem pan mój starosta hrubieszowski u mnie na rękach i ze mną wzięty, Dewlet Gierajowi sułtanowi Gałdze w wołoskiej ziemi oddany. A p. Bałaban w tymże razie pojmany Kantymirowi się dostał, gdzie mu się przez kilka dni zarazem przykrzono bardzo, ileże w drodze z wojskiem, które nas tu prowadziło, a drugie do Polski wpadło. P. Bałaban stał do nieboszczyka pana, aby przez jakie *pactum* mógł być pospołu u Gałgi; nieboszczyk zarazem asekurację dał Białoskórskiemu na upominki, żeby był eliberował p. Bałabana. Jakoż w kilka dni Białoskórski dostawszy p. Ba-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 121 pp. 1143—4.

łabana, pospołu ich złączył i od tego czasu byli już pospołu z sobą w drodze, i przyprowadzono nas do wsi Katardzi, zkąd listy dopiero do Polski panowie pisali. Pisał i p. Bałaban swą ręką do paniej kanclerzyny o pożyczanie pieniędzy.

»Tam we wsi Katardzi mieszkaliśmy — opowiada dalej Werner — póki Dniepr nie zamarzał, gdzie często poselstwa od Porty do Gałgi bywały, żeby więźnie cesarzowi odesłał, czego się on długo wzbraniał — aż za przykrem napominaniem i groźbamiznaczono do Porty nieboszczyka p. starostę hrubieszowskiego, p. Bałabana, p. Strusa i innych. Co bardzo frasowało nieboszczyka, chorego i potrzebnego. Nagotował się tedy nieboszczyk do Porty, ordynacye poczyniwszy i plenipotencyą dał na wszystko JM. p. Łukaszowi Żółkiewskiemu, a wzajem też dał p. Łukasz nieboszczykowi dyspozycję pismami także, bo nie wiedzieli, którego odeszłą — atoli potem odmiana stanęła, bo się większych pieniędzy za nieboszczyka spodziewali i na jego imię i miejsce p. Łukasza do Porty z innymi odesłano, a nieboszczyka i p. Bałabana, skoro Dniepr zamarzał, do Krymu zaprowadzono, gdzie przydawszy nam więzienia, szacować się wszystkim kazano, a wzięło to niemało czasu. Okup nieboszczykowski stanął był na 40.000 talarów, ale zaś za swoichże długimi językami, podniesiony dwojako na 80.000 talarów. Okup p. Bałabanowy na 18.000 talarów stanął. I kiedy już okupy stanęły, długo poswarki były między samymi więźniami, ktoby do Polski po okup jechać miał.« Zgodzono się nareście na to, aby jechał Jan Żółkiewski, bo był chory a nadto najłatwiej mu było wystarać się o pieniądze lub o kredyt na okup za siebie i za innych jeńców.

»Jużeśmy się byli z nieboszczykiem do Polski nagotowali, czemu wszyscy więźniowie bardzo byli radzi, tylko p. Bałaban perswadował różnie nieboszczykowi, żeby z Krymu nie jechał, raczej aby jego samego wysłał; po-



Fig. 17.

Pomnik Stanisława i Jana Żółkiewskich w Kolegiacie w Żółkwi.

wiadał to, że jeśliby był p. starosta wyszedł, nieboszczka p. kanclerzyna ¹⁾ nie dałaby była okupu jego i nie dbałaby była, choćby byli wszyscy przepadli. Na ostatek mówił, czego się wspominać nie godzi, i prawie upadając do nóg nieboszczykowskich prosił, aby on do Polski jechał, obiecując to, jeśliby go do Polski wyprawił, okup jego i swój, majątności swoje i dobra królewskie sprzedawszy, za niedziel siedm się stawić. Bo on to ukazywał, że nieboszczka pani kanclerzyna jako żywo wykupić go nie miała....«
Dyskretne a podstępne napomknienia Wernera o kanclerzynie, jakoby według zapewnień Bałabana nie można się było spodziewać po niej, aby zapłaciła okup za Jana Żółkiewskiego, rzucić by mogły cień na charakter tej czcigodnej matrony i na stosunki rodzinne Żółkiewskich, gdyby zasługiwały na wiarę. Jan Żółkiewski, starosta hrubieszowski, dostał się do niewoli w bitwie przy boku swego wielkiego ojca, którego był jedynym męskim spadkobiercą — jeżeli już nie miłość macierzyńska, to pietyzm dla pamięci hetmana, który w tej samej bitwie poległ po bohatersku, który idąc już na śmierć pewną, nie zapomniał uścisnąć jeszcze dłoni tego swojego syna — już sam pietyzm, powtarzamy, nakazywał Żółkiewskiej uczynić wszystko, co tylko było w jej mocy, ponieść choćby największe ofiary, aby tylko syna jaknajrychlej uwolnić z więzów pogańskich. Jakoż ani chwili przypuszczać nie wolno, aby inaczej być mogło, aby inaczej było. Sam zaś podany przez Wernera wrzekomy fakt, że Bałaban, który był bliskim krewnym wielkiego hetmana, bo urodził się z Żółkiewskiej, śmiał Janowi powiedzieć: Matka twoja za ciebie nie zapłaci; matka twoja, gdy sam wrócisz, pozostawi nas, twoich zakładników, w rękach tatarskich, każe ci złamać słowo, splamić swój honor i nazwisko ojca, zdradzić towarzyszy broni i niewoli, i że Jan okazać się miał przystępnym ta-

¹⁾ Regina z Herburtów Żółkiewska, małżonka hetmana.

kim uchylającym jego matce perswazyom — sam ten wrzekomy fakt, jeżeli nie jest tylko szczerą plotką famulusa, wytłumaczyć łatwo psychologicznym stanem chorego i przygnębionego jeńca, skłonnego do najczarniejszych myśli i do najbardziej złowrogich przypuszczeń.

Po tej dygressyi, która się cisnęła pod pióro, wróćmy do relacji Wenera. Żółkiewski zgodził się na projekt Bałabana, który też odjechał z Krymu do Polski, a pozostali jeńcy oczekiwali niecierpliwie siedmio-tygodniowego terminu, w którym miał powrócić, przywoząc im utęsknione wyzwolenie. »Czekaliśmy owych siedmiu niedziel, jak Boga — opowiada dalej Wenera. Ale i drugie i trzecie siedm niedziel minęło, a nas piekło jakieś miało, żadnej pociechy, żadnej wiadomości od p. Bałabana nie było.... Zażył sposobu p. starosta hrubieszowski, że różnie pytał się o sługach, o których się mógł dopytać w krymskiej ziemi, biorąc ich na swoją *fidem* i tych kilku za pozwoleniem Gałdzynowem z listami do p. Bałabana wyprawił, bo się nigdy nie spodziewał, aby go matka okupić miała, bo tak p. Bałaban udawał. Atoli kiedyś niekiedy doczekaliśmy się responsu od p. Bałabana, w którym wszystkie winy przeczytał pani kanclerzynej, że okupu nie chciała dać, więc i sam swego okupu dostać nie mógł.... Pan Wolski nam tę był wiadomość przyniósł, za którą wiadomością nieboszczyk nietylko się frasował ale i zwątpił o swoim wyjściu. Bo i to udano było, że JM. pan wojewoda ruski (Jan Daniłowicz) był też przeszkodą oswobodzenia; bardziej tedy gotował się nieboszczyk lubo na śmierć lubo na wieczne więzienie, a o wyjściu ani myślał, i popisawszy testamenta, woła swą wszystkie majątności zadnieprskie różnym osobom pozapisywał i tak testamenta jako i wiele innych pism i membranów gołych ośm przez p. Wolskiego do rąk p. Bałabanowych na dostawanie pieniędzy na okupy posłał, gdyż się nic od matki za pismem p. Bałabana nie spo-

dziewał. Bo co wiedzieć, czegoby się w takim razie nie uczyniło, a w niewoli utrapienia zewsząd przydawane hołśniejsze niżeli kajdany, bo od swoich. Już była dobra wiara, że jest piekło, którego wizerunki już się nam były dały znać.«

»Nareście jakoś w rok dano znać nieboszczykowi, że okup pani kanclerzyna na Zaporozie odesłała, z kądem radość, ale niedługa, gdy bowiem jak na pewne Szaszfar w kilkunastu tysięcy wojska nas ku Perekopu był przeprowadził — nowina zła: z Zaporozia pieniądze p. Bałaban do Winnicy wrócił, z jakiej przyczyny, Bóg wie. Powiadano przed nieboszczykiem, że się zdrady jakiej bał, ba i swego okupu nie miał zupełna. Na ostatek nowy hałas między samymiż pany w więzieniu będącymi; narzekali, że do Polski p. Bałabana wyprawił a sam nie jechał, więc i o te testamenta i o membrany gołe, które mu był posłał, na ostatek i konjekturowali, jako to w więzieniu, że i okup wiecznie miał przepaść i oni zginąć w niewoli. Bo z listów z Polski od różnych, tak od pani kanclerzyny jako i od inszych doszła późna wiadomość, że okup za p. starostę przed przyjazdem do Polski p. Bałabana gotowy był i Tatarom oddany i ni przez kogo inszego w tej mierze omieszkania nie było, tylko przez p. Bałabana, który wiele czasu, dostawając okupu swego, więc i u dworu i różnie strawił. Bo mu się trudno było do Krymu bez pieniędzy ukazać; bardzo tam niesłownych ukarają prędko. Dano było i o tem znać nieboszczykowi, że p. Bałaban miasto tego, coby miał dostawać pieniędzy na membrany, rady szukał w trybunale, jeśliby sobie nie mógł na tych membranach gołych prokuracyi albo długów zapisać.«

Nieszczęśliwy jeniec chwyta się ostatniego środka, jaki mu jeszcze pozostawał: wysłał do Polski za pozwoleniem Tatarów samego autora tej relacji, Wernera, ostatniego już sługę, jaki mu pozostał. Zaopatrzył go w błagalne listy do matki i do siostry swej, wojewodziny ru-



Fig. 18.

Regina Żółkiewska, żona hetmana. Z pomnika w kolegiacie żółkiewskiej.

skiej Zofii Daniłowiczowej, dał mu plenipotencję, mocą której wszystko ważne być miało, coby imieniem pana swego uczynił, dał mu także pismo, kasujące wszystkie dokumenta wystawione Bałabanowi a w końcu i list do tegoż z wezwaniem, »żeby swój okup z okupem jego koniecznie stawiał, żeby go za jego szczerłość nie zabijał, żeby pisma i testamenta popalił i niczego sobie po nieboszczyku nie obiecawał, bo dosyć na tem, że nieboszczyk dla niego i niewolę i koszta wielkie ponosił. I przybyłem — kończy zeznania swe Werner — dnia jedynastego (po wyjeździe z Krymu) do Łatyczowa, potem do Winnicy, gdzie nie zastawszy p. Bałabana, pojechałem do Żółkwi a upadłszy do nóg pani kanclerzyny, odniosłem to, po com był przysłany. Wziąwszy prędko odprawę nazajutrz do Winnicy wyjechałem, gdzie doczekałem się p. Bałabana i com miał w poleceniu, ukazawszy plenipotencję, prędko wyprawilem okup do Kijowa. Pan Bałaban też swój ale nie wszystek wyprawił. Tam w Kijowie jeszcze p. Bałaban jakieś omieszkanie chciał czynić, bo mu się bardzo nie chciało z Gałgą widzieć. Z Kijowa potem z okupami wszystkich więźniów na Zaporozu stanawszy, czekaliśmy więźniów, których gdy przeprowadzono, Tatarowie za pieniądze a my za więźnie z wielkim bardzo hałasem, bo okupów nie dostało i musieli zakłady dać.«¹⁾

Proces Bałabana z spadkobiercami Żółkiewskich, Daniłowiczami, trwał nadzwyczaj długo; jeszcze w r. 1633, a więc w trzynaście lat po wypadkach, które go wywołały, nie był rozstrzygnięty. Bałaban usiłując uzasadnić swoje pretensye i dowieść, że poniósł wielkie koszta i trudy w sprawie wykupienia Żółkiewskiego z niewoli, stawia przed aktami lwowskiemi sługę swego, szlachcica Mikołaja Nycza, który opowiada wszystkie przygody i kłopoty, z jakimi było połączone uwolnienie więźniów. »Na

¹⁾ Agr. Lwowski e, tom 379 p. 103—109.

Zaporoże idąc — zeznaje Nycz — w Kijowie gotując żywność wszelaką, której było trudno z sobą z domu prowadzić, częścią dla drogi dalekości, częścią dla niesposobności jej, bo to na wiosnę było o Wielkanocy — musiało się wszystko za pieniądze kupować i na bajdaki najęte ładować. Na co wszystko lekko rachując do pięci tysięcy zł. wydałem. Przybywszy na Monasterski Ostrów przed porohami musieliśmy się znowu nazad na włości wrócić dla najęcia mniejszych szuhajów, któremi wszystka ta żywność przez porohy się upuściła i pieniądze, które na okup prowadził JM. pan starosta winnicki (Bałaban). A w tę się drogę gotując, na włości jeszcze będąc, zaciągnął z sobą Jegomość piętężnych kozaków zaporoskich pod dwieście, którym na każdy miesiąc po zł. 10 każdemu płacił, a wodzom, których było czterech, każdemu po zł. kilkaset dać musiał, i wszystkimi dodatkami i żywnościami tych wszystkich kozaków podejmował. Tatarów sołtanowych, którzy przy pieniądzach z nami jachali, kilkunastu także podejmował, a samemu Kazemu, inszych nie rachując, do 2000 zł. dał. Znowu z Białoskórskim kilkadziesiąt Tatarów, których z Winnicy polmi wprzód wyprawił przed sobą, dając znać, że z okupem już się wraca do Krymu, ci barzo siła kosztowali. Stanąwszy na Zaporozu, czekając sułtana z więźniami, musieliśmy dwa miesiące wszystkie te zgraje podejmować i kozakom pieniądze miesięczne dawać, której drogi od Wielkanocy aż do Panny Maryi Zielonej było.«

»Po onych dwóch miesiącach — opiewa dalsza narracja Nycza — jakośmy na Zaporozu stanęli, przyszedł sołtan z wojskiem i więźnie przyprowadził na ostrów Karaj-Tebim; tamże w zakłady między sobą dali z naszej strony Alexandra Podwysockiego, Manasterskiego i Zacharę, których sołtan z włości kazał przyprowadzić dla tych zakładów, gdyż co znaczniejszych obrał, bo hetmanami bywali, a sołtan także dał czterech murzów do nas w zakładzie. Dopierośmy pieniądze szuhajami prowadzili

w tatarską stronę z tymi Tatarami, którzy pilnowali tych pieniędzy, w Winnicy jeszcze przez nich samych odebranych i zapieczętowanych ichże pieczęciami, z których szuhajów pieniądze na swój brzeg brali, a my też p. starostę hrubieszowskiego od nich na też szuhaje wzięli, gdyż tam już p. Bałaban z inszymi u sołtana był w zakładzie dotąd, ażby pieniądze zupełne znowu odliczone były, bo chociaż Tatarowie odliczanych w Winnicy przez wszystką drogę pilnowali, sołtan temu nie chciał wierzyć, aby spełna wszystka suma była, mając tajemną w sercu zdradę, aby p. starostę hrubieszowskiego mógł jako nazad wywabić. Jakoż się to drugiego albo trzeciego dnia okazało. Zatrzymawszy już pp. Bałabana, Odrzywolskiego, Rajkowskiego, Sławickiego, Graznego, Łochyńskiego, Wielowiejskiego i inszych, którzy dobrowolnie przy tych pieniądzech zjechali, nie chciał ich puścić, ażby p. starosta hrubieszowski wrócił się do niego i pożegnał się z nim i ażby przyjaźni swe sobie obaj ofiarowali. Na które traktaty zjechali z Białoskórskim i Szaszfar do sołtana, który ku Krymowi kilka noclegów już się był z tamtego pierwszego miejsca umknął.

»Zostawszy Szaszfar nad brzegiem z wojskiem swem, posłał Białoskórskiego na korzenie do p. starosty hrubieszowskiego, aby z nim o tem mówił, żeby do sołtana zjechał, ale kiedy widział, że go wojsko zaporoskie puścić nie chciało żadną miarą, czując o tej zdradzie, powiedział:

— »Już i możesz jechać, ale obyczajnie, abyś i sam nie zginął i z tymi wszystkimi, którychś do sołtana posłał, i z pieniędzmi.

»Z tych traktatów wróciwszy się do sołtana, że nie sprawił, po co był posłany, zagniewanego barzo na się zastał, i mówił mu sołtan:

— »Jeżeliś go żywo nie mógł dostać, czemuś rozmawiając z nim przynajmniej nożem w niego nie uderzył,

aby się żyw nie wrócił do Polski! — co Białokórski potem opowiadał, kiedy nas na ostatku odprowadził.

»Kiedy sołtana ten opał ominął, p. Bałaban przez różnych murzów mówił, że jeśli znajduje sołtan do mnie przyczynę o pieniądze za p. starostę hrubieszowskiego przywiezione, powiadając, że nie spełna, chociaż na miejscu w Winnicy spełna Tatarom odliczone i oddane były, tedy ci niewinni, którzy ze mną do niego dobrowolnie przyjechali — i prosił, aby byli wolno puszczeni. Uczynił tak sołtan, bo ich wolno za perswazyą p. Bałabana puścił, ale jemu samemu powiedział: że ty nie wynijdiesz, aż mi okup dasz za się, którym ci był odpuszczył, ale że za starostę hrubieszowskiego nie spłacona suma, musisz się okupić. I tak uczynił, bo co było pieniędzy przywiezionych na okup, swemi rękami oddawałem w Szaszfarnym namiocie za Dnieprem na tamtym brzegu za korzeniami, faktorom Szaszfarowym. A było tego 10.000 talarów. Przy temże targowaniu okupu musiał p. Bałaban więźnia swego Baldybaszę darmo wypuścić, bo to był rodzony szwagier sołtański; inaczej by też p. Bałaban nie wyszedł, by był na to nie pozwolił, który więzień 10.000 czerwonych złotych dać za siebie był powinien. Wziąwszy pieniądze Szaszfar, pojechał z niemi do sołtana aż za Carowski Ostrów, za której sumy więciem jeszcze nie chciał puścić p. Bałabana sołtan, powiadając: żeś ty mnie siła winnien, żem tak mało wziął za Żółkiewskiego, bo bym był mógł daleko więcej wziąć, a tak ty tego musisz przyplacić. Na co powiedział p. Bałaban: że już co było, wszystko wziął, że i na strawę nie będziemy mieć i sposobu nie masz. Na co sołtan: Więc mi w zakładzie zostaw przyjacioły! Kiedy nie mogło być inaczej, użyłem p. Andrzeja Czołhańskiego, który ze mną był na korzeniu przy p. staroście hrubieszowskim, i samże p. starosta prosił go, biorąc go na sumienie swoje, iż jako najprędzej eliberować obiecuje go swoim kosztem, w czem-

bykolwiek zasiadł, i nagrodę mu wielką za to obiecował. I tak uproszony Czołhański pojechał i zasiadł za p. starostę winnickiego Bałabana we trzech tysiącach czerwonych złotych, na których długo przystać nie chciał sołtan aż za intercesją tych Tatarów, którzy tu z Krymu z p. starostą winnickiem przyjechali i tu kosztem wielkim mieszkali rok cały. Ci dali attestację, że spustoszone te kraje i majątności jego, i tak ledwie przystał. Co wszystko p. Bałaban za p. Czołhańskiego oddał i istotnie zapłacił w Chocimiu, i tym Tatarom, co go przywieźli, nagrodził.«¹⁾

Druga podobnaż sprawa wykupu z niewoli toczyła się między Potockimi a Sieniawskimi i chociaż w głównej rzeczy załatwiona przez sąd przyjacielski, oparła się przecież i o trybunały. Kiedy w r. 1648 Mikołaj Potocki, hetman w. kor., i Hieronim Adam Sieniawski, starosta lwowski, dostali się do niewoli kozacko-tatarskiej, z której mogli się wydostać tylko za bardzo wysokim okupem, Sieniawski czując się bardzo chorym uprosił Potockiego, aby był jego zakładnikiem i poręczył za jego okup, który oznaczony był na 10.000 dukatów. Potocki wzruszony opłakanym stanem towarzysza niedoli — jakoż wkrótce po odzyskaniu wolności Sieniawski umarł — zgodził się na to i obligował się osobnym rewersem na tę sumę Tatarom. Tymczasem Sieniawski pieniędzy nie nadsyłał a hetman Potocki znalazł się sam w bardzo krytycznym położeniu, bo rodzina jego nie mogła się zdobyć w krótszym przeciągu czasu na tak ogromną sumę, jaką wynosił jego okup pomnożony o 10.000 dukatów, poręczonych za Sieniawskiego. Z tej fatalnej sytuacji wyratował hetmana syn jego Mikołaj, starosta czerkawski, który nie mogąc złotem wykupić ojca, wykupił go swoją osobą, oddając się Tatarom do niewoli jako jego zakładnik. Niestety

¹⁾ Agr. Lwowski e, tom 384 p. 877—881.

chciało, że hetman tak samo jak Sieniawski dostawszy się na wolność umarł, zanim mógł wykupić syna z jassyru.

Młody Potocki, zagrożony bardzo ciężką i długą niewolą, słał list po liście do Polski, błagając spadkobierców Sieniawskiego o zapłacenie poręczzonego okupu, ale nie otrzymywał żadnej odpowiedzi. Jakoż byłby, kto wie, jak długo pozostał jeńcem tatarskim, gdyby nie grono znakomitych kupców zagranicznych — *egregiorum virorum exoticorum*, jak się wyraża nasze źródło — a mianowicie Neapolitańczyków, Ormian i Turków, którzy ufając fortunie i honorowi Potockiego, zapłacili za niego i za Sieniawskiego całą żadaną sumę, ubezpieczając się jego zapisem. Potocki wrócił do kraju i sam naciskany przez swoich wybawców, naciskać począł wdowę po Hieronimie, Elżbietę Sieniawską, o wypłatę 10.000 dukatów i zwrot kosztów, jakie poniósł przy transakcyi z cudzoziemskimi kupcami, którzy oczywiście nie bez nadziei sowitego zysku oswobodzili go z niewoli. Upominania Potockiego długo pozostawały bez skutku, aż nareszcie dzięki pośrednictwu wspólnych przyjaciół w. kanclerza kor. Jerzego Ossolińskiego i w. podczaszego kor. Mikołaja Ostroroga, ale przecież nie bez interwencyi sądów, Sieniawska wyrównała całkowicie dług męża, który według dekretu trybunału lubelskiego wynosił razem 60.000 zł.¹⁾

Niewola tatarska miała swoją romantykę: cudowne ocalenia, fantastyczne przygody, wzruszające przykłady poświęcenia lub heroizmu, niespodziewane powroty w oczyste progi jeńców już oplakanych przez rodziny i t. p.— wszystko to dziś stanowi obfite źródło dla powieściopisarzy i poetów, ale w swoim czasie otwierało także pole przebiegłym oszustom, którzy niegodziwie wyzyskiwali strapione rodziny pod pozorem, że mają środki uwolnienia jeńca, o którego miejscu pobytu wcale nie wiedzieli,

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 403 pp. 2316—22.

albo który już dawno nie żył. Najzuchwalszy a dlatego też i najradszy rodzaj oszustwa polegał na przybieraniu nazwiska dawno nieżyjącego już jeńca i odgrywaniu roli jakiejś znakomitej osobistości, niby to szczęśliwie ocalonej. Jeden taki wypadek zapisały akta lwowskie. W siedm lat po śmierci Stanisława Daniłowicza, wojewodzica ruskiego, który w r. 1637 wzięty przez Tatarów do niewoli, zamordowany został w okrutny sposób przez synów Kantymira, zaczęły nadchodzić do Żółkwi i do dóbr żółkiewskich listy niby od tegoż Daniłowicza, które donosiły, że ocalał, że powraca do kraju i obejmie napowrót dobra swoje dziedziczne, znajdujące się już w ręku Sobieskich. Wrzekomy Daniłowicz w listach tych swoich wzywał poddanych, aby czekając rychłego powrotu jego, odmawiali posłuszeństwa nieprawnym okupatorom dóbr i aby nie płacili im czynszów, które on sam za powrotem swoim odbierze, a zarazem czynił różne obietnice łaski pańskiej i zapewniał hojne donacje rozmaitym osobom. Równocześnie pojawił się w Krakowie jakiś samozwaniec, który wydawał się być najprzód za Teofila Paca a następnie za owego nieżyjącego już Stanisława Daniłowicza. Bawił wtedy właśnie w Krakowie były długoletni sługa Daniłowiczów, który znał doskonale Stanisława; ten dowiedziawszy się o samozwańcu, pojął go i stawił przed sądy marszałkowskie.

Schwytany tak na gorącym kłamstwie, samozwaniec porzucił rolę Daniłowicza i utrzymywał przed sądem, że jest Teofilem Pacem, synem pisarza ziemskiego Jana i Barbary Sapieżanki, siostry wojewody wileńskiego Leona. Na nieszczęście oszusta znalazł się w Krakowie dworzannin królewski Krzysztof Pac, podkanclerzyc litewski, któremu według tej genealogii samozwaniec miałby być bratem stryjecznym. Ten Pac wykazał cały fałsz zeznań oszusta, który przyparty przez marszałka Adama Kazanowskiego, z płaczem przyznał się do winy. »Dla Boga, Mo-

ści Panowie — mówił ze skrucą — przyznawam błąd i winę swoją, żem ja nie jest ani Daniłowicz ani Pac, ale z defektu głowy swojej, która mi się pomięszała, z namowy i poduszczenia niektórych osób, osobliwie księdza Jana wikarego w Gródku pode Lwowem, takim się był udawał. Jam jest szlachcic imieniem Wojciech Bolkowski, prawdziwy, ze wsi Witkowic z pode Mstowa. Zaczem proszę o miłosierdzie i o przepuszczenie a ja obiecuję już tak nigdy nie zwać się i żywota swego poprawić. O co i powtóre z płaczem proszę.« Ponieważ strona oskarżająca nie domagała się kar kryminalnych, skończyło się na tem, że samozwańca odwieziono najpierw do Żółkwi, gdzie go przez trzy dni pokazywano ludowi jako tego, który śmiał udawać pana i dziedzica na żółkiewskich dobrach, następnie ten sam proceder powtórzono na rynku we Lwowie, poczem osadzono Bolkowskiego na 6 miesięcy *in fundo* wieży zamku lwowskiego. ¹⁾

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 395 pp. 1056—1064.

II.

ŻOŁNIERZ SWAWOLNY. ZWIĄZKI WOJSKOWE. BEZKARNOŚĆ BUNTOWNIKÓW. WYPŁATY ZALEGŁEGO ŻOŁDU. LISTY PRZYPOWIEDNIE. WYBRAŃCY. CIUROWIE. WERBUNKI ZAGRANICZNE. UCISK WOJSKOWY. STACYE. LISOWCZYCY.

Zaraz po Tatarzynie szedł żołnierz swawolny, lepszy od Tatarzyna chyba tylko tem, że wsi nie palił i jeńców nie brał. Pod względem wojskowym nie było chyba kraju, w którym by się tak ścierały ostateczności, jak w Polsce. Nie miała stałej armii a miała najdotkliwszy ucisk żołnierski, nie miała żołnierza dla siebie a miała go na export zagraniczny, miała go na export zagraniczny, a sama importowała go z Węgier, z Wołoch, z Niemiec. W tych czasach i w tych ziemiach, o których piszemy, żołnierz swawolny był ciężką a nieustającą plagą, i nie masz takiego roku, w którymby akta województwa ruskiego nie były przepełnione protestacyami i pozwami przeciw rotmistrzom swawolnych chorągwi lub nieskończenie długimi wykazami szkód i gwałtów, dokonanych przez nich nietylko w dobrach królewskich i duchownych, ale nawet i w nietykalnych szlacheckich. Najsrożej cierpiał lud, wydany na pastwę zdzierczego żołnierstwa i jego t. zw. stacyj. Na klęskę tę chroniczną składały się dwojaki przy-

czyny: wyjątkowe i stałe. Wyjątkowemi nazwać można wypadki z czasów Zygmunta III., zwłaszcza z pierwszego okresu jego panowania, wojny zewnętrzne z Szwecją, Moskwą, Turcją, wojna domowa wywołana rokoszem Zebrzydowskiego i nie lepsze od niej wojny prywatne, dalej wyprawa Mniszchowska do Moskwy z Dymitrem Samozwańcem i niemniej może nieszczęsne wyprawy magnatów polskich, Mohiłowych zięciów, podejmowane na własną rękę do Wołoszczyzny, a w końcu zezwolenie dane przez króla na werbowanie w Polsce żołnierza na posługi zagraniczne. Stałemi przyczynami były brak wszelkiej ściślejszej organizacyi wojskowej, oplakany zawsze stan skarbu, który nie pozwalał na regularną wypłatę wojska, brak karności, wydawanie listów przypowiednich osobistościom dwuznacznym i awanturniczym, niesłychana gdzieindziej pobłażliwość władzy i samego społeczeństwa, i w końcu ów nieszczęsny anarchiczny zwyczaj wojskowych konfederacyj, które nieukarane, jak należało, zaraz w początkach, przeszły w rodzaj uprawnionej instytucyi.

»Spełniła się widzę wielkiego hetmana Jana Zamoyskiego przestroga — powiada Starowolski — mądrze upatrzona, który przewidział w senacie na sejmie, kiedy pierwszej konfederacyi żołnierskiej, gdy ją w Samborze stanowią, nie skarano: »Ja nie będę tak długo żyw, ale uczuje ojczyzna, co nieskaranie tej pierwszej konfederacyi złego potem narodzi.«¹⁾ »Piąta to już za mego wieku sejdycya żołnierska — mówi na sejmie w r. 1624 hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł — nie pomnę gliniańskiej, bom był dzieckiem; dwie ich było za hetmana Zamoyskiego, trzecia inflancka za Chodkiewicza nieboszczyka, czwarta moskiewska, piąta dzisiejsza.« Lata 1603, 1604, 1613 do 1615, 1622, 1644, 1648, 1659 były latami ciągłych

¹⁾ Reformacya obyczajów polskich. Wyd. Tur. Str. 114.

buntowniczych związków wojskowych, latami ciężkiej klęski, która w pierwszym rzędzie przygniatała nieznośnym swym brzemieniem województwo ruskie, a osobliwie miasta i lud. Wszystko to uszło bezkarnie hersztom tych anarchij wojskowych — stracenie okrutną śmiercią we Lwowie Karwackiego, Skipora, Borowskiego i kilkunastu ich towarzyszy w r. 1615 było wyjątkowym, dorywczym aktem energii, improwizowanym przypadkowo epizodem. Główniejsi od nich winowajcy pozostali bezpieczni w kraju, a cała akcja przeciw nim wytoczona skończyła się na pozwach królewskich i hetmańskich lub na infamji, którą z nich wkrótce zdejmowano.

Ludwik Poniatowski, który według słów uniwersału hetmana Żółkiewskiego z r. 1608 »wielką część Korony począwszy od granic pruskich aż tu do naszych krajów splądrował, zacne senatory i miasta poszacował, depredował, gwałty uczciwym białogłowom poczynił i inszych wiele rzeczy złych przykładem gorszym snać niż Nalewayko narobił, nakoniec będąc napominany, aby tego zaniechał, miasto tego teraz pod jarmark do Lublina obyczajem nieprzyjacielskim przyciągnąwszy, kupcy złupił i podarł, tak że już i *commercia* ustać muszą i Korona do wielkiego niedostatku przyjdzie i t. d. 1) — ten Ludwik Poniatowski bawi bezkarnie w kraju, żeni się z wdową po Dyable Stadnickim i żyje sobie spokojnie i bezpiecznie jak każdy inny »cnotliwy« obywatel.

Wacław Pobidziński, według słów pozwów królewskich z r. 1614, 2) opuścił wojska Rzeczypospolitej z swymi rotami w czasie wojennym, zdradził króla Zygmunta III. w najkrytyczniejszej chwili kampanji jego moskiewskiej, wchodził w związki z nieprzyjacielem a nawet z Ta-

1) Agr. Przemyskie, tom 324 p. 357. Cf. Pisma Żółkiewskiego.

2) Agr. Przemyskie, tom 330 pp. 134--8.

tarami (*cum barbaris*); pod pozorem konfederacji, choć mu się nic nie należało, wtargnął z swojemi bandami do Polski, dobra królewskie, duchowne i szlacheckie niszczył, rabował, wyludniał, przy wypłacie zaległego żołdu osobno



Fig. 19.

Wybraniec. Z współczesnego malowidła w zamku podhoreckim.

dla siebie 24.000 zł. tytułem »karmowego« wymusił, a ruszywszy w szyku bojowym na miejsce wypłaty, obóz tam roztoczył, okolicę do koła zrabował i z ziemią zrównał, przygotowane na wypłatę wojska pieniądze gwałtem za-

brał i komisję do wypłacania wyznaczoną pojął i pod strażą zatrzymał, następnie na Warszawę chciał ruszyć i tym sposobem dwuletni żołd, który mu się wcale nie należał, *iuxta libitum* wydarł, a chcąc się z góry ubezpieczyć przed następstwami swojej zuchwałości, przymusił groźbami komisarzy Rzeczypospolitej, aby mu wystawili asekurację bezkarności, i posuwając to zuchwalstwo swoje do ostatecznych kresów, groźbą zbrojnej opresyi kraju i otwartych gwałtów taką samą asekurację wymógł na królu i senacie — zgoła jako skończony łotr i buntownik, jako bezczelny *contemptor legum divinarum et humanarum*, dopuścił się całego szeregu najnikczemniejszych zbrodni, z których najlżejsza powinna go być zawieść na szubienicę lub pod topór kata — a za to wszystko co mu się stało? Nic. Urąga z pozwów królewskich i mieszka sobie bezpiecznie w ziemi przemyskiej, a co więcej, już w r. 1616 szlachta na sejmiku wiszeńskim w instrukcyi danej swym posłom wnosi za nim instancję, bo »będąc między nami dawał dostateczną sprawę niewinności swej i jawnie oświadczał *fidem suam in rempublicam!*«¹⁾ A kiedy król mimo to pozwów nie cofnął, szlachta po raz drugi w r. 1618 uchwała na sejmiku instancję za Pobidzińskim i domaga się, aby »Król Jegomość z nim w sąd swój zachodzić nie raczył i od pozwu na sąd sejmowy uwolnił.«²⁾

Józef Ciekliński, fatalnej pamięci marszałek konfederacji wojskowej r. 1613, oskarżony o zdradę stanu, obrazę majestatu, bunt wojskowy, złamanie przysięgi żołnierskiej, otwartą zdradę w obec nieprzyjaciela, o gwałty, rabunki, kradzież koronnych klejnotów moskiewskich, defraudację sum olbrzymich z skarbu publicznego i o inne niezliczone łotrowstwa i zbrodnie — jak to czytamy w pozwach kró-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 332 p. 469.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 334 p. 54.

lewskich¹⁾ — ten sam Ciekliński już w następnym roku otrzymuje za zgodą króla glejt hetmański od Stanisława Żółkiewskiego, proklamowany na czterech rogach lwowskiego rynku, i to nie na podstawie jakiejś czynnej pokuty, jakiegoś aktu rzetelnej skruchy, ale według słów tegoż glejtu na zasadzie »zwyczaju dawnego, zachowanego w Rzeczypospolitej, który każdemu zostawuje plac wolny do zasługowania się Jego Król. Mości i Rzeczypospolitej — tak też i p. Ciekliński, będąc dekretem Króla Imci przesądzony i wyłączony z społeczności Rzeczypospolitej, prosił, aby mógł surowość prawa pospolitego mężnym i odważnym postępkim zmiękczyć....«²⁾

Żółkiewski odwołuje się tu do zwyczaju »dawno zachowanego«, malującego doskonale szlachetność i rycerskość natury polskiej, dla której tylko czyn bohaterski na polu chwały, tylko dowód heroicznej waleczności w obronie ojczyzny, miał wagę rehabilitacyi. Jakoż wiemy, że infamis, któremu dano taką sposobność odzyskania czci, dokonywał nierzadko cudów odwagi, igrał ze śmiercią jakby szaleniec lub samobójca, przepasywał się szarfą czerwoną i jako straceniec szedł na kule i szable. Mawiano nawet: »Bije się jak infamis.« Opowiada Jakób Maxymilian Fredro w liście pisanym³⁾ w r. 1628 z obozów Koniecpolskiego, że kiedy Czarniecki i Bukowiecki ważyli się pod Brodnicą na coś, co już nie było zwykłą walecznością ale szaloną imprezą junacką, »towarzystwo dziwując się im, pytali, czy to infamis dla rekuperowania czci taką czyni odwagę?« Zmywanie plamy krwią było tedy niewątpliwie pięknym zwyczajem, ale czy wystarczało w takim wypadku, jak Cieklińskiego, czy uznawanie czynu niepospolitej waleczności za dostateczną expiację otwartej

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 369 pp. 39—43.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 370 p. 2723.

³⁾ Przyłęcki, Pamiętnik o Koniecpolskich, str. 147. W liście do ks. kanclerza Zadzika.

zbrodni, otwartej zdrady, bez poprzedniego odbycia kary, było ze stanowiska publicznego ładu i prawa rzeczą rozumną i sprawiedliwą? Czy nie uzuchwalało ono śmiałych a awanturnicznych charakterów, czy nie było dla nich rodzajem patentu na bezkarność i czy była w tem słuszną miarą winy i pokuty, szkody i nagrody?...

Województwo ruskie już dla swoich licznych i obszernych królewszczyzn, zajmowały bowiem 440 mil kwadratowych t. j. trzecią część całej powierzchni, było najbardziej wystawione na ucisk związkowego żołnierza, który dzielił między siebie dobra królewskie, duchowne i opackie, a jak te nie wystarczały, także i szlacheckie, i wybierał dla siebie »chleb« t. j. kontrybucye, żyjąc z ucisku ludności, dopóki nie zaspokojono jego pretensyj. Lwów był najczęściej siedzibą komisarzy, mianowanych do ugody i wypłaty, i widownią targów z pełnomocnikami związkowego koła. Nie wiedzieć, co sprawiało widok przykrzejszy, czy staranie się komisarzy o pieniądze, przybierające niekiedy formę osobnej kontrybucyi i zdzierstwa, niekiedy zaś niegodnej żebraniny o pożyczki i zaliczki u bogatych osobistości, u dzierżawców myt, ceł i czopowego, u żydów, jak n. p. u sławnej żydówki lwowskiej Róży Nachmanowej, której schlebiano nawet tytułem »szlachetnej« — czy też targowanie się uporczywe z konfederatami, ujadanie się o zniesienie sumy wymaganej na pokrycie zaległego żołdu przez potrącenie »wybranego chleba.« Komisarze wśród targów dobywali z pod ziemi pieniądze, naruszali nawet obce depozyty, jak n. p. w r. 1630 depozyt złożony na ratuszu lwowskim przez księcia Władysława Ostrogińskiego a wynoszący 22.000 zł.,¹⁾ związkowi opuszczali stopniowo, czyli

1) Agr. Lwowskie, tom 381 p. 1621—1691. Oblata Registrationis et stipendiorum per Exercitum Regni etc. Akt oryginalny z podpisami i pieczęciami komisarzy.

jak to piękniej brzmiało: »darowywali« coś Rzeczypospolitej. W r. 1613 opuścili po 100 zł. z konia; w r. 1634 komisarze byli daleko szczęśliwsi w swoich targach, bo dobili do »szczęśliwego brzegu ukontentowania wojsk,



Fig. 20.

Wybraniec. Z współczesnego malowidła w zamku podhoreckich.

a to przez zgodę z temi wojskami Jego Król. Mości tak konnem, które za porachowane w skarbie *circiter* półszesnaście milionów na siedmiu milionach gotowych a ósmym milionie w fantach, dziewiątym w pro-

wentach i innych sumach publicznych bez potrącenia chlebów wybranych pozostać się deklarowało; jako iż fanteryą, która za jedenaście milionów w skarbie porachowanych na czterech milionach i 300.000 zł. przestała, byle tylko w czasie od tychże obudwu wojsk zamierzonym a osobliwie najdalej *ad diem 15 februarii* wspomniane miliony tu we Lwowie gotowe były.«¹⁾

Wydawanie lekkomyślne »listów przypowiednich« na rotmistrzostwa, t. j. autoryzacyj do formowania rot konnych lub pieszych na posługi Rzeczypospolitej, było prawdziwą fabryką swawolnych kup żołnierskich. List przypowiedni zawierał surowe napomnienie, aby rotmistrz z zaciągami swoimi szedł do obozu przystojnie i bez czynienia szkód ludności — ale była to tylko czcza formułka, zwłaszcza jeżeli się zważy, że często taki list przypowiedni był mieczem w ręku szalonego, patentem na rozbój publiczny. Dawano listy przypowiednie ludziom, którzy się ledwie co otrząśli z zadekretowanej na nich infamji, i to nie drogą prawnego uczynienia zadość sprawiedliwości ale drogą t. zw. sublewacyi, dawano je znanym już i głośnym gwałtownikom i burzycielom publicznego spokoju, jak n. p. Zygmuntowi i Stanisławowi Stadnickim, synom Dyabła, dawano nawet szczerem opryszkom jak n. p. w r. 1619 infamisowi Rapackiemu. Gorzej jeszcze bywało z listami przypowiedniami, wydawanemi cudzoziemskim kapitanom, zawodowym przekupniom krwi ludzkiej, rozłajdaczonym *landsknechtom* niemieckim, awanturnikom szkockim i francuzkim, którzy formować mieli dragonię lub piechotę niemieckiego autoramentu z chłopów polskich na usługi wojenne Rzeczypospolitej. Taki cudzoziemiec, nieprzywiązany niczem do kraju, wiedziony tylko chciwością zysku, starał się o list przypowiedni głównie na to, aby okradać skarb Rzeczypospolitej i nieszczęśliwego żołnierza.

¹⁾ Agr. Halickie, tom 124 pp. 385—8 (fragment).

Okradał Rzeczpospolitą, bo nie miał nigdy tyle głów pod chorągwią, za ile mu płacił skarb publiczny, okradał żołnierza, bo nie dawał mu ani części tego, co brał na jego utrzymanie. Ćwierć (t. j. koszt utrzymania przez jeden kwartał) wynosiła na dragona 33—39 zł., z czego i trzeciej części nie wydawał nań rotmistrz. Starowski nie przesadza, utrzymując, że rotmistrze cudzoziemscy dawali chłopom po szóstaku albo po orcie t. j. po trzy grosze na miesiąc; reszta tonęła w ich własnym mieszk.

Czytając ciągle o pułkach »cudzoziemskich,« o piechocie »niemieckiej,« o dragonach i rajtarach (*Reiter*), uformowanych po niemiecku lub szwedzku, dowodzonych przez Szkotów, Francuzów, Włochów a najczęściej Niemców, słuchających komendy w języku niemieckim, odnosi się wrażenie jak gdyby to rzeczywiście zawsze były wojska zaciężne obce, werbowane w Niemczech, na Węgrzech lub Szlązku — tymczasem byli to najczęściej chłopkowie polscy. Dragonów i rajtarów formowanych w województwie ruskiem przez oficerów Niemców nazywają akta wyraźnie: *Ruthenos et agrestes, habitu vero Germanos*. Gdyby kapitanowie cudzoziemscy, którym król dawał listy przypowiednie na takie formacje, byli uczciwymi ludźmi a nie należeli przeważnie do klasy profesjonalnych awanturników, szukających fortuny po najciemniejszych niekiedy ścieżkach, zaciągany przez nich chłop polski byłby doskonałym żołnierzem — ale i tak przecież, jak było, pułki i chorągwie regularne cudzoziemskiego autoramentu, a zwłaszcza te, w których przeważał chłop polski, ćwiczone w służbie polowej, w obrotach i władaniu bronią, słuchające ślepo komendy, posłuszne, karne i zaprawne do tworzenia taktycznych jednostek, oddawały nieocenione usługi, zwłaszcza w nieszczęsnych latach wojen kozackich i szwedzkich, biły się walecznie, a zmuszone do odwrotu, nie uciekały bezładnie, ale i w odwrocie zachowywały sztyk i zwanie odporne. Nie miały może fugi i fantazy chorąg-

gwi szlacheckich, które wichrem wpadały na szeregi nieprzyjacielskie, ale których w razie niepowodzenia terr sam wicher rozmiatał w nieładzie i rozsypce — były one grzbieciem wojska, *terra firma* wśród nieujętych w brzegi dyscypliny fluktów pospolitego ruszenia.

Ile razy czytamy o tych rajtarach polskich, przychodzi nam na myśl bezimienny rajtar-bohater i akt heroicznej cnoty żołnierskiej, przekazany potomności przez dwóch świadków naocznych, Daleyrac'a i Diakowskiego: Pod Parkanami. Szyki polskie złamane przemocnym naciśnięciem Turków uchodzą z pola. Panika. Król Jan III. po rozpaczliwych a daremnych próbach powstrzymania zdemoralizowanych hufców, prawie ostatni z ostatnich zwraca konia do odwrotu. Opuszczają go wszyscy, tylko jeden Czerkies i koniuszy kor. Matczyński towarzyszą mu wierne w najwyższym niebezpieczeństwie. Król otyły, zmęczony trudem boju, nie może uchodzić szybko, koń pod nim słabnie, ledwie go unieść może przez pola poorane, rozgrzęzłe. Zgiełk uciekających taki, że król ma kolana i ramiona pogniecione od koni i zbrój uchodzących żołnierzy. Pościg turecki już go dopada, dzidy spahisów godzą już w głowę bohatera z pod Wiednia. Jak huragan mijają go husarze, pancerni, towarzysze chorągwi szlacheckich, nikt z nich nie spieszy z pomocą. Życie króla wisi na włosku. Daremnie woła Matczyński: »Mości panowie! Widzicie, kto jest! Wstrzymajcie konie, salwujcie króla!« Nikt się nie zatrzymuje; jedni odpowiadają: »I nam życie miłe!«, drudzy jeszcze gorzej, bo niepoczciwie — wszyscy pędzą dalej, myśląc tylko o sobie. W tej chwili, ostatniej i najgroźniejszej, kiedy już król czuje gorący oddech koni tureckich za sobą, mija go uchodzący rajtar polski. Matczyński woła: »Panie rajtar, wstrzymaj konia, pilnuj nas!« I oto rajtar w jednej chwili wstrzymuje konia i staje po zadzie króla. Tymczasem Turek jeden z dzidą sady z boku na króla. Matczyński woła: »Zmiłuj się, panie rajtar, obróć

się na tego Turczyńca!« Żołnierz zwraca się natychmiast w wskazaną stronę i powala Turka na ziemię wystrzałem z bandoletu. Następują dwaj inni Turcy, rajtar stoi murem, zwierza się z nimi, walczy, słysząc strzały i szcęk szabel — król uratowany! Co się stało z rajtarem, nie wiadomo; nikt nie wiedział, czy poległ, czy też dostał się do niewoli, nie można się też było dowiedzieć jego nazwiska. Ten rajtar-bohater, godzien spiżowego pomnika, to był prosty chłop polski.¹⁾

Ale ten niezrównany materyał marniał pod ręką chciwych i nieludzkich cudzoziemców. Taki najemny Niemiec-kapitan, który go werbował, starał się przedewszystkiem o to, aby na nim zarobić. Nim go do obozu doprowadził, włączył się z nim po wsiach królewskich i duchownych, każąc mu się żywić kosztem chłopów, a włączył go tak niekiedy przez trzy i sześć miesięcy, bo mu się rachowały przez ten czas t. zw. ćwierci, to jest żołdy kwartalne, które szły do jego kieszeni. Niewypowiedzianą też była nędza tych biednych chłopów polskich, zaciągniętych pod chorągwie rajtarskie i dragońskie. Wierszopis-anonim, współcześnie Waclawa Potockiego, kreśli nam obrazek z natury, któremu nikt nie odmówi prawdy, kto nieco bliżej poznał stosunki wojskowe XVII. wieku:

Pan major drabny wóz lanc do obozu wiezie,
W inszych kilkanaście par wołów ledwie lezie
Z chorymi żołdakami, których ode Lwowa
Począwszy, z skurzonego brzucha boli głowa.
Na zdrowszych jeszcze woła: *Maszir!* póki mogą
Choć pomału zgłodniałą postępować nogą....²⁾

¹⁾ Mikołaja Diakowskiego, Dyaryusz wiedeńskiej okazyi w Zbiorze Pamiętników Niemcewicza, tom V str. 268—9 i Pamiętnik Daleyrac'a, tamże t. IV str. 441.

²⁾ A. Brückner, Spuścizna rękopiśmienna po Waclawie Potockim (Rozprawy Akad. Um. Wydz. filolog.) str. 261.

Nie dziw, że taki żołnierz żył własnym przemysłem, że łupił chłopa, kradł i rozbijał. Nie była to zresztą osobliwość polska; w wszystkich państwach europejskich współczesnych działo się tak samo, niekiedy gorzej jeszcze. Co więcej, Polska była jedyną, która miała armię obywa-



Fig. 21.

Dragon. Z współczesnego malowidła w zamku Podhoreckim.

telską, czysto-narodową, bo złożoną z całej szlachty, obowiązaną do pospolitego ruszenia, a jedną z pierwszych, która zdobyła się na zawiązki kadr stałych, złożonych z ludu. Takim zawiązkiem byli wybrańcy — instytucja stworzona w r. 1578 przez króla Stefana, która gdyby

była pielęgnowana i rozwijana statecznie, starczyłaby była Polsce za rodzaj stałej armii rezerwowej, dobrze wyćwiczonej, regularnej, karnej, na każde zawołanie gotowej. Według uniwersału tego króla z każdych 20 łanów w dobrach królewskich miał być obrany jeden człowiek, »któryby się sam do tego miał dobrowolnie, między inszymi śmielszy i do potrzeby pochopniejszy; będzie wolen od wszystkich powinności, jako czynsze, pobór łanowy, od podwód i innych *onera*, angaryj i preangaryj. Co kwartał do rotmistrza swego na miejsce oznaczone stawić się ma do monstrowania z rusznicą, szablą, siekierką, w sukni barwy takiej, jaką rotmistrz naznaczy, z inszymi podobną, proch też swój i ołów ma mieć.«¹⁾ W r. 1589 wobec groźby wojny tureckiej błysnęła myśl świetna ale niestety płonna, aby obok wybranieckiej piechoty zorganizować także wybraniecką jazdę. Z có dziesiątego łanu miał być wybierany pacholek na koniu w zbroji, a województwa miały wyznaczać rotmistrzów. Ale szlachcie nie podobał się ten projekt. Bała się chłopskiego wojska. »Jakożby to niebezpieczna nam rzecz była, broń swą odpasawszy od boku innemu ją dać. Dobrze to tak u nas postanowiono, żeby był rotmistrz, towarzysz i pacholik w rocie« — powiada Bielski.

W energicznej i rozumnej dłoni Batorego młoda instytucja wybrańców rozwijała się dzielnie, stawiała do boju kilkutyśięczny korpus. Osierocona śmiercią swego twórcy zaczęła upadać szybko; w r. 1616 odzywa się już na sejmie skarga, »iż liczba wybrańców do wielkiego zmniejszenia przysła, tak że ich na służbie Rzeczypospolitej bardzo mało bywa.« Konstytucja z tegoż roku miała na celu ratować wybraniectwo od ostatecznego upadku, nakazywała starostom, dzierżawcom i ekonomom dóbr królewskich, aby wydawali sprawiedliwie wybrańców, aby

¹⁾ Polkowski, Sprawy wojenne króla Stefana, p. 117.

ich nie przymuszali do płacenia podatków i do żadnych robót a to pod karą 500 grzywien; ¹⁾ król Zygmunt III. wysyłał do starostów swych w województwie ruskiem, które miało dostarczać największego kontygentu wybrańskich żołnierzy, to surowe to błagalne mandaty, jak n. p. w r. 1618 do Piotra Opalińskiego, jako starosty rohatyńskiego, w których wybrańców mieć chce wolnymi »od wszelakich robót, czynszów, zaciągów i inszych podatków,« i nadaje im »zupelną wolność używania majątności swych, t. j. zupelných trzech łanów roli, paszy tak polnej jak i leśnej, jezior, rzek, rąbania drzew w puszczech i lesiech królewskich krom pustoszenia ich, a to na dom i własne potrzeby, a jeśli by po łanie albo po włoce zupelnej nie mieli, tedy im mają być wymiedzone.« ²⁾ Wysyła król rotmistrzów z listami przypowiedniami po wybrańców do swoich dóbr ruskich; każdemu rotmistrzowi wyznacza płacę miesięczną 25 zł.; mają zbierać »ludzie do boju i dzieła rycerskiego sposobne, nie luźne ale osiadłe dziedzice« ³⁾— w ogóle nie brak starań o utrzymanie tak ważnej i obiecującej instytucji, ale rozbijają się one wszystkie o opór starostów i dzierżawców i świadczą tylko o tej samej niemocy króla, jakiej będziemy mieli bardzo smutne przykłady, gdy nam przyjdzie mówić o opiece nad ludem w królewskich włościach. Dzierżawcy ekonomij królewskich krzywdzą zuchwale i bezkarnie wybrańców, odbierają im łany, zmuszają ich do pańszczyzny; trafiają się przykłady, że żołnierz, który wraca z wojny, widzi się bez ziemi i bez dachu. Świadczą o tem protestacye w aktach, liczne glejty, których nikt nie szanuje, i liczne mandaty królewskie, których nikt nie słucha. Objaw to boleśny naszej przeszłości, że nikomu się ani śni o usunięciu instytucji

¹⁾ Volumina Legum, tom III. p. 133—4.

²⁾ Agr. Halickie, tom 118 pp. 301—2.

³⁾ Agr. Halickie, tom 114 p. 342.

jawnie szkodliwych, anormalności prawnych i administracyjnych, wydających społeczeństwo na pastwę nierządu i samowoli — ale kiedy zaczyna upadać instytucja jakaś wysoce pożyteczna, a to nie brakiem własnej żywotności, ale niedołęztwem, egoizmem i karygodnym niedbalstwem tych, którzy pielęgnować ją i czuwać nad nią byli powinni, zaraz zgoda na to, aby ją znieść i usunąć, bo to radykalny środek pozbycia się raz na zawsze kłopotu i obowiązku. Tak się też stało i z instytucją wybraniecką. Na sejmie z r. 1649 zapada uchwała: »Iż włoki wybranieckie *in tantum abusum* przyszły, iż Rzeczpospolita z wybrańców żadnego pożytku nie ma, owszem obywatelom koronnym częstemi przechodami bardzo są uciążliwe,« więc każdy starosta albo dzierżawca zamiast uzbierać i dostawiać wybrańca, ma z każdej włoki wybranieckiej wnieść 60 zł. równocześnie z opłatą kwarcianą.

Wielka myśl Batorego: zorganizowanie armji z ludu, stworzenie regularnych pułków z dzielnego, bitnego i karnego polskiego chłopca, gdyby się była stała rzeczywistością — na jakiejże wyżynie postawiła by była Polskę, i ktoby jej był silen w Europie! Niestety, cnoty żołnierskie polskiego chłopca odkryto zbyt późno, a wyciskały je dopiero rządy rozbiorowe, chociaż nie brakło i w czasach naszego opowiadania licznych i świetnych dowodów, ile w nim było waleczności. Te »pacholiki,« te pogardzane »ciury,« ta »czeladź,« której bardzo wielka liczba, czyli jak mawiano, »sroga rzecz« bywała zawsze w obozach polskich na usługi szlachty i przy taborach, zapisała się w dziejach wojennych niejednym świetnym czynem męstwa, którego jej pozazdrościć mogli jej panowie. Na chwałę wojenną Lisowczyków zarobiły w całej może połowie ciury i czeladź obozowa, która w Wirtembergji w niewielkiej liczbie uderzyła raz na trzy kornety rajtarów i 500 ćwiczonej niemieckiej piechoty, rozprószyła jazdę, wysie-



Fig. 22. Grupa Lisowczyków. Współczesny szkic J. Callota.

kła piechotę, zdobyła 8 chorągwi, a sama miała dwóch w zabitych a trzech rannych; ¹⁾ w r. 1610 pacholikiem szturmem zdobyli moskiewski bardzo obronny zameczek Rostow, w r. 1649 pod Zborowem luźna czeladź obozowa zrobiła wycieczkę, położyła trupem kilkuset kozaków i Tatarów, zdobyła baterię i trzy chorągwie nieprzyjacielskie; podczas wojen szwedzkich ciurowie uderzyli na nieprzyjaciół w Łęczycy i haniebną im zadali klęskę; taż sama »hołota obozowa« odebrała Szwedom Warszawę — czyn wielkiej waleczności, który uwiecznił Potocki w swojej *Wojnie Chocimskiej*:

Szkoda ich lekceważyć, kędy co z zdobyczą,
 Pewnie ani postrzałów ani ran nie liczą,
 Dali próbę odwagi w szwedzkiej onej wrzawie,
 Gdy szturmem Wittemberga dostali w Warszawie,
 Który wczoraj tryumfy swoje mierzył w strychni,
 Nie wojsko, nie żołnierze, Helik go wziął lichy,
 Aleć i w tę straszliwą z pogaństwem turnieją
 Nieraz pokazowali, co mogą, co śmieją.

Ta myśl narodowego regularnego wojska, złożonego z zagonowej szlachty i z ludu, ćwiczonego na wzór niemiecki, przeblyskiwała także szlachcie województwa ruskiego, jak tego mamy dowód w *laudum* sejmiku wiszeńskiego z r. 1630, która opiewa: »Agitowane dawno bywały artykuły sejmiku tego i z inszych województw, aby żołnierza cudzoziemskiego nie zaciągać, upatrując w tem niektóre *pericula* Rzeczypospolitej, lecz że pp. regimentarzom wojennym taki służby wojennej sposób bardzo się zda być potrzebny, przetoż to widząc w narodzie naszym polskim, któremu męstwo jest wrodzone, że *ad quaevis genera armorum* dowcipni są i prędko mogą być wpra-

¹⁾ Dębołęski, Przewagi Elearów, str. 90.

wieni, czegośmy doznali w pruskiej ekspedycji w piechocie pana Rożnowej, jako mu to sami cudzoziemcy przyznawali, nie chcemy w tem puścić cugu inszym nacyom, ale raczej tego ćwiczenia w służbie wojennej cudzoziemskim sposobem narodowi swemu ziścić, więc i tego chleba, jaki cudzoziemcy za nieobaczeniem się naszym od nas biorą, wolimy.«¹⁾ Do tej argumentacji dodać było można jeszcze jeden przeważny powód: niepewność i zdradziecką niewierność cudzoziemskiego żołnierza, który wśród kampanji uciekał z marszu, z obozu, z pola bitwy. Liczne tego przykłady były podczas wojen kozackich. Marcin Kalinowski, hetman polny kor., wzywa w r. 1651 uniwersałem starostów, burgrabiów, burmistrzów i wójtów, aby imali dragonów i pieszych cudzoziemskich żołnierzy, których »niezmierna liczba czeladzi Niemców, konie, rynsztunki i insze dostatki pobrawszy« uciekła mu z marszu, kiedy wyruszył z pod Kamieńca, aby połączyć się z wojskiem królewskim i to właśnie w chwili, kiedy »nieprzyjaciela na sobie trzymał i za łaską Bożą szczęśliwie się z nim rozprawiał.«²⁾ Nawet Węgrzy nadwornej piechoty uciekali gromadnie, wzięwszy żołd z góry, jak to np. miało miejsce w r. 1628.

Wracając do swawoli żołnierskiej nie możemy pominąć, że przyczyniło się do niej w znacznej mierze pozwolenie króla i senatu na werbowanie jazdy polskiej dla austriackiego cesarza. Zygmunt III. udzielił takiego zezwolenia hr. Althan, który wydawał listy przypowiednie na rotmistrzowstwa ludziom najgorszej sławy. Władysław IV. poszedł za przykładem ojca i pozwolił Maciejowi Arnoldi de Klarstein zaciągać w Polsce żołnierzy do służby austriackiej.³⁾ Los tych nieszczęsnych chłopów pol-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 381 p. 1539.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 401 p. 1133.

³⁾ Agr. Lwowskie, tom 38 6pp. 1362—5, 1473 i 1493.

skich i tej drobnej szlachty, która się dostała w ręce takiego niemieckiego werbownika, był najczęściej niewypowiedzianie opłakany. Handel żołnierzami był specyficznie niemieckim przemysłem — uprawiano go w Niemczech w najnikczemniejszy sposób jeszcze do samego końca XVIII. wieku. W czasie naszego opowiadania kwitnął, a żywego towaru szukał z predylekcyą w Polsce, gdzie to niestety uchodziło bezkarnie. Około roku 1645 głośny był w całej Polsce łotrowski czyn jednego z takich niemieckich werbowników, Truchsessa. »Z żalem nam to słyszeć przyszło — czytamy w laudum sejmikowem szlachty województwa ruskiego — że Truchsess Prusak 300 szlachciców mazowieckich jakoby na służbę Cesarza Jego Mości zaciągnąwszy, republice weneckiej na galery zaprzedał, który aby o to na przyszłym sejmie pozwany *condignas sceleri suo poenas* odniósł, gorąco starać się będą posłowie nasi.« Zaprzedaną szlachtę wydzwignął z tej niewoli Jan Zamoyski, starosta kałuski, a sejmik wszeński uchwała, aby mu za to *honorifica* była uczyniona *mentio*.«¹⁾

Najemne, dla służby obcej w Polsce zwerbowane chorągwie, ciągnąc za granicę pustoszyły wszystko, co leżało na ich szlaku, dopuszczały się najzuchwalszych gwałtów i rabunków, jak n. p. rota infamisa Rapackiego, który zaciągnąwszy się w służbę cesarską w r. 1619 splądrował ziemię przemyską.²⁾ Mimo najgorszych doświadczeń, mimo klęsk, jakie sprowadzały na kraj takie roty wracające z obczyzny, gdzie się nauczyły żyć przeważnie łupem wojennym — nie zdobyto się w Polsce nigdy na tyle energii, aby postawić kres takim zaciągom. Werbowano polskiego żołnierza do Niemiec, do Wołoch, do Węgier; a czy to idąc w obcą służbę czy z niej wra-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 158 pp. 1175—6.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 337 p. 2146.



Fig. 23. Lisowczyk. Współczesny szkic J. Callota.

cając, chorągwie takie rozpisywały sobie samowolnie stacje, uciskały lud, łupily miasta. Szczytem rozpasania żołnierskiego była swawola Lisowczyków, których niesłychanej drapieżności dorównywała chyba tylko niesłychana także ich waleczność. Lisowczycy, kwiat i szumowina zarazem fantazyi polskiej, kipiący ferment szlacheckiego temperamentu, rycerze bez trwogi i bez honoru, bohaterowie i łotry zarazem, których »Bóg nie chciał, a dyabeł się bał,« sława i niesława szabli polskiej w całej Europie — to zjawisko naszej przeszłości, na którym się można uczyć, jak najwyższe zalety skojarzyć się mogą z najniższymi instynktami, jeżeli pierwszych od drugich nie przegradza mur sumienia i karności. Przyszło do tego, że ci, co cały świat napelnili rozgłosem swojej niezrównanej waleczności, przed których czarno-czerwonemi sztandarami drżał najwyborowszy, najbardziej ćwiczony żołnierz europejski — zarobili sobie w Niemczech na nazwę *Teufel und Bluthunde* a w ojczyźnie *homo Lissovianus* był synonimem opryszka i wyrzutka społeczeństwa, którego gdy zabił infamis, w nagrodę za to powracał do czci.

Werbowany w Polsce na cudzoziemską służbę, zasmakowawszy łatwego chleba, a powszechną w całej współczesnej Europie regułą, bywał to chleb obfity z łupu, grabieży, z kontrybucyj i krwawych krzywd okolic, które Bóg w gniewie swym czynił widownią wojny — rozpasawszy się życiem obozowem, w którym wszystko było wolno, żołnierz najemny, skoro wrócił do Polski, stawał się nietylko nieszczęściem własnego kraju, ale także plagą i ciężkiem niebezpieczeństwem dla krajów ościennych. Wiadomo, co ucierpiał Szląsk od takich werbowanych chorągwi polskich; Węgry i Wołoszczyzna narażone bywały również na ich napady rozbójnicze, a szukając odwetu mściły się potem na pogranicznych okolicach polskich, których niewinna ludność płacić musiała krwią swoją i mieniem za wybryki złoczyńców. »Nasi Polacy

wpadłszy w węgierską ziemię w kilkunastuset koni — czytamy w uniwersale Jana Zamoyskiego, kasztelana chełmskiego i strażnika koronnego z czerwca 1605 r. — miasto Huszt spalili i wsi kilkanaście węgierskich, zatem tedy i mychmy sami są w wielkim niebezpieczeństwie, gdyż Węgrowie na górach stojąc, wołali na naszych, gdy nazad się zwracali, obiecując nam to dobremi słowy czasu niedługiego oddawać, jakoż i których jedno od wojska zostalców dostawali, żywo w ogień miotali.«¹⁾

Ale nietylko samozwańcze chorągwie, nietylko bezprawnie »zwodzone kupy« lub konfederackie roty »wybierające chleb« i czekające zapłaty, były plagą ludności — nie ustępowały im niekiedy także chorągwie autoryzowane, stojące pod buławą hetmańską i należące do prawowitych wojsk Rzeczypospolitej. Najwięcej od nich doznawał ucisku i zdzierstwa lud w królewszczynach i dobrach duchownych, ale dostawało się i wsiom szlacheckim. Akta województwa ruskiego przepelnione są protestacjami przeciw chorągwiom, które obsiadały jakby szarańczą całe okolice i objadały je do kęsa. Protestacye te wyliczają dokładnie każdą szkodę wyrządzoną, każdą grabież, każdą kokosz i każde jajo wydarte chłopom przez żołnierzy, i są niekiedy, jak to zobaczymy w dalszym ciągu, cennym materiałem do poznania stopnia zamożności ludu w danej okolicy. Nazywało się to wybieraniem »stacyj« — jakoż samo słowo »stacya« było najbardziej zniechędzone w całym ówczesnym słowniku. Gore chłopkom, do których sioła zawitała chorągiew na stacye! Obejmowała ona często oprócz żołnierzy sporą liczbę »gęb nieużytecznych,« bo włócił się za nią długim ogonem tabor wcale niewojennie wyglądający. »Potkałem pod Rzeszowem roku przeszłego jedną chorągiew — opowiada Starowolski — która tylko 60 husarza miała, a wozów przy niej naliczyłem

¹⁾ Agr. Trembowelskie, tom 106 p. 252.

225, z których niemal połowa poczwórnych a poszóstnych była, nuż koni luźnych, białych głów i chłopiąt pieszo, co niemiara.«¹⁾

Przytoczymy kilka przykładów »stacyj.« W starostwie dolińskim chorągiew Kielczewskiego zakłada swoje leże, a mieszczanie i włości »*ultra* z ochoty swej pozwalają« dla jej utrzymania: owsa 800 mac dolińskiej miary, żyta 100 mac, jągiał 20 mac, piwa beczek 100, jałowic 25, słoniny połciów 25, masła fasek 25, sera kóp 25, śledzi na post na konia po 30, oleju na koń jeden kwart 7, dREW na koń jeden wozów 25, kur na koń jeden po 30, gęsi na koń po 10, siana na koń wozów 5, jarzyny, rzepy, kapusty, marchwi, pasternaka, pietruszki, cebuli, co może być. Miasto trzy dni jeść dać powinno według zwyczaju dawnego. Uгода zastrzega dalej: czeladzi dworskiej żeby nie despektowali i nie bili, jako pierwej. Poddanych do robót i do podwód aby nie przymuszali i chłopów aby nie bili, jako zwykli pachotkowie.²⁾ Ale to była »dobrowolna« ugoda; gorzej się działo, gdzie do porozumienia nie przyszło. Oto n. p. mały fragment z wykazu stacyj: »Wieś Kamień wydała na przystawstwo pp. Cichałowskiego i Szeptyckiego na 9 koni w gotówce 3070 zł.; musiano na żołnierzy sprzedać 98 wołów, 33 krów i 3 konie a 21 chłopów uciekło ze wsi. Wieś Łdziana dała na przystawstwo na pięć koni gotówką 1739 zł., chłopci musieli sprzedać 46 wołów i 6 krów; ze wsi Podmichale przed agrawacją 5 chłopów uciekło i t. d.³⁾ Rota Piaseczyńskiego w r. 1628 przez dwa dni zjadła w Staremsiole, Butkowie i Szotomyji 505 kur, 274 kwart masła, 213 workowych serów, 95 kóp jaj, nie licząc mięsa dla żołnierzy i owsa dla koni.⁴⁾ A co najgorsza, to że nie obyło się przy takich stacyach

¹⁾ Prawy Rycerz, str. 22.

²⁾ Agr. Halickie, tom 135 p. 1630.

³⁾ Ibidem, p. 1681—4.

⁴⁾ Agr. Lwowskie, tom 379 p. 805.

bez krwawych gwałtów i okrucieństw. »Nie dość, że wszystko w domu mieszczańskowi i chłopkowi ubogiemu żołnierz wybierze, że i skobla nie zostawi, ale się jeszcze nad nędznym człowiekiem pastwi, w kurek mu do rusznicy palce wkręcając, bosemi nogami na węglach sadzając, witekami głowę tak zakręcając, że aż oczy na wierzch wyłażą.«¹⁾

Chorągwie spotkawszy się w jakiejś włości lub miasteczku biją się z sobą, czy to o pierwszeństwo w »stacyi« czy z rankoru; w r. 1629 Andrzej z Rytwian Zborowski, kasztelan oświęcimski, oblega miasteczko Sól, zajęte przez rotę Dmochowskiego, bombarduje i następnie szturmem zdobywa miasteczko; pada przy tem trupem 18 żołnierzy a mieszczanie ponoszą niepowetowane szkody;²⁾ w r. 1621 w Przemyślu dokazują straszliwie rotę Opalińskiego, Klonowskiego, Tarnowskiego, Zborowskiego i Gniewosza a obok nich także chorągwie Lisowczyków. Rota Gniewosza bije się z Lisowczykami i odbiera im łupy moskiewskie; jeden z nich skarży się gorzko, że mu oprócz gotówki, broni i t. p. zabrano kielich wielki kościelny pozłocisty sadzony dyamentami, rubinami i szafirami, »który ten, to protestujący w Niemczech gromiąc heretyki zdobył.«³⁾ Roty Jordana i Gwidzińskiego w r. 1613 pustoszą dobra Jana Golskiego, kasztelana kamienieckiego, a żona jego Zofia wnosząc o to protestacyę do grodu halickiego, zastrzega sobie podanie dokładnych szczegółów, bo nie wie jeszcze, »kto żyw, kto pojman, kto zabił.« Żołnierze zabijali chłopów, »pobrali żywcem 80 człowieka i z tych jedne szacowali, drugie nie wiedzieć gdzie podzieli, usilstwa białogłowskiej płci nie przepuszczając poczynili, koni kilkaset i kilkaset dobytku zabrali, wieś Rudniki spalili« i t. d.⁴⁾

¹⁾ Starowolski, Reformacya i t. d. p. 112.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 381 p. 1801—18.

³⁾ Agr. Przemyskie, t. 339 p. 1594.

⁴⁾ Agr. Halickie, tom 116 p. 707.

W czasach wojennych a osobliwie w porze wojen kozackich ucisk od żołnierza dosięgł szczytu. »Licencya żołnierska — skarży się szlachta na sejmiku wiszeńskim w r. 1653 — aby była ukrócona. P. Sulatycki nie mając listu przypowiedniego nasze województwo i ziemie, nieznośne czyniąc krzywdy, na około tułając się obszedł, także i p. Jerzy Kasper Szlichtyng nieznośne krzywdy i szkody poczynił, p. Janowi Jaworskiemu Perkowiczowi, p. Wysoczańskiemu i innym najechawszy na dwory, budynki popalili i wszystko, co tylko było, wyrabowali; także p. Szumlański krzywdy poczynił obywatelom wszystkiej ziemi, także p. Czechowicz z p. Hynkiem, także p. Zawisza z p. Trzeciakiem; i o zabranie sreber i inszych krzywd i szkód poczynienie p. Fedorowi Winnickiemu, aby ci wszyscy z delacyi postów z tego sejmku *poenis condignis* i wytrąbieniem z wojska pokarani byli.«¹⁾ »Wielka, która panów Kulczyckich, obywatelów ziemi naszej, od p. Kuderowicza, rotmistrza, potkała wiolencya — czytamy w laudum sejmikowym z następującego roku — gdyż niektórych pozabijano, drugich powiązano, nie jako szlachtę, domy im popalono i wszystką substancję wyszarpano, aby pokarana była.«²⁾ W latach wspomnianych nawet najdosłojniejsze domy nie były bezpieczne od swawoli żołnierskiej, zwłaszcza od zuchwalstwa cudzoziemskich oficerów w służbie polskiej. Przychodzi n. p. przed sejmik wiszeński »żałośna Jmci Pani Sobieskiej, kasztelanowej krakowskiej, kwerela, której we wsi Sobieskiej Woli niejaki Waydolt, cudzoziemski oficer Jego Kr. Mości nietylko wielkie szkody z kompanią swoją niemiecką poczynił, ale też w domu Jejmości sam *in persona sua* naszedłszy ważył się *violenter* sługi posiec, szlachtę okuć w kajdany i łańcuchy i przy wozach prowadzić.« Przykładów takich mnóstwo przytoczyć by można, ale dość

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 166 pp. 322—44.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 350 p. 1685.

na kilku, aby dać wyobrażenie o stacyach żołnierskich owego czasu. Nie dziw też, że ludność przywiedziona do rozpaczony tak nieznośnym źdździem i uciskiem, uciekała się niekiedy do gwałtownych środków oporu i odwetu. Mamy tego w aktach bardzo liczne przykłady. Mieszczanie i chłopcy dzwonią na gwałt, uzbrają się w kosy, cepy, topory, wyruszają na swawolnych żołnierzy i wypędzają ich sromotnie z kwater. Bardzo często stawa na czele chłopów szlachcic, dziedzic lub dzierżawca wsi nawiedzonyj stacyą, i rozgramia, rani, zabija, ściga i łupi żołnierstwo, zupełnie tak samo, jakby to była orda Tatarów lub banda opryszków. Mnóstwo o to pozwów i protestacyj po grodach województwa ruskiego.

Nie brak było prób uregulowania stacyj i unormowania obowiązków ludności wobec chorągwy zajmujących przeznaczone sobie leże zimowe, ale kończyło się na projektach. Komisya zebrana w r. 1634 we Lwowie dla obmyślenia hyberty, a zasiadali w niej obok innych hetman w. k. Stanisław Koniecpolski, krajczy kor. Jakób Sobieski, podkomorzy czernichowski Adam Kisiel, ustanowiła na ćwierć t. j. na kwartał od jednego konia: jedną jałowicę, 2 barany, 1 poć słoniny, pół faski masła, 30 serów, 2 osmaczki pszenicy, 4 osmaczki żyta, 2 grochu, półtora jagiel, 4 jęczmienia, 3 miarki owsa, 1000 tołpów soli, 2 kwarty oleju, 4 wozy siana — i otaksowała to wszystko na 35 zlr., ale równocześnie wnosi, aby żołnierz płacił tylko połowę tej otaksowanej wartości. »Żeby tedy żołnierzowi — mówi komisya — i nad żywność na sustentacyę drugich potrzeb jego co zostało, bo lubo i tym żoldem i wychować się i wszystkie potrzeby opatrować mu nie podobna, jednak przecie, żeby jakakolwiek proporcya była, żeby mu i nad żywność na insze expensa jego i czeladzi, bez której nietylko służyć ale i żyć nie może, co zostało — rozumiemy, aby mu połowica żoldu w żywności zostawała a połowica w pieniądzech, i dlatego,

aby gdy tę żywność wyż wymienioną za to *pretium* kupować będą, aby połowicą taniej każda z tych rzeczy dawaną była.« Komisya czuje całą niesprawiedliwość prawa, które uwalnia szlachtę od ciężarów wojskowych a całe brzemie składa na dobra królewskie i duchowne, ale nie ma odwagi tentować reformy i nie ma nadziei, aby w ogóle reforma dała się przeprowadzić. »Aczkolwiek widzimy — powiada komisya — żeby i z słuszności samej i z przykładów drugih państw cudzoziemskich i *ex ista equalitate*, z której wszyscy z łaski Bożej w tej wolnej Rzeczypospolitej żyjemy, miałyby też wszystkie Rzeczypospolita tę żywność obmyślać, bo wszystkiej Rzeczypospolitej żołnierze służą, za sławę i bezpieczeństwo wszystkiej krew leją i umierają — ale żechmy już tego nieraz miarę wzięli, iż stan szlachecki z dóbr dziedzicznych podciągnąć się pod to (jak go mieni) *onus* żadną miarą nie da, *restant* tedy dwojakie dobra: królewskie i duchowne.«¹⁾

Podczas wojen kozackich, kiedy ciężar wojskowych stacyj stał się srogą klęską dla ludu, usiłowano ile możności zapobiedz nadużyciom, a uniwersał królewski z r. 1651 stanowił, że z jednego osiadłego łanu o dwóch włokach jednej chorągwi należy się tylko 5 korcy owsa, półtora korca żyta, półtora korca pszenicy, półtora korca jęczmienia, półtora korca grochu, korzec tatarki, pół korca krup, 10 kwart masła, 20 serów, pół połcia słoniny, dwie ćwierci mięsa, jeden baran, 2 kwarty oleju, 6 kur, 3 gęsi, 3 wozy siana; soli, jarzyny, sieczki »według przemożenia.«²⁾ Stanisław Koniecpolski ogranicza w r. 1644 stację jednej chorągwi na leżach zimowych do następujących rozmiarów: Owsa 100 kłód miary lwowskiej, żyta 50 kłód, jęczmienia 100 kłód, jagieł 5 kłód, grochu 5 kłód, masła

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 384 p. 1963—77.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 401 pp. 725—9. Miara rozumiała się sandomierska.



Fig. 24. Lisowczyk. Według obrazu Rembrandta w zbiorach Dzikowskich.

fasek 20, jałowic 30, słoniny połci 50, siana wozów 400, kapusty beczek 10, kur 400, gęsi 200, wozów drew na tydzień 50, słomy na tydzień wozów 10.¹⁾ Był to wymiar na jedną ćwierć, t. j. na trzy miesiące.

Żołnierz polski już samym temperamentem i animuszem szlacheckim skłonny był do swawoli — hetman Konięcpolski, który znał dobrze i kochał swego żołnierza, powiada raz o nim, »że jakiś zły duch między nim lata,« ale ten sam Konięcpolski przyznaje, że żołnierz bywał ciągle krzywdzony przez niewypłacanie żołdu, że był »spracowany i znędziony« niedostatkiem. Krzywdzony, krzywdził drugich. Pochlebiano zwyciężkiemu żołnierzowi w oracyach sejmowych, w dziękowaniach i witaniach, przy odbieraniu zdobytych dział i chorągwi, nazywano go »skrzydłem majestatów« »firmamentem i ornamentem wszytkiej Rzeczypospolitej,« ale nie zawsze troszczono się o to, aby nie był głodny i obdarty. »Król Jmć wdzięcznie przyjmuje służbę naszą — skarżą się żołnierze w petitach swoich do króla w r. 1627 przy oddawaniu chorągwi zdobytych pod Amersztynem — ale z tych wdzięczności kto inszy jagódki zbiera a nam się i listków nie dostaje.« Na wojnach staczanych za panowania Zygmunta III. wyrobił się polski żołnierz zawodowy, nieustraszony, niestrudzony, jakby ze stali wykuty; w każdym z tych weteranów »było więcej ołowiu niż w najprzedniejszym argumencie syllogizmów« — jak się wyraża współczesny świadek — a gdyby go tak bijano w karczmie jako na wojnie a rany płacono jako w statucie, kontent byłby z nagrody.« Trudno było wymagać, aby taki żołnierz, wierzyciel tej ziemi, którą pierśmi swojemi zasłaniał, czekał cierpliwie na to, co krwią własną zarobił — nie dawano, brał sam, bo jak się nie bez mimowolnego humoru wyraził jeden z tych weteranów, Samuel Nadolski, »przecież i święci *propter retribu-*

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 158 p. 2255.

tionem służyli Bogu, bo gdyby nie obiecano nieba, żadnych by nie było męczenników.«¹⁾

Wyrządziłby zresztą krzywdę naszej przeszłości, toby chciał uważać swawolę żołnierską i ucisk wojskowy za specyalność polską. W czasach, w których zamyka się nasze opowiadanie, działo się tak samo, gorzej nawet może, w całej Europie, zawichrzonej wojnami i zdziczałej pod wpływem wypadków. Czem byli u nas Lisowczycy, tem byli w Niemczech t. zw. *gartende Knechte*, rozpasane i zbiegłe z służby *landsknechty*, które w bandach przeciągały kraj, łupiąc, paląc, mordując; tem byli na Węgrzech hajducy, którzy według słów współczesnego memoriału stanów węgierskich »najeżdżali majątki, łupili dwory, rozbijali kościoły, odkopywali groby, zdzierali z trupów suknie i kosztowności, mordowali niewinnych ludzi, wydzielali żony mężom, dzieci rodzicom, gwałcili dziewice, kazali sobie płacić okupy za darowanie życia, palili sioła i zmuszali lud wiejski do ratowania się ucieczką, do błąkania się po lasach, górach i trzęsawiskach i umierania głodową śmiercią.«²⁾ Dopuszczała się najsroźszych gwałtów włoska *soldatesca*, osławiony był z okrucieństwa żołnierz hiszpański i szwedzki. Każdy z tych żołnierzy cudzoziemskich prześcignął żołnierza polskiego w swawoli, ale żaden nie dorównał mu w waleczności.

Szukajmy duszy polskiej nie w samych tylko objawach anarchji społecznej i państwowej, o której nam tu mówić przyszło, ale i w czynach, na które się mimo anarchji zdobywano. Ten sam swawolny żołnierz dokazywał cudów wytrwałości i męztwa. W tym samym czasie, który tak smutnie się zaznaczył powszechną niemal swawolą, zapisały się na kartach historii mnogie czyny energii i wa-

¹⁾ Przyłęski St., Pamiętniki Konięcpolskich, str. 48—52.

²⁾ Memoriał Andrzeja Ketskes; Katona S., *Historia Critica* tom XXVIII. p. 95—6.

leczności narodowej. Tczew, Połock, Wielkie Łuki, Byczyna, Kluszyn, Targowest, Karkhuz, Wenden, Kirchholm, Smoleńsk, Chocim i tyle innych pobojowisk świadczą o niezrównanem męstwie tego samego żołnierza, na którego swawolę narzekano. Żaden naród nie poszczyci się współcześnie tyłu i takimi aktami wojennego bohaterstwa. Waleczność polska ma homeryczną wielkość. Godna jest hymnów. Żołnierz polski walczy jeden przeciw czterem i pięciom, zawsze w zatrważającej mniejszości, a mimo to tylekroć zwycięski. Szczegół niezrównany: »chudzi pacholcy zdobyte chorągwie na podszewki sobie biorą,« taką moc zdobywa się ich na polach bitew. »Zwertowawszy kroniki, historye — powiada hetman Żółkiewski, sędzia wymagający i skąpy bardzo w pochwałach — ledwie się gdzie przykład znaleźć może, żeby które wojsko tak haniebnych a mało słychanych niewczasów i niedostatków wytrwaniem, sławą, zwyczajami, porównać się mogło.«¹⁾ »Tyś Wołgę i Okę obegnał, tyś strach i ogrom narodu naszego aż do Azyi i granic perskich rozszerzył« — mówi Sarbiewski na pogrzebie Jana Sapiehy, który z 30 bitew wyszedł zwycięsko, 100.000 nieprzyjaciół trupem na pobojowiskach położył. Nawet w tej samochwalczej, ale przepysznej i jedynej w swoim rodzaju rodomontadzie, jaką przemawia Lisowczyk Kleczkowski do cesarza Ferdynanda II., jest tylko brak skromności a nie ma przesady; nie kłamie kiedy mówi: »Nie mamy żelaza na sobie, tylko u koni pod nogami a u siebie przy boku, ale częściej w rękę, co ze wzgardy śmierci pochodzi;« nie kłamie, kiedy mówi, że z towarzyszami swoimi bywał »w tych klinach i uroczyścach, jakoby kędyś precz i na drugim świecie położonych i śmieie się tam mogły słupy miedziane trybem Bolesławowym zabijać;« nie kłamie, kiedy powiada: »Poszliśmy ziemią, po której podobno końska nie deptała

¹⁾ Pisma Żółkiewskiego, str. 215.

noga, mając za przewodnika słońce, rachując sobie, że tam musi być coś, komu to niebieskie oko świeci; tam dopiero nowe kraje, różne narody, do zmówienia się niepodobne znalazłszy, szabłą tylko dawaliśmy hasło, żeśmy nie ich pobratymcami; tam poszliśmy aż na lodowate morze, kędy dla pochopu i pędu wpadających rzek lód dru-



Fig. 25.

Rajter.

Rysunek marginesowy z Aktów Gr. Lwowskich.

zgotać się poczynał i z bałwanami się mieszać, jakoby góry z górami się potykały, i zgrzyt lodów kruszących się słyszeliśmy na mil kilka z daleka i żaden drugiego wysłuchać od huku nie mógł....»

Dokąd nie zejść, czego nie dokonać, kogo nie zwojować takim rycerskim narodem — gdyby się była zna-

lazła dłoń silna i genialna w tym właśnie okresie, kiedy wszystko było do wzięcia, wszystko do wygrania! Ale lekkomyślne choć piękne słowa poety Szymonowicza: »Sercem wojny stoją... było także hasłem szlachty polskiej, która nie chciała wiedzieć o tem, że wojny stoją nietylko sercem, ale pracą, wiedzą, karnością, groszem i wytrwaniem. I dlatego tyle gorzkiej było prawdy w słowach ojca Zygmunta III., wyrzeczonych do Allemaniego: Moc Polaków niedługa.

III.

ROZBÓJNICTWO. TOPOROWSKI I KOSTKA. OPRYSZKI ZIEMI HALICKIEJ. ŚRODKI ZARADCZE. HERSZTOWIE SZLACHECCY. BESKIDNICY. BRACIA BIAŁOSKÓRSCY I BRACIA POLICCY. UDZIAŁ DROBNEJ SZLACHTY W ROZBOJACH. WATAHOWIE WOŁOSCY.

Między swawolnym luźnym żołnierzem a opryszkim były bardzo płynne granice, bo taki n. p. »pułkownik« Toporowski, który w r. 1614 grasuje z rotą swoją kozacką w ziemi halickiej, dobywa miasta Kołomyji, zakłada w niem główną kwaterę i ztamtąd rozpusza rozbójnicze zagony w dalekie okolice, i przeciw któremu wyrusza cała szlachta halicka, urządzając na jego bandę przy pomocy chłopów zbiorową obławę, taki »pułkownik« jest już pospolitym opryszkim.¹⁾ Zwykłym też łotrem i zbójcą jest taki samozwaniec Alexander Kostka, zwany Napierskim, późniejszy herszt buntów chłopskich na Podgórzu w Krakowskiem, stronnik Chmielnickiego, kończący swój awanturniczy żywot na palu w Krakowie, który na wiosnę 1650 r. jako kapitan z pułku Krzysztofa Ubalda (Houwaldta) grasuje w ziemi przemyskiej i łupi dwory szla-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 117 p. 1460.

checkie, napada na starostę wiszeńskiego Franciszka Korytkę w Sądowej Wiszni, rabuje 6500 dukatów w gotówce, srebra, klejnoty, bogatą garderobę i t. p., tak że złupiony szlachcic taxuje sobie szkodę poniesioną na 200.000 zł.¹⁾

Województwo ruskie zawsze bywało widownią rozbójów i najwięcej po niem uwijało się zorganizowanych band zbójceckich, jakby na stwierdzenie przysłowia: »Na Rusi choćbyś Jezuity posiał, to przecież złodzieje się urodzą.« Zapobiedz temu chciano osobną konstytucją, uchwaloną na sejmie r. 1588, która zaprowadzała w tem województwie niejako wyjęcie poddanego z pod jurysdykcji pańskiej w sprawach, w których chodziło o rozbój, i obowiązywała szlachtę, aby chłop obwinionego o rozbójnictwo zaraz stawiała w grodzie lub za niego ręczyła. Inna konstytucya, uchwalona w r. 1613 także specjalnie dla województwa ruskiego, z uwagi, że »najdują się i po dziś dzień na pograniczu pokuckiem ludzie swywolni narodu szlacheckiego, którzy w majątnościach cudzych jakimkolwiek sposobem mieszkając, bez wszelakiej przyczyny kupy łotrów zbierają, zagranicę do Wołoch i do Węgier wpadają, mordy i grabieże czynią,« nakazuje, aby wszyscy tacy przestępcy według przytoczonej powyżej konstytucyi z r. 1588 imani i do grodu stawiani byli. Jak nadgranicze wołoskie w ziemi halickiej, tak znowu Karpaty graniczne polsko-węgierskie w ziemi przemyskiej i sanockiej były siedliskiem band zbójceckich, strasznych zarówno obu sąsiednim krajom, bo na obie strony robiły wycieczki. Wielką trwogę rzucił w r. 1604 na ziemię sanocką niesłychanie zuchwały napad opryszków podgórskich, t. zw. Beskidników, na Płonnę, majątność kasztelana sanockiego Baltazara Stanisławskiego, którego dwór do szczętu splądrowano. Głośny ten swego czasu wypadek spowodował osobny uniwersał królewski, wzywający starostę i szlachtę całej

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 163 pp. 1072—8.

ziemi przemyskiej do zbrojnej wyprawy przeciw złoczyńcom.¹⁾ W tym samym i następnym roku ziemia przemyska zaniepokojona była także bardzo gęstemi i śmiałymi rozbojami a mandat królewski wzywał starostę, aby doraznie imał i karał złoczyńców, niezważając na przywileje szlacheckie, a to na zasadzie jasnego prawa: *Fur, latro, incendiarius, viarum depopulator et praedo ubique capiatur et deteneatur.*

Ziemia przemyska i sanocka, a w pierwszym rzędzie ekonomia samborska bywały widownią gęstych rozbojów i łupieżczych napadów na dwory i sioła. Czem byli dla ziemi halickiej bukowińscy i mołdawscy watahowie, tem dla ziemi sanockiej i samborskiej byli beskidnicy i spisnicy, górale nadgranicznego węgiersko-polskiego pasma. Osobliwie okolice Homonny czyli Humienowa, włości należącej do węgierskiej rodziny Drugethów de Hommonay, jak nie mniej dobra Rakocznych, bywały stałem siedliskiem opryszków, którzy stąd wyprawiali się do Polski. Bywały lata formalnej trwogi, która nie ustępowała prawie trwogom tatarskim. W r. 1629 i 1630 węgierskie bandy beskidników najbardziej dojęły szlachcie i ludowi Podkarpacia. Chłopi, poddani węgierscy z Bystrej, Lutni, Wołosianki, Zahorbia, Sławna, Użoka wyprawiali się w licznych bandach na dwory i sioła polskie. Na czele tych band stali dwaj głośni hersztowie, pop z Bystry i chłop Łapszun ze strony polskiej. Łapszun po trzykroć napadał na dwór Kazimierza Turskiego w Zwiniaczu, gdzie się spodziewał bogatego łupu. Pierwszy raz beskidnicy torturowali pod nieobecność męża Turską, chcąc wydrzeć jej wyznanie, gdzie mąż ukrył złoto, gotówkę i klejnoty, a nieznałszy tyle, ile się znaleźć spodziewali, porabiali wszystkie sprzęty, wypróżnili spichlerz a zboże wysypali do rzeki, zrabowali i spalili kościółek. Pomagali im w tej robocie,

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 141 p. 50.

która całych sześć godzin trwała, także poddani Turskiego, chłopci z Zwiniacza, którzy potem wraz z bandą zbójceją uszli do Węgier. Odparci za drugim razem, wracają po raz trzeci, dwór równają z ziemią, 20 zagród chłopskich puszczają z dymem i zabierają około 100 sztuk bydła. Podobnegoż losu doznał Andrzej Dębicki. Beskidnicy wtargnąwszy z Węgier pod pozorem, że idą na wezwanie swego dziedzica Drugetha do Laszek (Mniszchowskich), zapadli w lasach, nocą otoczyli dwór Dębickiego w Stankowej, wdarli się do środka, zabili bawiącego w Stankowej młodego Stanisława Skarbka i dwóch ze służby; samego Dębickiego, który zawarł się w alkierzu i bronił się mężnie, szturmem wzięli i srodze porąbali. Tym razem chodziło opryszkom o uwolnienie kilku towarzyszy swoich, których Dębicki pojmał był i uwięził u siebie. Jakoż uwolnili ich i zabrali z sobą, a jednego z nich, którego podejrzewali o zdradę, na miejscu ścięli.¹⁾ Ludność z Bieszczadu, z Sturzycy, Polany, Ruskiego, Rosochów itd. składała się prawie cała z zawodowych beskidników i spisaków, a główną ich kwaterą były szalasy sturzyckie, zaś szefem sztabu pop sturzycki, który utrzymywał cały arsenał broni i przed wyprawą zbójceją do Polski rozdzielał półhaki, topory, spisy i smołowe pochodnie, któremi beskidnicy piekli swoje ofiary, aby ich zmusić do wskazania ukrytych pieniędzy i kosztowności. Niejaki Mudryk Dwernicki z Ustrzyk był głównym bankierem tych band, kupował od nich zrabowane rzeczy i pożyczzał im na zastaw pieniędzy. Kiedy w r. 1648, w czasie zagonów tatarskich i kozackich, szlachta z ziemi lwowskiej i żydaczowskiej szukała schronienia, góry samborskie zdawały się być bezpiecznym przytułkiem. Pokazało się inaczej. Wygnańcy padali ofiarą beskidników,

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 151 pp. 112—115, 658—664 897—903.

jak n. p. Marek Wysoczański, szlachcic bardzo zamożny, który schronił się do Boryni i ulokował tam wszystko, co tylko zdołał uwieźć z sobą, a więc bogate srebra, klejnoty, gotówkę, kosztowne zbroje i futra. Beskidnicy napadli nocą na dwór boryński, pomordowali dzieci, pozabijali i poranili służbę i złupili wszystko, co przed kozakami uratował. W pościgu jednak, w który się za nimi puściła zaalarmowana ludność Boryni, pojmano dwóch członków tej bandy, i z ich konfesat dowiedziano się dopiero o szerokiej organizacyi nadgranicznych opryszków i o ich spółce z chłopami po polskiej stronie.¹⁾

W czasie naszego opowiadania nie w samej tylko Polsce ale i we wszystkich krajach Europy grasowały hultajskie i zbójckie bandy, nigdzie jednak nie było może tak trudno o ich poskromienie jak w Polsce, a już zwłaszcza w województwie ruskiem. Nie sam tylko brak czujnych i silnych władz wykonawczych był temu przyczyną — stał temu na przeszkodzie także i to w najznacniejszej może mierze prawny stosunek chłopu do dziedzica. Głównego kontyngentu zbójckiego dostarczali w Sanockiem i Samborskiem chłopu, a chłop stał pod jurysdykcyą i protekcyą swego pana. Nie wolno było pojmać obcego poddanego, nie wolno go było nawet bezpośrednio pozywać. O chłopu złoczyńcę trzeba było pozywać jego pana, domagać się, aby on sam stawił swego poddanego do grodu. Między sprawiedliwością a chłopem stał szlachcic jakby murem, który trzeba było przełamać pozwem i co za nim szło, długim i trudnym procesem. Ztąd pochodzi ta niezliczona ilość pozwów, wytaczanych szlachcie, któremi przepelnione są akta grodzkie, a w których chodzi o statucyą t. j. o stawienie chłopów, o czynienie z nich sprawiedliwości za występki, popelnione w cudzym majątku. W każdym pozwie o napad zbójcki stoi na samem czele pozwanych

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 375 pp. 1663, 1710—22 i Agr. Sanockie, tom 161 pp. 2144 i dalsze.

imiennie złoczyńców ich dziedzic, tak że na kimś, co nie jest dostatecznie poznamiony z stosunkami prawnymi tej pory, robi to wrażenie, jak gdyby ten dziedzic, magnat niekiedy i wysoki dostojnik, był hersztem tej bandy, która kogoś okradła, obrabowała lub zabiła. Ale nie brak wypadków, w których wrażenie takie niezbyt daleko odbiegało od prawdy. Spotykamy niejedną wskazówkę, że dziedzic tolerował wybryki swoich poddanych, a co gorsza, że z nich korzystał. Nie można tego twierdzić o szlachcie znaczniejszej, dobrze osiadłej, żyjącej na widoku i pod kontrolą równych stanowiskiem społecznym sąsiadów, ale pamiętać trzeba, że w odludnych i bezludnych ustroniach górskich, wśród przełęczy beskidzkich, w »zarębach« samborskich, skrytych, zapadłych i niedostępnych, wśród borów i wertepów, siedział jak wilk niejednego małego szlachcica, pan na splechciu owsa, na chudej połonińce ale i na garstce głodnych i dzikich poddanych, że siedziała tam osobna klasa ludzi, niezdecydowana i niesklasyfikowana co do swego społecznego stanowiska, częstkowi i zagonowi półszlachcice, pół-opryszki, pół-chłopi, owi wójtowie strwiążcy, kniaziowie, krajnicy, łannicy, wolnicy, mający swoich chłopów poddanych, swoją niezawisłość i swoją jurysdykcję, czy to prawną czy tylko uzurpowaną lub zwyczajową. Były tam całe rody, których nie można zaliczyć ani do szlachty chodackowej ani do szlachty częstkowej, ani do posesyonatów w całym tego słowa znaczeniu, ani do zwykłych tenutaryuszów wójtostw i sołtystw, ani do właściwych kniaziów i krajników strwiążkich, a które co do praw i stanowiska swego łączą w sobie to wszystko razem.

Ustawiczne a coraz zuchwalsze i częstsze rozboje tak w końcu dojęły szlachcie sanockiej, że w r. 1647 na sejmiku województwa ruskiego w Wiszni postanowiła uciec się do radykalnych środków i powzięła osobną uchwałę, której najważniejszym celem było właśnie obalenie zawady, jaką były prawa dziedzica w ściganiu zło-

czyńców chłopskich. Przekonała się szlachta, jak to sama w swojej uchwale powiada, »iżby to tam łotrostwo węgierskie nie miało do nas takowego przystępu, gdyby poddani nasi nie byli receptorami, zwodźcami i podobnymi tamtym łotrom«, i dlatego też postanowiła skrócić proceder przy stawianiu i wydawaniu winnych poddanych, umożliwić szybkie przeprowadzenie sprawy przez odstąpienie od warunku delatorstwa, przez zniesienie expurgacyj i effidejussyj, t. j. wyręczania uwięzionego chłopca z więzienia, i przez niedopuszczenie excepcyi i apelacyi od wyroku, a równocześnie zniżyła znaczne stosunkowo koszta i taksy sądowe i grodzkie, stanowiąc, że cały proceder nie ma więcej kosztować nad jedną kopę. Sądy doraźne, prowadzenie »czarnych ksiąg«, paszporty szlacheckie, rodzaj policyi targowej, nałożenie obowiązku gromadnego ścigania zbójców na wsie i miasteczka, to miały być według tej uchwały dalsze środki przeciw beskidnictwu. Dwóch wiarygodnych świadków wystarcza, aby złoczyńca na kwestę t. j. tortury był dany; kto *in facto manuali* pojmany albo lice na kogo by jawne było, temu żadna expurgacya nie służy, ale ma być zaraz gardłem karany. »Takowego też każdego złodzieja i szkodcę, gdyby kto w majątności swojej na świeżym uczynku albo w pogoni przy licu zeszedł, wolno go imać nie stawiając do grodu. Gdyby też uszkodzony postrzegłszy szkodników na gwałt zawołał, w tejsze wsi albo poblizszej drugiej i trzeciej, także w miastach i miasteczkach wszyscy na gwałt wypadać mają i rozbójniki łapać i do grodu oddawać powinni z tem wszystkim, co się przy nich znajdzie, od czego gród nic brać nie ma, a takowych pojmańców nawet bez delatora *omnibus reiectis exceptionibus* na gardle karać. A któraby wieś albo miasteczko na gwałt nie bieżało i rozbójników nie imało, takowe za szkodę płacić ma bez apelacyi. Warujemy sobie przy tem, aby chłopci nasi do Węgier tak na robotę jako dla inszych potrzeb przez listów panów swoich nie

chodzili a jeśliby przeświadczo pod którymkolwiek z nas, że jest taki poddany, który samowolnie bez listu pańskiego do Węgier zabiega, ma być za podejrzanego trzymany i wolno oń jako o nawodźcę i przewodnika pozwać które-mukolwiek szlachcicowi. Dokładamy i tego, że za dojściem tego prawdziwym, iżby z pod którego z nas rozbojem się który chłop bawił a potem powróciwszy się pod swego pana, chciał go jakimkolwiek sposobem przejednywać i pan przyjął go znowu pod się, tedy jeżeliby oń kto pozywał jako o rozbójnika, powinien go do grodu *ad primam citationem* stawić.«¹⁾

Ziemia halicka nawiedzana była przez bandy zbójckie, które się organizowały w lasach bukowińskich i w górach pokuckich. Szlachta tej ziemi, zgromadzona w r. 1606 na wybory deputatów do Trybunału Lubelskiego, »bacząc na świeże a codzień pomnażające się niebezpieczeństwa swawoli ludzi luźnych, na rozboje i płądrowanie domów szlacheckich i poddanych krajów naszych kupiących się w tak gorącym pożarze, zapobiegając dalszym niebezpieczeństwom zdrowia, domów i majątności,« uchwała celem poparcia usiłowań starosty halickiego, wojewody bełzkiego Stanisława z Hermanowa Włodka, następujące *laudum* : »Obiecujemy, że jeśliby w majątnościach naszych za przewodem i faworem poddanych naszych takowe *latrocinia* pomnażały się, albo i z kupy rozpędzeni takowi łotrowie w majątnościach naszych najdowali się, a byli *recentium spoliatorum et praedae* przez powołanie urzędowe notowani albo *in recenti crimine* za pojmaniem drugich poszlakowani, wolno będzie panu wojewodzie takowe zoczyńce łapać, karać i egzekucyę nieodwłocznie rozkazać czynić, o co potem prawnie p. wojewoda rekwirowan ani inkwiewtowan od żadnego z nas być nie może.«²⁾ Było to więc

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 160 pp. 15—19.

²⁾ Agr. Halickie, tom 112 pp. 1679—1682.

do pewnego stopnia zrzeczenie się dwóch klejnotów udzieleności szlacheckiej: jurysdykcji nad własnymi poddanymi i nietykalności domu — dowód, jak dalece bezpieczeństwo było zagrożone.

Aby zapobiedz ustawicznym napadom zbójckim, które organizowały się w pogranicznych pasach wołoskich i węgierskich, uciekać się trzeba było niekiedy do tak radykalnego środka, jak zupełne zamknięcie przesmyków, ścieżek i dróg, t. j. wszelkiej komunikacji między Polską a sąsiednimi krajami. »Rozkazujemy i koniecznie to mieć chcemy — opiewa uniwersał królewski z r. 1618 — abyście się wszyscy wspólnie do tego rzucili a pomienione miejsca, t. j. wszystkie brody, gościńce, przechody i ścieżki, któremiby kolwiek z Węgier do Korony i do siedmiogrodzkiej ziemi, także do Wołoch wozmi, końmi, pieszo, jezdnie i chodzić był zwyczaj, zarąbić, zamiotać i zarzucić jako najwarowniej rozkazali, nikogo z Węgier do państw naszych nie puszczając. A kto by drogi takie odwalił i przechodzić śmiał, imać i do grodu bliższego odesłać, kto zaś takiego swawolnika i występce do grodu odda, wszystkich rzeczy, towarów i kupi połowica onemu należeć będzie a połowica do dyspozycji naszej przyjdzie.«¹⁾ Uniwersały i mandaty przeciw opryszkom i swawolnym bandom powtarzają się niemal co roku, świadcząc może bardziej o niedołęztwie władz bezpieczeństwa aniżeli o niepokonanej trudności zapobieżenia tej ciężkiej pladze.

Zdarzało się często, że bandzie zbójckiej przewodził szlachcic, jeden z upadłej klasy tych herbownych szubrawców, którzy w zapiskach grodzkich figurują pod zabawną nazwą: *golotae et odardi*; pewnego kontyngentu tak opryszków jak hersztów dostarczała szlachta chodackowa i zagonowa. Niekiedy banda naśladowała organi-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 118 pp. 726—7.

zacyą swą formę rotę swawolnej i miała swoją chorągiew, bębny i kotły. Tak wyglądała banda zbójcka szlachcica Wojciecha Żebrowskiego, który w r. 1611 rozsiewał postrach w ziemi przemyskiej, dopóki go nie rozbił dziedzic Ostrowa, Mateusz Ostrowski, który napadnięty we wsi swojej i w dworze przez bandę Żebrowskiego, nie tylko że się obronił, ale rozprószył opryszków, odebrał im czerwoną chorągiew z krzyżem, wziął kilku żywcem i do grodu odstawił, gdzie ich ścięto.¹⁾ W halickiej ziemi dokazywał około r. 1626 na czele bandy »*maleficorum notatorum*« nazywanych opryski,²⁾ jak się wyraża zapisek grodzki, szlachcic Andrzej Górski, który korzystając z tego, że szlachta wyruszyła na doroczne okazowanie do Halicza, napadł na dwór Stanisława Szpądowskiego w Chocimierzu, gdzie pozostały tylko kobiety z nieliczną czeladzią. Ale dzielna szlachcianka, pani Szpądowska, broniła się uporczywie i walecznie w swoim obostrzonym domu, mimo że rabusie strzelali »z hakownic, muszkietów, jańczarek, łuków i rzucali wekierami,³⁾ i doczekała się w ostatniej chwili szczęśliwie odsiecz, bo kiedy już zbójcy przypuścili szturm i rąbać poczęli ostrokoły, nadszedł z okazowania z Halicza sam Szpądowski z swoim poczem, uderzył na opryszków i zmusił ich do ucieczki. Między bronią pozostawioną przez nich na placu boju, którą zwycięzca odwiózł do grodu, było kilkanaście sztuk specjalnej broni zbójckiej, t. zw. »opryskowskich wekier« czyli siekier.⁴⁾ Niejaki Wojciech Pamiętowski, szlachcic nieosiadły, zgołociał, zebrawszy 200 chłopów z Łyskowic, Korszowa, Lachowic, trybem tatarskim — *ad instar Tartarorum* — napadał na wsie i dwory w ziemi halickiej, jak n. p. na Dołhe i Horyszne podkomorzego Andrzeja Poniatowskiego,

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 327 p. 1671.

²⁾ Agr. Halickie, tom 123 p. 806—8.

któremu tak jak i jego poddanym zabrał wszystko, co się tylko unieść, uwięzić lub uprowadzić dało.¹⁾

W górach sanockich istniały około r. 1629 osobne jaskinie zbójckie, w których układały się plany wypraw, przygotowywały się zasadzki i ukrywały się zrabowane kosztowno-



Fig. 26.

Herszt Beskidników.
Z współczesnego malowidła.

ści. Gospodarzem bywał jakiś skończony łotrzyk, najczęściej wywołaniec nie mający nic do stracenia, niekiedy imiennik lub wyrodny członek bardzo poczciwej rodziny, niegodny swego szlacheckiego pochodzenia i nazwiska. Takimi

¹⁾ Agr. Halickie, tom 127 p. 1471.

jaskiniami były Hołuczków i Gwoźnica. W Hołuczkowie a właściwie pod tą wsią na odludziu utrzymywał taką gospodę zbójczą ów Ramułt, o którym już obszerniej była mowa w pierwszym rozdziale tej książki, w Gwoźnicy miał spółkę, czyli t. zw. przewodnią z opryszkami niejaki Paweł Zaklika, wywołaniec, skazany w r. 1629 za zabójstwo popełnione na Pawle Domaradzkim na infamię i proskrypcję. Kiedy się znalazł dzielny szlachcic, Alexander Gizowski, który pojmał i odstawił do grodu jednego z należących do bandy gwoźnickiej łotrzyków, niejakiego Dzikowskiego, odkryła się cała jej organizacja. Znalaziono w Gwoźnicy ceduły i awizy zbójckie, z których przytoczymy tu jedną próbkę: »Mości Panie Zaklika — pisze niejaki Daniel Wisłocki — Wiem zapewne, iż jeden kupiec Kazimirski jedzie w kraj podgórski dla skupienia masel i innych legumin; ma kilka tysięcy złotych, który jeśliby tamtędy blisko Wmości jachał, jakoż mu tamtędy droga przypada, raczy Wmość onego przespiegować i opatrzyć, gdyż szkoda okazyi takiej opuścić dobrej. Jeżeliby minął, pewnie na mojem skrzydle, które trzymam, onemu skonać przyjdzie. Poszlij Wmość swojego Miękickiego, aby nań czuwał jutro, jako przed wieczorem właśnie ma tamtędy jachać. Ja też nie będę zasypiał, tylko dla Boga ostrożnie Wmość postępuj sobie i to pisanie moje zgub albo spal, proszę. Jeżelibyś Wmość co gdzie wiedział nam być potrzebnego, daj mi Wmości znać; przyjadę i pomocy dodam, a o konie, które tam Wmości posyłam, aby były w dobrem chowaniu, proszę. Winnien jestem odsłużyć. Dan, gdzie Wmość wiesz.« Dzikowskiego stracono w Sanoku; co się stało z innymi, milczą akta sanockie.¹⁾

We Lwowie rozbijali bracia Białoskórscy, pode Lwowem bracia Policcy. Białoskórscy, synowie burgrabiego

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 150 p. 1660—1 i tom 151 pp. 1169, 1174.

Wysokiego Zamku, wyuzdani łotrzykowie, grasowali około roku 1590 po nocach w samym Lwowie i na jego przedmieściach, popełniając gwałty i rabunki, a dniami chowali się na Wysokim Zamku, który był pod dozorem ich ojca. Zamek stał się tym sposobem jaskinią zbójczą, a mieszczanie lwowscy nie mogąc znaleźć satysfakcji ani u ojca wyrodnych synów ani u starosty, uciekli się z swojemi skargami do sejmiku wiszeńskiego, na którym rajca Jelonek zażądał interwencji szlachty. Uniesieni żądzą zemsty Białokórcy szpiegowali Jelonka i zasadziwszy się w lesie bartatowskim napadli na przejeżdżającego i byłiby go nieochybnie zamordowali, gdyby nie przybył mu był niespodziewany sukurs w gronie podróżnych, które właśnie las mijają.¹⁾ W trzydzieści kilka lat po Białokórczych, dwaj szlachcice osiadli w Sokolnikach pode Lwowem, bracia Policcy, z których młodszy Andrzej miał dopiero lat siedemnaście, stawają na czele bandy zbójczej, złożonej z własnej czeladzi, wśród której główną figurą był szlachcic Ostrowski, z chłopów sokolnickich Joba, Florka i kilku innych, a w końcu z Lisowczyków, których około piętnastu należało do wypraw zbójczych.

Policcy przez dwa lata tuż w bezpośredniem pobliżu ruskiej stolicy uprawiają rzemiosło zbójcze, urządzają zuchwałę napady, rabują i mordują podróżnych, trzymają w ustawicznej trwodze przedmieszczan a także i mieszczan lwowskich, posiadających po za murami miasta folwarki, letnie dworki i pasieki. Banda Polickich utrzymuje osobnego bardzo sprytnego szpiega, niejakiego Gąsiorowskiego, który maskuje się i przebiera w najrozmaitszy sposób, za chłopą, za pielgrzymą, za mnicha, za żyda, przebiega okolicę, wywiaduje się o bogatych ludziach, bada sprzyjające okoliczności i ułatwia zbójcom nocne wyprawy. Niezliczony szereg gwałtów, rabunków i okrucieństw popełniają bezkarnie Policcy.

¹⁾ Zimorowicz, Opera, p. 149.

Napadłszy na folwark mieszczanina lwowskiego Krzyszta-
nowicza, łupią go doszczętnie, a trzy osoby, które tam
zastali, zabijają, wiążą trupy razem »ręka do ręki, noga do
nogi, i głowy do dołu obróciwszy, rzucają w studnię.«
Zbrodni tej przewodzi siedmnaścieletni Andrzej! »Po te
czasy niebezpieczno się było z miasta wychylić — powiada
współczesne świadectwo — na gościniec i na drogę pokazać,
ale raczej potajemnie i w niemałej kupie trzeba było prze-
bywać; *alias* szczęśliwy, kto bez szkody został i zdrowo
się wrócił.« W śledztwie, jakie się toczyło na ratuszu po
pojmaniu jednego z głównych członków bandy, wspo-
mnianego już Ostrowskiego, wszyscy świadkowie »zeznali
w jedne słowa, a mianowicie, którzy mieszkają na Stą-
clowskiej Woli i w Kulparkowie, że wszystkie ulica
i wszystkie przedmieścia po tej stronie, po której Policcy
jeździli do Sokolnik, pokoju nie miały; uciśnienie wielkie,
przenagabywania, napaści tak od samych Polickich jak od
służków ich i od chłopów sokolnickich. Większy i cięższy
mieliśmy niepokój i strachy niżli od nieprzyjaciela; musiał
się więc każdy zawierać w domu swoim, rzadko kto się
wysiedziały w spokoju; każdy z nas lękał się z domu na
drogę wychylić, jechać i przed domem nawet stać. Całe
dwie lecie taki zbrodnie robili bez przestanku... Hajduka
Jego Król. Mości, dobosza, który szedł z miasta, starszy
Policki zabił; pytał go: »Coś ty za drab?« Powiedział mu
hajduk, że ja nie drab, ale jest dobosz Jego Król.
Mości. »A dobosz, dobosz!« za temi słowy ciął go zaraz
w szyję i zabił. Stało się to przed kościołem Maryi Ma-
gdaleny.«¹⁾

Rzuca to najsmutniejsze światło na ówczesne władze,
które miały czuwać nad publicznem bezpieczeństwem, że
nie ręka sprawiedliwości, nie interwencya jakiejś publicznej
magistratury, ale całkiem osobisty, prywatny odwet położył

¹⁾ Acta Consularia miasta Lwowa, tom 33 p. 1156.

ostatecznie w r. 1625 kres łotrowstwu Polickich. Mieli oni tyle zuchwalstwa, a raczej tak byli przekonani o swojej bezkarności, że rozbijawszy nocą, dniami otoczeni zbrojną zgrają uwijali się po przedmieściach lwowskich a nawet po samem mieście. Pewnego dnia podochoceni trunkiem, konno, z rusznicami w ręku, z których ciągle strzelali szerząc popłoch między ludnością, wszczęli burdę przed domem mieszczki Kapinosowej pod kościołem Bernardyńskim, u której stanął był gospodą Mikołaj Cetner, i w burdzie tej wywołanej przez Ostrowskiego, starszy Policki, Jakób, dwoma strzałami z półhaka zamordował Stanisława Głębockiego. »Z pany Głębockimi poszedłem do gospody p. Mikołaja Cetnera — opowiada zajście to szlachcic Jan Siedlecki — był nam rad; tam się bawiąc, nadjechał Ostrowski przed gospodę, strzelił. Wyrze p. Cetner i rzecze: »A bracie, kiedy by to nie strzelać!« Odpowie: »Wolno mi strzelać.« P. Cetner na to: »A rozbójniczowie, a kiedyby to do obozu!« i zawoła na chłopca, aby mu dał szablę. Wyszliśmy przed sień; tam Ostrowski zaraz w kupę do nas strzelił, nie trafiwszy nikogo. Rzecze p. Głębocki: »Sam jedno, sam; nie ufaj w tę ruszniczkę!« Zsiadłże on Ostrowski z konia i zaciął się z nieboszczykiem, a Policki starszy przypadłszy zastrzelił p. Głębockiego.«¹⁾

Bracia zamordowanego, Mikołaj i Paweł Głęboccy, rzucili się w pościg za Polickimi. Dowiedzieli się, że matka ich, drugiego małżeństwa Sarnowska, przebywa wraz z córką swoją, którą nazywano Sarnowszczanką, w Hodowicy, majątności kapituły lwowskiej, w domu kmiecia Seńka, gdzie Policcy urządzili sobie skład zrabowanych rzeczy. Dobrawszy sobie pewnej liczby zbrojnej czeladzi napadli Głęboccy nocą na mieszkaniu Sarnowskiej i wtargnąwszy przemocą do domostwa, pojmali

¹⁾ Ibidem, p. 1042.

tam młodszego Polickiego, nie bez oporu jednak i walki zaciętej, w której Sarnowszczyzna, piękna i młoda dziewczyna, padła trupem, trzema kulami przeszyta. Dlaczego ją zabito, czy brała czynny udział w zbrojnym oporze przeciw Głęboczkim, czy zasłaniała piersiami swemi brata, czy zabłąkane w nocnej strzelaninie kule ugodziły ją przypadkiem tylko, tego nie wyjaśnia zaniesiona do akt grodzkich protestacja matki, która obwiniając Głęboczkich o zamordowanie swojej córki, zarzuca im także, że z zabitej zwlekli czarną i że zrabowali 1000 zł. w gotówce.¹⁾ Pojmanego Polickiego oddali Głęboccy do więzień ratuszowych, gdzie go wrzucono do »Gelazynki,« najstraszniejszej z cel podziemnych. Miał stawać wraz z pojmanym zaraz po zamordowaniu Głęboczkim Ostrowskim przed sądem kryminalnym mieszanym, t. zw. *iudicium compositum*, ale starosta lwowski Mniszech odebrał go z więzień miejskich i umieścił w zamkowych. Skończyło się na ukaraniu samego tylko Ostrowskiego, który dwa razy brany na tortury, skazany został na ścięcie, podczas gdy Andrzeja Polickiego za dekretem trybunału wypuszczono na wolną stopę, albowiem, chociaż miał trzy stwierdzone morderstwa na sumieniu, nie był pojmany na gorącym uczynku, *non in recenti et manuali facto.*²⁾ Zaraz po swoim uwolnieniu Andrzej Policki zasypał pozwami Głęboczkich o gwałtowne pojmanie, a rajców, ławników, wójta i burmistrza miasta Lwowa o bezprawne więzienie.

Z drobnej szlachty, biorącej udział w zbójceckich napadach, spotykamy w halickiej ziemi Żurakowskich, w przemyskiej Komarnickich, Wysoczańskich i Czernickich. Łukasz Wysoczański wspólnie z Wasylem Czernickim mieli zorganizowaną bandę opryszków, głównie chłopów z Wysokiej. W r. 1624 banda ta napadła na dwór Jana Romera

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 377 p. 484.

²⁾ Ibidem, p. 1314.

w Chyszowie, zabiła go a z łupem uciekła w góry.¹⁾ Siedmiu Żurakowskich (Fedio, Iwaś, Michajło i t. p.) napadają w r. 1623 ze zgrają »Wołochów, Serbów i Czerkiesów,« jak czytamy w protestacyi, na dwór Andrzeja Żołądzia, i gdy się dobyć do niego nie mogą, podkładają ogień i zmuszają obłązonego do ucieczki, a pojmannszy go, gaszą ogień wzniecony, rabują gotówkę, srebro, klejnoty, pojmanego zaś Żołądzia biorą z sobą do Staruni a następnie w dalekie lasy i góry i tam go zabijają. W gwałcie tym jednak, który ma wszystkie cechy rozbójniczego napadu, odgrywać musiała także rolę jakaś śmiertelna waśń rodzinna, bo Żołądź był ożeniony z Żurakowską.²⁾ Zbrodnia ta uszła bezkarnie i ośmieliła innych do równie zuchwiałych pogroźek a nawet i czynów. Szlachcic Zagwojski najechawszy zbrojno ale bezskutecznie sąsiada swego Trofana Drohomireckiego, woła nań: »Nastałem był na cię, aby cię było zabito, ale ponieważś ty od tej rany nie umarł, wiedz o tem, że ty moich rąk nie ujdiesz; przedsię cię zabiję i ciało twoje zagubię, jako Żurakowscy zagubili Żołądzia, i nie będzie mi nic o to, jako i za Żołądzia żaden gardła nie dał.«³⁾ Komarniccy, szlachta zagonowa, zamieszkała w górach samborskich, na samem pograniczu Węgier, dostarczyła kilku głośniejszych w ziemi przemyskiej hersztów, a między nimi najwięcej broił Kość (Konstanty) Komarnicki, zwany Czerlony, który miewał porozumienie z węgierskimi sabatami, urządzał wycieczki rozbójnicze na oba boki Beskidu, napadał przejeżdżających z Polski lub do Polski kupców i podróżnych. W r. 1605 wysłał ks. Janusz Ostrogski, kasztelan krakowski, dworzanina swego z oddziałem czeladzi z Hutar do lasów beskidzkich na czaty i dla obrony dóbr położonych na węg-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 150.

²⁾ Agr. Halickie, tom 121 p. 1777.

³⁾ Agr. Halickie, tom 126 p. 593.

gierskiej granicy przed sabatami Bocskaja; Kość Czerlony wraz z bratem swoim Andryjem Komarnickim zasadzili się na ten oddział, założyli mu drogę w lesie pościnanemi w tym celu drzewami, opadli go z nienacka, dworzanina zabili i trupa obdarli, kilku z czeladzi posiekli, broń, konie, wozy zabrali.¹⁾ Inny Komarnicki, z przydomkiem Motykowicz, napada wracającego z Polski do Węgier władkę munkackiego Jerzego, rani i rozpędza mu służbę, jego samego wyrzuca z karety i zabiera mu wszystko, co tylko ma przy sobie.

Ziemia halicka była właściwą krainą opryszków; osoblivie Pokucie było osławione. Chłopi niektórych okolic, jak n. p. Pniowa, Peczeniżyna, Rungur, Krzywołuk, dostarczali głównego kontyngentu do zorganizowanych band zbójcekich. Około r. 1621 bandy te grasowały w zagrażający sposób. Na czele bandy stał *wataha*, a jednym z najgłośniejszych watahów był chłop Hryń Kardasz. Opryszki miały »przewodnią« t. j. spółkę z zbójcami w lasach bukowińskich, na których czele stał Bernawski i Mustać, wataha dorohiński. Posiłkowani przez Wołochów, zaopatrywani w broń przez Bernawskiego i Mustać, opryszkowie chłopscy wykonywali napady na dwory szlacheckie, ubiegali nawet obronne zamki. Głośnym był ich napad na zamek Alexandra Kuropatwy w Pniowie. Jeden z służby zamkowej wskazał im miejsce, w którym można się było podkopać i dostać do zamku. Korzystając z tej wskazówki banda złożona z 48 opryszków, między którymi był także szlachcic Berezowski, wtargnęła podkopem w nocy do zamku. Opryszki mieli polecenie pana unikać, panią zabić, dzieci pościnać, zamek splądrować, spalić, a całą stadninę zabrać i przyprowadzić Bernawskiemu. Program ten tylko w części wykonano; Kuropatwinę porąbano, Kuropatwę raniono także postrzałem z łuku,

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 321 p. 1501.

złoto, klejnoty i pieniądze zrabowano. W odwrocie z tej wyprawy wpadli jednak zbójcy w zasadzkę, urządzoną na nich przez chłopów peczeniżyńskich, którzy odebrali im cały łup pniowski.¹⁾ Ta sama banda obrabowała pod Śniatynem dwór Poniatowskiego, a jego samego zabiła. Kuropatwa wytoczył po tym rabunku proces Tęczyńskim, spadkobiercom Jana, wojewody krakowskiego, których



Fig. 27.

Beskidnik.

Rysunek z Aktów Lwowskich.

poddani z Rungur i Peczeniżyna mieli czynny udział w napadzie. Opryszki haliccy korzystali z każdej inkursyi tatarskiej, aby wśród powszechnego zamętu i trwogi urządzać napady pod maską tatarską. Robili tak chłopci peczeniżyńscy, którzy dobrawszy sobie opryszków z Węgier i Wołoch przebiegali okolice w sile około 300 ludzi uzbrojonych w rusznice, łuki i spisy i z okrzykiem:

¹⁾ Agr. Halickie, tom 120 pp. 164—169.

Hałaj! hałaj! napadali na dwory i sioła, rabowali cerkwie, nie przepuszczając popom i chłopom, którym ostatnie mienie zabierali. Pamiętny był w całej ziemi halickiej bunt rozbójniczy chłopów z Laskowic, Mogilnicy, Chmielówki i Romanowa, którzy w r. 1641 w porozumieniu z domownikami opanowali zameczek mogilnicki Jakóba Poniatowskiego w czasie gdy tenże był nieobecny, i dopuścili się gwałtów i rabunków na wielką skalę. Potrzeba było dragonów Maryi Mohilanki Firlejowej i syna jej z pierwszego małżeństwa Piotra Potockiego, aby wyparować chłopstwo z zameczka i położyć kres dalszym rozbójom.

IV.

ZŁY SĄSIAD. ZATARGI O MIEDZĘ. LIGEZA I HUMNICKI. ZDRADZIECKIE DOMY. ROSIŃSCY. OBRAZEK Z NATURY. KRWAWE BIESIADY. DEPREKACYE.

Zły sąsiad, miecz nad głową, wieczna infamija,
Wielka to dla szlachcica jest melancholija!

Do najgorszych utrapień życia zalicza to *dictum* ówczesne złego sąsiada, podobne w tem do znanego podania o Floryanie Szarym i powstaniu herbu Jelita. Było w tem wiele racji; zły sąsiad gorszy był pod niejednym względem nawet od Tatarzyna i swawolnego żołnierza, bo ci przyszli i poszli, a sąsiad ciągle siedział na karku i ciągle żyć nie dawał. Te same były okazy i powody do waśni sąsiedzkich, co i dzisiaj, z wyjątkiem spraw o zbiegłego chłopca, tylko że dziś nikt, aby dokuczyć sąsiadowi, nie powiesi mu przed oknami chłopca-złodzieja, jak to uczynił Alexander Giedziński, który aby zdespektować sąsiada Michała Poniatowskiego, z którego dworem w Przewoźcu bezpośrednio grunta jego się stykały, kazał na szczycie góry, »na samym prospekcie« jego mieszkania postawić szubienicę i wykonać rzeczoną egzekucję; nikt nie urządzi mu »kociej muzyki« w formie dzikiego polowania, jak

to uczynili w r. 1633 Kłodzicy, na których żalą się prześladowani przez nich sąsiedzi Chordkowie, »że okazyj różnych szukają, aby im tylko mogli na zdrowie nastąpić, częstemi kontemptami znieważają, w odpowiedzi strasznej zgładzeniem ich ze świata szczytą się, ludzie na żywot ich poduszczają, w głos jawny i oczywisty mówią: »Zabij mi tylko młodszego, z starym łatwiej; pojednamy to bardzo prędko« — a teraz zebrawszy myśliwców z trąbami różnemi, nie aby polować, ale aby despektować, aż pod dwór p. Chordki starego w Siemiginowie przyjechawszy, psy zapuściwszy, trąbić rozkazali, szczwali, polowali, a potem do wsi przyjechawszy i psy strąbiwszy, znowu je rozpuścili« — nikt nie robi, jak zrobił w r. 1611 Walenty Jaksmanicki, który Stanisława Porudeńskiego z Bonowa wita na swoich progach uderzeniem w twarz, dając tem hasło swojej służbie, która rzuca się na nieszczęśliwego gościa i kładzie go trupem na miejscu, podczas gdy gospodarz woła: »Zdejmijcie tę żmiję z mojej głowy.«¹⁾

Jakie bywały stosunki sąsiedzkie, ile najrozmaitszych przyczyn lub tylko pozorów nastęrczały do nieporozumień, żalów, wzajemnych pretensyj, zajęć gwałtownych, pozwów i procesów, o tem da nam najlepsze wyobrażenie fakt, że kiedy między Magdaleną Krasicką, kasztelanową sanocką, wtórego zaś małżeństwa Korycińską, starościną ojcowską, a Jerzym Krasickim, starostą dolińskim, przyszło nareszcie w r. 1632 do prób kompromisu, wytoczono przed sąd obywatelski, w którym superarbitrem był Samuel Sיעiński, podkomorzy sanocki, ni mniej ni więcej tylko ośmdziesiąt siedm spraw i grawaminów, a wszystkie z dwóch czy trzech lat ostatnich! Jakąkolwiek tylko stronę sąsiedzkiego życia pomyśleć sobie można, każda z nich figurowała w tej nieskończonej litanji zatargów

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 327 p. 1500, i tom 328 pp. 25, 333.

i krzywd wzajemnych — były to spory o granice, o lasy o kamień, o pastwiska, o szkody polowe, o zagrabione rzeczy, o wodę, ogień, ziemię i powietrze — a już najczęściej o chłopów poddanych, czy to zbiegłych, czy też nieukaranych za jakieś winy i prawdziwe i urojone.¹⁾ Arbitrowie pracowali kilka tygodni, spisali grube foliaty— ale kompromis nie przyszedł do skutku. W ziemi sanockiej, gdzie nie było latyfundiów i gdzie szlachcic siedział tuż obok szlachcica, a czasem szlachcic na szlachcicu, jakby to powiedzieć można o wypadkach, w których jakaś wieś podzielona była na części, t. zw. *sortes*, i miała dwóch właścicieli, dwa dwory, dwie gromadki zbyt licznej a niesfornej służby — przychodziło do bezustannych nieporozumień, które zaczynały się od zajęć małych, przechodziły w pozwy, rozpałały się w namiętą nienawiść a kończyły rozlewem krwi a nawet śmiercią jednego albo obudwóch przeciwników, jak to n. p. stało się w r. 1624 w Kreczowie, gdzie najpierw w zajęciu sąsiedzkim ginie jeden współdziedzic Jan Chmiel za przyczyną drugiego, Jana Zadorskiego, a zaraz tegoż samego roku ginie i Zadorski za przyczyną owdowiałej Chmielowej.²⁾

Nie pomogła przeciw złemu sąsiadowi cierpliwość, nie pomogło uciekanie się pod opiekę prawa. Kto się w nieporozumieniach o granicę zdał na komisję podkomorską a spór innego rodzaju chciał zakończyć na sądach ziemskich, ten często doświadczał tego, co n. p. spotkało Krzysztofa Skopowskiego od Marcina Kazanowskiego albo chorążego podolskiego Alexandra Cetnera od starosty czerwonogrodzkiego Franciszka Daniłowicza. Oba wypadki są prawie typowe. Skopowski miał spór graniczny z Kazanowskim i pragnął go załatwić interwencją urzędu podkomorskiego. Chodziło o granice między Chle-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 151 pp. 1604—6.

²⁾ Ibidem, pp. 728, 988—992.

biczynem Skopowskiego a Korszowem Kazanowskiego. Zjechał na miejsce komornik graniczny ziemi halickiej, Wojciech Wiczkowski, i przystąpił do wstępnej formalności, t. j. do t. zw. fundowania jurysdykcji. Kazanowski postanowił gwałtem udaremnić urządowanie. »Towarzystwo roty swej i pacholików wielką liczbę z stanowiska własnego z Tustań i Siemakowic w zbrojach i z strzelbą rozmaita, jako półhaki, muszkiety i z łukami, także piechoty gwardyą niemałą z armatą, których ludzi było więcej niż 500 zwiódłszy« wyruszył na pola, obsadził właśnie sporne grunta, uszykował na nich żołnierzy swoich w hufce i przyłożywszy sam lont do panewki rusznicy oświadczył, że od tego miejsca na piędź dalej komornikowi postępować nie dopuści, urągając, że wolno mu jednak posunąć się dalej »po niebie albo pod ziemią albo przeskoczyć.« Na zapytanie komornika, »jeśliby jakimi racyami prawnymi tego bronili, odpowiedzieli, że prawa nie mamy, ale tego prawem i lewem tu bronimy, i gardła przy tem położyc jesteśmy gotowi.« Komornik musiał ustąpić, a Kazanowski »trochę odjechawszy, strzelbę ogromną wypuścić rozkazał i za Skopowskim i za komornikiem; więcej niż 100 razy strzelono.« ¹⁾)

Kiedy się wytoczył spór sąsiedzki między Cetnerem a Daniłowiczem na sądach ziemskich lwowskich, Daniłowicz przywiódłszy z sobą oddział swoich dworskich dragonów pod komendą kapitana Mari i ukrywszy ich w pobliżu, wszedł do sali sądowej i począł lżyć Cetnera, który jak sam powiada, »z rewerencyi dla sądu odpowiedział *modeste*.« Na to Daniłowicz wielkim głosem zawołał na swoich dragonów i wraz z nimi rzucił się na Cetnera, nie zważając na powagę miejsca. Cetner zaledwie miał czas skoczyć pod stół i tam się ukryć, a wtedy Daniłowicz i jego żołnierze, nie mogąc go inaczej dostać, po-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 117 z r. 1614 p. 1438—1440.

częli klucz go sztychami szabel i byłiby go niezawodnie na śmierć zaktuli, gdyby nie zbiegła się szlachta i nie powstrzymała gwałtowników. Tym razem jednak wybryk ten nie uszedł bezkarnie; trybunał skazał Daniłowicza na rok i 6 tygodni więzy, na karę pieniężną 3400 grzywien, z której połowa miała się dostać Cetnerowi, i na opłacenie ran temuż zadanych, co według taksy wyniosło 240 zł. Kapitana Mari skazany został *in contumacia* na infamię i na ścięcie, ale uciekł wcześniej i kara go nie dosięgła. Daniłowicz zapłacił zaraz wszystko, co mu zapłacić dekret nakazał, i zaczął nawet odsiadywać więź, ale na wiadomość o chorobie żony za wiedzą i zezwoleniem Cetnera pojechał do domu.¹⁾

Nie potrzeba było zresztą nieporozumienia o granice, nie potrzeba było procesu — najmniejsza drobnostka dawała powód do zwady a zwada do formalnej wojny sąsiedzkiej. Oto mały, wcale charakterystyczny obrazek z ówczesnego życia: Andrzej Ligęza i Jerzy Humnicki spotkali się w r. 1595 z sobą u wspólnego sąsiada Derśniaka w Rokitnicy i tam się przymówili, ale jak opowiada świadek Jan Pieniążek, potem byli w milczeniu aż do jachania p. Ligęzinego do imienia swego. Jadąc przez imię p. Humnickiego — są dalsze słowa Pieniążka — sługa pozad jadąc, na psa, który szczekając konia za nogi kąsał, strzelił ale go nie zabił. Nazajutrz zaraz p. Humnicki posłał sługę swego do p. Ligęzy do Jaćmierza, który przy bytności wielu ludzi a mianowicie przy p. Krzysztofie Tarnowskim mówił: »Ligęzo! kazał się mój pan pytać, jeślibyś wczoraj jadąc przez wieś pana mego na despekt panu memu strzelał na dom jego?« Które takie pytanie nietylko p. Ligęzę ale i tamtych ludzi, którzy tam byli, obrażało i śnać mówili, ażeby temu słudze p. Ligęza dał

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 394 pp. 857—863, 868, i tom 395 p. 1339.

kijem za takie nieuszanowanie. Potem on sługa rzekł: »Mnie Waszmość nie miej za złe; ja to uczynić muszę, co mi pan mój rozkazał.« Pan Ligęza za oną mową tak powiedział: »że ja tobie nie mam za złe, ale za takim nieuszanowaniem pana twego powiedz panu twemu, że mu to na despekt uczynił.« Humnicki otrzymawszy od sługi swego taką relację, posyła zaraz do Ligęzy woźnego z dwoma szlachcicami z zapytaniem, »jeśli się do tych słów zna, które przed sługą jego mówił? Ligęza odpowiedział: że znam.« Humnicki jedzie natychmiast do Sanoka, gdzie stała chorągiew Abrahama Herburta, przybiera sobie z niej 50 koni i rusza na Ligęzę. Na szczęście Ligęzy ktoś z życzliwych przestrzegł go kartką wetkniętą we wrota, tak że mógł się przygotować na przyjęcie nieproszonych gości. Zebrał i uzbroił swoich ludzi i nie czekając, aby go dobywano w domu, wyjechał w pole na spotkanie Humnickiego. Byłoby przyszło zaraz do krwawej utarczki, ale przypadkiem nadjechał krewny Humnickiego, Samuel Sienieński, i rozważył przeciwników, ale tylko chwilowo, bo Humnicki przecie napadł na Jaćmierz i przyszło do całego szeregu burd i bijatyk.¹⁾

Bywali sąsiedzi, do których pojechać było łatwo, powrócić trudniej, jechało się jak na wojnę, nie wiedząc, jak się powróci do domu, zdrowo czy też z guzem lub nawet na marach. W ziemi sanockiej smutnego rozgłosu dorobili się Rosińscy, ojciec Jerzy i trzech jego synowie Stanisław, Piotr i Jan, których nie wiemy gdzie zaliczyć: czy do złych sąsiadów czy do zbójceckich oczajduszów. Ich wieś Teleśnica Oszwarowa uchodziła za jaskinię, z której mało kto wychodził zdrowo i cało. Zaproszony w gościnę, nie był pewny życia, wpadał jakby w zasadzkę. W r. 1607 zwabionego pod pozorem sąsiedzkiej przyjaźni Wojciecha Kroguleckiego zabili Rosiń-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 311 pp. 935—7.

scy w swoim domu. Zbrodnia ta przejęła grozą całą ziemię sanocką. Zaraz po pogrzebie zamordowanego, który się odbył w Choczwi, podkomorzy sanocki Piotr Bał wystosował do szlachty pismo, w którym wzywał ją do kroków stanowczych przeciw Rosińskim. »Będąc użyty od Ichmościów niektórych przez listy — pisze Bał — a teraz w Choczwi przy oddaniu posługi ostatniej ciała p. Wojciecha Kroguleckiego, abym WMcie panów i braci jeszcze raz przez ten mój list sollicytował i prosił o zjachanie się do kupy dla dalszego obmyśławania bezpieczeństwa nas wszystkich, tedy dość czyniąc żądaniu proszę moich Mościwych Panów, abyście się do Sanoka na te przyszłe roki grodzkie zjechać raczyli.«¹⁾ Czy zjazd przyszedł do skutku i czy uczyniono co w tej sprawie, nie wiemy — stary Rosiński znika wprawdzie z widowni, ale trzech jego synowie dokazują dalej. W cztery lata po zamordowaniu Kroguleckiego z ciężką tylko biedą uchodzi w Teleśnicy takiemu samemu losowi Krzysztof Głowa z Nowosielec, który zwabiony przez Rosińskich, ledwie się wyrąbać zdołał z zasadzki.²⁾ Nie łatwo też było poskromić tych zuchwalców, bo gotowi na wszystko, zorganizowali sobie prawie po wojskowemu swoich poddanych, a ci uzbrojeni nietylko w kosy, koły i siekiery, ale nawet w szable i rusznice, na dany odgłosem dzwonnów sygnał kupili się pod dowództwo swoich panów. Dopiero w r. 1616 młody Jan Bał, syn Macieja, wspólnie z synem zamordowanego Kroguleckiego, dobrawszy sobie gromadkę szlachty, zrobili zbrojną wyprawę na Teleśnicę i pojмали jednego z braci Rosińskich, Stanisława. Bał zabrał go z sobą do Daszówki Leszczyńskich i zamierzał go odstawić do grodu, przedtem jednak ukarać go chciał śmiertelną trwogą. Oznajmiono Rosińskiemu, że bę-

1) Agr. Sanockie, tom 142 pp. 456, 525.

2) Agr. Sanockie, tom 143 pp. 668—70, 674.

dzie stracony, przywołano księdza i kazano mu się wyspowiadać przed śmiercią, poczem przyniesiono kloc i sprowadzono sążnistego hajduka z dużym mieczem. Rosiński musiał położyć głowę na klocu — ale głowa mu nie spadła, skończyło się na postrachu. Zamknięty pod strażą czekał Rosiński dalszego losu, ale na jego szczęście straż była pijana — już w Teleśnicy, przy pojmaniu, jak to później sam Rosiński z żalem wielkim powiada, dwie beczki jego węgrzyna *partim* wypito *partim* na ziemię wylano — i Rosiński korzystając z tego, »*divina ope*« uciekł z więzienia.¹⁾

Krew Kroguleckiego nie spadła na głowy Rosińskich, nie spadła przynajmniej w znaczeniu zemsty ludzkiej, ale dziwnym igrzyskiem tajemnych fatalizmów ludzkich stała się niejako złowrogim stygmatem jego własnej rodziny. Śmierć jego dała hasło do nienawiści i wojny rodzinnej, a w wojnie tej jakby dwie furje srożą się przeciw sobie dwie kobiety: Zuzanna, wdowa po zabitym w domu Rosińskich Wojciechu, i Jadwiga, jej synowa, żona Stanisława Kroguleckiego. Po Wojciechu pozostała wieś Daszowa którą się podzielono. Wdowa z synem Janem osiadła na jednej części, drugi syn Stanisław, ożeniony z Jadwigą Łysakowską, na drugiej. Zaczyna się zaraz wojna, z razu prawem, potem lewem; idą pozwy po pozwie, świekra przeciw synowej, synowa przeciw świerze, Zuzanna *contra* Jadwiga, Jadwiga *contra* Zuzanna. Po wojnach na pozwy następuje wojna na szable. Zuzanna werbuje w r. 1628 w Jarosławiu i Przemyślu zgrają Lisowczyków i przemocą wyrugować im poleca syna i synową z Daszawy; przychodzi do zbrojnego starcia i Stanisław Krogulecki ginie od szabel napastników. Wdowa jego Jadwiga porusza niebo i piekło, aby pomścić męża, nie waha się nawet szukać pomocy w Teleśnicy, u tych samych Rosińskich, któ-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 144 p. 539.

rzy zabili jej teścia, zbiera zbrojnych ludzi, napada na dom świekry i wyrzuca ją z Daszawy. Zuzanna udaje się o pomoc do Balów, Jana i Samuela, tych samych, którzy swego czasu chcieli pomścić śmierć jej męża, Balowie zbierają czeladź i chłopów z swoich dóbr Zachaczowa, Choczwi, Cisny i posyłają ich w positek wojowniczej świekrze. Zuzanna napada teraz na dwór Jadwigi i uniesiona *furore plusquam novercali* — jak się wyraża w pozwie swym synowa — zmusza ją do ratowania zdrowia a może i życia ucieczką wśród ciemnej nocy *per ardua saxa et montes*. Rosińscy dają jej przytułek w Teleśnicy. Wojna kończy się przecież zwycięstwem synowej; Zuzanna przyciśniona do muru prawem i lewem, poddaje się wyrokowi wspólnych przyjaciół, którzy orzekają: »Ma pani Zuzanna Krogulecka z synem Janem w wieży sanockiej zasiąść na 1 rok i 6 niedziel pod zakładem 2700 zł.«¹⁾

Z innych, nie tak już ponurych a charakterystycznych przykładów sąsiedzkiego pożycia przytoczymy jeszcze następujące. Kasztelanic połaniecki Jan Skotnicki zaprosił do swego zameczka w Sarnkach dwóch szlachciców z sąsiedztwa, Mikołaja Zagwojskiego i Alexandra Świstelnicznego, i oto co opowiada o tej wizycie w grodzie Zagwojski. Skotnicki »wiele razy przez pewne osoby do swego domu go wzywał, co i w niedzielę w dzień św. Wawrzyńca też uczynił.« Zagwojski nareście »*bono animo* do niego pojechał, gdzie przed obiadem w Sarnkach do zameczka przybywszy, nie mając przy sobie tylko pachółka i chłopca i ledwie co siadłszy, zaraz gospodarz o konie Zagwojskiego pytać się począł, chcąc je kupić, a gdy gość odpowiedział, że nie są sprzedażne, Skotnicki snać to *indigne ferens* kazał nalać czarę wielką miodu, w którą wchodzi więcej niż wodna konew dobra i sam nie piwszy do gościa, onę czarę koniecznie, aby wypić,

¹⁾ Ibidem, tom 150 pp. 1233, 1515—8, 1669—2143.

siłował, z czego gdy prosił, aby był wolen Zagwojski, Skotnicki skoczywszy zaraz nieuczciwie od matki słowo rzekł i zawołał: »Będę całe jako z nieprzyjacielem z tobą postępował, jeśli nie wypijesz!« Czego widząc nagłą instancję, bo wynieść i ująć trudno, choć z niezdrokiem Zagwojski podjął się spełnić. A *interim* jeszcze czary nie dokończył, zaraz Skotnicki kord od jego chłopca wzięwszy, począł go tłuc i na wszystkie boki krzywiąc z wielką mocą kord złamał, poczem i kord i pana jego przyganiał. A potem do sahadaka Zagwojskiego się rzuciwszy, strzały onego niepodłej roboty do ściany powystrzeliwał, czemu ten to pan Zagwojski nie przeciwiąc się rozumiał, że to w żarty się obróci, jednak gdy Skotnicki kazał gromadzie z siekierami i orężem przybyć, z pomocnikami i sługami swymi' gdy się porozumiewać i szeptywać począł, muszkiety, aby gotowe mieli, rozkazał, udając — iż się na p. Aleksandra Skotnickiego brata swego gotuje — począł myśleć pan Zagwojski, jakoby nie dopijając onej czary próżnym być od niebezpieczeństwa jakiego i przy żadnych tam hałasach między bracią nie być, co raz się prosił, aby jachać.

»Ale jachać nie dopuszczano — czytamy dalej — owszem już nad wieczorem onego Zagwojskiego do bramy zamkowej wzięwszy, Skotnicki *illum suum malevolum animum* kończąc, szablę jego od boku mu dobył, mówiąc: »Spróbuj, co masz za szablę:« i kłótki i skoble nią rąbać chciał. Zagwojski prosił, aby zaniechał: »Nie psuj mi Waszmość broni!« A zatem Skotnicki jedno i drugie nieuczciwie słowo rzekłszy i szablę rzuciwszy, Zagwojskiego obuchem, gdyby się był nie uskoczył, w łeb zakończyć chciał, mówiąc: »Ty synu matki takiej, bij się ze mną!« i na pacholki krzyknął i na gromadę. Zaczem gdy pan, czeladź i chłopcy powstali na niego, Zagwojski obronną ręką z czeladnikiem jednym tylko uchodzić począł, wszystkiego tam odbieżawszy, koni w stajni, strzelby i inszych rzeczy

w izbie.« Przy tem zajściu oberwał Skotnicki kilka ran, o które nawzajem w grodzie zanosi protestację.¹⁾ Szlachetny Jerzy Szeptycki żałośnie skarży się i świadczy przeciw Pawłowi Boguckiemu z Makoniowa, do którego pojechał »dla myślistwa,« wziąwszy z sobą »chartów dwoje« także i wyżły dwa. Bogucki zaniechawszy myślistwa, upoił Szeptyckiego, a gdy ten nareście o 3 godzinie nad ranem chciał wyjechać, Bogucki kazał wrota zamknąć i charty zabrał. »A gdy się ten Szeptycki upominał chartów u tego p. Boguckiego, tedy ten Bogucki zadawszy mu słów nieuczciwych *famam ipsius laedentia*, kazał go stłuc.«²⁾

Ale najniebezpieczniejsze bywały biesiady. Zaczynały się od przelewania wina a kończyły się na przelewaniu krwi. »Ktoś wyłożył: biesiada, że bies siada na niej« — ten koncept współczesnego wierszopisa przypomina się ciągle przy czytaniu protestacji o zabójstwa i krwawe awantury, popełnione przy bankiecie. Nie mogło być inaczej, skoro jeżdżono w gościnę zbrojną jak na wojnę, z czeladzią również od głowy do stóp uzbrojoną, niesforną i zuchwałą, i skoro trzymano się zwyczaju, że panowie bili się za czeladź a czeladź za panów. W obrazku biesiady, jaki nam pozostawił Kochanowski, nie ma żadnej przesady; niemal co kilka kart spotykamy się w aktach z podobną sceną.

Czołem za cześć, łaskawy mój panie sąsiedzie,
Boże nie daj u ciebie bywać na biesiedzie!

Zaczyna się od objawów najserdeczniejszej przyjaźni sąsiedzkiej, od »dobrej myśli« i przystojnej ochoty. Po szeregu puharów, po »pełnych,« które dziś toastami nazywamy, zaczyna się śpiew. Jedni śpiewają piosnkę: *Chciejże*

¹⁾ Agr. Halickie, tom 122 z roku 1625 pp. 375—6380—3.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 320 p. 146.

pomnieć najmilejsza, drudzy równocześnie: *W czerwonej czapce chodził*, a w takim koncercie usłyszyć można »pięć basów, dwanaście dyszkantów, sześć altów, ośm tenorów, dwanaście wagantów.« Dotąd wszystko dobrze, aż nagle powadzi się z sobą służba, popatrzy ktoś na kogoś nie tak, jakby się podobać mogło, przypije nie po formie albo nie tem samem winem — i zamiast talerzy i puharów zaczynają dzwonić szable, a na wiwaty huczą strzały z półhaków i latają kule po izbie.

Więc też wojna bez wici, gospodarz się wierci,
 Porwaniście zabitej na ostatek śmierci
 Kufle lecą jako grad, a drugi już jęczy,
 Wziął konwią, aż mu na łbie zostały obręczy.
 Potem do arkabuzów: a więc to biesiada?
 Jeźliście tak weseli, jakaż u was zwada?

Wystarczy przytoczyć kilka przykładów pierwszych lepszych, prawie na chybił trafił, aby scharakteryzować tę nieszczęsną porywczosć i grubosć obyczajów, którą grzeszyły najlepsze i najwyższe nawet warstwy szlacheckie. Opowieść Albrechta Radziwiłła¹⁾ o bankierze krakowskim, na którym dwaj wojewodzice, ruski Daniłowicz i łeczycki Radziejowski, powadziwszy się z małej okazji, porwali się za włosy i pobili, przyczem przyszłoby było do straszego rozlewu krwi, gdyby rozważni współbiesiadnicy nie byli wcześniej zamknęli drzwi przed wpadającą czeladzią obu przeciwników — opowieść ta powtarza się ciągle w aktach naszych z wariantami osób, miejsca i czasu. Grzegorz Przyłuski przyjeżdża na obiad do sąsiadki swojej Zbijewskiej, gdzie już zastaje grono innych gości. Przy stole młody syn gospodyni, Krzysztof, już podchmielony, każe chłopcu swojemu spiewać swawolne piosneczki. Przyłuski, człek poważny, »upomina go chędogo,« aby tego zaprzestał, na

¹⁾ Pamiętniki, I. str. 218.

co Krzysztof dobywa szabli i najpierw siecze na stole dzban z miodem i wszystkie szklanice, a potem rąbie Przyłuskiego. Służba przypada, rozpoczyna się walka na gołe łby i bankiet kończy się krwawo.¹⁾ Jerzy Dzeduszycki zaprasza do swoich Horbacz grono gości, między nimi chorążego kor. Sebastyana Sobieskiego i Jana Oborskiego; bankiet kończy się na tem, że Oborski ciężko porąbany powraca do domu. Starosta lwowski Mniszech zaprasza do siebie na wieczerzę znakomitszą szlachtę, przejeżdżającą przez Lwów na sejmik wiszeński, między nimi Piotra Oźgę i Jana Wyżgę. Podczas bankietu Oźga zachowaniem się swoim obraża uczucie przyzwoitości, a Wyżga upomina go słowy: »Szpetna to zaprawdę polityka Mości-panie!« — Oźga na to do szabli i wszczął się rwetes i trzask pałaszy i czekanów, wśród którego połała się krew rześście, poczem Oźga pozywa Wyżgę, Wyżga pozywa Oźgę. A przecież obaj liczyli się do znakomitszych osobistości ziemi lwowskiej, obaj byli członkami sądu kapturowego.²⁾ Alexander Kazanowski, wojewodzie podolski, zaprasza do siebie w Podkamieniu Jędrzeja Żółkiewskiego; przy wieczerzy Żółkiewski, który za wiele pił, zdrzemnął się właśnie w chwili, kiedy Kazanowski pił do niego zdrowie swego domu. Ocknąwszy się wziął podany sobie puhar nie prawą ale lewą ręką, co widząc dworzanie Kazanowskiego Spławski wziął to za obrazę pańską i zawołał: »O panie Żółkiewski, młodyś! Trzeba wiedzieć, u kogoś to w domu!« »A zatem p. starosta Kazanowski drzemającego w gębę uderzył, a potem dobywszy szabli w rękę szkaradnie ciął.«³⁾ U Mikołaja Ostroroga, podczaszego kor., starosty rohatyńskiego, odbywa się w Komarnie bankiet, na który przybywają »ludzie zacni, tak pp. senatorowie

¹⁾ Agr. Halickie, tom 126 p. 1053.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 383 z r. 1632 pp. 3388—95.

³⁾ Agr. Lwowskie, tom 391 pp. 770—5.

jako i urzędnicy koronni z pany ofycyalistami ziemskimi i grodzkimi.« Przy stole Jan Miękicki upomina Andrzeja Łęskiego, aby się przyzwoicie zachował; Łęski na to uderza go czekaniem w głowę i zabija na miejscu.¹⁾

W Bucniowie pod Trembowłą odbywa się bankiet u Piotra Potockiego, wojewodzica braclawskiego. Między zaproszonymi znajdują się wojewodziec lubelski Piotr Firlej z córką, starosta tłumacki Adam Kazanowski i kilku towarzyszy z pod chorągwi hetmana Mikołaja Potockiego, ojca gospodarza. Po bankiecie odbywają się tańce, a kiedy już panowie przestali tańczyć, sługa pokojowy Potockich, szlachcic Szczęsny Sulatycki, korzystając z przywilejów, jakie zawsze na wielkich dworach magnackich miała starsza służba szlachecka, posuwa się śmiało do panny wojewodzanki Firlejówny i prosi ją w taniec. Wojewodzanka nie odmawia, a jak opowiada świadek naoczny, kiedy Sulatycki z nią tańczył, »dziwnie Jegomość pan Firlej, rodzic panny wojewodzanki, z onego skromności i przystojnego postępku kontent zostawał.« Nie podobało się to jednak towarzyszom chorągwi hetmańskiej i poczęli wyśmiewać taniec Sulatyckiego. Na zapytanie, czemu zeń szydzą, towarzysz Łowczycki odpowiada: »Dlatego, żeś błazen. Myśmy żołnierze a przecież z panną wojewodzanką nie tańczujemy, a ty dworska polewko śmiałeś z nią tańczyć.« Słowo po słowie i kończy się na tem, że Szczęsny Sulatycki zapłacił życiem taniec swój z panną wojewodzanką. Padł tejeż nocy, porąbany na sztuki przez towarzyszy, a przy nim poległ również brat jego Melchior, pokojowy Kazanowskiego.²⁾

Przytoczyliśmy przykłady tylko z znakomitszej warstwy społecznej; co się działo między szarą rzeszą szlachecką, łatwo sobie wyobrazić. W obec tych awantur bie-

¹⁾ Ibidem, pp. 1317—19.

²⁾ Agr. Trembowelskie, tom 127 pp. 479—82.

siadnych przyjemnie uderzają jako objawy wyższej obyczajności towarzyskiej przeproszenia, w których winowajcy proszą o przebaczenie osoby, obrażone przez nich podczas bankietu. Przeproszenia takie pokorne spotyka się często w aktach, które trzeba wiedzieć, zastępywały niekiedy nasze gazety, a czytane i odpisywane przez szlachtę, bywały do pewnego stopnia organem publicznej opinii. W r. 1606 Adam Tyrawski, podsędek halicki, i Andrzej Bełzecki wystawiają następujący dokument, który druga strona, Walenty Cebrowski, podaje do akt grodzkich: »Przyznawamy to szczerze, łaskawy nam panie Cebrowski, nieszczęściu swemu, iż nie mając żadnej do Wmości przyczyny, w domu p. Piotra Zawiszy w Hnilczu, gdzie Waszmość proszony, na żadną burdę się nie gotując, samowtór przyszedłszy, z ochoty gospodarskiej z drugimi gośćmi dobrej myśli zażywał, my samem pijaństwem zwiedzeni, niepotrzebne i niesłuszne obrazy, za stołem siedząc, przewiedliśmy byli WMości, czego jakochmy świeżo żalowali tak i przez wiele ludzi zacnych o uspokojenie tego kłopotu swego a żalu WMości pilnie staralichmy się. Teraz tedy fawor WM. kojąc, a tę pyrskliwość swoją pijaństwu przypisując, serdecznie żalujemy i uniżenie a powolnie prosimy, abyś nam WM. jako człowiek zacnego urodzenia swojej tej krzywdy, którąbyś srodze zemścić był mógł, łaskawie i sercem chrześcijańskim odpuścił a na potem żadnej obrazy do nas sobie nie zostawował etc.«¹⁾

Deprekacje takie bywały zazwyczaj wynikiem sądu przyjaciół i poważnych medyatorów, których nie brakło w żadnym powiecie, do których jednak pojednawczego pośrednictwa niestety nie zbyt często się uciekano. Formułkę uroczystych przeprosin układał zawsze ten sąd rozjemczy honorowy, a winowajca odczytywał ją z kartki publicznie, t. j. w obecności liczniej zgromadzonej szla-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 111 p. 567.

chty, niekiedy w kościele, częściej jednak na zjeździe sejmikowym albo na t. zw. kwerelach i roczkach zamkowych. Zazwyczaj formułki te są doskonale zredagowane, bywają zwięzłe, pełne miary i taktu, dają satysfakcję zupełną obrażonemu a nie narażają na zbyt dotkliwe upokorzenie winowajcy. »Mój łaskawy panie Błażowski — temi słowy przeprosza w r. 1592 na kwerelach trembowelskich niejaki Dłużniowski — proszę, żebyś się Waszmość do mnie obrażać nie raczył tą kartą, która jest Waszmości posłana odemnie, gdyż wie Pan Bóg, iż o Waszmości inaczej nie rozumiem, jeno tak jako się godzi o człowieku poczciwym, mnie we wszystkim równym rozumieć, jako o sobie samym rozumieć.«¹⁾



¹⁾ Agr. Trembowelskie, tom 101 p. 870.

ROZDZIAŁ CZWARTY

AMOR I DEMON

I.

ZAJŚCIA RODZINNE. TRAGEDYE DOMOWE. MĘŻOBÓJCZYNIĘ.
BEATA ZAWISZANKA. BRAT I SIOSTRA. DRAMATYCZNA ZAGADKA.
ZOFIA HERBURTOWA I EWA PODOLECKA. PIĘKNA HELENA.
MŚCIWA ŚWIEKRA. DWAJ KOCHANKOWIE. PIĄTY AKT DRAMATU.
PANI KLOFASOWA. DRAMAT W RODZINIE MAKOWIECKICH.

Przechodząc od stosunków sąsiedzkich do stosunków najpoufniejszych, rodzinnych, uprzedzić musimy czytelnika, że poznane przez nas akta województwa ruskiego stosunkowo tylko bardzo mało zawierają tego najwydatniejszego dla historii obyczajowości materiału, jakiego w takiej obfitości dostarczają akta miejskie lwowskie i krakowskie. Mamy tu na myśli taki materiał źródłowy, jak testamenty, interczyzy ślubne, działy majątkowe, układy kompromisarskie, inwentarze posagowe i t. p., które otwierają nam dom starożytny niejako na oścież i pozwalają wglądnąć w poufne sprawy rodzinnego życia. Więcej w aktach ujemnego niż dodatniego materiału; t. j. więcej niż o innych stronach życia, dowiadujemy się z nich o stronach jego ujemnych, anormalnych, o waśniach domowych, o nienawiści rodzinnej, o walkach na śmierć lub życie między rodzonymi braćmi. Jest to więc źródło jednostronne, odbija życie w spaczonem, jakby potrzaskanem zwierciadle i gdyby

na niem opierać całą znajomość ówczesnego rodzinnego życia, obraz musiałby być nieprawdziwy, ostateczny wniosek mylny. Tyle jednak stwierdzić się da na podstawie zapisków, że owo ogólne zdżiczenie obyczajów, jakie nastąpiło w pierwszych dziesiątkach lat XVII. wieku, nie u nas tylko, ale w całej Europie, odbija się i w rodzinnem życiu polskiem. Mówiąc w następnych rozdziałach o anarchji w życiu szlacheckiem tej pory, będziemy mieli sposobność do opowiedzenia niejednego dramatu, który się odegrał w tej lub owej rodzinie, tu poprzestaniemy na niektórych luźnych przykładach.

»Stała nam się nowina, pani pana zabiła« — tragiczny ten temat pieśni ludowej w sześciu wypadkach odzywa się do nas z aktów. Z tych sześciu wypadków jeden wyjaśnia się niewinnością posądzonej o straszną zbrodnię żony, dwa pozostają wątpliwe i nierozstrzygnięte, jeden jest bardzo zawikłanym dramatem, dwa tylko są stanowczo pewne. Jak na całe półwiecze, jak na taki ogromny obszar, bo na całe województwo ruskie — cyfra niestraszna, ale oczywiście wzięta tylko z warstwy szlacheckiej. W r. 1607 Beata Zawiszanka, pierwszego małżeństwa Strzelecka, drugiego Solikowska, wspólnie z dwoma sługami swymi, Sieniem i Stasiem, zabiła w Miłowaniu męża swego. Szczegóły tej zbrodni mamy z zeznań jednego z służących, Sienia, który pojmany, poniósł w Haliczu śmierć pod toporem kata. Sień »u nieboszczyka p. Jakóba Solikowskiego był sługą rękodajnym i dobrodziejstwa jego znał, ale był namówiony od pani Beaty, p. Jana Zawiszy rodzonej siostry,« która mu darowała konia, aby jej w morderstwie pomógł i tajemnicę zachował. »Pani pana upoiła tak, że zaraz spokojnie szedłszy precz usnął. Natenczas kilka razy dziewczkę słała, aby się dowiedziała, jeśli już usnął, a gdy powiedziała, że usnął, zarazem pani z Stasiem, który z siekierą a ten Sień z świecą do izby przyszli, i tam Staś z siekierą obuchem w głowę

pana uderzył, za którym haniebnym razem nieboszczyk się porwał, którego porywającego się pani przyległa na nim pierzyną i wespół z Stasiem dusili, aż go udusili, potem z łoża ściągawszy szablą Staś go przebił.« Po dokonanym czynie zaczęto się naradzać, jak »zagubić« zwłoki. Pani Beata chciała, aby Staś utopił nieboszczyka wraz z koniem w Dniestrze, tak aby się ludziom zdawać mogło, że przypadkiem utonął; Staś doradzał innych sposobów ukrycia zwłok, a nareście zgodzono się na jedno: zakopano nieboszczyka w mierzwę pod stajnią, a potem mierzwę tę wraz z trupem spalono.¹⁾

Tu się kończy jeden dramat, a zaczyna się teraz drugi. Nie ma jego przebiegu i perypetji w księgach grodzkich, które notują tylko suche dalsze fakta, ale fakta te kryją w sobie moment wysoce dramatyczny, temat godny imaginacji powieściopisarza. Solikowska czy już pojmana czy blizka pojmania, znajduje pomoc u swego brata Jana Zawiszy, który ratuje ją od uwięzienia, ręcząc czyli dając tak zwaną fidejussoryę bratu zamordowanego, Janowi Solikowskiemu, mocą której pod zakładem 6000 zł. obowiązuje się stawić siostrę-mężobójczynię na termin trybunalski. Termin ten mija, Zawisza siostry nie stawia. Solikowski wytacza mu proces o zapłacenie zakładu 6000 zł., zastrzeżonego w poręczeniu, wygrywa, wyrabia sobie intromisę na jego majątność a w ostatecznej konsekwencji prawnej przymusową rumacyę. Zawisza apeluje przeciw wyrokowi pod zwykłym pozorem, że pozwy Solikowskiego były nieformalne, że forum było niewłaściwe i t. p. — zgola jak to mówiono: *de male obtento*. Trybunał znosi dekret a Solikowski — odstawia siostrę sądowi... Trybunał zwalnia go od zapłaty 6000 zł., bo dotrzymał warunku fidejussoryi, a mężobójczynię osadza w górnej wieży zamku lubelskiego celem przyzwoitej detencji — *ad honestam de-*

¹⁾ Agr. Halickie, tom 112 p. 949.

tentionem. Sąd grodzki halicki przeprowadza na miejscu czynu śledztwo czyli t. zw. *scrutinium* a trybunał po zbadaniu jego wyników poleca bratu zamordowanego przysiądz samosiedm, t. j. z sześciu świadkami szlacheckiej kondycyi, że nie kto inny tylko Beata Solikowska zamordowała we śnie jego brata. Solikowski czyni zadość temu walnemu warunkowi procedury kryminalnej, a trybunał skazuje Beatę Solikowską na karę śmierci przez ucięcie głowy.¹⁾

Jak pogodzić, jakimi motywami powiązać te fakta, zewnętrznie i procesowo logiczne, ale wewnętrznie, psychologicznie pozbawione logiki? Jak zrozumieć brata mężobójczyni? Dlaczego wydaje siostrę w ręce kata, skoro zaraz po zbrodni nie wyparł się jej, ale przeciwnie uchronił od pojmania? Co rozstrzygało, czy żal pieniędzy zakładowych, silniejszy od żalu nad siostrą, czy też inna jakaś wyższa ale zawsze tragiczna pobudka? Dlaczego Beata nie ratowała się ucieczką, mając do tego tyle czasu; czy nie chciała, czy nie mogła, będąc jakoby w więzieniu u brata? Czy brat wydał ją za jej zgodą, czy wiół ją gwałtem na śmierć pewną? Wszystkie te pytania cisną się po przeczytaniu tego zapisku w aktach, a każda z nich to ponętna dla imaginacyi zagadka. To pewna, że po dramacie między żoną a mężem rozegrał się tu drugi dramat między bratem a siostrą.

Drugi wypadek zamordowania męża przez żonę zdarzył się w r. 1622 w znakomitej historycznej rodzinie Herburtów. Morderczynią była Zofia z Podoleckich, córka Krzysztofa, wojskiego samborskiego. W porozumieniu z swoją matką Ewą z Wielżyńskich, która także czynnie pomocną była przy spełnieniu zbrodni, wiedziona długą a zdradziecko tajoną nienawiścią, jak jej zarzuca pozew, zamordowała Zofia męża swego Kaspra Herburtę. Zbrodni

¹⁾ Agr. Halickie, tom 113 pp. 23, 24.

dokonano w ten sam sposób, w jaki zginął Solikowski. Herbert powrócił z obozu po długiej nieobecności do domu w Chyszowicach, w ziemi lwowskiej, a żona powitawszy go z kłamaną radością, wyprawiła mu wesoly bankiet, obsypała pieścotami i upoiła małmazyą, a gdy małżonek po gęstych libacyach i uściskach miłośnych usnął snem twardym, udusiła go w łóżku przy pomocy matki, poczem pogrzebała go w okazały sposób i oplakiwała nagły zgon męża. Krewni zamordowanego, nieuwiadomieni o śmierci, niezaprośzeni na pogrzeb, dowiedzieli się dopiero później o katastrofie. Brat zamordowanego Andrzej Herbert odkrywszy zbrodnię, wystąpił przeciw bratowej i jej matce, które po pogrzebie udały się były najspokojniej do Lwowa i tam całkiem jawnie przebywały.

W dramacie tym małżeńskim odgrywać musiała rolę intryga miłosna, bo występuje w nim trzecia osoba, szlachcic Andrzej Stocki, przeciw któremu zwraca się w pierwszej chwili zemsta brata. Andrzej Herbert napada we Lwowie z zbrojną czeladzią na gospodę wdowy i jej matki w kamienicy Bogdanowskiej i porywa tam Stockiego gwałtem, prowadzi go »bez czapki i broni, bijąc i policzkując sromotnie przez miasto« do swojej gospody, wiezie go nazajutrz najpierw na widownię zbrodni do Chyszowic, ztamtąd do Beńkowej Wiszni a następnie do Dobromila i do Ujkowic pod Przemyślem, gdzie go osadza w lochu więziennym i zapowiada mu śmierć przez rozsiekanie. Stocki jednak, za »przestroga niektórych ludzi i za pomocą Bożą,« jak się wyraża w swojej protestacy przeciw Andrzejowi Herburtowi, uciekł nocą i tym sposobem uratował życie. Mimo takiej przestrogi, jaką było pojmanie Stockiego, Herburtowa i jej matka pozostały we Lwowie, i tu na natarczywe naleganie Andrzeja Herburt starosta lwowski Stanisław Bonifacy Mniszech kazał je pojmać i osadzić w wieży Wysokiego Zamku. Po przeprowadzonym śledztwie trybunał skazał obie kobiety na



Fig. 28.

Ornamentyka z Aktów Grodzkich Lwowskich (tom 451).

śmierć przez ścięcie, mimo bardzo energicznej obrony Sebastyana Korytki, który był ich rzecznikiem. Wykonanie wyroku polecono staroście lwowskiemu, a miało ono nastąpić bezzwłocznie, skoro Andrzej Herbut, *pars actorea*, zaprezentuje mu wyrok — warunek zaiste potworny, składający życie i śmierć w ręce prywatnego człowieka, zmieniający wyrok trybunału w akt osobistej woli i zemsty! Herbut wyrok zaprezentował, ale mężobójczyni tuż przed samą egzekucją — *in ipso procinctu executionis* — uciekła. Matkę jej ścięto.¹⁾

Dramat ten miał jeszcze swój procesowy epilog. Obie kobiety, skazane na śmierć i czekające wykonania wyroku, szukały pociechy religijnej i przyzywały do siebie Karmelitów Bosych, im też aktem ostatniej woli zapisały cały swój majątek osobisty, a mianowicie dobra Chyszowice, Romanówkę i Koropuż. Andrzej Herbut wystąpił z impugnacją tego zapisu, wywodząc, że obie morderczynie, przekonane i skazane na śmierć a zatem i na utratę dóbr, nie miały prawa rozporządzać majątkiem, że zatem darowizna ta, uczyniona *in ipso poenae mortis articulo*, jest nieważna.²⁾ Proces trwał długo i nie znaleźliśmy w aktach wiadomości, jak się skończył, jeszcze jednak w r. 1629 Chyszowice były w faktycznym posiadaniu Andrzeja Herburt, który zaraz po śmierci brata i uwięzieniu jego wdowy zajechał je był i zajął. W tymże samym roku 1629 mężobójczyni Herburtowa daje znak życia z Krakowa, ztamtąd bowiem wytacza pozwy staroście lwowskiemu Mniszchowi i Andrzejowi Herburtowi o zniesienie wyroku infamji, jaki zapadł na nią po jej ucieczce z Wysokiego Zamku.³⁾

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 375 pp. 1145—6, 1188—91, 1289, 1549—52, 1629—37.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 377 pp. 82—5.

³⁾ Agr. Lwowskie, tom 380 pp. 3097—3100.

Jakby się prosił pod pióro powieściopisarza i wyzywał imaginację dramatyka wypadek trzeci, który się zdarzył w ziemi sanockiej w r. 1631, przez trzy lata do głębi poruszał umysły a skończył się tragiczną śmiercią trzech ofiar. Istny dramat miłości i nienawiści, szczerego szału i podstępnej intrygi, mordercza erupcja pod iskrami pięknych oczu kobietych. Główną bohaterką tego dramatu była Helena Klofasowa, z domu Brześciańska, kobieta piękna i zalotna. Dwóch młodych szlachciców sanockich, Abraham Polański i Stefan Dydyński, zakochali się w niej namiętnie. »Piękna Helena« żyła najgorzej z mężem swym Alexandrem Klofasem, którego nienawidziła, nie wiemy, z jakich i czy słusznych powodów, okoliczność wszakże, że w tej nienawiści miała po swojej stronie matkę Reginę Brześciańską, zdawałaby się może wskazywać, że mąż ten nie był bez ciężkiej winy, inaczej bowiem nie podobna sobie wytłumaczyć, dlaczego ta matka w nienawiści do zięcia posuwa się dalej niż córka, dlaczego kieruje całą intrygą i przeprowadza ją aż do tragicznego końca. Chciałoby się koniecznie przypuszczać, że tylko obrona ukochanego dziecka przed tyranią złego człowieka, tylko zemsta za zdeptane szczęście córki popchnęła matkę do zbrodni — chociaż niestety nie przemawiają za tem akta. Brześciańska postanowiła uwolnić córkę od męża. Do wykonania skrytobójczego zamachu namawia dwóch mężczyzn, ślepych miłością i pożądaniem, Polańskiego i Stefana Czernieckiego. Polański, jak już wspomnieliśmy, zakochany był w mężatce Helenie, Czerniecki w pannie Olesi, drugiej córce Reginy Brześciańskiej. Regina jednemu przyrzeka Helenę, drugiemu Olesię w dank i nagrodę skrytobójstwa — i oto obaj rzucają się ochotnie w piekło za ukochane kobiety. Wracający z dalszej podróży Klofas, napadnięty z zasadzki pod Pełkinią, pada trupem z dłoni obu kochanków. Odgrywa się piąty akt dramatu. Helena nie chce oddać ręki Polańskiemu, który tylko dla niej i o nią dopuścił się zabój-

stwa — oddała ona swoje serce Dydyńskiemu i jego została żoną. Polański odbiera sobie życie a równocześnie odkrywa się zbrodnia. Stefan Czerniecki, któremu obiecana była Olesia, doczekał się innych, krwawych godów. Pojmany i osadzony w wieży sanockiego zamku, przewidziany o skrytobójstwo, skazany został w r. 1633 na śmierć i dał głowę pod miecz w Sanoku.¹⁾ Helena wychodzi rzeczwiście za Dydyńskiego, o losach Olesi nic nie wiemy.

Z trzech wspomnianych już wypadków, w których oskarżenie o zamordowanie męża albo okazało się zupełnie fałszywe albo pozostało wątpliwem, jeden wywołał w r. 1615 wielkie poruszenie umysłów w całej szlachcie ziemi przemyskiej i był przedmiotem osobnego *petitum*, uchwalonego na sejmiku wiszeńskim. Mikołaj Miękicki oskarżył bratową swoją Annę z Mogilnickich, pierwszego małżeństwa Jabłońską, drugiego Przeczymińską, trzeciego Stanisławową Miękicką, że była sprawczynią zabójstwa swego męża, którego kazała zgładzić ze świata w gospodzie w Lublinie przez jego własnych służących, niejakich Olszanowskich. Sprawa wlokła się bardzo długo i musiała być powodem wielkiego zajęcia w licznych kołach krewnych i przyjaciół obu stron przeciwnych, skoro szlachta na sejmiku uchwała: „Za pp. Miękickimi prosić mają pp. posłowie nasi, aby Król Jegomość sprawę ich, którą z panią bratową swą mają, sądzić raczył nieodwłocznie na tym sejmie; o toż samo i druga strona prosi.”²⁾ Drugi wypadek nie może być uważany za fakt stwierdzony, zapadł w nim bowiem wyrok infamji tylko zaocznie, co niczego nie dowodzi i łatwo nastąpić mogło nawet przy zupełnej bezzasadności oskarżenia. Zaoczny ten wyrok zapadł w r. 1644 przeciw Magdalenie z Świerzyńskich Hermanowskiej, posądzonej o zamordowanie męża Stanisława

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 151 p. 1479 i tom 153 pp. 34—41.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 331 p. 17.

w porozumieniu i przy pomocy kochanka Władysława Kłofasa. Wiele przemawia za tem, że zachodziło tu nie morderstwo, ale samobójstwo.¹⁾

Trzeci wypadek zdarzył się w ziemi halickiej, w znacznej i możnej rodzinie Makowieckich. W r. 1640 w Boryszkowcach zginął okrutną śmiercią Jan Makowiecki z rąk swego szwagra Alexandra z Bestwina Kopycińskiego i jego towarzyszy. Kopyciński przyjechał do Boryszkowic w towarzystwie kilku swych poufnych przyjaciół czy też umyślnie zamówionych szlachciców, Pogonowskiego, Laskowskiego, Orłowskiego, Bielskiego, Gorzkowskiego i innych, niejako w gościnę, i podejmowany był przez Makowieckiego, który mimo przestróg swego ojca Mikołaja nie przeczuwał gotującego się nań zamachu. Jak utrzymuje stary Makowiecki, Kopyciński przyjechał już z zamiarem zabicia jego syna, a zwlekał jego wykonanie przez parę dni jedynie dlatego, że nie miał odwagi, wiedział bowiem, że szwagier jest człowiekiem bardzo mężnego serca, *vir cordatus*, i jak lew bronić się będzie. Dopiero gdy nadjechał do Boryszkowic najzuchwalszy z jego przyjaciół, Stefan Małyński, syn Anny Łahodowskiej, a więc członek rodziny, która głośną była z swej gwałtowności i krwawych wybryków w całym województwie ruskiem, a o której w następnym tomie tej książki obszernie będzie mowa, zdecydowano się przystąpić do wykonania zbrodniczego czynu. W upatrzonej chwili rzuca się Kopyciński z swoimi towarzyszami na Makowieckiego, który nie tracąc serca broni się z kilku sługami swymi do upadłego, a gdy mu zabijają dwóch dworzan, szlachcica Urbańskiego i Niemca Hanusza, cofa się do jednej z komnat, gdzie na jego szczęście znajdowała się właśnie siostra jego żony i Kopycińskiego, młoda panienka Zosia. Widząc, że ta dziew-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 370 p. 983—989 i tom 371 p. 153.

czyna może mu być puklerzem ochronnym od kul i szabel szwagra, który nie zechce wystawić siostry na niebezpieczeństwo życia, zatrzymuje ją przy sobie i zamyka się z nią w oblężonej komnacie. Stało się rzeczywiście tak jak przewidywał, napastnicy zaprzestali szturmu, ale obstawili do koła strażę, aby oblężony nie uszedł. Tak nadeszła noc. Makowiecki znużony walką i ufny w ochronę, jaką mu zapewniała współoblężona Zosia, usnął głęboko. Czekając tylko tego Zosia i otworzywszy okno komnaty wyskoczyła na podwórze, wydając tym sposobem Makowieckiego na pastwę nieprzyjaciół. Mając teraz wolne ręce, Kopyciński i jego towarzysze z tryumfalnym okrzykiem: »Hurra! hurra! teraz do niego!« przypuszczają szturm gwałtowny do komnaty, usiłując strzałami i czekanami wyważyć silnie kowane drzwi. Makowiecki widząc, że oblężenia nie wytrzyma, zaczyna parlamentować. Kopyciński stawia mu warunki, żąda aby natychmiast podpisał akt rozwodu z żoną, ułożony w najobelżywszy sposób, aby zgodził się na inne upokarzające ustępstwa (*aliasque dishonestates plenissimas*), i aby w tym celu złożył broń i dobrowolnie wyszedł z oblężonej komnaty. Makowiecki prosił o małą chwilę do namysłu, na co zezwolono, skoro jednak czas ten minął a Makowiecki nie wychodził i na wezwania nie odpowiadał, przypuszczono ponowny szturm i wyłamawszy drzwi, wtargnięto do środka. Komnata była pusta. Makowiecki skorzystał z przyznanej mu do namysłu chwili i uszedł, ale z dworu otoczonego dokoła strażami wydobyć się nie mógł, skrył się tylko do małej komórki, gdzie był skład owoców. Wkrótce znaleźli go tam napastnicy i nie zważając na prośby i zakłęcia Makowieckiego, który błagał o darowanie życia albo przynajmniej o księdza przed śmiercią, zabili go strzałami z póthaków i ciosami szabel, zadając mu tyle ran, że ciało podziurawione było jak rzeszoto.¹⁾

¹⁾ Agr. Hałickie, tom 133 pp. 1412—15.

Że jednym z powodów tej zbrodni były niewątpliwie zajścia jakieś małżeńskie i że Kopyciński występował tu jako obrońca i mściciel swojej siostry, nie ulega wątpliwości; wypływa to jasno z jego żądania, aby Makowiecki podpisał akt rozwodowy — oskarżenie jednak starego Makowieckiego, podniesione przeciw synowej, jakoby była moralną sprawczynią mężobójstwa, okazało się bezpodstawnem. Ojciec zamordowanego zarzucał synowej, że namówiła brata do spełnienia zbrodni, że wszystko z nim obmyśliła poprzednio, że bawiąc w Boryszkowcach przy mężu, przed samą katastrofą wyjechała do pobliskich Kalenic na to tylko, aby odwrócić od siebie podejrzenie, że zaraz po dokonaniem morderstwa powróciła do Boryszkowic, że wyprawiła nazajutrz mordercom bankiet, że odbywała z nimi tajne narady, przeszukiwała papiery i listy nieboszczyka i pozabierała z nich to, co się jej zdało być kompromitującym, że ciało nieboszczyka tylko dla formalności, tylko *vulgari mori satisfaciens*, prezentowała w grodzie, nie oskarżając morderców właściwych, ale przeciwnie dla zatarcia śladów rzucając podejrzenie na zupełnie nieznaną jakąś osobę. Sąd grodzki halicki — starostą był Stanisław Potocki — na podstawie tego oskarżenia i zeznań niejakiego Jana Gorzkowskiego, który należał do towarzystwa Kopycińskiego i został pojmany przez starego Makowieckiego, wydał na Barbarę Makowiecką, jej brata i jego współników zaocznie wyrok infamji. Makowiecka otrzymawszy glejć królewski wytoczyła wraz z bratem pozew o zniesienie tego wyroku i zażądała, aby na termin trybunalski w Piotrkowie przystawiono także owego Gorzkowskiego, przeciw któremu wystąpi z obroną swojej czci i niewinności i któremu dowiedzie, że obwiniając ją kłamał. Sam Kopyciński, mając już na sobie jeden wyrok banicyi i infamji za inny występek, nie czeka rozstrzygnięcia sprawy, sprzedaje swoje dobra Niżniów, Oleszów, Kutyszczce, Bratyszów, Nowosiółki i Okniany podczasem

braclawskiemu Mikołajowi Potockiemu i nic o nim dalej nie słyhać, ale Makowiecka stawia śmiało przed trybunałem i oczyszcza swój honor, a trybunał z uwagi, że śledztwo wykazało *lucide* jej niewinność, wydaje dekret uwalniający ją od wszelkiej winy i przywracający jej cześć, a starego Makowieckiego skazuje za potwarz na dwanaście tygodni więzy i na zwrot kosztów i szkód poniesionych przez jego synowę w takiej sumie, jaką ona wraz z dwoma męskimi świadkami poprzysięże, a to pod karą banicy i infamji.¹⁾

Przykładu, aby mąż zamordował żonę, nie spotkałszy ani jednego. Znachodzi się wprawdzie w aktach przemyskich zapisek o wrzekomym morderczym zamachu męża przeciw żonie, ale z samej już opowieści faktu wypływa, że grała w tem rolę bardziej imaginacja kobieca aniżeli rzeczywistość. Halszka Stadnicka, żona Jerzego, córka Mikołaja Boratyńskiego, ucieka z domu męża do Przemyśla i tu zanosi przeciwko niemu protestację, w której go obwinia, że jej nienawidzi, że na życie jej godzi, że z rusznicy do niej strzelał, że wyjechawszy z domu, kazał ją hajdukowi swoim zabić, że hajducy zakradli się istotnie do jej sypialni i za gardło dusić ją poczęli, ale mamka przebudzona narobiła hałasu i mordercy uciekli.²⁾ W ciągu naszego opowiadania przytoczyliśmy jednak już niejeden przykład, że hajducy w wykonaniu choćby najokrutniejszego rozkazu swoich panów nie dawali się odstraszyć krzykiem mamek.

¹⁾ Agr. Halickie, tom 135 pp. 810, 1402—3.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 311 p. 395.

II.

PORYWANIE PANIEN. PRZYCZYNA RAPTÓW. PANNA HALSZKA. ZOSIA SZPANDOWSKA. KALINOWSKI I KRYSZYNA STRUSIÓWNA. PANNA WOJEWODZANKA MNISZCHÓWNA. CHORAŻANKA WYSZOGRODZKA. DRAMAT GRABOWNICKI. MIESZCZANECZKA. NIEDYSKRECYA RODZINNA. MEZALIANSY.

Z innych czynów zuchwałych i awanturnicznych, które zakłócały spokój rodzin i kończyły się procesem albo niekiedy srogim odwetem, najczęstszym jest porywanie panien. Kochanek nie mogąc dostać panny wykradał ją lub w jasny dzień porywał, a że to najczęściej działo się za zgodą panny a niekiedy i matki, więc kończyło się na ślubie i przemijającym gniewie ojca. Porywania panien czyli raptury, bo tak je z łacińska nazywano, nie zawsze też bywały skutkiem porywczwości i zuchwalstwa ówczesnej młodzieży, miały one częściej może swoje źródło w pewnej niesprawiedliwości rodzinnej, która tak była rozpowszechniona, że przybierała znamiona zwyczaju: w tyranji i chciwości krewnych i opiekunów. Najczęściej też porywano panny osierocone. Aby wcale nie wypłacać pannie osieroconej posagu lub aby przynajmniej jak najdłużej przewlekać wydanie jej oprawy czyli t. zw. reformacyi, ojczym, macocha, krewni i inni prawni czy też na-

turalni opiekunowie odstraszaali konkurentów, zadawali gwałt sercu dziewczyny, odwlekali zamążpójście pod najrozmaitszemi pozorami, zmuszali do wstąpienia do klasztoru albo do staro-panieństwa. Niejedną pannę możnego domu pogrzebiono tym sposobem w murach zakonnych, a że to zdarzać się musiało nierzadko, świadczy o tem fakt, że samaż szlachta województwa ruskiego protestowała na sejmikach przeciw tej nieludzkiej praktyce. »Iż wiele córek szlacheckich osierociałych — uchwała szlachta w roku 1638 na sejmiku deputackim w Sądowej Wiszni — w opiece powinnych będących, dla chciwości *in matrimonium* ulokowane nie bywają, dlatego warować to, aby pannie lat 25 mającej, którejby opiekunowie przyrodzeni *intuando ipsius bona* za mąż wydać nie chcieli, wolno sobie tutora obrać i *cum scitu ipsius statum* sobie *eligere.*«¹⁾ Dlatego też przeważna część raptów miewała gładki epilog, kończyła się na kobiercu z wstydem chciwych krewnych lub opiekunów, a młoda para, której tym sposobem powiodło się przerwać sieć intryg i tyranji, zdobywała sobie poklask i sympatyę szlacheckiego ogółu. Inna rzecz, kiedy nie zachodziły takie okoliczności usprawiedliwiające akt porwania, kiedy wzięto gwałtem pannę bez jej woli, z chciwości lub zbrodniczego zuchwalstwa — awantura kończyła się wtedy tragicznie.

Z dość licznych przykładów wykradnięcia panny przytoczymy tu niektóre. Szlachcic przemyskiej ziemi Samuel Pawłowski wpadł w r. 1601 do dworu starosty lubaczowskiego Jana Płazy w Dziewieńczycach, gdzie bawiła panna Halszka Lutosławska, porwał ją z pośród innych panienek na ramiona i podał ją przez okno czekającym na słodką zdobycz towarzyszom, potem sam oknem wyskoczył i ujechał.²⁾ W napuszystej i makaro-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 361 pp. 167—175.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 317 p. 1435.

nizmami do zbytku przeplatanej protestacyi żali się Stanisław Szpandowski na Jana Strzeleckiego, »iż on nie oglądając się, że *crimina raptus in virginem perpetrata*, familje *denigrantur*, przyjaźnie *desoluntur*, pominąwszy sposoby przystojne, porzuciwszy *solennitates decentes*, najeżdżawszy *modo illicito* ze wsi Meżyhorzec do wsi Pasznik, pogranicznej majątkowi protestującego, przez dwa dni szpiegując Zofię córkę jego a trzeciego dnia zasadziwszy się w lesie chocimierskim, obaczywszy córkę, że wyszła z panną służącą Krystyną Zaleską do robotnic, które konopie brały, wypadł z lasu z kolasą na to przygotowaną, onę gwałtownie pobrał i z tą panną służebną na kolasę wrzucił i z nimi do domu ojca swego do Chocimierza o mil sześć z prędkością ujechał i w nim się ku żalowi wielkiemu i hańbie *protestantis* trzyma, czaty i straże rozstawiwszy.«¹⁾

Jan Ramułt, członek rycerskiej i dzielnej ale też bardzo niespokojnej i rogatej rodziny w ziemi przemyskiej, wykradł stolnikowi przemyskiemu Samuelowi Trojeckiemu w r. 1608 synowicę, której pan stolnik jako stryj był opiekunem. Stało się to za wiedzą i zezwoleniem matki wykradzionej panny, a mimo że Trojecki należał do ludzi, których się powszechnie bano, uszło mu to płazem, a nawet tak uzuchwaliło, że wyruszył jeszcze potem po posag i na czele zbrojnej gromadki zajechał Trójczyce, włość rodową stolnika, gdzie dopuścił się rozmaitych gwałtów.²⁾ Przy wykradnięciu panny chodzi bardzo o jaknajszybsze poślubienie w kościele, aby rodzice doścignąwszy parkę, znaleźli już mosty spalone pochodnią Hymenu. Szlachcic ziemi lwowskiej Jan Stąpkowski wykradłszy pannę Eufemię, córkę Bartosza Świrskiego z Podlisek, wozi się z nią po rozmaitych parafiach, szukając mniej skrupulatnego księdza,

¹⁾ Agr. Halickie, tom 134 p. 426, 505.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 324 pp. 1237—9.

któryby mu dał ślub na prędcę; jedzie do Jaryczowa, z Jaryczowa do Glinian, z Glinian do Gologór, wszędzie znajduje odmowę, aż nareście w Dunajowie trafia na księdza, który udzielił wędrującym oblubieńcom sakramentu małżeństwa.¹⁾

Niepospolitej i bardzo pódziwianej, ale i z wielkiem zgorzeniem przyjętej przez szlachtę sztuki dokazał w r. 1625 Adam Kalinowski, starosta winnicki, bo wykradł pannę i jej wyprawę zarazem, a wykradł ją grodowemu staroście, zawołanemu żołnierzowi, z obronnego zamku i podczas licznego zjazdu na roki ziemskie. Na domiar wyjątkowości i skandalicznego zuchwalstwa tego czynu, wykradziona panna była jego ciotką, rodzoną siostrą matki. Kalinowski zakochał się w Krystynie, córce słynnego wojownika Mikołaja Strusia, jednego z najwaleczniejszych i najwierniejszych towarzyszy hetmana Żółkiewskiego. Struś właśnie co został wtedy starostą halickim. Kalinowski pozyskał serce panny, trafił jednak na słuszny a nieubłagany opór ojca, który nie chciał zezwolić na małżeństwo w takim stopniu pokrewieństwa. Nie mogąc przejednać opozycji ojcowskiej, porozumiał się z panną i jej powiernicą Zofią Rudnicką i urządził po swoją Sabinkę nocną wyprawę, tak zorganizowaną, aby jeżeli nie uda się panny wykraść podstępem, zostawała jeszcze szansa porwać ją przemocą. Zebrawszy liczny zastęp zbrojny, złożony przeważnie z wołoskich i »serbskich« hajduków, w kilkanaście czóten podpłynął Dniestrem pod zamek w Haliczu nocną porą, wytkuł dziurę w jego murach, dostał się do środka, a tak się zręcznie uwinął, że nietylko wziął starościankę, ale wraz z starościanką także cały skarbiec klejnotów, złota, pereł, srebra i wszystką bogatą garderobę białogłowską, a wyzyskując do dna pomyślną sytuację i chcąc jeszcze bardziej dojąć staremu żołnie-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 373 p. 1923.

rzowi, uwiózł z sobą także mnóstwo palnej broni i kilka dział mniejszych.¹⁾ Oburzony i w najszanowniejszych uczuciach srodze dotknięty Struś nie wahał się w protestacyi swojej publicznej nazwać czynu tego hańbą, wyrządzoną zacnej rodzinie, zbrodnią i występkiem przeciw wszelkim prawom krwi i poczciwości rodzinnej, i zarzucić młodej parze, że *incestuose* się połączyła.

Bardzo głośny był rapt w rodzinie Mniszchów, który się zdarzył w r. 1629, a którego bohaterką była panna Eufrozyna Mniszchówna, córka wojewody sandomierskiego, siostra carycy Maryny, bohaterem zaś młody szlachcic Hermolaus Jordan z Samokłesk. Wdowa po wojewodzie mieszkała wraz z niewydanemi jeszcze córkami w Dembowcu i z tamąd to wykradła się panna. Jordan jako sąsiad bywał gościem u wojewodziny a porozumiawszy się z panną i pozyskawszy sobie jej żeńską służbę, zawsze sympatyzującą i zawsze pomocną w takich sprawach, miał czas i sposobność ułożyć dokładnie cały plan awantury, czyli jak się z oburzeniem wyrażają bracia panny Eufrozyny, starosta lwowski Stanisław Bonifacy i starosta sanocki Franciszek Mniszchowie: »osób pewnych ladajskich męskiej i białogłowskiej płci sobie przysposobiwszy, przez nieuczciwe instrumenta pod pretekstem sąsiedztwa u Wielmożnej Pani Wojewodziny kilkakroć bywszy, okazję upatrował...« Jakoż okaza istotnie dobrze była upatrzona — plan powiódł się gładko. Po północy zajęchała do Dembowca kareta, a panna Eufrozyna już gotowa, niezapomniawszy, jak jej zarzucają bracia, zabrać z sobą sreber, złota i klejnotów a nawet garderoby (*cum auro, argento, clenodiis et mundo muliebri*), wymknęła się z dworu i ujechała z Jordanem, który zawiózł ją najpierw do Samokłesk a ztamąd do drugiej majątności swojej Rudołowiec. Mniszchowie nie chcieli puścić Jordanowi płazem zuchwalstwa,

¹⁾ Agr. Halickie, tom 122 pp. 206—9.

wytoczyli mu pozwy przed trybunał, ale przegrali sprawę. Śledztwo sądowe wykazało, że panny Eufrozyny, już niemłodej, owszem wcale dojrzałego wieku — *nubilis et maturae aetatis* wyraża się dekret trybunalski — a nadto tyranizowanej przez matkę (*quia angustiata fuit*) Jordan nie porwał gwałtem ale wywiózł ją za jej zgodą i wolą. Poczuwając się jednak do obowiązku strzeżenia karności rodzinnej, orzekł w swoim wyroku trybunał, że panna Eufrozyna przecież »wykroczyła przeciw poczciwości stanu swego« (*contra honestatem status sui*) i skazał ją na utratę połowy posagu.¹⁾

Jakby romans czyta się w aktach szczegóły porwania z klasztoru panny, już prawie zakonnicy, bo po trzech latach nowicyatu i po wzięciu habitu, tuż przed obłóczynami. Rzec stała się w Przemyślu w r. 1634 a musiała być epilogiem całego szeregu intryg i dramatycznych wypadków, których nie znamy a które wyzywają fantazję powieściopisarską. Była to panna chorążanka wyszogrodzka Leonora Szczawińska, w klasztorze przemyskich Dominikanek już siostra Franciszka — a szczegół to dający do myślenia, że była także sierotą po ojcu i miała ojczyma, matka jej bowiem wyszła powtórnie za mąż za niejakiego Niszczyckiego. Mieszkała przedtem kilka lat w klasztorze po świecku, a opiekowała się nią wojewodzina Krasicka, wdowa po Marcynie. Jak utrzymuje w swojej żalobie zanesionej przed grodem przemyskim przeor Dominikanów, siostra Franciszka nie tylko wzięła habit, ale »*tacite* już nawet złożyła była professyę,« i czekano tylko na przyjazd matki, aby odbyć uroczysty akt obłóczyn. Nim jednak przyjechała matka, zjawił się w Przemyślu młody szlachcic Samuel Kurdwanowski, przyjaciel jednego z Drohojowskich, Matyasza, i mieniąc się czyli mówiąc słowami

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 355 pp. 455—58 i Agr. Sanockie, t. 151 pp. 2021, 2074.

Ojca Przeora »ozywając się być bratem i krewnym Siostry Franciszki, bardzo subtelnym i chytrym sposobem« począł odwiedzać klasztor i widywać się z nią za kratą, a przy tej sposobności nietylko porozumiał się z nią samą ale pozyskał sobie także probantkę, która pełniła służbę przy furcie. Dnia 12 listopada w nocy Kurdwanowski usunął kilka desek z parkanu, który otaczał klasztor, dostał się pod okno celi chorążanki a obecnie Siostry Franciszki, dał jej znak umówiony, a gdy się wymknęła z klasztoru przy pomocy siostry probantki, uniósł ją z sobą do stajenki, dobudowanej do klasztornej parkanu.

Tu była już przygotowana cała toaleta, a mianowicie adamaszkowy letnik czerwony i jak zapewnia strapiony przeor, także »inne ochędóstwa światowe«, i tak Siostra Franciszka przeobraziła się w jednej chwili w pannę chorążankę Leonorę. Tak przebraną zaprowadził Kurdwanowski do swego pomieszkania, które znajdowało się w pobliżu klasztoru a tu niebawem znalazł się ksiądz wraz z kilku osobami uproszonymi na świadków. Rozpostarto na podłodze kobierzec, Kurdwanowski ukląkł z chorążanką i ksiądz połączył młodą parę ślubem małżeńskim. Pilnował dokładności tej ceremonji bardziej od samegoż księdza Kurdwanowski, bo kiedy ksiądz zapewne pod wpływem tak wyjątkowej sytuacji zapomniał wiązać stulą rąk oblubieńców, Kurdwanowski zawołał: »*Pater Reverende*, ależ Waszmość przepomniał co najlepszej rzeczy! Nie wiązałeś nas stulą!« Ksiądz odparł: »Tedy poprawię« i uzupełnił ceremonię. Następnie Kurdwanowski wyprosił gości a sam pozostał z chorążanką »aż do jutrzni,« poczem przebrał ją znowu w habit zakonny, odprowadził do klasztoru i zasunął napowrót deski wyjęte z parkanu, tak że cała ta nocna przygoda pozostała tajemnicą.

Dopiero kiedy w lutym następnego roku przyjechała sama Niszczycka i miał się odbyć uroczysty akt obłóczyn chorążanki, Kurdwanowski sam zaczął rozgłaszać, że Sio-

stra Franciszka jest jego poślubioną żoną, a kiedy już przystrajano kościół do ceremonji, posłał do klasztoru ten sam kobierzec, na którym brał ślub z chorążanką, aby na nim składała śluby zakonne tak jak na nim jemu składała przysięgę małżeńską. Obłóczyny odbyły się mimo tej demonstracyi, a odbyły się zapewne pod naciskiem matki i przełożonych klasztoru, którzy ślub dany pokątnie i po świętokradzku uważali za nieważny. Minęło dziewięć miesięcy od tego ślubu, chorążanka już całkiem była mniszką, ale Kurdwanowski nie dał za wygraną. W nocy na dzień 1 sierpnia dostał się znowu do klasztoru, wykradł chorążankę, ukrył ją w gospodzie swego przyjaciela Drohojowskiego, potem przebrał w suknie mężkie, następnej nocy przewiózł na przygotowanej już łodzi przez San i uwiózł w czekającej na drugim brzegu karecie. Sprawa oparła się o trybunał, przed który matka i bracia chorążanki pozowali Kurdwanowskiego; trybunał przekazał śledztwo sądom konsystorskim w Przemyślu, ale biskup Andrzej Szofdrski zaniechał wszelkiej inkwizycyi, jak się o tem dowiadujemy z protestacyi matki, która zarzuca biskupowi, że mimo jej prośb i nalegań nie wykonywa dekretu trybunalskiego i ani sam nie zjeżdża z Brzozowa na inkwizycyę ani żadnego prałata delegować do niej nie chce.¹⁾

Równie romantyczne a nie tak gorszące było porwanie panny Salomeji Nagórskiej z Grabownicy przez Stanisława Przedwojowskiego, towarzysza rotę husarskiej Alexandra Koniecpolskiego. I w tym wypadku, na potwierdzenie naszych uwag poprzednich, panna była posażną sierotą a fakt porwania był tylko epilogiem intrygi rodzinnej. Panna Salomea nie miała ani ojca ani matki i wychowywała się w domu swego dziadka Mikołaja Pełki. Do opieki nad bogatą panią rościł sobie jednak prawo jej

¹⁾ Agr. Przemyśkie, tom 356 pp. 1549—55, tom 358 p. 1155, 1331—4, 2059.

szwagier, ożeniony z jej siostrą Katarzyną, Jacek Krasowski z Grabownicy. Wiedziony chciwością, chciał koniecznie odebrać Pełkom pannę Salomeję, bo upatrzył dla niej męża, Gabryela Boratyńskiego, który deklarował się kontentować trzecią częścią posagu panny a z dwóch trzecich kwitować Krasowskiego. Kiedy raz Pełczyna z panną była na mszy w kościele Franciszkańskim w Sanoku, wpadł Krasowski z zbrojną czeladzią do świątyni i nie zważając na nabożeństwo, właśnie przy samem Podniesieniu, porwał Salomeję przemocą i zawiózł ją do Grabownicy. Aby faktem dokonanym ubiedz opozycję krewnych, przyspieszył termin ślubu z Boratyńskim, nie zważając na łzy i prośby panny, która serce swoje oddała już była Przedwojowskiemu. Zbliżył się dzień fatalny; już pannę młodą stroić poczęto do ślubu, kiedy nagle, w przedostatniej prawie chwili, wpada do dworu w Grabownicy Stanisław Przedwojowski z kilku towarzyszami swojej husarskiej chorągwi, porywa Salomeję, unosi ją na koniu do przygotowanych nieopodal kolas, w których czekają już na nią jej druga siostra i jej ciotka pani Bylińska wraz z bratem stryjecznym Nagórskim — a Krasowskiemu i niefortunnemu panu młodemu Boratyńskiemu pozostaje tylko ta wątpliwa satysfakcja i pociecha, jaką dać mogą piorunujące protestacye zaniezione do ksiąg grodzkich.¹⁾

Niestety, niedługo cieszyło się swoim szczęściem, tak romantycznie skojarzone stadło! Romantyka dziejów rodzinnych owego czasu obfituje nietylko w miłośne i liryczne, ale także w tragiczne ballady o szkockim, krwawym kolorycie. W r. 1645 napada nocą na dwór w Grabownicy sąsiad Stanisław Kozłowski, podczaszy sanocki, i pod szablami jego pacholków ginie gwałtowną śmiercią Stanisław Przedwojowski. Rozsiekano go na sztuki — dwadzieścia dwie ran stwierdzono w grodzie na jego zwłokach. Stało

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 370 pp. 2982, 2738.

się to za poduszczeniem matki podczaszego Anny z Rytra Kozłowskiej, wdowy po Mikołaju sędzi ziemi sanockiej, a było epilogiem jednej z tych krwawych i zaciętych wojen sąsiedzkich, w jakie tak obfitowała ziemia sanocka. Kozłowską skazał trybunał za zbrojny zajazd i zabójstwo na dwa lata i 12 tygodni więzy, nim ją jednak zasiadła, doścignęła ją zemsta z ręki opryszków beskidzkich, którzy napadłszy na jej dom w Humniskach a chcąc ją zmusić do zeznania, gdzie ukryła złoto i klejnoty, wzięli ją na tortury i piekli pochodniami. Srodze skatowana manifestuje się Kozłowska przed aktami grodzkimi, że więzy odsiedzieć nie może, bo stan jej waży się między życiem a śmiercią. Tragiczny los męża nie na długo odebrał pani Salomeji ochotę do życia i miłości, w cztery miesiące po katastrofie jest już żoną Jana Fredry.¹⁾

Nie zawsze gładko, owszem bardzo tragicznie kończyła się niekiedy taka awantura. W r. 1629 niejaki Jakób Żółczyński porwał w Busku od boku matki w jasny dzień dwunastoletnią dziewczeczkę. »Dnia 15. lutego w godzinie ranne — opowiada w swojej protestacyi matka porwanej, Elżbieta z Lipskich Podhorecka — byłam z córką swoją, panną Anną, lat natenczas ledwie 12 mającą, w kościele u OO. Dominikanów w Busku, żadnej około siebie czeladzi nie mając, jako niemłoda i spokojna wdowa... Wiedział o mnie w Busku i o mojej niepotędze p. Jakób Żółczyński i upatrzył czas sposobny, w którymby zamysł swój nieprzystojny mógł wykonać, na który z mojej i dziecięcia mego strony żadne nigdy podobieństwo nie wyszło. Nagotowawszy się na to dobrze, stanął Żółczyński w Busku na Nowem Mieście przy kościelnej drodze u Rygera mieszczanina, gdzie miał sanie gotowe w cztery konie zaprzężone a przy nich czeladź swoją. Wysłałem z kościoła

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 376 pp. 1100—3 i Agr. Sanockie tom 158 pp. 1974—1979, 2287, 2313—15.

do gospody swojej zwyczajnej, Żołczyński zastąpił mi na drodze a jakoby w sposób przyjacielski począł mi służby a potem rękę oddawać, któremu ja, zdrady się nie spodziewając, rękę także podała, ale to przywitanie zdradliwe było, bo wzięwszy mnie za rękę krzyknął na swoich ludzi, ażeby porwali pannę, którą zaraz Jurek, woźny jego, porwawszy na sanie rzucił. Wydzierałam się długo z rąk jego za córką, także córka z płaczem wydzierała się z rąk oprawców, ale trudno się było wydrzeć, ujechał z panną do Białego Kamienia.« Żołczyński miał tu przyjaciela, wójta miejscowego Pawła Suskiego, który był wtajemniczony w jego zamiary, do niego więc schronił się z panną. Suski uzbroił kilkudziesięciu mieszkańców miasteczka i obstawił dom strażami do koła, a kiedy matka, która śladem Żołczyńskiego popędziła za córką, stanęła przed domem, nie puszczono jej do dziecka, a samej pannie, która przez okno rwała się do matki z krzykiem o pomoc, zatkało usta chustką. Podhorecka widząc, że prośbami niczego nie osiągnie, odjechała i obesała natychmiast wszystkich przyjaciół i krewnych. Tymczasem Żołczyński, nie mogąc dostać ślubu w Białym Kamieniu, zabrał pannę i wraz z drugim Suskim, Piotrem, nocą ruszył ku Lwowowi, gdzie łatwiej było o księdza i ślub improwizowany. Suski »w drodze na saniach podle panny siedząc, rozmaitemi sposobami wiódł ją do tego, ażeby ślub brała, ukazując jej rozmaite przykłady, że takowe raptki na wielu miejscach uchodziły, ale się tych osób nie mianuje dla dobrej ich sławy, które on sam natenczas mianował. Na koniec straszyl ją tem, że »jeśli ślubu nie weźmiesz, odjadę od ciebie a w tem cię lekkość od p. Żołczyńskiego spotka.«¹⁾

Krążywszy noc całą ubocznymi drogami, przywiózł Żołczyński pannę do Hołoska pode Lwowem i tu stanął w domu niejakiego Handlowskiego, który był »swatem

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 380 pp. 2093—2099.

albo li szwagrem« Suskich. Pannę zamknięto w ciemnej i ustronnej izdebce i poczęto szukać księdza, któryby zechciał dać ślub. Kiedy trudno było o księdza łacińskiego, któryby się podjął tego wśród podobnych okoliczności, udano się do księży ruskich, ale i między tymi nie znalazł się we Lwowie żaden, któryby się dał być nakłonić do tego aktu. Tymczasem brat porwanej panienki Adam Podhorecki wraz z gromadką krewnych był już w pełnym pościgu za zuchwalcem, a goniąc go jego śladami, odkrył miejsce jego pobytu i wpadłszy do Hołoska osaczył dom Handlowskiego, wtargnął do środka i tu rozegrała się krwawa scena. Żołczyński przeszyty kilku kulami z muszkietów i porąbany szablami wyzionął ducha na miejscu, a ojciec jego, który następnie prezentował trupa w grodzie, w protestacyi swojej powiada, że jeszcze zwłoki syna jego »bito, kopano i deptano.«¹⁾ Jednego z towarzyszy Żołczyńskiego, Piotra Suskiego, pojmano i osadzono w więzieniu na Wysokim Zamku, z kąd jednak uciekł, i to — rzecz godna zanotowania — po poprzedniej deklaracyi, zapisanej w aktach grodzkich, »że przyjdzie mu *omni modo* o sobie radzić i starać się, gdyż tu głodu cierpieć nie powinien i *causam honoris* przy zdrowiu ochraniać prawo wszystkie mu pozwala,« a zatem niejako po otwartej i urzędowej zapowiedzi, że uciec zamierza.²⁾

W okolicach odległych od miast i grodów, w górach n. p. samborskich, na szlakach sabatów i opryszków, gdzie z rzadka w zapadłych wioskach mieszkała na poły dziczała szlachta i dokąd już wcale nie sięgało krótkie i słabe ramię ówczesnych władz bezpieczeństwa, zuchwalstwo rekurowanych konkurentów przybierało formę krwawych gwałtów i okrucieństw. Wojciech Pamiętowski z Rozłucza stara się o pannę Katarzynę, córkę Maruchny Dwer-

¹⁾ Ibidem, pp. 2614—17.

²⁾ Ibidem, p. 2681.

nickiej w Boberce, ale matka odmawia i przyrzeka rękę Katarzyny innemu konkurentowi, Remigianowi Tyszkowskiemu. Pamiętowski dobiera sobie kilku towarzyszy a mianowicie Łukasza Wysoczańskiego z Komarnik, Jana Romera z Wysockiego, Pawła Rozłuckiego z Rozłucza i kilku innych a między nimi i Jana Fredrę, który niewiadomo, dlaczego się tam zabłąkał, napada na dwór w Boberce, szukając panny rozbija wszystkie komnaty i schowki, a znalazłszy ukrytą, każe przywołać miejscowego popa i wzywa go, aby mu dał natychmiast ślub. Pop się wzbrania, a wtedy towarzysze Pamiętowskiego wymierzają doń nabite półtaki i pod grozą śmierci zmuszają go do spełnienia religijnej ceremonji, poczem Pamiętowski odjeżdża zostawiając poślubioną sobie tym sposobem pannę przy matce. Nie zważając oczywiście na ślub tego rodzaju, który nie miał żadnego znaczenia, matka oddaje rękę córki Tyszkowskiemu i wkrótce odbywa się wesele. Gody weselne są właśnie w pełnym toku, kiedy Pamiętowski z bandą tych samych przyjaciół napada na dwór w Boberce, rzuca się na pana młodego i zadaje mu kilka ran ciężkich szablą, tak że Tyszkowski pada we krwi na ziemię, porywa następnie pannę młodą, wsadza przy sobie na konia i ujeżdża z nią do Rozłucza. Zatrzymawszy ją czas krótki u siebie, całkiem niespodziewanie — *nescitur quibus informatus consiliis*, jak się wyrażają akta — zwraca ją znowu matce. Poślubiony pannie prawowity małżonek Tyszkowski przyjmuje ją jako żonę bez względu na to, co zaszło, i młode małżeństwo żyje z sobą spokojnie przez cztery tygodnie. Po upływie tego czasu Pamiętowski napada ich znowu zbrojnie i uwozi przemocą Tyszkowską, a męża jej, który nieostrożnie, wiedziony zapewne chęcią odzyskania żony, udał się był do Rozłucza, chwytą, zabija, ucina mu głowę i do odciętej już strzela jeszcze jak do celu z łuku.¹⁾

¹⁾ Agr. Lwowski, tom 376, pp. 13—18. Rok 1623.

Najbardziej gorszącymi były wypadki, w których nie kochanek uniesiony namiętnością, nie konkurent wzgardzony przez rodziców a pewny wzajemności panny, ale człowiek żonaty z rozpusty porywa córkę rodzicom. Wypadki takie należały na szczęście do najrzadszych wyjątków; najgłośniejszy zdarzył się w r. 1639 we Lwowie. Mieszczanin i pisarz sądowy miejski Jan Załęski wybrał się pewnego dnia w maju z całą rodziną swoją po za mury miejskie do pasieki Wolfberndowskiej. Miał ładną córkę Annę, która także mu towarzyszyła. Ledwie całe grono wyszło na pola za miastem, kiedy nagle przypada z kilku towarzyszymi Krzysztof Żórawiński, który czatował na tę sposobność, porywa pannę i uwozi ją z sobą. Nie wiemy, jak się skończyła ta przygoda dla Żórawińskiego i dla panny, domyślać się wszakże można, że nie miała zbyt fatalnych następstw i zamknęła się jakąś wystarczającą satysfakcją rodziców, bo prócz jedynej protestacji, zaniezionej do akt grodzkich zaraz po wypadku,¹⁾ Załęski nie czyni już żadnych dalszych kroków prawnych.

Że po każdym rapcie, t. j. po każdym porwaniu panny, chociaż je usankcjonował ślub kościelny, rodzice i krewni biegli do aktów, aby w piorunującej protestacji obwieścić światu wypadek, który bądź co bądź był epizodem z dyskretnych dziejów rodzinnych, zrozumieć łatwiej, bo rapt był uważany za zbrodnię i mógł być przedmiotem kryminalnego pozwu. Że jednak nie wahano się manifestować w grodzie w sprawach poufnych, które nie mogły mieć i nie miały procesowych konsekwencji i nie powinny były wychodzić po za granice czysto domowego kwasu lub zgorszenia, tego nie będzie nigdy mógł zrozumieć, kto dzisiejszem okiem patrzy na owe czasy, dzisiejszemi nerwami odbiera z nich wrażenia i z stanowiska dzisiejszych sędzi je zapatrywań. Ta nadmierna ambicja rodu i ten brak wstydlivości w jego sprawach poufnych

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 390 pp. 706—7.

— to na pozór dwie otwarte sprzeczności. A przecież jedno wypływało właśnie z drugiego. Im żywsza była tradycyjna duma familijna, tem żywsza musiała być reakcyja przeciw temu, co ją obrażało. Nie bano się skandalu — dusze były namiętniejsze, usta szczerze i śmielsze, temperament nieskończenie pierwotniejszy i bardziej porywczy. Owa siła i cnota woli: panowanie nad sobą, nie było zaletą natur i charakterów ówczesnych. Przeważną część tych wszystkich czynów zuchwałych, tych zająć tragicznych, tych ciężkich grzechów przeciw etyce społecznej, jakie nam przechowały akta XVII. wieku, nie z przewrotności dusz płynię, ale z braku siły nad sobą samym.

Wspomnianemu u góry brakowi dyskrecyi domowej zawdzięczamy także wiadomość o nielicznych zresztą mezaliansach. Małżeństwa niedobrane majątkowo lub pod względem dostojności rodowej budziły niesmak i niezadowolone, ale nie wywoływały nigdy namiętnę, publicznie objawianej opozycyi. Inna rzecz, kiedy szlachcianka wyszła za plebejusza albo szlachcic pojął nieszlachciankę. To był dopiero gruby mezalians, przeciw któremu nie wahano się protestować w publicznych aktach. W r. 1633 Przeclaw Chrzastowski pokochał dziewczynę z ludu, niejaką Zosię Dymnicką, która służyła w domu jego rodzinnym w Bukowie. Nie przebaczyli mu tego bracia i wykluczyli niejako z wszelkich związków rodzinnych. Widzieli w małżeństwie brata »niepamięć na honor starożytnego domu swego, który cnotą, mężstwem i usługą ojczyźnie zawsze słynie.« W protestacyi swojej zanesionej przed grodem sanockim, oburzają się i żalą, że Przeclaw z tą żoną »przysiercki płodzi ku wielkiej zelżywości domu swego, bo przecież Chrzastowskimi zwać się będą chcieli, tedy przeciwko nierządному małżeństwu protestują się i oświadczają, że żadnego z tej nieszlachetnicy spłodzonego za pocziwego nie przyznawają.« ¹⁾

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 151 pp. 2300—2.

Bardziej wyrozumiałym i pobłażliwym okazał się w podobnym wypadku Andrzej Herburt, synowiec słynnego Jana Szczęsnego. Córka jego Anna, owdowiawszy po pierwszym mężu Krzysztofie Wapowskim, kasztelanu przemyskim, wyszła wbrew woli ojca w r. 1638 po raz wtóry za nieszlachcica Hieronima Gutetera. Ten Hieronim pochodził z bardzo bogatej rodziny kupieckiej, osiadłej w Krakowie i we Lwowie, która później przybrała polskie nazwisko Dobrodziejskich, ale nie dziw, że dla takiej dostojnej i wyniosłej rodziny, jak Herburtowie, był to tylko, aby się wyrazić słowami ówczesnymi: »prosty biernat i zamsik.« Obrażony Herburt wyrzekł się córki, dał się jednak wkrótce ubłagać, ale postawił jako warunek przebaczenia, aby »pani Anna przyniosła mu list polecający czyli przyczynny od Samuela Koniecpolskiego, kasztelana chełmskiego, ożenionego z Herburtówną, i aby uczyniła przed grodem sanockim *cum assistentia* męża swego naprzód, niżeli go przeprosi, wyrokę t. j. zrzeczenie się wszystkich dóbr ojczystych i sukcesyj.«¹⁾ Po spełnieniu tych warunków Herburt przebaczył, »czemu czas naznaczam w domu moim, kiedykolwiek przyjadą, łaskę i miłość moją ojcowską pokazać i oświadczyć gotów będę. Bez których warunków NON.«

Poprzestajemy na tych dwóch przykładach, dorzucając je do tych wszystkich drobnych rysów, które przyczynić się mogą do oddania obyczajowej fizyognomji czasów.



¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 361 p. 705.

ROZDZIAŁ PIĄTY

RZESZA SZLACHECKA

—————

I.

DROBNA SZLACHTA. JEJ MNOGOŚĆ I STANOWISKO SPOŁECZNE. JEJ WYSTĘPOWANIE JAKO STAN I JAKO RÓD. JEJ STANOWISKO W WALKACH O UNIĘ. WOJNA DWÓCH WŁADYKÓW.

Szare tło szlacheckiego świata stanowi szlachta drobna, cząstkowa, zagonowa, chodaczkowa, zaściankowa, najbliższa chłopu, owszem niekiedy nawet dobrze chłopiska, wyglądająca zupełnie tak, jakby wyglądał był chłop wolny w Polsce, gdyby był istniał. Kontrast między pozorami tego stanu a jego społeczną prawdą, między splendorem herbowym a nędzą egzystencyjną, między fikcją udzielnej wolności i braterskiej równości szlacheckiej a rzeczywistością zawistością i upokorzeniem, doznawanem od możnych, między ambycją a nawet pychą rodową a stopniem oświaty i obyczajowej kultury — nadaje tej warstwie wszystkie te cechy tragi-komiczne, jakie bywają nieodłączne od każdego sprzecznego w sobie samem stanowiska. Ale ta stotysięczna rzesza szlacheckiego drobiazgu miała przecież wszystko po temu, aby być dobrym materiałem dziejowym, a w militarnej organizacji państwa mogła odegrać doniosłą rolę. Pełna fantazyj i animuszu, przejęta ambycją stanu, złożona z ludzi sposobnych do rycerskiego rzemiosła, uważających się z dumą za »synów

koronnych,« chciwa krescytywy — jakby czekała tylko na to, aby ją twórcza myśl jakiegoś męża stanu, jakiegoś wielkiego organizatora, zrobiła wagą w mechanizmie społecznym, siłą w narodzie. Patrząc na ten szary tłum szlacheckiego proletariatu, który mógł być stanem a był najczęściej tylko trudnością społeczną i polityczną, przypominają się słowa współczesnego poety: »Robić tym ludem, robić potrzeba koniecznie!« — bo jakby o nim właśnie były wypowiedziane.¹⁾

Nikt nim nie robił, prócz chyba sejmikowych warchołów, i on sam nic nie robił, prócz burd i procesów. Pieniacka i zawadyacka ta szlachta wypełnia sobą prawie całą trzecią część aktów województwa ruskiego, bije się i procesuje między sobą z namiętą zaciekłością — nie masz prawie jednej karty w księgach grodzkich tego województwa, a zwłaszcza ziemi halickiej, gdzieby nie figurował albo szlachcic martwy, produkowany po gwałtownej śmierci w grodzie, albo ranny, który jako *saucius*, *laesus*, *caesus*, *vulneratus*, jawi się w urzędzie starościńskim, aby jeszcze przed cyrulikiem dać sobie otaksować odniesione guzy, albo w końcu pieniacz oblatujący protestacje i pozwy.

Województwo ruskie obfitowało w drobną i zaściankową szlachtę. Najwięcej jej w przemyskiej ziemi, nieco mniej w halickiej, lwowskiej i żydaczowskiej, najmniej w sanockiej. W halickiej ziemi roją się Berezowscy, Chocimirscy, Drohomireccy, Grabowieccy, Hołyńscy, Kniehinnicy, Krechowieccy, Sulatyccy, Strutyńscy, Tatomiry, Uhernicy, Wołkowiccy, Żurakowscy; w przemyskiej Bilińscy, Baczyńscy, Bratkowscy, Bereźnicy, Bojarscy, Czołhańscy, Czernieccy, Dobrzańscy, Horodyńscy, Horodyscy, Ilnicy, Jamińscy, Jaworscy, Jasieniccy, Kalnofojscy, Koblańscy, Komarniccy, Kryniccy, Kulczyccy, Lityńscy, Łuccy, Mat-

¹⁾ Szymonowicz, Sielanki i t. d. Wyd. Węclewskiego, str. 143.

kowscy (piszą się długo: Majtkowscy), Manasterscy, Popielowie, Podhorodeccy, Rytarowscy, Radyłowscy, Sieleccy, Sozańscy (piszą się długo: Zozańscy), Stupniccy, Smereczańscy, Turzańscy, Terleccy, Tureccy, Tustanowscy, Uniatycy, Uruscy, Wysoczańscy, Winniccy, Żeliborscy; w lwowskiej i żydaczowskiej ziemi Czaykowscy, Hoszowscy, Koniecty, Łozińscy, Podlesieccy, Popiele, Pohoreccy, Podwysoccy, Przedrzymirscy, Świrscy, Srokowscy, Siemiginowscy, Winniccy, Witwiccy; w sanockiej ziemi spotykamy głównie Dobrzańskich i Łodzińskich. Wszystko to szlachta ruska, jeszcze mało spolszczona, twardo stojąca przy swoim wschodnim obrządku, obok popów najsilniejszy filar anti-unickiej ortodoksji. Nie latynizuje ani polszczy swoich imion chrzestnych, owszem używa ich nawet w aktach zawsze w chłopskim familiarnym zdrobnieniu, same to jeszcze Łeśki, Sienie, Hrycki, Fed'ki, Ilki, Steczki, Waśki, Jurki, Hawryły, Demki, z przydomkami czyli imioniskami, które ich mają odróżniać między sobą, a które zachowały się do naszych czasów. Czaykowscy n. p. mają imioniska: Słoninka, Berynda, Trunkowicz i t. p., Żurakowscy, którzy swoją osiadłość w Żurakach (pierwotnie Czerakach) wywodzą jeszcze od Władysława Opolczyka i produkują na to dokument w halickim grodzie,¹⁾ odróżniają się między sobą przydomkami Lechnowskich, Jakobszowiczów, Josypowiczów, Jaźwińskich, i t. p., Łodzińscy mają przydomki Kowal, Przystawka i t. d., Łuccy przydomki Tatarzyniec, Szczerbiak, Pełczak, Żurkowski i t. p., Popiele przydomki Chwościak, Chwostowicz, Kłodrub i t. p. Te imiona drobnej szlachty ruskiej, te Waśki i Łeśki dziwnie odbijają w aktach od Auktusów czyli Zbożnych, od Hermolausów, Bieniaszów, Wszeborów, Przeclawów, Dadzibogów, Prandotów, Wespazyanów, od biblijnych Samsonów, Ezdraszów, Abrahamów i Samuelów

¹⁾ Agr. Halickie, tom 132 pp. 408—10.

szlachty znamienitszej, bo wszystkie te imiona częste są jeszcze w owym czasie, zwłaszcza w ziemi przemyskiej — jest to blizkie sąsiedztwo dwóch dalekich światów, płynna granica dwóch sprzecznych z sobą kultur.

Nazwaliśmy drobną szlachtę szarem tłem społecznem i była też niem istotnie. Stanowiła najniższy szczebel uprzywilejowanej warstwy, ciemny początek krescytywy, podnóże hierarchji szlacheckiej. Legenda o równości, legenda o szlachcicu na zagrodzie równym wojewódzie, była i wówczas legendą, a jak tyle innych legend nie była nigdy prawdą. Respektował ją mały szlachcic z naiwną satysfakcją, wielki pan z ironiczną obłudą — nie wierzył w nią ani jeden ani drugi. Był to *vox, vox, et praeterea nihil*, hasło święte, zawieszzone na kołku, przed którym się uchylało kapelusza, którego z kołka broń Boże było ruszać, ale które nikomu nie zawadzało, nikomu nie pomagało. Była to, że tak powiemy, zasada w zasadzie, pozór bez rzeczy. Nie daj tego Panie Boże robić różnicy między większą a mniejszą szlachtą w konstytucyi sejmowej, w akcie jakimś publicznym, w przemówieniu sejmikowem, bo by to wywołało było burzę a może i trzask szabel; kiedy raz do konstytucyi o podymnem wkrađło się słowo: »mniejsza szlachta,« powstał taki hałas, że musiano tekst uroczyście sprostować drogą osobnej uchwały sejmowej, aby to słowo »*in perpetuo*« było zniesione z przyznaniem, że »*in aequalitate*« ani mniejszego ani większego nie masz.«¹⁾

Ale na tem koniec. W rzeczy samej hierarchja szlachecka istniała, i to nietylko ta, która wypływała z piastowania urzędów i dostojęństw publicznych, ale i ta, która polegała na stanowisku czysto społecznem i rodowem. W aktach województwa ruskiego, a więc nawet w źródle publicznem i urzędowem, mamy tego dowód

¹⁾ W konstytucyi z r. 1699.

w stałym stopniowaniu szlacheckiego tytułu, w używaniu dwóch formułek: szlachetny i urodzony, *nobilis* i *generosus*. Szlachcic zagonowy, cząstkowy, uboższy, figuruje w aktach zawsze jako »szlachetny,« szlachcic zajmujący majątkowo i towarzysko wybitniejsze stanowisko figuruje jako »urodzony« — co więcej, w XVI. jeszcze wieku nawet członkowie głośnych i możnych już w tym czasie rodów, jeżeli nie mają żadnego urzędu, występują w aktach bardzo często tylko jako szlachetni. Spotykamy z tytułem skromnym *nobilis* nawet Stadnickich, Krasickich, Fredrów, choć równocześnie tegoż nazwiska osoby piastujące jakiś urząd wyższy występują jako *generosi* a nawet *magnifici*. W jednym i tym samym dokumencie ojciec figuruje jako *generosus*, syn jako *nobilis*. Były to jeszcze czasy, kiedy tytuły nie stały się tanią monetą zdawkową, kiedy królowie pisząc do hetmanów, wojewodów i kasztelanów, poprzestawali na tytule: »urodzony wiernie nam miły« a co najwyżej »wielmożny.« Dopiero z końcem XVII. i w XVIII. wieku lada cześnik, lada wojski, lada pisarz lub podstarości grodzki rości sobie prawo do tytułu *magnificus*, a każdy wyższy dygnitarz jest już *illustrissimus*.

W r. 1634 samaż szlachta województwa ruskiego odróżnia owe dwa stopnie szlacheckie: szlachetny i urodzony, i ubolewając na sejmiku wiszeńskim nad coraz częstszą uzurpacją szlachectwa, gniewa się głównie o to, że taka nowa, wątpliwa szlachta »nietylko *nobiles* ale *generosi* zwykła się pisać.«¹⁾ Była to tedy równość szerególna, bo równość stopniowana, której bardzo charakterystyczną w swojej sprzeczności formułą było owa ulubiona w Polsce dewiza: *Par super parem*. Miało to sens w rzeczywistej hierarchji urzędowej, nie miało go wcale w hierarchji fikcyjnej, czysto tytularnej, która miała swoje

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 152 p. 1053.

źródło właśnie w chęci wyrwania się z ram szlacheckiej równości. Takich tytularnych urzędów była wielka obfitość — ale ci wszyscy łowczowie, skarbnicy, cześnicy, podczaszowie nie posiadali żadnego rzeczywistego urzędu, nie spełniali żadnej funkcji ani w ziemi ani w powiecie, nie mieli żadnych praw i żadnych obowiązków, niczem nie byli, nic nie znaczyli — dawało to rączkę do nazwiska, *the handle to the name*, jak to trafnie nazywają Anglicy. Piechota z ostrogami. Ale ostrogi brzęczały i brzęczą dotąd w rodowodach i kronikach domowych, wśród tych starostów, którzy nigdy nie byli starostami, ale tylko popspolitymi dzierżawcami ekonomij królewskich, wśród tych niezliczonych słomianych kasztelanów, wśród tych wojewodów *in partibus infidelium*, bo tytułujących się od ziem, które dawno przestały być należeć do Polski.

Drobna szlachta dostarcza przeważnie popów, rękodajnych famulusów, najemnych żołnierzy dworskich, gospodarczej służby, a często gęsto idzie w kozaki i opryszki. Solidarnie jako stan lub jako ród nie występuje nigdy, z wyjątkiem dwóch wypadków: jako stan w sprawach swojej religji, jako ród w sprawach swego szlactwa. Chłop ruski w sprawach religji, do której form przywiązany jest całą siłą upartej duszy, może odgrywać tylko bierną rolę: jest skałą niemą, nieruchomą, ale niewzruszoną; kiedy chodzi o tłumną i czynną akcję, podejmuje się jej drobna szlachta. Mamy tego przykład w zajściach, które wywołało mianowanie Ałanazego Krupeckiego władką przemyskim i samborskim po śmierci Michała Kopystyńskiego. Krupecki, unita, wyfortowany na stolicę władczą przez biskupa przemyskiego Stanisława Siecińskiego, wywołał przeciw sobie w ruskiem duchowieństwie gwałtowną opozycję, a drobna szlachta ziemi przemyskiej wystąpiła przeciw niemu solidarnie i wypowiedziała mu formalną wojnę. Władka Krupecki znalazł się w ciężkich opałach, nie był pewny nietylko swojej

stolicy ale nawet zdrowia i życia. Wszyscy Chłopeccy, Turzańscy, Manasterscy, Lityńscy, Winniccy, Kopystyńscy, Błażowscy, Rytarowscy, Rudyłowscy, Ustrzyccy, Jasieniccy, Kobrańscy, Wysoczańscy, Kulczyccy, Sulatyccy, Czaykow-



Fig. 29.

Władca Atanazy Krupecki.

scy, Tustanowscy, Tatomiry, ile ich było, a wymieniamy tu tylko tych, którzy posunęli się do czynnych gwałtów, godzą na powagę a nawet na osobiste bezpieczeństwo nienawistnego im władcy-unity, a król Zygmunt III. mię-

dzy tą szlachtą a zagrożonym przez nią Krupeckim zakłada w r. 1611 *vadium* w kwocie na owe czasy olbrzymiej 50.000 dukatów.¹⁾ Szlachta drobna podnieca opór popów, którzy otwarcie wypowiadają posłuszeństwo władcy, nie płacą mu prowentu czyli t. zw. *kunic* do katedry przemyskiej, nie przyjeżdżają na synody doroczne na św. Jani, zamykają mu cerkwie przed nosem. Cerkwie zajęte przez Krupeckiego i jego stronników szlachta odbiera zbrojną przemocą, jak n. p. cerkiew św. Jana w Przemyśle i cerkiew Pozdrowienia Najśw. Panny w Samborze, a kiedy władca w r. 1611 przyjeżdża na sejmik wiszeński, opada go w gospodzie z gołymi szablami, strzela do jego służby i wypędza go sromotnie z Wiszni.²⁾ Przeszło dwadzieścia lat trwa ta wojna popów i małej szlachty przeciw Krupeckiemu; daremnie w r. 1618 starosta przemyski Marcin Krasicki usiłuje przywrócić spokój, daremnie wzywa szlachtę do pojednawczej interwencji, »aby się środkować między stronami mogło, jakoby te sprawy pomiarkować, żeby już wždy takowym rebelliom obrzydliwym koniec się stał,«³⁾ — walka ta trwa dalej i przybiera w końcu rozmiary prawdziwej kampanii wojennej, obfitej w krwawe utarczki, oblężenia i szturmy na klasztory.

Jest to akcja prawem i lewem co się zowie. Prawem grzęźnie jakby w trzęsawisku, lewem pędzi jak rozhukany strumień górski. Kiedy władką unickim mianowany został w przemyskiej dyecezyi Krupecki, dyzunickie duchowieństwo i wroga unji drobna szlachta ruska, popierana gorliwie przez archimandrytę kijowskiego Piotra Mohiłę, wystarały się u króla o ustanowienie osobnego dyzunickiego władcy i oddanie mu pewnej części dóbr kościelnych i trzech monasterów, w Spasie, Ławrowie i Smolnicy. Polityka w kwestyach cerkwi ruskiej była nie-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 327 p. 18—19.

²⁾ Agr. Sanockie, tom 143 pp. 281—3.

³⁾ Agr. Sanockie, tom 144 pp. 1862—3.

stety zawsze chwiejną, przygodnią, bez stanowczego programu a zatem i bez konsekwencji. Epizodycznie prowadzona, polegająca na półśrodkach i paliatywach, przeplatana ustępstwami, które jednych drażniły a drugich nie zadowalały, regulowana od czasu do czasu dekretami kancelaryi królewskiej, które pogodzić się z sobą nie dały — robiła kwestyę tak doniosłą a drażliwą igrzyskiem osobistych intryg, emulacyj i nieporozumień. Dyzunickim władką przemyskim zamianowany został Jan Romanowicz Popiel, ale władka unicki Krupecki oparł się jego intromisy a Popiel nie miał ani potrzebnych środków ani dosyć energii, aby »lewem« dochodzić tego, co mu się wrzekomo należało prawem. Trzeba było wynaleźć innego kandydata, nie ubogiego czerńca-szlachetkę, jakim był Popiel, ale szlachcica możnego, śmiałego, mogącego liczyć na setki szlachty ruskiej. Musiał to być ktoś, coby dopiero w ostatniej, zwycięskiej chwili umiał zamienić szablę na pastorał i niejako w butach z ostrogami przekroczył carskie wrota.

Piotr Mohiła i szlachta przy nim stojąca upatrzyła sobie takiego człowieka w Sylwestrze Hulewiczu-Wojutyńskim, szlachcicu piastującym urząd pisarza ziemi łuckiej, i jego desygnowano na dyzunickie władctwo przemyskie. O teologiczne wiadomości w takich wypadkach nie dbano; kilka tygodni pobytu w jakimś monasterze, postrzyżyny zakonne i obznajomienie się z najniezbędniejszymi szczegółami rytuału — oto i wszystko, czego wymagano od takiego kandydata. Ale Popiel miał dyplom królewski na władctwo, daremnie rzec by się go nie chciał; trzeba było tedy dyplom odkupić. Hulewicz zapłacił Popielowi za dyplom 3000 zł. — taką sumę podaje Krupecki — złożył urząd pisarza, wystarał się o przepisanie nominacji na swoje imię i jako władka zabrał się do zdobycia swojej dyecezyi. Mówimy: do zdobycia, bo Hulewicz z góry wiedział, że zdobywać ją będzie musiał zbrojną mocą. Złożył sobie tedy najpierw rodzaj generalnego sztabu, w którego

skład wchodzili obaj jego bracia Alexander i Daniel Hulewicz, jego szwagier chorąży czernichowski Andrzej Kosakowski, Andrzej Zachorowski, Semen Myszka Chołoniowski, Teodor Winnicki i Piotr Szeptycki. Rolę komisarza królewskiego objął Kosakowski, który był w posiadaniu pisma królewskiego z pieczęcią pokojową, polecającego mu wprowadzić dyzunickiego władkę w wyznaczone mu monastery. Rozwinięto potajemną agitację między drobną szlachtą, popami, mieszczaństwem i ludem wiejskim, ułożono plan kampanji, rozdano role — był to formalny spis z całym aparatem tajnych schadzek, werbunków, szpiegów i emisaryszy.

Okolo Zielonych Świątek 1636 r. wyruszył władka Hulewicz na Przemyśl z całym swoim sztabem i nielicznym ale dobranym orszakiem zbrojnym, który miał stanowić niejako kadry pospolitego ruszenia szlachty i ludu. W sam dzień Zielonych Świątek stanął pod Przemyślem, opanował cerkiew na Wilczu pod samem miastem i założył tu główną kwaterę, z której wychodziły rozkazy i do której garnęły się zewsząd zbrojne posiłki. Pora była dobrze wybrana, starosta przemyski Mikołaj Daniłowicz bawił właśnie po za granicami swej jurysdykcji a władka Krupecki, jakby w przewidywaniu najazdu, wyjechał do monasteru św. Spasa, tego samego właśnie, którego zajęcie było pierwszym celem zbrojnej wyprawy. Wzmocniwszy dostatecznie swoje szeregi, ruszył wojowniczy władka w pochód na Spas traktem samborskim. Ruszyli z nim razem wszyscy schyzmatyccy mieszczenie przemyscy, ruszyli okoliczni popi i chłopci, ruszyły zastępy drobnej ruskiej szlachty, a po drodze z każdej wsi prawie, którą mijano, przyłączał się do tej wyprawy lud wiejski. Jak lawina rósł zastęp Hulewicza: opuścił Przemyśl w kilkaset ludzi, a nim zdążył do Starego Sambora, urósł w olbrzymią tłumę. Siłę jego obliczano na 10.000 ludzi. W Starym Samborze zatrzymano się i założono obóz a Hulewicz zasięgnąwszy

języka, że Krupecki jest w monasterze św. Spasa i przestrzeczony, obwarował się tam ile możności, wysłał do niego jako parlamentarzy Kosakowskiego, Zachorowskiego, Winnickiego, Szeptyckiego i Bazylego Lityńskiego, dodając im oddział jazdy w sile 50 ludzi.

Wysłannicy, przyjęci przez władykę Krupeckiego, zażądali od niego dobrowolnego oddania monasterów św. Spasa w Spasie i św. Onufrego w Ławrowie i wsi do nich należących, a Kosakowski zaprodukował mu wspomniane pismo królewskie. Krupecki oświadczył na to, że monasterów nie wyda, bo ma dyplom, który przyznaje mu ich dożywotnie, pismu zaś królewskiemu zarzucił, że wydane jest tylko pod pieczęcią pokojową (*sub sigillo cubiculari*) i nie ma wagi przywileju, a gdyby ją nawet miało, to stoi w niem wyraźnie, że Hulewicz ma objąć władztwo »nie przeszkadzając jednak posesyi terażniejszego władcy ojca Krupeckiego.« Na tem się skończyła akcja »prawem« a rozpoczęła się akcja »lewem.« Dowiedziawszy się od postów o płonności ich misyi, Hulewicz dał hasło do pochodu. Ruszono na Spas i otoczono monaster — lud, który się wysypał z wszystkich siół okolicznych, obsadził wszystkie wzgórza do koła, że wyglądały od płótnianek chłopskich jakby pokryte śniegiem. Pod wodzą Kosakowskiego uderzono do szturmu, wyrąbano ostrokół i bramy, wtargnięto do murów klasztornych. Załoga monasteru bardzo nieliczna, uzbrojona na prędcę, nie mogła stawić oporu tak ogromnej przewadze i schroniła się do murowanej wieży, sam zaś władca Krupecki zamknął się w cerkwi i położywszy się krzyżem na posadzce świątyni, z rezygnacją oczekiwał katastrofy. Niebawem i ta garstka, która się schroniła do wieży, zmuszoną została do kapitulacji. Na znak tryumfu zagrzmiały teraz okrzyki tłumu, odezwały się salwy śmigownic i marsowe fanfary surm i pomortów, a zwycięzki Hulewicz wprowadzony został do cerkwi. Krupeckiego wywiedziono przed tłum na igrzysko,

wydano go na szyderstwo i obelgi. Skarży się w swojej protestacyi, że tłum plwał na niego, hańbił go i policzkował, że go wrzucono do lochów monasteru i tam go trzymano o głodzie przez dwie doby, a nareście sromotnie wypędzono ze Spasa i byłby musiał wracać piechotą do Przemysła, gdyby nie pomoc okolicznej szlachty katolickiej. Opanowawszy Spas zajął Hulewicz oba dalsze monastery w Ławrowie i Smolnicy a wraz z nimi i wsie władyczne Straszewice, Nanczułkę, Ławrów, Wołkowice i Duszwowce.¹⁾ Przy szturmie monasteru św. Spasa zabito brata Krupeckiego i poraniono kilkunastu jego zwolenników.

Krupecki uciekł się do trybunałów. Wydał kilkadziesiąt pozwów i wytoczył kilkadziesiąt procesów, każdemu z głównych a znanych mu uczestników napadu z osobna; uzyskał też przeciw nim kilkadziesiąt dekretów infamji. Ale to była czysto platoniczna satysfakcja — nie przeszkadzało to Hulewiczowi posiadać zdobytych monasterów i należących do nich dóbr ziemskich. Dekrety trybunalskie były prawomocne, chodziło tylko o egzekucję, a to właśnie była rzecz najtrudniejsza. Wykołatał nareście Krupecki w r. 1638 u starosty przemyskiego egzekucję, t. j. przymusową rumację Hulewicza z zajętych monasterów — *de brachio regali finaliter et fortiter*, jak opiewała formuła — i podstarości Franciszek Dąbrowski w towarzystwie pisarza grodzkiego wyprawił się na ten akt z orszakiem, jakiego zdaniem jego egzekucya wymagała. W drodze z Starego Sambora do Spasa zabiegł im drogę jeden z stronników Hulewicza, szlachcic Bazyli Jaworski, i usiłował odwieść podstarościę od zamiaru egzekucyi, zanosząc równocześnie protest w imieniu całej szlachty ruskiej przeciw gwałceniu przywilejów królewskich i przeciw zamachowi na nietykalność dóbr kościelnych tak rezolutnie i z taką siłą przekonania, że zdawałoby się, że role się

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 358 pp. 2018—2031.

pomieniały, i że on czyni »prawem« a urząd grodzki »lewem.« Podstarości nie usłuchał protestu i posunął się z swoją drużyną pod monaster św. Spasa. Ale tu przedstawił mu się widok bardzo groźny. Góry i lasy dookoła monasteru obsadzone były uzbrojonym ludem; urząd grodzki powitano wojennym okrzykiem i ogniem z działek i muszkietów. Sam monaster był zamknięty i obwarowany i miał liczną załogę, dobrze uzbrojoną i na wszelką ostateczność gotową. Podstarości wysłał pod monaster woźnego i dwóch szlachciców, napominając władkę Hulewicza, który był w monasterze i kierował jego obroną, aby nie opierał się buntowniczo prawowitej władzy, ale i władka i otaczająca go szlachta odprawili woźnego z odpowiedzią, że przybyli tu w imię całej ludności ruskiej i z mandatu archimandryty kijowskiego Mohiły i że raczej śmierć poniosą a nie ustąpią. Równocześnie wyszli z monasteru dwaj księża Antoni i Filoteus Uniatyccy i wręczyli podstarościemu pismo następującej osnowy: »Mościwi Panowie sądowi! My duchowni będąc od Jegomości Ojca Metropolity Mohiły posłani, stoimy przy przywileju *diplomatís*, który przywilej konstytucją z r. 1635 utwierdzony, na rezydencyę te trzy monastery władcyce nieunitów naznacza. Zaczem WM. Panowie nie macie na nas tak następować, gdyż to nie jeno Ojcu Hulewiczowi należy władcyctwo ale i wszystkim Rusi, którzy nie są z unji, i przeto nie czyńcie nam WMPanowie *praeiudicium* żadnego i bezprawia. Przed Panem Bogiem oświadczamy, nie czyńcie nam gwałtu w tej mierze.«

Podstarości widząc taki stan rzeczy a nie mając ani ochoty ani sił po temu, aby szturmem dobywać klasztoru, postanowił cofnąć się z honorem i niby to dla omińnięcia rozlewu krwi odstąpił od sądowej egzekucyi. »Więc przypatrzywszy się inszym rzeczom — powiada w swojej relacyi urzędowej¹⁾ — jako zameczkowi przeciwko temu mo-

¹⁾ Agr. Przemyśkie, tom 361 pp. 1814—1825.

nasteru na samym wierzchu góry będącemu i ludźmi od tamtej strony osadzonemu przy takiej rezydencji pomienionego Ojca Hulewicza, *protestante parte actorea*, aby z tego okazy *maioris tumultus et seditionis* nie powstała — nie przyszło nam do rzetelnego i skutecznego oddania monasteru tego.« Ale na tem się skończył dopiero jeden epizod tej długiej i uporczywej walki o władztwo dyzunickie, która przygasta tylko na chwilę, aby znowu wybuchnąć płomieniem i zapalić umysły nietylko ruskiej małej szlachty ale i całej ludności wschodniego wyznania.

Aż do śmierci Hulewicza był jakby pewien rodzaj zawieszenia broni. Hulewicz skazany za gwałtowne najazdy na monaster i wsie władztwa przemyskiego, zniewolony był do zgodzenia się na pewien *modus vivendi*. Za instancją postów ziemskich zniesiono z niego w r. 1641 infamię i przywrócono go do czci, a konstytucya z tegoż roku uregulowała kwestyę unji i dyzunji w ziemi przemyskiej w ten sposób, że władztwo z monasterem św. Spasa i należącemi doń wsiami po wieczne czasy pozostać miało przy unitach, zaś monaster i wsi w Ławrowie i Smolnicy z wsiami Ławrowem i Nanczułką przy dyzunitach. Hulewicz aż do śmierci swojej miał zachować godność dyzunickiego władcy, po śmierci zaś jego władztwo dyzunickie stanowczo miało być zniesione, a najwyższym duchownym dostojnikiem dyzunickim miał już być tylko archimandryta ławrowski. Tym sposobem unicy utrzymywali się przy władztwie a dyzunicy poprzestać musieli na archimandryi.¹⁾

Takie połowiczne załatwienie sporu nie zadowoliło ani jednej ani drugiej strony, bo każda rościła sobie prawo do wszystkiego. Śmierć Hulewicza dała hasło do ponownego wybuchu wojny o władztwo, a trzeba przyznać, że przyczyniła się do tego także chwiejna i nielogiczna w wysokim stopniu polityka dworu. Oto wbrew wyra-

¹⁾ Vol. Legum, tom IV., 8.

żnym postanowieniom konstytucji z r. 1641 król Jan Kazimierz mianował dekretem z dnia 24. kwietnia 1650 r. Antoniego Winnickiego dyzunickim władką przemyskim i następcą Hulewicza. Miała więc ruska dyecezya przemyska znowu dwóch wrogich sobie władków, zgrzybiałego



Fig. 30.

Władysław Sylwester Hulewicz-Wojutyński.

już unie Krupeckiego i młodego, energicznego dyzunitę Winnickiego. Przypuszczać trzeba, że nominacja Winnickiego była niejako poniewolną koncesją w myśl traktatów zborowskich, zawartych z kozakami, nie uwalnia to

jednak dworu od zarzutu niekonsekwencji, bo jak to zobaczymy, ta sama kancelarya królewska, która wydała dekret nominacyjny, robiła potem wszystko, aby go zakwestyonować a nawet stanowczo unieważnić.

Władyka Winnicki pochodził z bardzo rozrodzonej drobnej szlachty tegoż nazwiska, której gniazdem były Winniki w przemyskiej ziemi. Była to szlachta uboga ale harda, twarda, rogata i do gwałtownych wybryków bardzo pochopna. Nie było między nią żadnej solidarności mimo tożsamości herbu, nazwiska i szczepowego pochodzenia — przeciwnie, jeżeli któryś Winnicki miał jakiego nieprzejednanego wroga, to wrogiem tym był z pewnością inny Winnicki. Pieniali się i bijali między sobą Kulczyccy, Jaworscy, Popiele i t. p., ale nigdzie waśnie nie były tak częste i tak zacięte a nawet tak dzikie i krwawe, jak między Winnickimi. Nawet w kwestyi religijnej, w której między szlachtą ruską panowała do pewnego stopnia jednomyślność, Winnicy nie z przekonania ale raczej z osobistych antypatyj dzielili się na dwa obozy. W wojnie między dwoma władykami spotykamy licznych Winnickich w obu przeciwnych obozach. Historia najbliższej rodziny nowo-mianowanego władyki Winnickiego dostarczyłby nam mogła wielu przykładów tej nienawiści Winnickich do Winnickich, ale wystarczy przytoczyć tylko jeden fakt, aby niejako krwawą łuną oświetlić tę rodową zawziętość.

Ojciec władyki, Teodor Winnicki, znany nam już z zajęć między Krupeckim a Hulewiczem jako najzarliwszy popiecznik anti-unickiego ruchu, był jednym z pierwszych albo raczej był najpierwszym swego nazwiska, który z powodzeniem dobijał się krescytywy. W czasie, kiedy syn jego wykierował się na władkę, był już dość zamożnym szlachcicem, zażywał znacznej powagi w powiecie i był nawet postem ziemi przemyskiej. Nie mieszkał już w Winnikach, ale przeniósł się do Uroża,

gdzie siedział na znaczniejszej dziedzicznej części. Nie cierpiała go szlachta winnicka; za co? nie wiadomo. On sam twierdził w jednej żałobie zaniesionej do grodu, że za to jedynie, iż »fortuną, ogładą i świetnością szlachecką — *ut in substantia sic in moribus et claritate* — wyniósł się nad innych.« Ale nietylko sami Winnicy nie lubili pana Fedora, bo tak go nazywano, był także solą w oku licznych Ilnickich, Uniatyckich, Uhernickich, Uruskich, a nie podobał się i znamienitszej szlachcie przemyskiej, jak o tem świadczy zarzut nieszlachectwa, zrobiony mu przez sędziego Jana Fredrę i cześnika lwowskiego Jana Pieniążka — sprawa, która skończyła się krwawo, jak o tem będzie mowa na swoim miejscu.

Najzacieklejszym wrogiem Teodora Winnickiego był inny Teodor Winnicki, ale podczas gdy pierwszego, posesyonata, ojca władyki, posta ziemskiego, nazywano panem Fedorym, tego drugiego Teodora nazywano tylko Fedorkiem. Otóż w r. 1650 ten Fedorko Winnicki urządził w same święta Bożego Narodzenia napad na dwór Teodora Winnickiego w Urożu, a napad ten pamiętny był długo w okolicy jako »kolenda uruska.« Teodor Winnicki wyjechał był właśnie do swego syna władyki, który przebywał w Zarzeczach. Fedorko zebrawszy czterdziestu szlachty, przeważnie samych Winnickich, ale było w ich gronie także kilku Ilnickich, Uhernickich i Uruskich, napadł nocą na dwór, porozbijał sługi, powypędzał domowników, i wśród ustawicznego śpiewu kolend ruskich, który miał przygłuszyć wołanie o pomoc przerażonej czeładzi, złupił wszystko, co było do złupienia, nie oszczędzając i rzeczy licznych gości p. Teodora, którzy przyjechali byli do niego na święta a w chwili najazdu towarzyszyli mu do Zarzecz. Zabrano około 3000 gotówki, klejnoty, srebra, całą garderobę, rzędy złociste, kobierce i wszystkie szlachetne konie, w których się miłował gospodarz, i wśród odgłosu wesołych kolend powrócono z tryumfem do Winnik.

Teodor Winnicki zastawszy po powrocie dom złupiony i spustoszony jakby po napadzie tatarskim, poprzyściągł zemstę Fedorkowi, a żona jego Maryna, z domu Dziusanka, kobieta wyjątkowo mężna i namiętna, która oddawała się ćwiczeniom rycerskim, jeździła konno jak kozak, strzelała celnie i bić się umiała na pałasze, nie dała mu długo odwlekać odwetu. Jakoż już w dzień Trzech Króli stało się zadość jej pragnieniu. Dowiedziano się od szpiegów, że Fedorko Winnicki, który po złupieniu Uroża uszedł był w góry samborskie, powrócił do Winnik. Zebrawszy gromadę życzliwej sobie szlachty i chłopów ruszyli oboje małżeństwo na Winniki — ona, straszna Maryna, ubrana po mężku, w mundurze dragońskim, na koniu, z szablą przy boku i z pistoletami w olstrach. Choć napadnięci nocą i z nienacka, Winniccy pod wodzą Fedorka bronili się dzielnie i przyszło do krwawej bitwy, w której najgęstszym zgiełku z szaloną odwagą walczyła pani Maryna, istna Amazonka — *Amazonum more stricta cum framea*, jak się wyraża nasze źródło. Fedorko ugodzony kulą muszkietową padł na ziemię, a wtedy pani Maryna miała zeskoczyć z konia i tulichem wykłuć oczy poległemu wrogowi — szczegół, który powtarzamy tylko na wiarę protestacyi zaniezionej ze strony Winnickich do grodu przemyskiego, za którego tedy prawdziwość ręczyć trudno, chociaż sam fakt nie ulega wątpliwości, że zwłoki Fedorka były sromotnie okaleczone. Wśród zaciętej walki czy to umyślnie podłożony czy też z nieostrożności lub od ognia strzałów wzniecił się pożar w Winnikach i cały prawie ten zaścianek szlachecki stał się pastwą płomieni, wśród których zginęło jedenaście osób, samych schorzałych starców lub drobnych dzieci. Winniccy prezentują w grodzie popalone kości tych niewinnych ofiar pożogi.¹⁾

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 377 pp. 46—9 i 100—110.

Syn takich energicznych rodziców, nie dziw, że władyka Winnicki śmiało zabrał się do opanowania stolicy władyczej i podległych jej monasterów. Miał za sobą prawie całą ruską szlachtę, kryłozan kapituły, większość popów i lud wiejski. Ojciec i brat rodzony Stefan, a dalej liczni pokrewni, między którymi było trzech Szeptyckich, Andrzej, Aleksander i Stanisław, zorganizowali mu szybko zbrojne kadry, około których kupić się później mieli chłopci. Wiedział dobrze Winnicki, że tylko przemocą i czynnym gwałtem odbierze Krupeckiemu monaster i zaraz też wyruszył w pole. Powtórzyło się to samo, co zaszło między Krupeckim a Hulewiczem. Zajechano zbrojnie wsie władyczne Nanczułkę, Straszewice, Busowiska, zajęto monaster w Ławrowie i Smolnicy i ruszono na zdobycie monasteru św. Spasa, który, jak wiemy, był obwarowany na kształt zameczka i mógł stawić opór czas dłuższy. Władyka Krupecki, starzec już wówczas ośmdziesięcioletni, przebywał właśnie w tym monasterze. Zgrzybiały, niedołężny, cały oddany postom i modlitwom, bo nawet jego przeciwnicy przyznają mu cnotę ascetyzmu, mało się już zajmował świeckimi sprawami swego biskupstwa; gospodarowali w niem samowolnie jego synowcy, Janusz i Tobiasz Krupeccy, którym zarzucała kapituła ruska, że mając przez lat 40 zarząd majątku władcy, obracali dochody na własny swój pożytek i naruszyli nawet skarbiec katedralny. Stąpawszy pod Spasem, Winnicki wysłał do monasteru parlamentarza z wezwaniem, aby w myśl paktów zborowskich Krupecki ustąpił dobrowolnie. Krupecki odpowiedział to samo, z czym niegdyś odprawił wysłanników Hulewicza: »Umrę raczej a nie ustąpię.« Winnicki zawołał: »Dlatego jam się poświęcił i wiele z ojcem moim stracił, abym te dobra z monasterem św. Spasa odebrał!« i dał bratu swemu hasło do akcji, dodając jednak przestrożę: »Bracie, tylko nie po Hulewiczowsku postępujemy; suchemi razy traktujmy jego posługaczy!« Rzeczywiście obeszło się bez rozlewu

krwi, bo przekupieni już poprzednio stróże pozostawili bramy otwarte i stronnicy anti-unickiego władcy z łatwością wdarli się do monasteru i opanowali go w jednej chwili. Krupeckiego trzymano kilka dni pod kluczem a następnie wśród urągania wydalono z monasteru.¹⁾

Akcya rozpoczęta lewem poszła teraz na chwilę prawem. Krupecki na gwałt odpowiedział pozwami, którymi objął nietylko samego władkę Winnickiego i jego rodzinę ale i wszystkich Szeptyckich, Sozańskich, Baczyńskich, Podhorodeckich, Kopystyńskich i t. p., którzy dostarczyli mu szabel do zbrojnego zajazdu monasterów, uciekł się pod opiekę króla i trybunału, zaapelował do pomocy katolickiej szlachty przemyskiej. Król mandatem z 30. czerwca 1650 roku stanął po jego stronie. Po zobowiązaniach zborowskich, po wydaniu formalnego dyplomu na władcy Winnickiemu, była to rzecz trochę trudna — ale od czegoż była owa sakramentalna formułka: *ad male narrata*, argument przedziwnie wygodny, bo dawał wyjście z najcięższej sytuacji i pozwalał odwoływać mandaty i dyplomy. »Lubośmy — są słowa mandatu królewskiego — na niektóre monastery i cerkwie od unitów niedawno odebrane według deklaracji naszej pod Zborowem uczynionej *diploma nostrum* ludziom religji greckiej nie w Unji będącym z kancelaryi naszej wydać rozkazali, jednak iż do władcy przemyskiego i samborskiego jakoteż do monasteru św. Spasa, św. Onufrego i Smolnickiego Antoni Winnicki żadnej słusznej nie ma pretensyi i u nas *ad male narrata* one uprosiwszy *modo violento* Ojcu Krupeckiemu odbierać ich nie mógł« — przeto osobna komisya, w której skład wejdą biskup Jan Zamoyski, kanonik Fryderyk Alembek, podkomorzy przemyski Franciszek Dubrawski, starosta przemyski Marcin Madaliński, podczaszy lwowski Andrzej Stano, a w końcu Andrzej Ma-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 377 pp. 392—99.

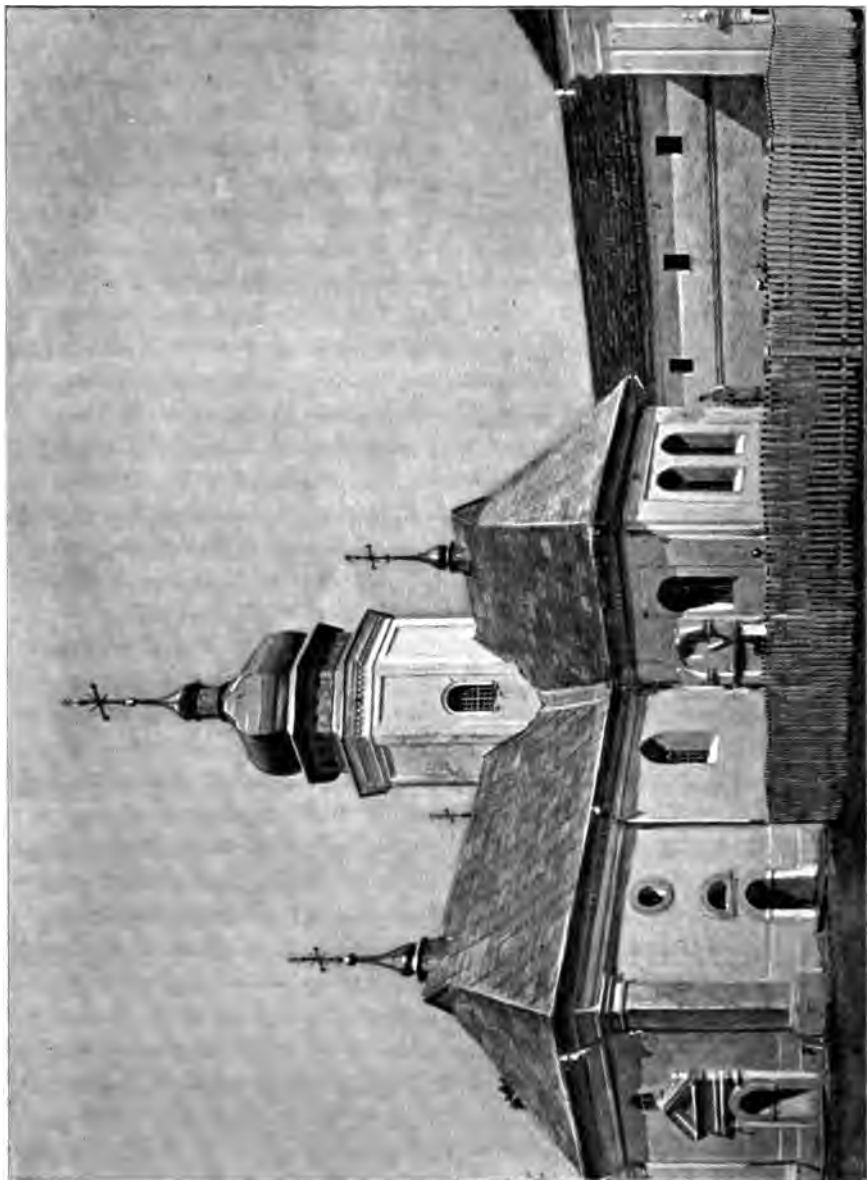


Fig. 31. Monaster w Ławrowie.

xymilian Fredro i sekretarz królewski Maciej Cielecki, ma zjechać do dóbr i monasteru władcy i oddać je napowrót Krupeckiemu.¹⁾ Aby zamknąć drogę Winnickiemu do stolicy władcy także i po śmierci Krupeckiego, król poszedł dalej i w kilka miesięcy po pierwszym mandacie wydał drugi, którym ze względu, iż »Ojciec Krupecki w sędziwości lat swoich po naradzie z kapitułą umyślił za żywota swego obrać sobie koadjutora i proponował na to stanowisko archimandrytę dubieńskiego O. Prokopa Chmielowskiego,« zatwierdził wybór tegoż Chmielowskiego i mianował go zarazem sukcesorem na władcy po śmierci Krupeckiego.²⁾

Wytworzyła się sytuacja nieznośna, ale aż do wiosny 1651 r. nie przyszło do gwałtownego wybuchu. Czas ten przeminął na komisjach, które niczego nie załatwiły, na procesach, które się ciągle zaczynały a nigdy nie kończyły, na dekretach, których nikt nie słuchał, na kondemnatach, których nikt nie egzekwował, na infamiach, których nikt się nie bał i na więzach, których nikt nie odsiadywał. Władca Winnicki, skazany *ex remissione commissionali* na rok więzy przemyskiej, 1500 grzywien winy i odszkodowania Krupeckiemu, obracał się swobodnie po dyecezyi, zwoływał pokątne synody, spiskował, zbierał wojsko z małej ruskiej szlachty, z mieszczan i chłopów, i gotował wojnę. Krupecki dogorywał jeszcze w Walawie pod Przemysłem, kiedy wojna wybuchła na całej linii — wojna otwarta, podjazdowa, prowadzona z obu stron napadami, zajazdami, krwawymi utarczkami. Sukcesor umierającego władcy Chmielowski nie miał za sobą takiego zastępu małej szlachty, popów i chłopów, jak Winnicki, ale po stronie jego stało grono najmożniejszej szlachty przemyskiej, a dwaj Fredrowie, stolnik sanocki Zygmunt i brat jego Andrzej,

1) Ibidem, p. 952.

2) Ibidem, p. 1090—2.

Franciszek Karol Korniakt, podczaszy przemyski Marcin Krasicki i brat jego Adam dostarczyli mu swojej zbrojnej czeladzi, hajduków i dragonów.

Winnicki nie czekał na śmierć Krupeckiego. Mimo lat ośmdziesięciu, mimo sił wyniszczonych postami i nocnym czuwaniem na modlitwach, mimo ciężkiej choroby, stary asceta choć niby umierał codziennie w Walawie, żył przecież dalej wbrew wszelkim oczekiwaniom. Winnicki wiedział, że po jego śmierci będzie miał trudniejsze zadanie, bo wtedy Chmielowski wejdzie w konferowane mu przez króla prawo sukcesji na stolicę władczą — postanowił tedy stworzyć fakt dokonany i gwałtem opanować cerkiew katedralną w Przemyślu. Spisek dojrzał, organizacja była już gotowa, mieszczanie ruscy pozyskani — chodziło już tylko o śmiały zamach. Wykonano go w pierwszych dniach maja 1651 r. Winnicki stanął nocą pod Przemyślem na czele silnego hufca, na dany znak ruscy mieszczanie przemyscy otworzyli mu bramy i zastęp cały, pomnożony ludem okolicznym i przedmiejskim, wtargnął na rynek, zajął przemocą pałac władczy, powiązał domowników i przebywających w pałacu wiernych Krupeckiemu księży, odebrał od nich klucze do katedry, wziął ją w posiadanie i według wszelkich reguł sztuki wojennej osadził się tam i otoczył strażami. Aby gwałtowi temu nadać formę legalną, uczynić z niej t. zw. intromisyę, przywołany woźny wraz z dwoma szlachcicami Stanisławem Szeptyckim i Janem Skorodeńskim stwierdził, że akt objęcia dokonał się według prawa i że kryłozanie kapituły wzięli go bez opozycji do wiadomości.

Cały skarbiec katedralny dostał się wtedy w ręce Winnickiego, a był to skarbiec nadzwyczaj bogaty w złoto, perły, klejnoty i najdroższe aparaty liturgijne. Były tam kielichy kryształowe w złoto oprawne, krzyże cedrowe z złotem okuciem, trzy ewangelie pisane złotem na pergaminie, ozdobione miniaturami, oprawne w złote blachy, sadzone

rubinami, szafirami, turkusami; jedna z nich miała wartość 26.000 zł.; cztery mitry osypane gęsto perłami, dyamentami i rubinami; manipularze, orarze czyli stuły dyakońskie i stuły episkopalne pokryte najdroższymi kamieniami, osadzonemi na rzeźbionych złotych blachach, wartości od 15 do 23.000 zł., rzyzy t. j. ornaty biskupie złotogłowe, haftowane bogato perłami, z których jeden taksowany był na 10.000 zł. i t. p.¹⁾

Jeden z domowników Krupeckiego, któremu się powiodło wymknąć z zdobytego pałacu, pospieszył z wieścią o tem gwałtownem opanowaniu katedry do Walawy. Przyniósł on z sobą śmierć dla Krupeckiego. Wiadomość tak przeraziła chorego staruszka, że wysłuchawszy ją, zaraz wyzionął ducha. Umarł w porę, bo czekała go dalsza przygoda — Winnicki z częścią swej siły zbrojnej ruszył właśnie z Przemyśla na Walawę. Ledwie domownicy Krupeckiego zdolali ubrać zwłoki w aparaty biskupie a już dyzunicy z tryumfalnym okrzykiem wpadli do walawskiego dworu. Winnicki zajął w posiadanie wieś z całym inwentarzem i poddanymi, przywłaszczył sobie wszystkie ruchomości i sprzęty dworskie, a przeciwnicy jego rozgłaszali nawet, że zdjąć kazał z zwłok Krupeckiego szaty i insygnia biskupie, podczas gdy przeciwnie kryłozanie stojący po stronie Winnickiego oskarżali o to synowców Krupeckiego, twierdząc w osobnej protestacyi, że jeszcze przed przybyciem dyzunitów do Walawy oni to odarli z szat zmarłego, pozostawiając ciało jego na prostej słomie — *in stramine solo humi recubans*.

Chmielowski, który otrzymał po śmierci Krupeckiego od króla formalny dekret na władztwo przemyskie z wszystkimi monasterami i dobrami, wystąpił teraz energicznie w obronie praw swoich i mając do dyspozycji żołnierzy nadwornych wymienionej już u góry szla-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 379 pp. 72—83.



Fig. 32.

Krzyż (mirownik) cedrowy w złotym obramieniu, zabytek z czasów naszego opowiadania, w skarbcu katedry ruskiej w Przemyślu.

chty przemyskiej a nadto sporą kupę wolontaryuszów, między nimi także kilkunastu Winnickich, nieprzejednanych wrogów Teodora, rozpoczął żwawo wojnę z kontrwładzą. Władyka Winnicki miał swego »generała« Zygmunta Oczesalskiego, władyka Chmielowski oddał komendę Cypryanowi Wojerskiemu. Dokładna opowieść tej wojny, która zakłóciła spokój ziemi przemyskiej w r. 1652, znużyłaby uwagę czytelnika, poprzestaniemy tedy na jej najciekawszych epizodach.

Chmielowski opasawszy swego przeciwnika siecią szpiegów, dowiedział się, że władyka Winnicki kazał dla większego bezpieczeństwa przewieźć swoje własne kosztowności i aparaty z monasterów i z Sambora do Przemysła. Konwój ten prowadził brat cioteczny Winnickiego, Stanisław Szeptycki, który z całym majątkiem ruchomym swoim i swoich braci prznosił się także z zagrożonych zagonami tatarskimi okolic do tego bezpiecznego, bo obwarowanego miasta. Na ośmiu dużych wozach i pod silną eskortą służby odbywał się ten transport, przy którym jechały także żony obudwu Szeptyckich. Ludzie Chmielowskiego wypadli z zasadzki, uderzyli na eskortę, rozbili ją i rozprószyli, i wszystko co było na wozach, jako łup wojenny zabrali. Było tam 4300 zł. gotówki i mnogie srebra i kosztowności tak świeckie jak cerkiewne, których wartość szacowała sobie strona poszkodowana na 50.000 zł. — cena wcale nie przesadna, jeśli się zważy, że obok sreber, broni, kobierców, garderoby Szeptyckich były tam takie przedmioty kosztowne, jak n. p. obraz Matki Boskiej w blasze srebrnej misternej roboty, mitra władycza perłami haftowana, w których było 30 rubinów wielkich z jednym dużym brylantem i krzyżkiem rubinowym na szczycie, wartości 9600 zł., krzyże złote dyamentami sadzone, pateryk cały srebrny, ozdobiony turkusami, kilkanaście kielichów mszalnych, kadzielnice, ewangelie bogato oprawne, rzyzy, omofory, epitrachile, wela,

płaszczence — wszystko to figuralnym haftem złotym i perłami pokryte.¹⁾

Jeden z najgorliwszych i najofiarniejszych stronników władzy Winnickiego i blisko mu pokrewny, Andrzej Szepetycki, stracił w tym napadzie całe swoje ruchome mienie. Jako ilustrację do swojej żaloby wniesionej do grodu przytacza Winnicki następujący list tegoż Andrzeja: »Mój Ojcie Episkopie Przemyski, mój wielce Mościwy Panie i Bracie! Wpadłem gorzej tureckiej niewoli, gdzie i sam rady sobie dać nie mogę, a zwłaszcza iż żona barzo jest przestraszona, że ledwie żywa, która na wielkiej mi jest przeszkodzie, na co barzo boleję, gorzej niżli na obnażenie moje, żem ledwie nie goły został. Atoli proszę o informację, czego się mam trzymać: jeżeli mam sejmikowego ratunku spodziewać się czyli też o sobie radzić, jako móż. O rzeczy przynajmniej tamte proszę, co u św. Spasa zostawione. Wmość sam się obaczysz, że nie mam co jeść ani pić, ani też za co i kupić, bo wszystko odebrano odemnie etc.«²⁾

Władzy Winnickiego właśnie w tym czasie nie było w Przemysłu, ojciec zaś jego Teodor, który był posem sejmowym, pojechał był do Warszawy, aby w sejmie i u dworu czynić zabiegi o władctwo dla syna i wyjednać unieważnienie dyplomu, który i stolicę biskupią i monastery wraz z dobrami ziemskimi przyznawał Chmielowskiemu. Nieobecność Teodora Winnickiego ułatwiła znacznie dalszą akcję Chmielowskiemu, który też nie omieszkał wyzyskać sposobnej pory. Władza Winnicki bardzo znaczną część swojego prywatnego mienia i wiele drogich sprzętów cerkiewnych ulokował był w Waławie, która mając okop silny mogła się oprzeć zwykłemu napadowi, i oddał to wszystko Stanisławowi Szeptyckiemu w opiekę.

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 378 pp. 1035—40.

²⁾ Ibidem, pp. 1336—8.

Chmielowski wysłał tam dnia 14. września dragonię i hajduków Korniakta, Fredrów i Krasickich, których miał do swojej dyspozycji, i polecił im dobyć przemocą dworu i objąć go w jego posiadanie. Dwie kolumny, jazda i piechota, ruszyły na Walawę, uderzyły wśród gęstych strzałów i odgłosu surm na okopy, rozparły i rozprószyły czeladź biskupią, próbującą się bronić, i wtargnęły do środka. Garstkę przyjaciół Winnickiego, którzy byli w Walawie, między nimi i Stanisława Szeptyckiego wraz z żoną zamknięto w zaimprovizowanym więzieniu i dodano im straż dragonów z zapalonemi knotami od muszkietów. Schowek tajemny, w którym ukryte były kosztowności Winnickich i Szeptyckich, zdradził pewien wiarołomny rękodajny sługa walawski, a tak wszystko, co tam było, dostało się ludziom Chmielowskiego. Zabrano 1500 dukatów i 700 talarów bitych w gotówce, futra, broń, kobierce, piwnicę pełną likworów, kanarów i innych win szlacheckich i t. p., ale wszystko to nic nie znaczyło wobec skarbcza władcy Winnickiego. Gospodar multański, wielki protektor ruskiej cerkwi, darował był Winnickiemu »na władcy do poświęcenia« t. j. do konsekracji srebrno-złocistą ewangelię pergaminową starożytną, złotem pisaną i miniaturowaną, i relikwiarz czyli t. zw. grobnicę szczerozłotą z relikwiami św. Paraskewji, najkosztowniejszej roboty, sadzoną brylantami i rubinami, o kształcie oryginalnym i misternym, bo miała formę świątyni o trzech wieżach, a jako szczytowe banie tych wież figurowały trzy ogromne perły, cokół zaś świątyni składał się z ośmdziesięciu przednich pereł kałakuckich — i oba te arcydzieła sztuki kościelnej wraz z sporą ilością kadzielnic, ampułek, łubków i t. d. dostały się w posiadanie Chmielowskiego.¹⁾ Zabrano także a potem z nakazu Chmielowskiego spalić miano szkatułę z dokumentami i papierami ojca władcy Winnickiego, Teodora, »na

¹⁾ Ibidem, pp. 1497—1516.



Fig. 33.

Mitra władyczna z skarbcza katedry ruskiej w Przemyślu.

których — jak się wyraża protestacya — wszystka całość honoru i substancyi zostawała.«

Winnicki powrócił tegoż samego dnia do Przemyśla i tu się dowiedział, co zaszło w Walawie. Zarazem przestrzeżono go, że Chmielowski osadziwszy mocną załogę w Walawie, zamyśla natychmiast ruszyć z zebraną siłą zbrojną do Przemyśla i opanować katedrę. Pora do tego była pogodna, bo właśnie dnia 16 września odbyć się miał znaczniejszy zjazd szlachty w Przemyślu z powodu terminów kwerełowych i fiskalnych (*causarum fisci*); mógł więc władca katolicki liczyć na sukurs niemały. Chmielowski rzeczywiście zjechał tego dnia do Przemyśla i stanął u Andrzeja Fredry, a w ślad za nim przy odgłosie bębnow i muzyki wojskowej z rozwiniętymi sztandarami wkroczyła do miasta piechota i dragonia Korniakta i Krasickich i zabrała się do otoczenia katedry i zajęcia okolicznych domów. Ale Winnicki był już przygotowany do oporu i bitwy. Nim jeszcze partya unicka wkroczyła do miasta, jego »generał« Oczesalski, mając pod sobą około 6000 ludzi, głównie pospólstwa i chłopów, ustawił swoje siły w szykach bojowych, podzielił je na kilka hufców, jednym najsilniejszym osadził katedrę, drugim całą dzielnicę około pałacu władcy, resztę ustawił w rezerwie. Starcie miało nastąpić lada chwila. Chmielowski próbował jeszcze jednego legalnego środka, przedłożył rajcom przemyskim dyplomy i uniwersały królewskie i prosił o interwencyę. Magistrat wysłał istotnie dwóch rajców do głównej kwatery Winnickiego z tą urzędową misyą, ale parlamentarze ci ledwie uszli z zdrowiem i życiem. Pędząc za uciekającymi rajcami roznamiętione pospólstwo ruskie wołało: »*Byj Lachów po hańciw! Budut tu ne odnoho krow sobaki chleptaty!*«

Jazda Korniaktów i Krasickich uderzyła na lud broniący katedry, piechota zaatakowała stronników Winnickiego w innych miejscach, przyszło do żwawych utarczek i do rozlewu krwi, ale dyzunicy byli liczniejsi i po-

zostali górą. Gwardya Chmielowskiego została wszędzie zwycięzko odparta, a wódz naczelny Winnickiego, Oczesalski, przeszedł teraz w akcję zaczepną i uderzył szturmem na dom Fredry, aby pojmać unickiego władykę. Wśród gęstego ognia z muszkietów i po krótkiej utarczce, w której padł jeden Winnicki a kilka sług Fredry było rannych, dyzunicy wdarli się do domu. Chmielowski widząc się w niebezpieczeństwie życia schronił się i zatarasował w najgłębszym zakątku domu a otoczony gronem najwierniejszych przyjaciół i popleczników, gotów był do śmiertelnej rozprawy. W tej krytycznej chwili dwaj księża łacińscy zastępują drogę Oczesalskiemu i jego ludziom, proszą o chwilę rozejmu i z samym władką Winnickim traktują o pokojowe załatwienie sprawy. Rokowania pełzną na niczem, kończą się groźną odprawą: »Chce tu Chmielowski tego władcy i zamyśla ciało Krupeckiego dzisiaj chować? Będzie tu wnet ciał nie mało! I tak się Chmielowski w kamienicy, gdzie jest, nie wysiedzi!« Księża wracają z tą odpowiedzią, ale tymczasem Chmielowski skorzystał z chwilowego rozejmu, wymknął się z domu Fredry i począł uciekać do Waławy. Rzucono się w pościg za nim, bo tłum domagał się koniecznie, aby go pojmano a nawet zabito: »*Lipsze ho nam zabyty* — wołano — *niżeli na swoju hołowu wypustyty!*« Chmielowskiemu powiodło się przecież ujść szczęśliwie.¹⁾

Po tych zajściach następuje znowu zawieszenie broni a właściwie tylko zmiana broni. Znowu ucicha akcja lewem a zaczyna się akcja prawem. Zamiast szabel skrzypią gęsie pióra, zamiast krwi przelewa się atrament. Sypią się protestacye, pozwy i dekryty, skrutynia, kontrowersye i komisye. Trybunał lubelski wydaje na władkę Winnickiego dekret infamji a król ustanawia (mandatem z dnia 25. kwietnia r. 1653) osobną komisję, której nadaje niejako moc

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 378 pp. 1369—1379.

sądu i miecza, upoważnia ją bowiem, aby z powodu »gwaltów i sedycyj popełnionych przez Antoniego Winnickiego i jego stronników w czasie zamierzonego ingresu władzy Chmielowskiego do stolicy władycznej, przewiodła dokładną inkwizycję, winnych pojmowała, nieszlachtę na ścięcie oddała, szlachtę zaś uwięziła i do jego informacyi odniosła, sprawę sporną zbadała, Chmielowskiego do stolicy biskupiej i do dóbr *fortiter et realiter* wprowadziła, monaster spaski i ławrowski w jego posiadanie oddała.«¹⁾ Ale drobna szlachta ruska nie opuszcza sprawy Winnickiego, zjeżdża tłumnie na najbliższy sejmik do Sądowej Wiszni i głosami swemi przeprowadza instrukcję posłom, aby się starali o to, »iżby Wielebnemu Ojcu Antoniemu Winnickiemu, episkopowi przemyskiemu, władcy *totaliter* na teraźniejszym sejmie konferowane było *ad possessionem* jego.«

Tak wyglądała walna akcja, w której mała szlachta ruska ziemi przemyskiej odegrała najważniejszą rolę jako zwarty stan społeczny.

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 379 pp. 942—6.

II.

DROBNA SZLACHTA JAKO RÓD. NAGANA SZLACHTWA I WY-
WODY RODOWE. KADUKI. KRWAWY ODWET. SCHŁOPIENIE.
AMBICJA STANU. OKAZOWANIE. ROZRODZENIE GNIAZD. MI-
LITES CALIGATI. POSPOLITE RUSZENIE.

Jako ród, jako *clan*, żeby użyć tu szkockiej nazwy, występuje drobna szlachta solidarnie, gdy chodzi o zaszczyt szlachecki, o stwierdzenie, czy ktoś należy do niej lub tylko przywłaszcza sobie jej herb i nazwisko. Kwestye takie rozstrzygać się były zwykły na sejmikach, zwoływanych celem wyboru posłów na sejm lub deputatów na trybunał. Pozwany o nieprawne używanie praw szlacheckich bronił się w ten sposób, że na sejmiku tej ziemi, z której ród swój wywodził, dedukował swoje prawowite szlachectwo świadectwami krewnych, których szlachectwo nie ulegało wątpliwości, a otrzymawszy atestację, uwierzytelioną podpisem i pieczęcią marszałka, szedł do trybunału, gdzie stawiał znowu świadków, którzy zaprzysięgali jego szlacheckie pochodzenie. Takich świadków musiało być sześciu, trzech z linii ojczyściej, trzech z macierzystej. Filip Drohomirecki n. p., któremu niejaki Tomasz Jaszowski zarzucił był uzurpację szlachectwa, stawiał 1. jednego Drohomireckiego *ex linea proaviali paterna*; 2.

jednego Hołyńskiego *ex linea proaviali materna*; 3. jednego Drohomireckiego *ex linea aviali a patruelibus longiorem*; 4. jednego Medyńskiego *ex linea aviae suae fratrem amitalem*; 5. jednego Drohomireckiego *ex linea paterna fratrem suum patruelem* i 6. jednego Drohomireckiego *de linea materna*.¹⁾ Był to już zastrzony niejako sposób dedukcyi; są przykłady, że pierwotnie a nawet jeszcze w pierwszych latach XVI. wieku nie potrzeba było takiego ściśle genealogicznego wywodu od trzech pokoleń, wystarczyło poświadczenie grona szlachty miejscowej. Niejakiego Fed'ka Manasterskiego spotkała w roku 1513 nagana szlachectwa i to ze strony bardzo poważnej, wchodził bowiem w tę sprawę pośrednio sam wojewoda ruski Jan Odrowąż. Na remonstracye Manasterskiego król Zygmunt I. polecił Stanisławowi z Chodcza, marszałkowi kor. i staroście lwowskiemu, aby wysłuchał »expurgacyi i mündacyi«, t. j. wywodu szlacheckiego pochodzenia Fed'ka, co też marszałek kor. czyni tegoż roku na zjeździe wiszeńskim. Nad wszelkie spodziewanie sam wojewoda Odrowąż pierwszy przyznaje, że rzeczony Fed'ko Manasterski jest *verus nobilis ex omnibus antecessoribus suis*, poczem swoją drogą następuje poświadczenie złożone przez ośmiu szlachciców, między którymi jednak nie ma ani jednego Manasterskiego.²⁾

Jak widzimy, wywody szlachectwa były łatwe i nie odpowiadały warunkom ścisłości. Działy się też często nadużycia i legitymowali się ludzie, którzy nie mieli prawa do szlachectwa. O świadków i wrzekomych krewnych nie tak było trudno; kupowano ich sobie z lepszym skutkiem, niż to uczynił pewien niefortunny Drohomirecki, o którym będzie poniżej mowa. Były to wywody »zmovne«, jak je zazwyczaj nazywano. W r. 1633 szlachta wojewó-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 139 p. 859.

²⁾ Agr. Halickie, tom 351 p. 84.

dztwa ruskiego zgromadzona na sejmiku w Sądowej Wiśni, widzi się zniewoloną do energicznego wystąpienia przeciw takim wywodom, opartym na kupionych świadectwach słownych. »Z żalem tego w naszym kole słuchaliśmy — opiewa uchwała sejmikowa — gdy nam przedkładane było, jako tak drogiego klejnotu szlachectwa polskiego plebejusze różnemi imposturami dopinają, *imponendo* to sejmikom, to trybunałom, świadkami, attestacyami i rozmaitemi sztuczkami, tak że *ex conductamente* dekreta otrzymują. Dlaczego szukać będą sposobów pp. posłowie nasi, znosząc się z drugimi województwy, aby się tym zmownym dekretem zabezpieć mogło, i żeby nie tylko świadectwy, ale dyspozycjami, działami, reformacyami, dożywociami przodków swych szlachectwo wywodzone było.«¹⁾

W roku 1608 Drohomireccy odkryli czterech ludzi nieszlacheckiej kondycyi, którzy podszywali się pod ich herb i nazwisko, a to niejakiego Fila, jego dwóch synów Jaremę i Trofana i jego wnuka Teodora. Wytoczono im akcyę sądową o uzurpacyę szlachectwa i kazano »dedukować się« na sejmiku. »Dosyć tedy czyniąc ci wrzekomi Drohomireccy dekretowi Ichmość panów sądowych, stawili się pośrodek koła, przy ścisku i kupie niemalej« prawdziwej szlachty tegoż nazwiska. Trofan usiłuje na sejmiku wywieść się z swojego szlachectwa i nazwiska, ale wywód się nie udaje i dwudziestu obecnych Drohomireckich, »wszyscy zobopólnemi głosami ozwali się i attestacyą wspólną takową uczynili, iż ten Trofan Drohomirecki nie jest szlachcic, ale z urodzenia *plebeiae conditionis*.« Dowodzą mu, że pochodzi od chłopca z Czerniejowa, który się wprawdzie ożenił z szlachcianką Drohomirecką, ale nigdy szlachcicem nie był. Fałszywy Drohomirecki postarał się o świadectwo kilku Hołyńskich,

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 151 p. 2237.

których przekupił, i ci stanęli na sejmiku, aby poprzeć jego dedukcyę, »ale wszyscy panowie Drohomireccy takową attestacyę wnoszą przeciwko Hołyńskim, którzy nie będąc onemu żadnym bratem ani powinnym, ale za prze najmem, który od niego wzięli, attestowali go być szlachcicem, którym on nie jest.« Trofan postawił dalszego świadka, szlachcica Łazara Drohomireckiego, »allegując go być sobie bratem stryjecznym,« ale taka była dbałość tej drobnej szlachty o klejnot herbowy, że właśni synowie tego Łazara zdradzili nieczystą praktykę swojego ojca, który za fałszywe świadectwo »wziął był kopę« od Trofana. »Co był uczynił ten Łazarz gwoili tej kopie, jednak iż synowie tego Łazara, Iwan i Siemion, attestowali to zeznanie ojca swojego, że to uczynił za najmem tego Trofana, sami nie przyznawali go być szlachcicem, jeno *plebeiae conditionis*.« Adam Tyrawski, podsędek ziemi halickiej, marszałek tego sejmiku, który zebrał się był dla elekcyi deputata na trybunalskie sądy, wydaje urzędowy skrypt stwierdzający, że wywód szlachectwa nie powiódł się, a tak Drohomireccy »wydzióbalik z pośród siebie samozwańców.¹⁾

W r. 1601 tak samo poczynają sobie Kopystyńscy z człowiekiem, który uzurpował ich herb i nazwisko a był sobie tylko *laboriosus Paulus*, i domagają się konfiskaty jego majątku; tak samo protestują Wołkowiccy przeciw trzem fałszywym Wołkowickim ze wsi Witwic, że będąc *ignobiles* przywłaszczają sobie ich nazwisko i tytuł szlachecki; tak samo siedmiu Bereźnickich w r. 1635 zabiera się do kroków energicznych przeciw Jackowi Bereźnickiemu z Przemyśla, który ma być synem rzeźnika a ośmiela się »szczyić tem, jakoby miał być *de stirpe ac progenie* Bereźnickich.«²⁾ W tym ostatnim jednak wy-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 118 p. 287—290.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 355 p. 1029 i tom 358 p. 2072.

padku była to tylko czysta napaść ze strony owych siedmiu Bereźnickich, którzy wkrótce sami przyznać widzą się zniewoleni, że po ich stronie była »wszelka popędliwość z porywczych affektów i nieuważnego rozsądku pochodząca,« i odszczekują swoje oskarżenie, oświadczając uroczyście przed aktami: »że my tegoż Jacka z prawdziwej linii Bereźnickich, dziadów, pradziadów i *abdziadów* na-



Fig. 34.

Typ szlachcica. Ze zbiorów Pawlikowskich.

szych idącego, jednegoż herbu, jednejże familji, ze krwi naszej, bratem naszym być przyznawamy a protestacyę naszą wiecznemi czasy kasujemy i w niwec obracamy.« Zdarza się także przeciwnie; ktoś pochodzący naprawdę z tej drobnej rzeszy szlacheckiej, któremu zarzucano w obcych stronach nieszlachectwo, otrzymuje od

swoich panów braci poświadczenie pisemne, jak n. p. Bazyli Koblański, który podaje do akt attestacyę następującej osnowy: »My Koblańscy zeznawamy i dajemy attestacyą naszą wszyscy generalnie bracia w powiecie przemyskim mieszkający bratu naszemu szlachetnemu Bazylemu Koblańskiemu w powiecie halickim mieszkającemu na ten czas. A to jest dla wielu przyczyn od ludzi różnych, co, jako zwykle, choćby sam szlachcicem nie był, a lepszego niżli sam, na honorze szarpa — gdzie my zeznawamy jako własnemu bratu naszemu tą attestacyą naszą z podpisem rąk naszych i z pieczęciami naszemi.«¹⁾ Słowa: »z podpisem rąk naszych« były tylko figurą: Koblańscy przeważnie podpisali się krzyżykami.

Zdarza się także, że nie pewien szlachcic zagonowy ale cała osada, cały ród jest ofiarą zamachu i rozpaczliwie broni się przed schłopieniem. Tak się stało Witoszyńskim z Witoszyniec, wsi królewskiej należącej do starostwa mościskiego. Anna Mohilanka Czarnkowska chce ich schłopić i zmusić do pańszczyzny a jej administrator, niejaki Kamocki, zaprzecza im szlachectwa i nie waha się uciekać do gwałtownych środków, aby złamać ich zacięty opór. Z szczegółów tego sporu wypływa, że Witoszyńscy *de facto* już niczem nie różnili się od chłopów, a jeśli *de iure* byli istotnie szlachtą, to przybici nędzą i ciemnotą, nie mając nic, coby za nimi przemawiało, prócz własnej wiary i dalekiej, mętnej tradycyi, udowodnić tego nie mogli. Ale w chwili najcięższej w r. 1639 zjawia się w Witoszyńcach mnich-czerniec unita, mianowany tam popem, Harasym Krykina Witoszyński, syn tej wioski, członek tego samego rodu, dawno tu niewidziany, dawno zapomniany. On tylko, osoba duchowna, czerniec, bohomolca, pop ustanowiony przez samego władkę, on tylko, co sam jeden umie czytać i pisać między wszystkimi Witoszyńskimi, uratować

¹⁾ Agr. Halickie, tom 139 p. 1236.

może swój szczep od schłopienia, koło niego też kupią się wszyscy, wybierając go swoim rzeźnikiem w procesie, głową w radzie, wodzem w wojnie z Mohilanką. Czerniec nie zawiódł zaufania. Zniknął z Witoszyniec na czas jakiś i powrócił z dyplomem szlachectwa, wydanym jeszcze przez ruskiego kniazia Leona, konfirmowanym w roku 1448 przez króla Kazimierza Jagiellończyka a opatrzonym w świeżą konfirmację Władysława IV. na sejmie w r. 1639. Zkąd się wziął tak nagle ten dokument kniazia Leona z konfirmacją Kazimierza, to zagadka; czy był istotnie autentyczny, wątpić by trzeba — ale konfirmacja najświeższa, konfirmacja panującego właśnie monarchy, musiała być rzetelną i nie mogła ulegać wątpliwości. Dokument ten, aktykowany zaraz w grodzie przemyskim, dodał odwagi Witoszyńskim i ośmielił ich do otwartej wojny z Mohilanką i jej administratorem. Uzbroili się i zorganizowali w hufiec pod dowództwem Harasyima, ufortyfikowali cerkiew i przysięgli walczyć w obronie swych praw szlacheckich do ostatniego. Kamocki zmobilizował wszystkich hajduków i kozaków, jakich tylko miała Mohilanka w obu swych starostwach, mościskiem i wiszeńskim, i uderzył na Witoszyńce. Trzeba było staczać krwawe utarczki, oblegać cerkiew, zdobywać ją szturmem. Witoszyńscy bronili się walecznie, ale uledez musieli przemocy. Kamocki zdobył cerkiew i pojmał czerńca Harasyima, którego w kajdanach odstawiono do Mościsk i wrzucono do lochów zamkowych.¹⁾ Co się z nim stało, z aktów dowiedzieć się nie można, tyle tylko wiadomo, że władca przemyski Krupecki wziął go w obronę i domagał się jego uwolnienia. Zdaje się także, że Witoszyńscy przegrali stanowczo sprawę i poszli w chłopy. W spisach szlachty zatwierdzonej przez rząd austriacki po rozbiore Polski nie spotykamy Witoszyńskich.

¹⁾ A gr. Przemyskie, tom 365, pp. 1188—1194, 1919.

Nagana szlachectwa czyli zarzucanie t. zw. *imparitatis* i wytaczanie pozwów o uzurpację praw szlacheckich zdarzało się, jak już widzimy z przytoczonych przykładów, bardzo często, a niezawsze bywała tu pobudką gorliwość w strzeżeniu prawdy i dostojności rycerskiego klejnotu. Bardzo często wchodziła w grę zemsta osobista, »wexa« możniejszego przeciw chudopachołkowi albo prosta chciwość, apetyt na *ius caducum*, prawo bowiem mieć chciało, że z konfiskaty majątku, którą karano taką uzurpacją szlachectwa, korzystał prywatny delator, któremu przyznawano połowę, podczas gdy druga połowa przypadała królewskiemu skarbowi. To polowanie na kaduki po ludziach przewidzianych o uzurpację szlachectwa zwracało się najczęściej przeciw drobnej szlachcie chłopiejącej albo już schłopiałej obyczajem i całym sposobem życia, choć jeszcze świadomej swego stanu, bo tu jeszcze najłatwiej było osiągnąć cel zamierzony. Rodowód takiego szaraczka czy chodaczka zapadał rychło w ciemność, pamięć jego nie sięgała do dziada, gubiła się wśród zawikłanej filiacji rodzin tego samego nazwiska, łączyła się w podejrzany sposób z nieszlacheckimi a nawet chłopskimi domami. Dopóki żył w rodzinnym zaścianku, wśród swoich, wywód był łatwy, ale w obcym powiecie i w dalszym pokoleniu stawał się bardzo trudny a niekiedy wprost niemożliwy. Mimo to bardzo rzadko spotyka się w aktach przykład, aby takie *ius caducum* uzyskane na czyjś majątek z powodu udowodnionej uzurpacji szlachectwa, nabyło ostatecznej prawomocności i przychodziło rzeczywiście do skutku — daleko częściej, najczęściej nawet, sprawa kończyła się źle dla delatora. Zwyczajna minimalna kara na kogoś, co niesłusznie pozwał szlachcica o uzurpowanie szlachectwa, wynosiła 60 grzywien wina, do tego jednak przybływały poniesione szkody i koszty procesu, które niewinnie oskarżony liczył sobie w ogromnej niekiedy sumie i dochodził ich na majątku potwarcy.

Na *ius caducum* nie potrzeba było zresztą wyroku sądowego, wydawał na nie dekrety król a raczej wydawała je kancelarya królewska z bezprzykładną zaprawdę łatwością czy lekkomyślnością. Takie dekrety nie miały żadnej realnej mocy, były one asygnatą na skórę niedźwiedzia, który jeszcze zdrów po lesie chodził — wydawano je na odpowiedzialność i ryzyko donataryusza, który najczęściej



Fig. 35.

Typ szlachcica. Ze zbiorów Pawlikowskich.

nie tylko niczego nie osiągał, ale jeszcze w dodatku narażał się na dotkliwy odwet prawny. Przywilej na *ius caducum* był tedy rodzajem »promesy,« streścić się dał słowami: »Jak wygrasz, będzie twoje.« Niekiedy już sam przywilej wyraźnie to zastrzegał; w dekrete królewskim z r. 1637, nadającym Dymitrowi Zagwojskiemu za czyny waleczne,

za *heroicas virtutes viro magnanimo dignas*, okazane w wojnach z Wołoszą i Moskwą a poświadczone przez hetmana Mikołaja Potockiego, dobra nieruchome po czterech braciach Drohomireckich, po kilku Podlesieckich i Baczyńskich, które jakoby przypadły skarbowi królewskiemu z powodu, że wszyscy ci wymienieni uzurpowali sobie szlachectwo — w dekreście tym dodane jest zastrzeżenie, aby sobie Zagwojski te dobra wyprocesował legalnie, nie uciekając się do środków gwałtownych: *Ita tamen, ut eadem bona adeat, repetat, vindicet, nihilque vi et violenter attentet sed decreto sibi adiudicata teneat.*¹⁾

Przykłady w aktach świadczą, że to się najczęściej nie udawało. Pewien szlachcic halickiej ziemi, Szymon Orłowski, pozwał dwóch braci Gostyńskich o uzurpację szlachectwa i uzyskał kaduk na ich majątek. Gostyńscy, obaczywszy się wczas, wywiedli należycie swoje szlachectwo a Orłowski skazany został przez trybunał na 20.000 grzywien odszkodowania.²⁾ Felicjan Tyszkiewicz zarzucił w r. 1635 Żurakowski, Michajłowi i jego całej rodzinie, osiadłej w Żurakach i Staninie, uzurpację szlachectwa i gładko uzyskał *ius caducum* na ich majątności; Żurakowscy obalili dekret królewski wydany *ad male narrata*, wywiedli się na sejmiku elekcyjnym halickim z szlacheckiego pochodzenia i wytoczyli pozew Tyszkiewiczowi, a trybunał skazał go na karę 60 grzywien, które miał *in instanti* zapłacić każdemu z tych Żurakowskich z osobna, a było ich kilkunastu, dalej na wynagrodzenie szkód również każdemu z nich po 3000 grzywien a ponadto jeszcze na 500 grzywien. Żurakowscy domagali się znacznie wyższej sumy, taksowali sobie zadaną obelgę na 20.000 a szkody na 50.000 grzywien.³⁾

1) Agr. Halickie, tom 131 p. 908.

2) Agr. Halickie, tom 135 p. 1200, tom 137 p. 2174.

3) Agr. Halickie, tom 132 pp. 773—6, tom 133 pp. 1436, 1466.

Ale nietylko groszem, niekiedy krwią i życiem nawet opłacić musiał oskarżyciel krzywdę wyrządzoną zadaniem nieszlachectwa. W r. 1635 Jan Fredro, sędzia przemyski, wystąpił z naganą szlachectwa przeciw Teodorowi Winnickiemu i wyrobił sobie kaduk na jego majątność ziemską. Nie sam Fredro jednak, ale Jan Pieniążek, cześnik lwowski, był właściwym autorem i promotorem tej sprawy. Teodor Winnicki, który jak wiemy, był jednym z głównych przewodców w zająciach z władką Krupeckim i miał wielki mir i poważanie między drobną szlachtą dyzunicką, zjechał na sejmik wiszeński dla dedukcyi swego szlacheckiego pochodzenia, ale zjechał na czele całego zbrojnego hufca zagonowej szlachty. Wszystkie niemal jej rody, wyliczone przez nas na wstępie tego rozdziału, reprezentowane były w tem małym wojsku, które gotowe było szablami poprzeć wywód pana Teodora. Sejmik się zerwał, zaledwie zdołano wybrać deputata na trybunał, reszta spraw upadła. Fredro nie było na sejmiku, ale był Pieniążek, który użył wszelkich środków aby raczej sejmik zerwać a nie dopuścić Winnickiego do wyводу. Winnicki przecież wywiódł się później na trybunale, a Pieniążek zapłacił za to życiem — Winnicy rozsiekali go wkrótce potem szablami w Krukienicach. Fredro z dekretu trybunalskiego okupił swój udział w tej sprawie 60 grzywnami kary i 3000 zł. odszkodowania, przyznanego Winnickiemu.¹⁾

Pozwy o uzurpacyę szlachectwa przybierały czasem postać szkaradnej napaści i połączone bywały z niegodną machinacyą. Czterej bracia Strutyńscy wnoszą żalobę przeciw podwojewodzemu bełzkiemu Jakóbowi Kakowskiemu, iż pragnąc posiąść koniecznie ich części położone w majątkach Roźniatów, Cieniawa, Duba, rozmaitych używał

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 356 pp. 1791 i 2133, tom 358 p. 1807.

sposobów, molestował, najeżdżał, rąbać w lasach zakazywał, bydło i poddanych zabierał lub przez ciężką opresję do ucieczki zmuszał, a nareście wyrobił sobie na ich części kaduk u króla *ad male narrata* pod zarzutem nieszlachectwa; przekupywał krewnych Strutyńskich, aby za ich szlachectwem nie świadczyli, przeciw wywodowi ich szlachectwa do protestu niejakiemu Nowosieleckiemu nadstawił, a raczej protest taki sfalszował, a nawet dokument podrobił z fałszowanymi podpisami, w którym się Strutyńscy *contra omnem naturae, iuris, decentiae et equitatis rationem* jakoby sami dobrowolnie zrzekli tytułu i prerogatyw szlacheckich, przywilej *iuris caduci* na rzecz rzczonego Kakowskiego uznawali i majątek swój jemu oddawali.«¹⁾

Ale nie tylko drobna szlachta narażoną była na zarzuty nieszlachectwa, trąfiało to także ludzi dobrze osiadłych, majątnych, posiadających obszerne włości. Andrzej Piotr Stadnicki zarzuca w r. 1607 Leonardowi Karwowskiemu, dziedzicowi Zamiechowa, Bojanówki i Ciemierzowic, uzurpacyę szlachectwa i żąda konfiskaty tych majątków na rzecz swoją i skarbu; jakiś napastliwy szlachcic, Hieronim Tryburski, występuje z takim samym zarzutem przeciw Stanisławowi Słoniowskiemu i domaga się nie tylko jego majątku ale i jego głowy nawet, bo w pozwie wyraźnie żąda zastosowania do uzurpatora *poenae capitis*;²⁾ szlachta zgromadzona na sejmiku w Wiszni w r. 1637 wyraża swój żal i oburzenie, »że dobra Jmć Pana Romera, wojskiego sandomierskiego, szlachcica z starożytnej familji i z wielu domów zacnych spowinowaconej, niewiedzieć *quo praetextu*, z chciwości raczej tych, co swoich dóbr niemając na cudze godzą, *iure caduco* są uproszone i ta sprawa z trybunału na sejm odesłana.«³⁾ Jak widzimy,

¹⁾ Agr. Halickie, tom 136 p. 870.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 323 pp. 679—84 i Agr. Halickie, tom 129 p. 1431.

³⁾ Agr. Sanockie, tom 154 p. 980.

oskarżenia tego rodzaju były dość liczne — natomiast spotkaliśmy się tylko raz jedyny z wypadkiem, w którym udowodniona uzurpacja szlachectwa spowodowała za sobą rzeczywiście konfiskatę dóbr i podział ich między skarb królewski a delatora. Stanisław Jabłonowski, miecznik nurski, zarzucił uzurpację praw szlacheckich Jerzemu Gu-



Fig. 36.

Typ szlachcica. Z zbiorów Pawlikowskich.

mowskiemu, właścicielowi Dubaniowic w ziemi lwowskiej, i wystąpił z twierdzeniem, że ten rzekomy Gumowski nazywa się właściwie Skura i jest synem mieszczanina z Ostrołęki. Gumowski ofiarował się wywieść z szlachectwa a to z linii ojczystej na sejmiku wiszeńskim, z linii macierzystej na sejmiku płockim, jednakże nie przeprowa-

dził dowodu, a trybunał lubelski ogłosił go w r. 1644 jako *personam ignobilem et plebeiam* i zadekretował konfiskatę Dubaniowic, których połowa miała się dostać Jabłonowskiemu.¹⁾

Nieskończenie wiele zależało na tem szlachcie szaraczkowej i zaściankowej, aby przy każdej możliwej sposobności zaznaczyć, że należy do »uprzywilejowanej działy koronnej.« Zbliżona w niebezpiecznym stopniu do chłopą, podobna mu często grubością bytu i obyczają, jak on ciemna i jak on niekiedy uboga, trzymająca się swojego kusego zagona jako jedynej granicy, która ją oddzielała od pogardzanej klasy *golotae et odardorum*, chciała przynajmniej figurować i nie mogąc być rzeczą, być przynajmniej jej cieniem. Tłumnie spieszy na wybory urzędników powiatowych, na sejmiki deputackie i przedsejmowe, na zjazdy i zajazdy, a nie brak jej także na corocznej lustracyi czyli t. zw. okazowaniu szlachty, nie tyle dlatego, że nieobecnemu grozi konstytucya karą 50 grzywien, bo wątpimy, aby winę tę pieniężną ściągano na seryo, ile dlatego, aby tą obecnością stwierdzić swoje stanowisko społeczne. Mało kto z tej szlachty drobnej przybywa na okazowanie konno, mało kto z niej ma się przystojnie w co ubrać i odpowiednio czem uzbroić; dobrze już, jeżeli szlachetka taki ma przy boku na rzemieniu lub na konopianym sznurku szablinę, bo często przychodzi na pole tylko z siekierką, a zdarza się tak, że staje tylko z kijem. W lwowskich regestrach okazowania szlachty czytamy istotnie: »Szlachetny Iwan Zapłatyński popisał się z ptaszniczką i siekierką; szlachetny Fedor Dobrowlański z Bratkowic był *personaliter* na popisie pieszo z kijem; szlachetny Iwan Jasiński Wołosowicz był pieszo z kijem; szlachetny Roman Hoszowski *personaliter* pieszo z kijem.«²⁾

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 395 pp. 557—561.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 380 pp. 2565 i dalsze.

Biorąc nawet cały ogół szlachecki na uwagę, możemy twierdzić, że mało było życia publicznego w województwie, w ziemi, w powiecie. Hałasu i trzasku było aż nazbyt, zwłaszcza w porze prywatnych i sąsiedzkich wojen, o których mówić nam przyjdzie w następujących rozdziałach, ale poza sejmikami nie było publicznych narad, poza jakąś chwilową szybko zawiązaną a nigdy nie dotrzymaną konfederacją nie było obywatelskiej akcji, poza kwerelami i roczkami sądowymi nie było zjazdu. Sejmiki województwa ruskiego, wiszeński i halicki, nie lepsze były od reputacji, jaką te zjazdy miały współcześnie w całej Polsce. Przychodziło na nich często do zwad i zaburzeń, niekiedy do krwawych, tłumnych potyczek. W czasie wojen prywatnych, których widownią była ziemia przemyska w pierwszych latach XVII. w., niejeden zjazd sejmikowy w Sądowej Wiszni podobien był do pobojuwiska w przedjutrze bitwy, bo stronnictwa rozkładały się zbrojnemi obozami naprzeciw sobie. Z formalnem wojskiem zjeżdżał na sejmik referendarz Drohojowski, kiedy toczył wojnę z Stanisławem Stadnickim; nie śmiał się na sejmiku pokazać bez wielkiej liczby najemnego żołnierza Łukasz Opaliński, bo wiedział, że nań tam czyhać będzie z małą armią sabatów jego wróg śmiertelny, Dyabeł Łańcucki.

Rzecz godna uwagi, że najmniej dawał powodu do zajęć i zwady sam wybór posłów na sejm lub deputata do trybunału — daleko niebezpieczniejsze były inne domowe sprawy, a już osobliwie wywody szlachectwa, jeżeli trafiały na opozycję. Najmarniejsza też czasem kwestya, jeżeli zetknęli się w niej dwaj możni a niechętni sobie dygnitarze, jak n. p. nominacya granicznego komornika i t. p. wywoływała burzliwe i niebezpieczne zajścia. O takiego komornika omal że w r. 1645 nie przyszło do wielkiego rozlewu krwi na sejmiku wiszeńskim między kasztelanem sanockim Andrzejem Boguckim a sędzią ziemi przemyskiej Janem Fredrą i ich stronnikami. Kiedy Bogucki



Fig. 37.

Scena sejmikowa.
Z współczesnej ryciny w zbiorach Pawlikowskich.

w ostry sposób wystąpił przeciw Fredrze, że mianował komornika granicznego przeciw prawu a »kwoli prywacie,« Fredrowie wszyscy, ile ich było, po równie ostrej replice rzucili się do szabel, a za nimi cały sejmik podzielony na dwa obozy, przemyski i sanocki. Nawa kościelna, w której obradowano, zadrżała od huku i trzasku, błyskały szable nad głowami adwersarzy; brata Boguckiego, kasztelana czechowskiego, omal nie porąbano w sztuki, gdyby nie interwencja arcybiskupa lwowskiego i innych obecnych na sejmiku senatorów, którym się powiodło zażegnać burzę. Ale tumult trwał dwie całe godziny i już tego dnia nie było obrad.¹⁾

Kwestye etykiety i emulacye dygnitarskie bywały także bardzo niebezpieczne. Tak n. p. konstytucya z r. 1613 przyznała staroście lwowskiemu pierwsze miejsce i wotum sejmikowe przed podkomorzym lwowskim, podczas gdy w wszystkich innych ziemiach podkomorzowie mieli prym przed starostami. Przychodziło ztąd do gorszących sporów, zagrażało to zerwaniem obrad sejmikowych, aż w końcu szlachta wobec tych »turbacyj i niepotrzebnej kontrowersyi« poleciła posłom swoim, aby się postarali na sejmie o zniesienie tej anormalności, bo »kiedyby pp. podkomorzowie w kupie i pp. starostowie ziem naszych na sejmik się zjachali, przyszłoby się nie wotując rozjechać.«²⁾ Cóż dopiero, kiedy się na sejmik zjechało dwóch łowczych, dwóch cześników, dwóch skarbników jednej i tej samej ziemi, a i tak się zdarzało, bo kancelarya królewska tak sobie snać lekceważyła te czysto tytularne godności, że zapomniawszy, kto je już otrzymał i posiada, wydawała na nie dyplom i drugim. W r. 1642 był taki spór między Stanisławem Pobiedzińskim a Janem Kamińskim, kto z nich obu jest cześnikiem ziemi sanockiej, bo obudwóm król prawie równocześnie ferował cześnikostwo

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 158 p. 1221.

²⁾ Agr. Sanockie, tom 166 p. 1898.

tej ziemi. Utrzymał się w końcu Pobiedziński, bo jego dyplom datowany był dnia 15. października, dyplom zaś Kamińskiego dnia 12. listopada jednego i tego samego roku.¹⁾

Na sejmiki zjeżdżano się chętnie i tłumnie, bo tam rozprawać było można *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, tam się wyszumiano na króla i na senatorów, regulowano stosunki Europy, wypowiedano wojny i zawierano traktaty, wywodzono *gravamina*, a co ważniejsza uchwalano *petita* o wakansy, o myta, o donacye, o nagrody za urojone i nieurojone zasługi — ale już na doroczne okazowania, na ten popis zbrojny, który miał stwierdzać pogotowie obronne szlachty i być demonstracją jej rycerskiego zawołania, a zatem powinien był reprezentować godnie zasadę i obowiązek stanu, szlachta przybywała nie licznie, z ładajakim pocztem lub bez pocztu. Znamienitsi ziemianie najczęściej nie stawili się osobiście, zastaniając się pierwszą lepszą wymówką i przysyłali tylko pocztę ze służby złożone.

Okazowanie szlachty ziemi lwowskiej i żydaczowskiej odbywało się zawsze w pierwszy poniedziałek po Przewodniej Niedzieli na polu u św. Krzyża pode Lwowem, okazowanie szlachty ziemi przemyskiej na polach pod Medyką, zaś w wypadkach nadzwyczajnych, kiedy na wezwanie przemyskiego kasztelana szlachta gromadzić się miała *manu forti et armata*, służyły za plac zborny błonia nad rzeką Rak, między Sądową Wisznią a Rodatyczami. Pola nad rzeką Rak były od wieków miejscem takich zbrojnych wieców szlachty ziemi przemyskiej, uświęciła je tradycja przodków i kiedy chodziło o najważniejsze sprawy Rzeczypospolitej, zjeżdżano się nie gdzieindziej tylko na to miejsce, jak n. p. w październiku r. 1572, kiedy to ziemia przemyska nad brzegami Raka zobowiązała się przysięgą, że gdy przyjdzie do elekcji, nikt nie zostanie w domu,

¹⁾ *Ibidem*, tom 157 p. 566 i tom 158 p. 1211.

że nikomu nie wyrządzi się gwałtu i że obrany ma być królem nie ten, co kupuje głosy, nie tchórz i nie zapamiętalec.¹⁾ Ale nie tylko dla ziemi przemyskiej, nawet dla całego województwa ruskiego błonia nad Rakiem były tradycyjnym miejscem zbrojnego zjazdu i pogotowia. Podczas rokoszu Zebrzydowskiego nad rzekę Rak powoływa uniwersałem swoim wojewoda ruski Stanisław Golski w lipcu 1606 r. szlachtę całego województwa dla obrony zagrożonego majestatu królewskiego, a następnego roku w marcu szlachta zgromadzona we Lwowie pod przewodnictwem wojewody bełzkiego Stanisława Włodka, hetmana Stanisława Żółkiewskiego, kasztelana kamienieckiego Jakóba Pretficza i innych wzywa gorącym uniwersałem nie tylko województwo ruskie ale także województwa bełzkie i podolskie, aby zbrojnie zjeżdżały nad rzekę Rak i spieszyły w pomoc królowi przeciw rokoszanom.²⁾ Szlachta halicka odbywała lustrację pod Haliczem, sanocka pod Sanokiem, samborska nie zjeżdżała się, jakby było należało, na błonia Medyki, lecz pod Sambor.

Z kilku regestrów takiego okazowania szlachty ziemi lwowskiej i żydaczowskiej łatwo się przekonać, jak te zbrojne rewie szlacheckie, po których sobie tyle obiecywano, wypadały z każdym rokiem coraz mizerniej, aż nareście stały się parodią rycerskiego popisu. Na okazowanie w r. 1621 stanęło razem 628 szlachty licząc w to poczty nieobecnych panów i poczty wdów, a w liczbie tej było 421 konnej a 207 pieszej t. j. najuboższej zaściankowej szlachty. Między tą drobną szlachtą było samych Czaykowskich 43, ale z nich tylko 3 konno; Witwickich 40, sami piesi; Hoszowskich 34, Popielów 12, Przedzrymirskich 9 i t. d.³⁾ W pięć lat później regestr okazowania

¹⁾ Orzelski, Bezkrólewia I. str. 16.

²⁾ Agr. Trembowelskie, tom 106 pp. 878—81, 1260—3.

³⁾ Agr. Lwowskie, tom 374, p. 343 i nast.

wylicza już znacznie mniej szlachty, bo tylko około 523, z tego większa połowa pieszej.¹⁾ W dwa lata później, w r. 1628, liczba wzrasta nieco, bo zjeżdża się 635 szlachty, z tych 361 z pocztami, zaś reszta, t. j. 274 chudopachołków oczywiście bez pocztów i w dwóch trzecich częściach pieszo. Z wyjątkiem takich biedaków, którzy, jak już wspomnieliśmy, przychodzą na okazowanie z ptaszniczką, siekierką a nawet z gołym kijem, wszystka szlachta uzbrojona jest w półhak i szablę.²⁾ W r. 1637 liczba szlachty obecnej na okazowaniu spada do 374. Gorzej jeszcze bywa z okazowaniem szlachty sanockiej, której najliczniejszy zjazd zbrojny (w r. 1629) wynosi 200 a niekiedy spada do śmiesznie małej cyfry, jak n. p. w r. 1618, kiedy to stanęło ośmiu tylko 35, przysłało poczet, przyjaciela lub sługę tylko 21 — a więc razem było tam obrońców ojczyzny 56! Reszta, jak się wyraża relacya: *in contemptum legum* została w domu.³⁾ Zdarzało się nawet, że nikt się nie zjawił na okazowanie, jak n. p. w r. 1646, jak się o tem dowiadujemy z manifestacyi Krzysztofa Zabawskiego, który żałuje się w grodzie, że przybywszy w oznaczonym terminie na popis do Sanoka, nie zastał tam ani kasztelana, ani żadnego urzędnika, ani żadnego okazowania. Nie można się tedy dziwić, iż w końcu do tego przyszło, że szlachta zaczęła się sama wstydzić tego upokarzającego widowiska, ale zamiast starać się o to, aby okazowanie odzyskało poważną cechę rycerskiego pogotowia, wołała wybrać krótszy i łatwiejszy środek i żądać całkowitego zniesienia dorocznych lustracyj. Na sejmiku wiszeńskim r. 1638 uchwała szlachta instrukcyę swoim posłom sejmowym: »Okazowanie, że swego efektu nie bierze i do dobrego porządku przyjść nie może, chcemy, aby zniesione było,« a w trzy lata

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 377 p. 811 i nast.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 380 pp. 2565—2604.

³⁾ Agr. Sanockie, tom 150 p. 1931 i tom 144 pp. 1716—7; tom 159 p. 2613.



Fig. 38.

Grupa szlachty konnej.
Według sztychu St. Della Bella.

później ponawia tę rezolucję: »Okazowania, iż żadnego Rzeczypospolitej pożytku nie przynaszają, raczej *per abusum* pośmiewiskiem jakimś są, zlecamy pp. posłom, aby zniesione były.«¹⁾

Potrzeba było dopiero trwogi wojennej i bardzo groźnych a bardzo blizkich niebezpieczeństw, aby ocenić znaczenie takiego rycerskiego pogotowia, aby zrozumieć, że jeśli się nie chciało płacić podatków na żołnierza, trzeba było samemu być żołnierzem. W r. 1648 szlachta przemyska uchwała na sejmiku w Wiszni nadzwyczajne okazowania, na które wszyscy stawić się mają »*viritem* tak jako do obozu,« i upoważnia swego kasztelana, aby bez dalszych uchwał zarządził w razie potrzeby pospolite ruszenie. Jakoż w krótkim przeciągu czasu odbywają się pod Medyką cztery zbrojne okazowania, dnia 8. i 28. września, dnia 15. października 1648 r. i dnia 30. lipca 1649. Czwarte okazowanie było już pospolitem ruszeniem a szlachta z pod Medyki udała się wprost do obozów wojennych. Na okazowanie, które się odbyło w dzień św. Wacława (28. września) r. 1648 stawiło się z całej ziemi przemyskiej niespełna 1000 szlachty,²⁾ zbrojnej w szable i rusznice. Najliczniejszego kontyngentu dostarczyła oczywiście drobna szlachta zagonowa — ci historyczni w Polsce *milites caligati* — a ze spisu możemy mieć miarę ich gniazdowego rozrodzenia. Najwięcej stawiło się Jaworskich; było ich na tem okazowaniu 70. Najliczniejszy po nich ród Kulczyckich dostarczył 46 zbrojnych. Dalej idą Winnicy (36), Bilińscy (23), Kruszelnicy (20), Matkowscy i Horodyscy (po 19), Terleccy (16), Komarnicy (15), Manasterscy i Turzańscy (po 14), Wysoczańscy, Baczynscy, Podhorodeccy i Illicy (po 13), Dobrzańscy (10), Łuccy (9), Sozańscy (7), Kalnofojscy (5).

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 392 p. 798.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 375 pp. 1821—1833.

Na okazowanie z dnia 30. lipca 1649, które już właściwie było pospolitem ruszeniem na plac boju, przybyło tylko około 800 szlachty ¹⁾, ale tym razem nie jest to wcale dowodem zaniedbania rycerskich obowiązków, bo w tym czasie wszystka zamożniejsza szlachta ziemi przemyskiej z licznymi pocztami a nawet na czele całych chorągwi znajdowała się już w obozach wojennych. Przeciwnie z aktów tej nieszczęśliwej pory odbiera się wrażenie, że szlachta przemyska spełniła swój obowiązek. Po za pospolitem ruszeniem postawiła swoim kosztem pięć chorągwi: trzy husarskie i dwie piesze, każda po 100 ludzi, nad którymi rotmistrzowstwo objęli Jan Fredro, sędzia ziemi przemyskiej, Mikołaj z Górajca Czuryło i Piotr Sieciński; ²⁾ od pospolitego ruszenia uchylili się tylko chorzy, kalecy i starcy a i ci w grodzie stwierdzali swoją niezdolność do posług wojennych. Między temi manifestacjami grodzkimi znajduje się niejedna, która sama przez się jest pięknym rysem rycerskości i patriotyzmu. Tak n. p. staje i manifestuje się przed grodem p. skarbnik sanocki Szymon Zaporski, starzec leciwy, cały bliznami okryty, i z żalem oświadcza, że iść na wojnę nie może, ale jedynaka swego, całą podporę swojej starości, wysłał już dawno do obozu. Mimo wieku i on by poszedł, tak jak chadzał na wszystkie wojny za swego żywota, ale otworzyły mu się rany, które w grodzie produkuje, bo chce »warować cześć i sławę swoją, która jedynie czyni nieśmiertelnym człowieka.« Ran ma na sobie kilka, a trzy z nich ciężkie: ręka na wskrós kula przeszyta, druga z kością odtrząskaną, prawy bok rozplątany. ³⁾ Anna Dunikowska, wdowa przywiedziona do ubóstwa, bo kozacy splądrowali jej wioskę i zrabowali »ostatek substancyi«

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 376 pp. 1239—1255.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 375 p. 1666.

³⁾ Agr. Przemyskie, tom 376 p. 1152.

deponowany w klasztorze gródeckim, wysłała jedyne go swego syna na wojnę — co jej poświadcza kasztelan sanocki Andrzej Bogucki, który z litością dodaje, że biednej wdowie pozbawionej jedynej opieki, jaką miała, »do powolnych w sanockiej ziemi mieszkających przytułić się przyszło.«¹⁾ Zbigniew Górajski, zaskoczony niespodziewaną w drodze przeszkodą, porzuca swój wóz z zapasami obozowymi i spieszy dniem i nocą, aby »gonić wojsko, bo się ruszyło z pod Zastawia, abym okazał nie zaniechał, bo bym się wolał widzieć na gałęzi, aniżeli, czego Panie Boże zachowaj, miałbym przyjść po wszystkim.« Nie spóźnił się — poległ na pobojuwisku.

Chorągwie ochotnicze ziemi przemyskiej i lwowskiej spełniły chwalebnie swój obowiązek. Były się walecznie w wszystkich utarczkach aż do bitwy pod Zborowem, gdzie około 2000 szlachty przemyskiej i lwowskiej poległo, a sam Korniakt stracił 400 ludzi. Jak mężnie poczynały sobie chorągwie ziemi przemyskiej na polu chwały, świadczy fakt, że jedna z nich — o innych nie mamy dat potrzebnych — a mianowicie chorągiew, której rotmistrzował skarbnik ziemi lwowskiej Zygmunt Przedwojowski, licząca mało co nad 90 ludzi, straciła w bojach 28 towarzyszy, a więc cała blisko trzecia część tych walecznych poległa w obronie ojczyzny. Padł pod tą chorągwią śmiercią chwalebną także ów Jacek Dydyński, stary żołnierz Lisowski, o którym już wspominaliśmy i o którym jeszcze nieraz będzie mowa, ów pan »Jacek nad Jackami,« specjalista-fachowiec w zbrojnych zajazdach i szef sztabu wojen prywatnych ziemi przemyskiej.²⁾

Dalsze nieszczęsne lata nakładały na szlachtę twarde obowiązki. W r. 1651 nastąpiło drugie pospolite ruszenie. Przychodziło ono ciężko do skutku, bez ochoty i z na-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 399 p. 1000.

²⁾ Agr. Lwowskie, tom 399 p. 779.

rzekaniem. Na sejmiku wiszeńskim z tegoż roku skarży się szlachta obrażona, że król o jej patriotycznej gotowości »*acerbe* i gorzko« się wyraził, przeciw czemu protestuje, ale równocześnie sama z żalem przyznaje, »że służyć ojczyźnie *gratuite* i kosztem swym nikt nie chce«. Z całej ziemi przemyskiej w roku tym jeden tylko Andrzej Maxymilian Fredro wystawił własnym kosztem prywatnym chorągiew jazdy ze stu ludzi złożoną, ale i ten posiłek nie poszedł do obozu, bo Fredro wysłany został w legacyi do Rakoczego i musiał wziąć ten hufiec z sobą do Siedmiogrodu.¹⁾ Przed wyruszeniem do obozu szlachta ziemi przemyskiej odbyła swój własny osobny sejmik i w ten sposób zorganizowała swoją mobilizację, że mianowała sobie dwóch pułkowników, jednego do jazdy, drugiego do piechoty złożonej z samej drobnej szlachty, podzieliła się na chorągwie, z których żadna nie miała liczyć więcej nad 100 ludzi, wybrała strażnika, oboźnego i siedmiu rotmistrzów, z czego by wypływało, że wyruszyła w pole tylko w siedm chorągwi, a więc w 700 ludzi. Pułkownikiem jazdy został podkomorzy Franciszek Dubrawski, pułkownikiem piechoty Jasienicki. Uchwalono także, że nie wolno żadnemu posesyonatowi ziemi przemyskiej zaciągnąć się pod chorągiew innej ziemi. Sądy na czas pobytu szlachty w obozie pozostać miały przy urzędnikach ziemskich, którym przydano dwóch deputatów. Nad bezpieczeństwem domów czuwać miał osobny rotmistrz z odpowiednią liczbą żołnierzy, a był nim Walenty Fredro.²⁾

Ciężej jeszcze i oporniej poszło w r. 1653, kiedy król Jan Kazimierz zaapelował znowu do ofiarności i rycerskich obowiązków szlachty w tym strasznym ucisku Rzeczypospolitej. Z uniwersałów królewskich, wydanych tego roku,

¹⁾ Pamiętniki Radziwiłła, tom II. str. 440.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 377 pp. 721—4.

z wici na pospolite ruszenie, tchnie boleść i rozpacz prawie. Król puka do serc, szarpie najczulsze struny dusz szlacheckich: dumę stanu i miłość złotej wolności. Wzywa ich dnia 12. marca ze Lwowa »jako miłujących tę ojczyznę synów, jako cnych Polaków i nieodrodných potomków sławnych przodków swoich, którzy tę Rzeczpospolitą krwią swą ufundowali i dotąd w swobodzie wolności wszystkim narodom świata zazdrośnych zachowali,« wzywa »przez tę nieporównaną złotą wolność, przez spólną ojczyzny miłość, przez *sacrorum conservationem*, przez *carissimorum pignorum Waszmościów charitatem*, przez dostojęństwo na ostatek nasze królewskie« — aby albo sami wyruszyli w pole albo obmyślili zapłatę żołnierzom. W drugim uniwersale (z Warszawy dnia 30. listopada) żali się król, że na sejmie pozostawił to samej szlachcie, czy ma odbyć pospolite ruszenie czy też dostarczyć łanowego żołnierza, na co zgody nie było; »wzięli to posłowie do braci na relacyjne sejmiaki, mimo przestróg, że to tylko zamieszanie sprawi; do tego się nam jednak stosować przyszło. Teraz różni różne przedsięwzięją sposoby tej obrony, jedne województwa uchwały łanowego żołnierza w tejsze samej wyprawie z 20 zwłok jednego, drudzy z 16, inne z piętnastu, inne z dwunastu, z dziesięciu, z sześciu, z pięciu. Niektóre w laudach dołożyły, że się z województwa nie ruszą, póki głównejsze województwa nie uprzedzą i przyjsciem swem nie miną onych — a na ostatek niektóre województwa żadnej nie uchwały wyprawy, czem w innych województwach zahamowały ochotę.«

Król błaga szlachtę o pomoc i pospolite ruszenie: »żądamy, abyście w oczach sobie stawiając one odważnych przodków waszych dzieła a przez nie nabyte ozdoby i klejnoty, w ich się umysł i serca nieustraszone przybrawszy, tego trudu podjąć się nie wzbraniłi, który przy nieśmiertelnej sławie długim spoczynkiem utrapionej ojczyzny, waszym i miłej potomości nagradzać się będzie. Wejrzy Pan

Bóg na tę odwagę waszą, którą wprzód dla chwały jego kościołów i ołtarzów świętych weźmiecie przed się, że na samo wejście pobożnych hufców wiernego Bogu ludu strachać się i cofać krzywoprzysięzca będzie a niewolnik poda kark swój wolnym i szlachetnym szablom!«

Obaczmyż, jakie echo wywołały w województwie ruskiem te słowa króla, przez którego usta ojczyzna wzywała ratunku. Zestawimy tylko kilka cyfr suchych, dadzą one same jeźli nie miarę patryotyzmu, którego w gruncie nie brakło, to miarę zasobów w materyale ludzkim i ekonomicznym, ale też może i miarę elastyczności dusz i serc, które rosnać powinny z wielkością celu i świętością obowiązku.

Województwo ruskie z początku było za pospolitem ruszeniem i żądało tylko przez postów swoich, »aby *sine divisione belli* wszyscy stanęli, nie cisnąć się *ad custodiam corporis* Jego Kr. Mości ani cieniem pocztów się zastaniając, a jeśliby który z panów braci *ex pio affectu erga patriam* poczet stawił, on oddawszy pod władzę Jego Król. Mości, aby sam w województwie swem równo z bracią stawał,« i aby województwo ruskie w pierw nie ruszyło, aż inne województwa razem ruszą. Następnie jednak zmieniła szlachta na sejmiku uchwałę i godzi się na wystawienie żołnierza łanowego. »Jakkolwiek takeśmy *exhausti*, że już prawie na podatki z ubogich chłopów naszych krew wyciągamy,« jednakoż zgoda na to, »aby w tak ciężkim Rzptej czasie i sobie ciężko czyniąc, *certam* prowentów dorocznych *partem* na żołnierza wydać, któryby całość ojczyzny i nas od ciężaru pospolitego ruszenia zaszczycić by mógł«¹⁾ Zaraz na następnym sejmiku obmyśla szlachta fundusze na wystawienie i zapłatę żołnierza i w następujący sposób załatwia tę kwestyę: Z każdych 12 łanów ma być postawiony jeden żołnierz konny z ryn-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 166 pp. 322—44.

sztunkiem i żywnością, a kto by nie miał całej dwunastki łanów, ten z drugimi sąsiadami złączywszy się aż do tej wymaganej dwunastki wspólnie składa się na jednego żołnierza. Zastawnicy, t. j. ci którzy za pożyczone sumy trzymają zastawem dobra ziemskie, mają ten sam obowiązek co dziedziczni właściciele, i nie wolno im obowiązku tego przenosić ani na chłopów ani na dłużników, którzy im dobra swe zastawili. Ci zastawnicy, którzy tylko pewną sumę *obligatorie* na dobrach mają a z powodu większych procentów zastawionej ziemi dopłacają swoim dłużnikom, dać mają od każdego tysiąca 10 zł. Dzierżawcy dóbr wyprawiają od 20.000 zł. sumy dzierżawnej jednego konnego żołnierza; ci co mniej płacą, łączą się z innymi. Szlachta żyjąca po miastach z kapitału i procentu wyprawia z 12.000 zł. jednego konnego. Mieszczanie, kupcy i żydzi dzierżawcy postawią od każdych 10.000 zł. jednego konnego, miasta z każdej dwudziestki domów jednego pieszego.¹⁾

Do tej normy niewszystkie ziemie województwa zastosowały się jednakowo; jedna tylko ziemia sanocka przyjęła i wykonała bez żadnej zmiany uchwałę wiszeńską. Ziemia halicka z początku nie chciała nawet słyszeć o wyprawieniu własnym kosztem łanowego żołnierza, na którego dla wielkiego spustoszenia nie spodziewała się wydobyć pieniędzy, później jednak, aby się okupić od pospolitego ruszenia, konformowała się do uchwał sejmiku wiszeńskiego ale limitowała swój udział tylko do 100 żołnierzy po kozacku i powierzyła ich zaciąg i komendę Bonawenturze Bełzeckiemu.²⁾

Ziemia sanocka stosując się w zupełności do laudum wiszeńskiego uchwaliła jednego konnego żołnierza od każdych 12 łanów i od każdych 20.000 zł., a jednego pie-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 166 pp. 691—702.

²⁾ Agr. Halickie, tom 145 pp. 905, 1160.

szego od każdych 20 domów po miastach. Z około 2400 łanów tej ziemi miało tedy stanąć 118 żołnierzy konnych, z wszystkich kapitałów zaledwie siedmiu, z miast zaledwie 21 pieszych. (Dynów 8, Krosno 5, Sanok, Dubiecko, Jaćmierz po 2, Nowotaniec i Babice po 1, z Rymanowa i Zarszyna żadnego.¹⁾)

Ziemia przemyska odstąpiła od normy przepisującej wyprawienie jednego konnego żołnierza od każdych 12 łanów a natomiast opodatkowała łany. Z każdego łanu miano płacić po 11 zł., z zebranej sumy miał być postawiony żołnierz łanowy, który zastępywał już i pospolite ruszenie szlachty. Od każdego 1000 zł. zapisanego długiem prostym dawać miano 7 zł., od każdego 1000 zł. tenuty dzierżawnej również 7 zł. Miasta i dobra duchowne wyprawiają z każdej dwudziestki domów po jednym hajduku, żydzi od 28 osiadłych domów także jednego hajduka. Żydzi trudniący się handlem od każdego 1000 zł. dają po 14 zł. Hajdacy mają być ludzie sposobni do rzemiosła żołnierskiego, mają być wyprawieni już w barwie, t. j. w żupanach błękitnych, w deliach czerwonych, z dobrimi muszkietami, rydlami, amunicją i żywnością i każdy z nich ma z sobą przynieść 6 zł. gotówki, które odda na popisie rotmistrzowi *in vim salarii*. Konnica łanowa ma być ekwipowana po kozacku, porządnie, w pancierzach, misiurkach, zarękawiach, z bandoletem i pistoletami, na dobrych koniach i ma mieć swoją muzykę. Łanów opodatkowanych było w ziemi przemyskiej 2722, dochód tedy z podatku na łanowego żołnierza wynosić mógł z ziemi okrągło 30.000 zł. Dochodu osiągniętego z opodatkowania kapitałów nie znamy, ponieważ jednak ziemia przemyska wystawiła razem trzy chorągwie po 100 ludzi a każda chorągiew miała kosztować 14.000 zł., czyli razem 42.000 zł.,

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 166 pp. 1292—1305.

wypływałoby ztąd, że opłata od kapitałów, t. j. od sum hipotekowanych i od tenut dzierżawnych, wynosiła 12.000 zł.¹⁾

Ziemia lwowska we wszystkich szczegółach poszła za wzorem przemyskiej, efektu jednak opodatkowania nie podają nasze źródła. Gdybyśmy jednak przypuścili, że wystawiła tyleż co ziemia przemyska, t. j. 300 żołnierza, co już będzie liczbą pewnie wygórowaną, bo ziemia lwowska w porze tej daleko więcej doznała bezpośrednich klęsk wojennych i daleko bardziej była zniszczoną aniżeli ziemia przemyska, to z całego województwa ruskiego, otrzymamy razem 846 żołnierzy. Jeżeli się z waży, że w r. 1648 pospolite ruszenie samej ziemi przemyskiej wynosiło 1000 kombatanów, że w następnym roku też ziemia przemyska po za pospolitem ruszeniem wystawiła pięć chorągwi po 100 ludzi, że w dwa lata później pospolite ruszenie tej ziemi wynosiło przecież jeszcze 700 zbrojnej szlachty — to kontyngent całego województwa ruskiego z r. 1653 musi sprawić smutne wrażenie, bo wrażenie upadku na sile i duchu.



¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 379 pp. 1533—8.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— —

C H Ł O P I

— — — —

100
101
102
103
104
105
106
107
108
109
110
111
112
113
114
115
116
117
118
119
120
121
122
123
124
125
126
127
128
129
130
131
132
133
134
135
136
137
138
139
140
141
142
143
144
145
146
147
148
149
150
151
152
153
154
155
156
157
158
159
160
161
162
163
164
165
166
167
168
169
170
171
172
173
174
175
176
177
178
179
180
181
182
183
184
185
186
187
188
189
190
191
192
193
194
195
196
197
198
199
200

I.

INFERNUS RUSTICORUM. OPIEKA KRÓLEWSKA NAD LUDEM.
AKCYA CHŁOPÓW PRZECIW STAROSTOM I DZIERŻAWCOM. GLEJTY
KRÓLEWSKIE I ICH LEKCEWAŻENIE. INWENTARZE ROBÓT I DANIN.
NADZIEJÓW I RAKÓW. JERZY I STANISŁAW KRASICCY. GMINY
LEŻAJSKIE. KOMISYE KRÓLEWSKIE. EKONOMIA SAMBORSKA.
ZAMOŻNOŚĆ LUDU. OSADCOWIE.

Or discendiam quaggiù nel cieco mondo — powtórzyć możnaby za Dantem, zstępując na chwilę z czytelnikiem do piekieł społecznych. *Infernus rusticorum* nazwał Włoch Pacichelli Polskę i nie bardzo przesadził, zapomniał tylko o tem, że nie sama Polska była wówczas piekłem dla ludności wiejskiej. Nielepiej było w innych krajach Europy. Już w XVI. wieku, podczas gdy w Polsce dola chłopów była wcale pomyślna i daleko jeszcze było do niewolniczego ujarznienia ludu, w Niemczech chłop skazany był na srogi ucisk i nędzę. W roku 1503 rozpoczynają się już wielkie sprzysiężenia i bunty chłopskie w Niemczech, wywołane straszną tyranią szlachty i książąt, powtarzają się po kilkakroć aż do roku 1526, srożą się następnie w latach 1594—7, wybuchają ponownie w r. 1626, wywołują całe piekło mordów, okrucieństw i pożogi, i pełne są takich niewymownie potwornych aktów obopólnej nienawiści

i zemsty, o jakich się w Polsce nikomu i nigdy nie śniło. Bunt chłopów z r. 1648 na naszym Pokućiu są niewinną ruchawką wobec zbydlęcenia i krwawego szachu niemieckiego chłopstwa, a odwet, jaki spotkał buntowników ze strony warstwy panującej w Polsce, jest tylko igraszką wobec straszliwej, niemiłosiernej zemsty, jaką szlachta niemiecka wywarła na swych pokonanych niewolnikach.

Nie zapominajmy, że to, co nam przyjdzie w tym rozdziale powiedzieć o ucisku i krzywdach ludu wiejskiego w województwie ruskiem, działo się w czasach najgorszych, w czasach, kiedy chłop w całej środkowej Europie wydany był na łup samowoli i jęczał pod jarzmem niewątpliwie cięższym, niżeli w Polsce. Świadek tych czasów, niemiecki pisarz Moscherosch (*Philander von Sittenwald*), osadzając magnata niemieckiego, ciemniyciela ludu, na samym dniu piekła, takie mu wkłada w usta słowa: »O biada mi, wysłałem krew i pot z moich biednych poddanych, trwoniąc je na biesiady, na hulanki, na łowy i błażeństwa! Biada mi, po wieki biada, wysączyłem nieznośnemi ciężarami ostatnią kropelkę krwi z moich chłopów i grosz ten krwawy użyłem na turnieje, na zbytki, kosterstwa i rozkosze! Biada mi, po wieki biada, dręczyłem chłopów moich okrutną pańszczyzną, wypędzałem nędznych, głodnych, nagich, chorych, chromych, w upał letni i wśród mrozów zimowych na pola, góry i lasy, a kiedy ustawiali w znoju, chłostałem starców różgami, siekłem ich ciało biczami, deptałem ich nogami jak żaby, zakłuwałem oszczepem jak niedźwiedzi, gwałciłem ich córki, bezczęściłem ich żony!« Współcześnie z naszym opowiadaniem, w porze trzydziestoletniej wojny, ucisk ludu wiejskiego wzmógł się tak okropnie, że chłop niemiecki w niektórych okolicach był bliżki doszczętnego wytępienia. Połowa ludności wiejskiej wyginęła w Niemczech, w Saxonji samej w przeciągu dwóch lat ubyło jej 900.000; w Wirtembergji z 400.000

pozostało ledwie 48.000, w księstwie Meiningen ocalało się tylko 316 rodzin, w księstwie Nassauskiem były wsie, w których po dwie tylko rodziny zostało, w całym Palatynie w r. 1632 naliczono wszystkiego tylko 200 chłopów. Na Szlązku więcej było zwierzyny niż chłopów. Jakżeż wobec tego błednieje najgorsza nawet prawda, jaką na podstawie aktów wypowiemy o doli ludu w województwie ruskiem! Jakim nędzarzem był chłop niemiecki już w tym czasie, kiedy kmięć polski budził jeszcze dobrobytem swoim zawiść innych stanów i pomawiany był o skłonność do zbytków, przekazał nam rysunek Dürerowski, prawdziwy dokument historyczny, wymowniejszy może od słów Moscheroscha.

Nawet we Francyi, o tyle wyższej od Niemiec pod względem humanitarnej kultury, długo nie bywało lepiej niż w Polsce. »Widuje się pewne zdziczałe bydłeta — pisze La Bruyère jeszcze w r. 1689 — samców i samice, rozprószone po polu, czarne, zsiniałe i całkiem spalone od słońca, przybite do ziemi, którą grzebią i kopią z uporną zaciętością. Posiadają one jakoby głos artykułowany, a kiedy się podniosą na nogi, okazują oblicze ludzkie, i w istocie: to ludzie! Nocą chronią się do lepianek, w których żyją czarnym chlebem, wodą i jagodami.« Gorzej z pewnością nie wyglądał chłop polski niż ten chłop francuzki, którego losy z taką plastyką skreśliło nam w kilkunastu słowach pióro słynnego pisarza. Zachodzi tylko zawsze ta sama różnica, którą zaznaczyć mieliśmy sposobność przy innych stronach społecznego życia w Polsce, że gdzieindziej już współcześnie działać zaczynała reakcja państwa i prawa przeciw opłakanyim stosunkom, że wszędzie siła monarchy jako władzy zwierzchniczej i opiekuńczej wzrastała, podczas gdy u nas działo się przeciwnie.

Kwestyi chłopskiej dotykamy tylko przygodnie, tylko w ścisłym ograniczeniu czasu i miejsca — ale i tu nie zawadzi przestrzedz czytelnika przed bezwzględnością i ge-

neralizacją wniosków. Sądzić rzeczy według dzisiejszych pojęć byłoby anachronizmem, generalizować byłoby krzywdą. Winę ludzi łagodzić należy koniecznie winą czasów. Moc kaźdoczesnych wyobrażeń silniejsza bywa od serc i rozumów, a przecież mamy po temu wskazówki, że serce i rozum pewnej przynajmniej części społeczeństwa polskiego owej pory bywały mocniejsze od wyobrażeń czasów, a mamy je w licznych bardzo głosach ówczesnych pisarzy naszych, którzy jeśli gorącą obroną ludu i otwartą walką przeciw jego uciskowi wybiegali poza swój czas i wyprzedzali swoje społeczeństwo, to przecież z drugiej strony właśnie tylko w opinii i sumieniu znacznych kół tegoż społeczeństwa czerpać mogli odwagę do swoich śmiałych wystąpień. Orzechowski, Modrzewski, Górnicki, Skarga, Klonowicz, Starowolski i tylu innych, tak wymownych w obronie ludu, acz ogólnie rzecz biorąc, wyżsi od swego społeczeństwa, musieli przecież do pewnego stopnia mieć w niem grunt i echo.

Że tak było w istocie, tego mamy nierzadkie wskazówki w niedrukowanych głosach szlacheckich, w przemówieniach, listach i uwagach, jakie się przechowały w odpisach po raptularzach, kopiaryuszach i tych licznych *Silvæ Rerum*, które stanowią bogate a do dziś dnia niewyzyskane jeszcze źródło wiadomości społecznych i obyczajowych. Są to świadectwa ważniejsze może od tych, jakie mamy w literaturze, raz że są szczerze i najwniejsze, powtóre, że pochodzą od ludzi, o których nie można twierdzić tak samo jak o autorach, że wyprzedzali wyobrażenia swoich czasów. Przytoczymy jeden z takich głosów, tem bardziej uwagi godny dlatego, że pochodzi od człowieka, który już tem samem, że sympatyami swemi stał po stronie rokoszu zebrzydowskiego, uchodzić może za niepodejrzany typ szlachcica swojej pory, jak niemniej dlatego, że nas informuje, jakie *minimum* dobrobytu chłopa uważano za słuszne i konieczne w tych pierwszych

latach XVII. wieku. »Wróć się do pospólstwa — pi-sze ten szlachcic-anonim w liście do przyjaciela — tych ludzi *miseranda facies*; nie ludzie ale bydło; dobrze ich w pług nie zaprzęgają. A czemu by też nas nie miała bo-jaźń Boża ruszyć; bliźni toż to nasz! Więceśmy ukno-wali statut o zbiegłych kmieciach: dać za zbiegłego chłopca 500 *marcas*, a kiedy szlachcica zabiją, tedy dobrze mniej. A jakoż nie ma uciekać, kiedy mu niewola? Pan na jeden dzień po pięciorgu wygania na robotę: jedne orać, drugie siać, trzecie młócić, czwarte pleć, piąte siano grabić, i tak nie zostanie w chałupie, ktoby groch uwarzył. Ażaby też nie lepiej *ex aequo et iusto* z nimi żyć; i takbym rzekł: niechaj pan da chłopu ziemi mieć takiej i tyle, coby mu się najmniej sto kóp zboża na rok z dobrą sprawą i z gospodarstwem jego urodzić mogło. Do tego łąkę, coby mogło być siana 20 wozów z niej, k'temu drewno wolne na opał i na poprawę domową, paszę wolną, a ten chłop aby robił z tego trzy dni, czynszu aby dał złoty, ka-płony dwa, gęś, jajec pół kopy, stróża i przewóz. A jeśliby pan mniej roli dał, więc robota niechby była mniejsza, a jeśli więcej, więc robota większa, i tak mem zdaniem mogłoby się to zbytnie ubóstwo od pospólstwa odegnać. Więc rzeczami należącemi *plebeis*, aby się stan szlachecki nie bawił, jako szynkiem, gorzałką, przekupieństwem, pie-kaniem chleba *et id genus* — niech się tem lud pospolity żywi. Wierz-że Waszmość temu, żeby i król i ksiądz i pan i szlachcic i kmieć, kiedy by to tak było, mieli by się nie najgorzej.«¹⁾

Ale nawet w tak ściśle ograniczonych i z natury swej bardziej ujemnych źródłach, na których opiera się nasza opowieść, nie brak licznych wskazówek, że po za złem koniecznem, bo ugruntowanem na społecznym, prawnym porządku rzeczy, wiele było dobrego, nie brak wskazówek,

¹⁾ Rękopis Bibl. Ossol. nr. 314 p. 26—7.

że lud doznawał opieki i dobrotliwości od swoich panów. Zarysowują się w aktach takie szlachetne postacie, jak n. p. kasztelan sandomierski Ligęza, który dba po ojcowsku o losy swego chłopca, funduje domy dla ubogich włościan w swoich dobrach, ubezpiecza ład w gospodarstwie gmin wiejskich; jak kasztelan przemyski Stanisław Krasicki, który daleko idącymi ulgami w doli swych poddanych chce »sobie bogomódlstwo zjednać na potomne czasy,« jak Jan Jarmoliński, który testamentem swoim z r. 1653 uwalnia chłopów swoich na lat trzydzieści od wszelkich danin, czynszów i podatków. Spotykamy wyraźne wskazówki, że dziedziców i dzierżawców, którzy uciskali lud wiejski, traktowano z szczerem oburzeniem, że piętnowano ich pogardliwą nazwą »panów Odrzychłopskich.« Mnóstwo spotykamy przykładów, że dziedzice ujmują się gorąco o krzywdę, wyrządzoną ich poddanym czy to przez sąsiada, czy przez żyda, czy przez dzierżawcę lub swawolnego żołnierza, a nie zdarzyło się nam spotkać w aktach choćby jednego kontraktu dzierżawnego, w którymby dziedzic w osobnym ustępie nie zastrzegał bardzo obszernie i pod ciężkimi rygorami i zakładami, aby po nad zwykłe daniny i robocizny, ponad t. zw. inwentarz, dzierżawca nie obciążał i nie uciskał chłopów, aby się nie dopuszczał żadnych »angaryj i agrawacyj.« Kazimierz Krasicki idzie nawet dalej, bo w kontrakcie dzierżawnym waruje sobie prawo dowiadywania się od czasu do czasu wprost u chłopów, czy dzierżawca ich nie uciska, a chłopom zabezpiecza osobną klauzulą swobodę śmiałego wypowiedzenia swoich skarg bez obawy przed zemstą dzierżawcy. Halszka Kalinowska, starościna kamieniecka, wdowa po Walentym Aleksandrze, z domu Strusiówna, oddaje około r. 1637 zastawem część swoich dóbr chorostkowskich Samuelowi Jabłonowskiemu, który uciska bardzo chłopów. Uciemienzeni kmiotkowie udają się z serdeczną supliką do swojej dziedziczki, aby ich wykupiła »od tej

srogiej niewoli, która wszystkie tatarskie przechodzi.« Kalinowska natychmiast spełnia tę prośbę. Wzywa w formie urzędowej Jabłonowskiego, aby odebrał sobie pożyczonych jej 8000 zł. i ustąpił ze wsi zastawnych. »Mościwy panie Jabłonowski — pisze do niego w liście, wysłanym przez woźnego i dwóch szlachciców — Patrząc na supliki podanych, którzy płacliwie skargi swoje do mnie wnoszą, uskarżając się, że ich nieznośnemi krzywdami trapisz, do więzienia brać każesz, bydło zabierasz i t. d., przychodzi mi wykupić ich z tej niewoli Waszmości. Obwieszczam WMci urzędownie przez woźnego i szlachtę, abyś WMć do grodu trembowelskiego zjechał, pieniądze wziął, z majątności ustąpił, a ja gotowa zaraz oddać dług Waszmości. Proszę przytem, abyś Waszmość miłości chrześcijańskiej nad tymi ubogimi poddanymi zażył i onych do końca w niwec nie obracał.«¹⁾

Nie mniej też świadczą na korzyść czasów i ludzi spotykane często w aktach grodzkich t. zw. eliberacye i emancypacye, t. j. uwolnienia chłopów od poddaństwa, choć tylko małą ich część oblatowano. Głośna sprawa lwowskiego burmistrza dr. Marcina Kampiana, po którym spuściznę i dzieci około r. 1629 reklamuje hetman Stanisław Koniecpolski jako po swoim poddanym chłopie z Koniecpola, jest unikatem, zdradziecką machinacją wrogów tego sławnego burmistrza i lekarza²⁾ — w całym półwieczu prywatnych dziejów województwa ruskiego nie znaleźliśmy przykładu, aby dziedzic reklamował syna chłopskiego, który wybił się na inne stanowisko społeczne, został mieszczaninem, kupcem lub rzemieślnikiem. Eliberacye w regule były aktem bezinteresownej łaski lub wdzięczności; rzadko spotykamy się z wyraźnym okupem, a jeżeli gdzie zachodzi taki okup, jest bardzo mały. Najcięższy,

¹⁾ Agr. Trembowelskie, tom 121 pp. 1159, 1207.

²⁾ Łoziński Władysław, Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie str. 108—111.

jaki zanotowaliśmy, obejmuje beczkę wina, która kosztować ma 200 zł. i ptaszą rusznicę a także «i insze specyały, które należą małżonce mojej;»¹⁾ inne okupy są bagatelkami; chłop Proć Brodzicz płaci w r. 1624 Fedorowi Sieleckiemu za uwolnienie z poddaństwa 13 zł.²⁾

Na krótki czas przed porą, od której rozpoczynamy tę rzecz naszą, bo około roku 1573, dokonał się w Polsce ten proces ujarznienia ludu wiejskiego,³⁾ który aż do schyłku XV. wieku był warstwą społeczną prawie wolną i prawie obywatelską. Wspomnienia tej złotej epoki żyły jeszcze w świeżej tradycji, żyły może jeszcze w pamięci starców. »Tak ci bywało panie, pijaliśmy z sobą — ani gardził pan kmiotka swojego osobą« — mówi wódz w *Przymówce Chłopskiej* Kochanowskiego. Ale czasy naszego opowiadania leżą już po drugiej stronie przełomu, przypadają w porę dokonanego w zasadzie, wzrastającego w praktyce ucisku. Że pamięć lepszych czasów, że tradycja dawnych stosunków, kiedy to kmięć polski »rósł w pychę, w kosztowności się stroił i wydatki zbytłowne czynił«⁴⁾ była jeszcze żywą wśród ludu, że nie miał on jeszcze czasu stanąć na »martwym punkcie« rezygnacyi, świadczy o tem dobrze walka, jaką prowadzi z uciskiem, tam, gdzie jeszcze pozostawiono mu jakąkolwiek możliwość takiej walki, t. j. w królewskich przysługach. Liczne tego przytoczymy przykłady.

Ale po za królewskimi włościami możliwości obrony, oporu, protestu, nie było. Chłop stał niejako po za prawem. Zdany był na łaskę i niełaskę pana. Jedynym kodexem,

¹⁾ Eliberacya chłopca przez Jana Myszkowskiego w r. 1648 Agr. Przemyskie, tom 375 p. 695.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 375 p. 1443.

³⁾ Bobrzyński M. Karta z dziejów ludu wiejskiego w Polsce. Przegląd Polski z r. 1892 I. str. 9—31.

⁴⁾ Volumina Legum, I. p. 119. Quidam eorum (kmetthonum) in superbias efferuntur, pretiosis vestiuntur, expensasque sumptuosas et alia faciunt.



Fig. 39.

Chłop niemiecki według rysunku A. Dürera.

który zakreślał pewne granice jego niewoli, było serce i sumienie dziedzica, jedyną ochroną, która mu zapewniała pewną miarę ludzkiego bytu, był rozumny egoizm, interes ekonomiczny, który nakazywał konserwację roboczego inwentarza. Królewskiej opieki nie miał już właściwie od czasu, kiedy Zygmunt I. w roku 1543 zgodził się na statut, w którym zrzekał się prawa wydawania giejtów chłopom przeciw szlachcie. Zygmunt III. ponowił to zrzeczenie się, a konstytucya z roku 1588 pozostawiała mu prawo opieki nad chłopami i wydawania im giejtów tylko w starostwach i ekonomiach królewskich.¹⁾ To tłumaczy, że w aktach, jeżeli mowa kiedykolwiek o chłopach, to tylko o poddanych królewszczyń, i że oni tylko mają jeszcze opiekę nad sobą, niewątpliwie zawsze szczerą w intencji ale najczęściej platoniczną w skutkach. Chłop szlachecki to rzecz prywatna, to własność osobista, do której nikt nie ma prawa, prócz udzielnego dziedzica; bezbronny, niemy, w ziemię wdeptany Atlant, na którego barkach usiadło całem swem brzemieniem panujące społeczeństwo.

Król opiekując się ludem tylko w swoich ekonomiach, nie czyni już tego mocą swojej władzy publicznej, nie występuje już jako zwierzchnik państwa i najwyższy stróż prawa i sprawiedliwości. Jest to już interwencya czysto prywatna; król schodzi w niej na poziom zwykłego szlachcica, który poleca swemu dzierżawcy lub ekonomowi, aby lepiej traktował poddanych, z tą tylko różnicą, że szlachcic miał daleko krótszą ale też daleko pewniejszą rękę i rozkazy jego miały zazwyczaj więcej skutku niżeli mandaty króla. Szlachcic wyrugował swego dzierżawcę, wypędził ekonomą, jeśli nie respektował jego woli; król tego nie zrobił i zrobić chyba nie mógł, bo byłby pewnie zrobił w niejednym wypadku, w którym lekceważenie jego mandatów przybierało cechę nie już biernego

¹⁾ Volumina Legum, II. p. 252.

oporu, ale zelżywego, wyzywającego zuchwalstwa. Żaden starosta nie stracił swego starostwa, żaden dzierżawca swojej ekonomji za to, że urągał mandatom króla, ujmującym się krzywdy chłopskiej. A mandaty takie niezawsze były wydawane tylko *pro forma*, nie zawsze uważać je można tylko za źródło ubocznego dochodu kancelaryi królewskiej, dyktowała je najczęściej szczerą chęć zapobieżenia nadużyciom, szła za nimi akcja podejmowana na seryo, wychodziły pozwy na sądy referendarskie, zjeżdżały całe komisye z ramienia królewskiego, odbywały się dochodzenia na miejscu, przeprowadzane niekiedy z nadzwyczajną gruntownością i sumiennością.

Zaczynało się zawsze od tego, że włościanie pewnego starostwa lub ekonomji, uciskani nadmiernie przez starostów lub ich dzierżawców, wysyłali deputacyę do króla, która wracała z glejtem bezpieczeństwa dla siebie i z mandatem do oskarżonego, upominającym go do zaniechania nadużyć. Okupiony Bóg wie jak ciężką ofiarą grosza i trudu, a najczęściej także niebezpieczeństwem osobistem mandat królewski, nieśli deputaci do swojej gminy jak wyrok wyzwolenia, jak cudowną tarczę przed samowolą pana, jak świętość jaką — a przekonywali się niestety w domu, że był to papier bez znaczenia. Pewni, że otrzymawszy glejt królewski, stoją pod strażą majestatu i nie może ich spotkać nic złego od starosty, jego dzierżawców i ekonomów, doznają najczęściej zaraz po powrocie mściwego odwetu za to, że śmieli wnosić żalobę przeciw tyranowi. »Dzierżawcy królewscy — mówi świadek współczesny — nic na komisye, nic na dekrety królewskie nie dbają. A gdy którego prawem przycisną i inkwizycjami, tedy ci panowie, co przy dworze natenczas będą, jeden drugiego ratują, omawiają przed królem jako mogą, przyczyniają się za oskarżonym, chłopcy gromią, strofują, straszają i odpowiadają im, aby koniecznie sprawy odstąpili i zaniechali krzywd swoich nieznośnych. A gdy którzy

z chłopów wymienionych stoją mocno przy prawie swoim i nie ustają z suplikami do dworu — wnet ich pozabijać każą albo potopić, a chudobę, jeśli mieli jaką, konfiskować i między szczwacze swoje rozdać, zadawszy chłopu utopionemu, że buntownik był, że opryszek, że złodziejską z pogranicznymi przewodnią trzymał.«¹⁾

Akta województwa ruskiego traktowanej przez nas pory — a zaznaczyć tu musimy raz jeszcze, że wszystko co tu mówimy i w tej i w innych sprawach społecznych, należy brać, tak jak to dajemy, w potrójnem ograniczeniu: czasu, miejsca i źródłowego materiału — akta województwa ruskiego potwierdzają niestety przytoczone słowa. Zawierają one bardzo liczne i bardzo jaskrawe przykłady otwartego lekceważenia, szyderstwa, pogardy nawet, z jaką spotykały się mandaty i glejty królewskie. W starostwie leżajskim podstarościowie i dzierżawcy Łukasza Opalińskiego znęcają się nad chłopami, którzy wracają z glejtem od króla, biją ich, kańczugami sieczą, w tarasach zamkowych więżą; chłopci z Dębna otrzymują przeciw Opalińskiemu w r. 1604 glejt, w którym król »chce i rozkazuje, aby nie byli karani ci to poddani nasi, że się w krzywdach swoich do nas uciekali,« a podstarościowie strzelać do nich każą i wołają: »Że wam te mandaty nie pomogą, chłopci, które nosicie od Xiędza Referendarza, a po 30 grzywien mu dajecie; jeszcze przyniósłszy je, musicie posoliwszy pojeść! Nawet choćbyście i listy żelazne przynieśli, tedy wam nic nie pomogą!«²⁾ Podstarości Grabiński woła do chłopów z Gielarowy, którzy uzyskali także mandat przeciw Opalińskiemu: »Choćbyście wy mieli żelazne prawa, tedy się muszą padać, a wy przecie musicie robić na pańskie. A wiecie wy chłopcy, że pan starosta leżajski tu królem, i ja sam podlejszy, a przecie sobie król!« Delegatów,

¹⁾ Starowolski, Reformacja obyczajów, str. 105.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 320 p. 1309.

którzy z Dębna chodzili z żałobą do króla, ten sam Grabiński każe przystawić do Leżajska, bić postronkami plecionymi, które przedtem zmoczono, i wsadzić do »gąsiora.«
»Byście wy nietylko listy ale i żelaznego króla przynieśli — mówi im — tedy wam nic nie pomoże, bo ja tu król, ja tu pan!«¹⁾

Adam Stadnicki, kasztelan przemyski, starosta stryjski, albo raczej jego ekonomowie i dzierżawcy wywołują także ciągłe żaloby kmieci tego starostwa, a kiedy chłopi z Synowódzka i Stynawy szłą delegata do króla, podstarości Szaniawski delegata tego nazwiskiem Fesza za to, że »gromadzie rady i pieniędzy dodawał,« napada i grabi, całą sadybę jego plądruje, potem dom i budynki pali. Trzydziestu chłopów z Synowódzka, którzy w r. 1605 do króla chodzili, podstarości ten zakuwa w kajdany i wrzuca do więzienia, wołając: »Nie pomoże wam ani glejt ani król!«²⁾ Prokop Pieniążek, chorąży ziemi przemyskiej, kiedy mu chłopi z Chotyńca, włości królewskiej, produkują dekret królewski przez woźnego i dwóch szlachciców, woła: »Bym miał przez nich przy jednej koszuli zostać, tedy ich w niwec obrócę, i tych, którzy do króla na mnie skarżyć chodzą, na pal wbijać każę!«³⁾ Jan Korytko, łowczy ziemi przemyskiej, mszcząc się na chłopach z Bartatyna za to, że zniszczeni zagonem tatarskim, starali się u króla o folgę w robotach, ściąga z nich 200 zł. winy pieniężnej, za to zaś, że »za przyjechaniem jego do dzierżawy z pokłonem go nie przywitali« każe im zapłacić 100 zł., znieważa mandat królewski, wrzuca delegata do więzienia, »którego już tam podobno zmorzył,« jak się wyraża ponowny mandat królewski, zarzucający Korytce: »że pod gardłem do nas chodzić zakazałeś, po drogach broniąc tym poddanym do

— — — —

1) Agr. Przemyskie, tom 321 pp. 1308, 1311.

2) Agr. Przemyskie, tom 321 pp. 1084—91.

3) Agr. Przemyskie, tom 338 p. 748.

nas przystępu, pozastępować im kazaleś.«¹⁾ Floryan Pawłowski, podstarości księcia Konstantego Wiśniowieckiego, starosty kamioneckiego, porywa Demka Zeliskę, który wraz z innymi chłopami z Batiatycz i Sielca chodził do króla z skargą na ucisk i krzywdy, za brodę, tłucze jego głowę o mur i woła: »A tyś to buntowniku do króla chodził i chłopom robić nie każesz!« W odpowiedź na mandat królewski odczytuje ten Pawłowski wrzekomy list od księcia, który jakoby pisze: »Bij postronkiem i wodą polewaj, a tak długo, póki się robić nie podejmą. Będzie im król; jam król za swoje pieniądze.«²⁾ Faktor starostwa dolińskiego, żyd Szaja, który ma do dyspozycji swojej bandę Tatarów i kozaków dworskich, wracającego od króla chłopą z Nadziejowa zatrzymuje w drodze, każe go obić i woła nań z szyderstwem: »Otóż tobie glejł króla JMci!« a popa z tej samej wsi, Iliasza, okuwa w kajdany i do więzienia wsadza, kiedy zaś popa wzywają do chorego, pozwala mu iść, ale z kajdanami na nogach.³⁾ Bartłomiej Stojewski, dzierżawca wsi królewskiej Sanoczka, doręczony sobie przez woźnego mandat królewski w obronie chłopów znieważa nikkzemnie gestem, który po polsku opisać się wzdragamy... »*In praesentia laboriosorum suprascriptum mandatum levipendens eodem mandato finem dorsi aliquot vicibus tergebāt*, dodając, że taki mandat za 6 groszy sprzedaje kancelarya« — są słowa relacji woźnieńskiej.⁴⁾ Remigian Żaboklicki, dzierżawca Czerchawy i Olszanika, chłopą, który odważył się chodzić z skargą do króla, każe kilkakrotnie wychłostać, »przepowiadając mu za każdym razem: »Wołajże teraz króla! Ja tobie król!«⁵⁾ Nie dziw, że i chłop patrząc na taką zuchwałą i bezkarną poniewierkę

1) Agr. Przemyskie, tom 377 p. 356—8.

2) Agr. Lwowskie, tom 385 p. 803—8.

3) Agr. Halickie, tom 132 p. 423—66.

4) Agr. Przemyskie, tom 323 p. 712.

5) Agr. Przemyskie, tom 361 pp. 549—555.

majestatu i na bezskuteczność giejtów, zaczął niekiedy także lekceważyć mandaty królewskie. Chłop z Woli Tarnawskiej, Łuć Worowicz, na okazany mu przez dzierżawcę mandat królewski powiada, »iż to plotki nie uniwersał; ważniejsze jest prawo nasze zasiadne niż ten uniwersał, bo damy kilka złotych na to królowi a łącznie otrzymamy to u króla.«¹⁾

Nie masz w całym województwie ruskiem ekonomji królewskiej i starostwa, z któregooby chłopci nie udawali się do króla z skargami na ucisk bezprawny. Z przemyskiego, lwowskiego, halickiego, sanockiego starostwa, z dołińskiej, stryjskiej, samborskiej, kamioneckiej, jaworowskiej ekonomii płyną żale i lamenty pod stopy tronu. Zaczynają się zaraz po objęciu rządów przez Zygmunta III. i odwołują się zawsze do niedawnej przeszłości, w której było lepiej, do poprzednich t. zw. inwentarzy, które były sprawiedliwsze, a o których przywrócenie i przestrzeganie proszą chłopci, tak, że potwierdza się wniosek, iż rozgranicze wieków XVI. i XVII. było krytyczną, przełomową fazą w losach ludu wiejskiego i że sroga reakcja, jaka nastąpiła w dzierżawach rakuzkich po stłumieniu buntu chłopskiego w latach 1594—7, a następnie po takimże buncie pod wodzą Szczepana Fadingera w r. 1626, wywarła także wpływ na postępowanie szlachty polskiej z ludem. Podziwienia godną jest wytrwałość, z jaką niektóre gminy walczą przeciw uciskowi starostów i dzierżawców; przez kilkadziesiąt lat bez przerwy czynią one wysiłki, aby utrzymać się przy starodawnym wymiarze robót i danin, które chciwość starostów a bardziej jeszcze ich dzierżawców i nieludzkość podstarościch i ekonomów znacznie pomnaża a niekiedy podwaja. Dwie gminy starostwa dołińskiego i kilka gmin starostwa leżajskiego rozpoczynają akcyę przed królem w ostatnich latach XVI. wieku i pro-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 323 p. 803.

wadzą ją mimo ciężkich kar i prześladowań, jakie je za to spotykają od starostów, bez przerwy aż w sam głąb XVII. wieku. Procesy te są jedynem źródłem do poznania doli ludu w województwie ruskiem w objętym przez nas okresie czasu, a jakkolwiek odnoszą się wyłącznie do królewszczyzn, dają nam niejako podstawę do wniosków o losach chłopów szlacheckich.

Najciężej zda się uciskany był lud w starostwach dolińskim i leżajskim, skargi bowiem z tych starostw są najgęstsze i najdłużej się wloką przez akta. Starostą dolińskim był Jerzy Krasicki, człowiek gwałtowny, charakter burzliwy i awanturniczy, o którym w jednym z dalszych rozdziałów mówić będziemy obszernie; starostą leżajskim Łukasz Opaliński, głośny z swej wojny z Dyablem Stadnickim. Owe dwie gminy starostwa dolińskiego, o których u góry wspomnieliśmy, a które przez pół wieku walczą z starostą do upadłego, są to gminy Nadziejów i Raków. Krasicczy nie byli złymi panami. Z starostw dzierzonych przez nich nie płynęły przedtem skargi na ucisk do króla — tylko starosta doliński odbiegł od tej zacnej tradycyi. Ojciec jego Stanisław, kasztelan przemyski, ochmistrz królewski, wystawił był obu tym gminom w r. 1596 dokument, confirmowany przez króla, w którym to dokumencie zatwierdza im i zachować obiecuje wszystkie starodawne wolności i prawa, i swoim następcom na starostwie dolińskim obowiązek ten uroczyście przekazuje. »Chcąc też sobie bogomodłstwo zjednać na potomne czasy — pisze kasztelan przemyski w tym dokumencie— aby sukcesor mój starosta doliński tychże poddanych na niezwykle podatki i roboty, także powołowszczyzny nie wyściągał, zachowuję te poddane z Nadziejowa i Rakowa i ich potomki według terażniejszego zwyczaju wiecznymi czasami, aby na roboty i pańszczyzny, także powołowszczyznę, której z dawnych czasów w starostwie dolińskim nie bywało, przyciągani nie byli.« Według tego doku-

mentu chłopci Nadziejowa i Rakowa mieli tylko płacić po 7 zł. i 22 groszy czynszu od każdego łanu, dawać opłatę od karczem, dostawiać kolejno straży do dworu z każdego łanu po jednym człowiekiem, i wolno im było używać gruntów królewskich do tych wsi należących.¹⁾

Z dwóch synów kasztelana młodszy, Marcin, starosta przemyski i wojewoda podolski, jak to wnosić należy z braku skarg chłopskich i napomnień królewskich, poszedł za dobrą tradycją swego rodu, ale starszy Jerzy, następca kasztelana na starostwie dolińskim, nie uszanował niestety woli szlachetnego swego ojca. Zaraz po objęciu starostwa przyszło do zatargów między nim a obu gminami, które udały się z skargami do króla. Tradycya ojcowska była jeszcze zbyt świeża, aby ją zdeptać można było bezwzględnie, Jerzy Krasicki dał się tedy skłonić do ugody z obu gminami i w r. 1605 »zdał się na osobę Jmci Henryka Firleja z Dombrowicy, referendarza kor., w tych wszystkich wątpliwościach. Takie tedy postanowienie według submisyj obu stron ks. referendarz uczynił: Naprzód obiecuje p. starosta doliński za tą niniejszą zgodą w niczem woli Jegomości pana ojca swego nie kontradykując, tych poddanych z Nadziejowa i Rakowa według prawa tego, które mają z łaski Króla Jego Mci i zwyczajów dawnych, nic na nich nowego nie stanowić albo wyciągając, we wszystkim stale i spokojnie zachować. To jest: nie zaciągać na nich powołówszczyzn, pomiaru, pił, budowania, niezwykłych pańszczyzn, podwód żadnych, zaciągów, powozów nadzwyczajnych, okrom na 20 mil raz tylko w jeden rok z łanu w osiedm a nie więcej; na strażę po jednemu tylko z łanu jednego posyłać powinni będą. Poddani zaś posuszeństwo, powinności swe zwyczajne, t. j. czynsz z łanu po 7 zł. 22 groszy, przy którym jałowicę jedną ze wsi, stacyę trzykroć do roku: dwie panu staroście a trzecią jego podstarościemu

¹⁾ Agr. Halickie, tom 137 pp. 1730—2.

tym sposobem: na każdej z nich po dwie mace owsa, żyta po półmacku, pszenicy po ćwierci, gęś jedną, kur dwoje, jajec dziesięć, sery dwa małe nie wałaskie, a miasto wieprzów za te wszystkie trzy stacye mają dawać Jęgo-mości ze wsi za rok zupełny po 4 złote.« Obie strony ugody tej dotrzymać obiecują pod zakładem 6000 zł. a podpisało ją obok Krasickiego czterech pełnomocników Rakowa i Nadziejowa.¹⁾

Jerzy Krasicki ugody nie dotrzymał. Jeszcze tego samego roku król upomina go o to — »rozumiemy — pisze — że zechcesz uczynić, ochraniając łaski naszej.« Napomnienie nie pomaga; chłopi nadziejowscy i rakowscy ponownie uciekają się do interwencji królewskiej, żaląc się, że mimo ugody zawartej z nimi starosta »hajduki nadzwyczajne wybrał i onych do szkody wielkiej przywiódł, ludzi starych pobrał, brody im pogolił, więzieniem niewolił, sarn, których nie masz na prawie, niesłusznie wyciąga, także i jałowice niezwyczajne nad postanowienie wybiera, cieśle do budowania najmować zmusza, za drwa, którechmy powinni dawać po wozowi jednemu, po pięciu groszy wyciąga a drwa przecie dawać zmusza.« Król w ponownym mandacie wzywa Krasickiego przed sąd referendarski. »Chąc krzywdy tych to poddanych dostatecznie ukoić i skutecznie obwarować — są słowa mandatu — jakoby dalszego bezprawia nie ponosili, rozkazujemy ci, abyś Wierność Twoja na dzień 20. miesiąca kwietnia (1609) przed sąd nasz referendarski sam przez się albo przez plenipotentę swego stanął i na skargi pomienionych poddanych sprawę dał i decyzyi naszej się przysłuchał. Upominając w tem Wiern. Tw., że lubo natenczas przed sąd nasz staniesz lubo nie staniesz, my jednak prawnie przeciw tobie postąpić rozkazemy. Napominając jeszcze o to pilnie i koniecznie mieć to chcąc, aby ci poddani o to, że się do

¹⁾ Agr. Halickie, tom 111 p. 217.

nas jako do pana zwierzchniego w krzywdach swoich uciekają, żadnego bezprawia i karania nie ponosili, owszem w pokoju byli zachowani.«¹⁾

Czy Krasicki na sąd stanął, czy nie stanął — na jedno to wychodziło, bo jak nie szanował mandatów króla, tak samo nie miał respektu dla dekretów referendarskich. Już po cytowanym mandacie do dawnych krzywd dorzucił nowe, kazał sobie n. p. płacić chłopom t. zw. żyrowszczyzny po 6 groszy co roku, podczas gdy mu się należało tylko po 3 grosze i to tylko w tych latach, kiedy się żer rzeczywiście zrodzi, zakazał im warzyć sobie piwo na chrzciny, wesela i prężniki, co było od niepamiętnych czasów ich prawem; karczmy, które przedtem trzymali sami chłopci, poodbierał im i wydzierżawił żydom; ściągał od nich po 22 zł. co roku na utrzymanie hajduków, a hajduków takich miał 18 i t. p. Ale to są tylko drobne nadużycia wobec tego, co następuje w dalszych latach. Mandaty po mandatach idą od króla, zjeżdżają na miejsce komisarzy, jak n. p. w r. 1609 kanonik poznański Andrzej Ubysz, w r. 1637 sufragan chełmski ks. Abraham Sładkowski, w r. 1642 ks. Jan Karol Czołchański i Hieronim z Skrzynna Dunin, sypią się bez końca pozwy na sądy referendarskie — i to wszystko trwa lat pięćdziesiąt, a los włościan w starostwie dolińskim zamiast się poprawić, staje się coraz gorszym. Jak z początku tylko gminy Nadziejów i Raków, tak z biegiem lat gminy Grabów, Suchodół, Lipowiec, Trościańce, Mizuń, Jaworowa i inne błagają króla o ratunek, błagają Władysława IV., jak błagali jego ojca, a niema śladu w aktach, aby się to na co zdało, przeciwnie ucisk rośnie a zuchwały opór starosty przebiera miarę, i chyba to jedno tłumaczy tego człowieka, że umysł jego nie był całkiem normalny, jak się to później pokazało, i że wiecznie zajęty pozwami, terminami, awanturami, cały za-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 113 pp. 37, 95—6.

rząd starostwa pozostawiał w rękę swych ekonomów i wierników, najczęściej ludzi bez serca i sumienia, a chciwych ubocznego zysku.

Podniecany przez swoje niegodne otoczenie, Jerzy Krasicki chłopów z Rakowa i Nadziejowa, zniszczonych w r. 1622 zagonem Tatarów, którzy z obu tych wsi zabrali 150 jeńców i 300 sztuk bydła, zniewala wbrew dekretowi króla do ciężkich danin i czynszów, nasyla na nich swoich nadwornych Tatarów i kozaków, ścigać i grabić zezwala. Dwaj arendarze dolińscy, żydzi Szaja i Jakób, napadają w r. 1635 na nieszczęśliwy Nadziejów z gromadą hajduków starościńskich, »którzy *ad instar Tartarorum*» z dzikim okrzykiem na wieś uderzyli, tak że jej mieszkańcy w mniemaniu, że to istotnie Tatarzy, do lasów z żonami i dziećmi pouciekali i tam całą dobę ukrywali się przed najazdem, podczas gdy draby plądrowały. Spalono wtedy biednym chłopom 30 wież solnych, które stanowiły główne źródło ich dobrobytu.¹⁾ Chłopi przywiedzeni do rozpaczki odbiegają chat, chudoby i siejby, a starosta zboża i wszystkie sprzęty domowe, konopie, lny i ogrodowiny albo na swój pożytek dworski obraca albo do majątności swej dziedzicznej Rachini odsyła. »A od pustych dworzyszcz ci pozostali biedni ludzie robić i podatki płacić muszą. Gdy który ubogi człowieczek przywiezie sobie żywności jakiej z Wołynia albo z Podola (w zamian za sól) do ubogiego domku swego, tedy żydzi, t. j. arendarze p. starosty, zaraz z wozu miarkę zboża biorą.«²⁾ Nietylko wsie starostwa ale i jego stolica, miasteczko Dolina, doznaje srogiego ucisku. Mieszczanie dolińscy skarżą się przed królem, że starosta »lekceważy glejty i *vadia* królewskie, uciska ich srodze, śledzie ładajakie przekupuje, dla większego zysku ku szkodzie i zniszczeniu mieszczań narzuca i one płacić przymusza, na podwody niezwyczajne

¹⁾ Agr. Halickie, tom 129 pp. 866—870.

²⁾ Ibidem, tom 131 pp. 1057—8.

wygania, wartę miejską z kilkudziesięciu wsi pod 1000 człowieka na każdy dzień dla bojaźni swej zgromadza i siebie strzedz rozkazuje, tak że niemal trzecia część miasta precz iść musiała i miasto przez to w niwec się obróciło. Ratusz, gdzie sądy się odprawowały, odjął; mieszczek kilka z miasta wziął do majątności swojej Dubiecka i do tego czasu w ciężkiem więzieniu trapi.«¹⁾

Kiedy nareście Jerzy Krasicki popada w obłąkanie, a król Władysław IV. przydaje mu kuratorów, którym porucza także zarząd starostwa dolińskiego — syn jego najstarszy Stanisław, podczaszy łomżyński, bezprawnie, otwartym gwałtem, bo zbrojnym zajazdem, zajmuje starostwo dolińskie i wbrew mandatom i uniwersałom królewskim przez całych dziesięć lat gospodaruje w niem jak u siebie. Nie mogąc zmusić do rezygnacyi i milczenia chłopów Nadziejowa i Rakowa, którzy z heroiczną zaprawdę stałością bronią przed królem swych praw pogwałconych, wypuszcza Stanisław obie te wsie niejakiemu Duczymińskiemu, któremu zapewnia pomoc w ostatecznem pognębieniu ludu i odtąd obie te gminy zamiast jednego dwóch mają tyranów. Z mandatu Władysława IV. do Stanisława Krasickiego dowiadujemy się o dalszych krzywdach i nadużyciach, których ofiarą padają Raków i Nadziejów. »Na wzgardę i zniewagę dekretu naszego i na zgwałcenie glejtu delatorom konferowanego — są słowa tego pisma z r. 1644 — gdy tego dekretu egzekucyę w grodzie popierać chcieli, czeladź swą do domów delatorów nasłałeś, delatorów połapałeś, komory, skrzynie połupiwszy, dobra ich wszystkie zabrałeś, delatorów przy koniach przywiązanych do dolińskiego zamku przyprowadzonych do przykrego, ciemnego więzienia wrzuciłeś i tam kneble w gęby powprawiawszy kijami bijąc i inne męki różne zadawając po miesiącu i kilka niedziel trzymałeś, a względem okupienia jakiegoś 10.000 zł.

¹⁾ Ibidem, p. 650.

od nich wybrałeś. Sołtysom, gdy dla uskarżania się gdziekolwiek do ksiąg albo do Dworu naszego jadą, na drogach zastępować rozkazujesz, bić i zabić pozwalasz, od spraw skończenia różnemi sposobami odstraszasz.«¹⁾ Mimo wyroków banicy i infamji, mimo królewskich uniwersałów, wzywających w r. 1644 i 1645 szlachtę ziemi halickiej do zbrojnej egzekucji²⁾ przeciw banicie i infamisowi — Stanisław Krasicki nie ustępuje z uzurpowanego starostwa i dopiero w r. 1648 przechodzi ono w ręce Mikołaja Daniłowicza.

Z taką samą wytrwałością i przez niemniejszy przeciąg czasu, co Nadziejów i Raków, bronią się w starostwie leżajskim przeciw uciskowi i nadużyciom Opalińskiego i jego urzędników gminy Dębno, Gielarowa, Sarzyna, Kuryłówka. Opaliński ma dwóch ekonomów, Głuchowskiego i Grabińskiego, którzy zapisali się pewnie na długo w pamięci ludu tych okolic. Według starodawnych inwentarzy gminy te powinny były robić od łanu dwa dni w tygodniu, od północy do południa, od t. zw. czwartego półdnia, tymczasem zmuszano chłopów do cięższej pańszczyzny bez różnicy na rozmiar posiadanej roli.³⁾ Król uwzględnia skargi chłopów, przyznaje im słuszność, zsyła na miejsce komisję, złożoną z dwóch sekretarzy swoich, Piotra Kochanowskiego i Kaspra Michałowskiego — nic to nie pomaga, nadużycia trwają dalej, a wiemy już, jaki odwet spotyka delegatów chłopskich, którzy ośmielili się chodzić imieniem gmin pokrzywdzonych do króla. Nie lepiej się dzieje w starostwie jaworowskim tenuty Jakóba Sobieskiego, wojewody ruskiego, w starostwie grodeckim Myszkowskiego i w starostwie samborskim, które jest niejako dziedziczne w rodzinie Mniszchów. Chłopi z gmin

¹⁾ Agr. Halickie, tom 137 pp. 1962—4.

²⁾ Agr. Halickie, tom 139 pp. 1408—9.

³⁾ Agr. Przemyśkie, tom 316 p. 276.

Szkła, Starego Jeżowa, Olszanicy, Czerniławy, Wierzbian, Trzcianca i Zawadowa wysyłają swoich delegatów, trzech gospodarzy, na termin w sądzie referendarskim (r. 1644), przed który zapozwali Sobieskiego, a właściwie jego dzierżawcę Filipa Rykowskiego, i tak streszczają swoje *gravamina*: »Dzierżawcy niestusznie ich do robót przez cały tydzień tak z łana jak z półłanka jako i z ćwierci pociągają, na każdy dzień pola im 30 zagonów do orania wymierzając, także i do powozów dalekich i ciężkich, jako po wina do Węgier, przymuszają albo też pieniądze za fury biorą i onych żydom i kupcom najmują; sep z wierchem, nie pod rękę, dawać niewolą; czynsz po złotych pięciu i groszy dziesięciu z łana wybierają, kapłony po groszy 10 i jagnię dziesiąte po groszy 4 od każdego jagnięcia biorą. Od pszczoł domowych po plastrze miodu wzdłuż i wszerz na półtory piędzi wybierają albo też po groszy 10 płacić za każdy plaster każą. Od barci także leśnych, od których przedtem po zł. 4 płacili, teraz po 5 zł. wyciągają. Zboża folwarkowego po korcy 5 do spichlerza wywieść każą, na jeden wóz kładąc, zkad im się wozy i sprzężaje psują. Od dREW leżących, co na potrzebę swą poddani wożą, od każdego razu od siekiery po groszy 15 biorą, pola i łąki własne poddanych na folwark zabierają, zakosy, obkosa, zażynki, obżynki na głowę co rok robić przymuszają. Do stawów na szarwarki bez dnia (t. j. nie odliczając tego od dni roboczych) wyganiają; zboża lecie oziminy po kóp 3 a jarzyny po kóp 4 wozić przyniewalają; prząść po łokci 12 z roli, kto w piecu pali, każą, zagrodników do robienia po 2 dni od poranka przymuszają. Ryb wędą i sakiem łowić nie dopuszczają, piwa na prązniki warzyć i gorzałki palić, co im było zawsze wolno, zabraniają. Od poddanych, którzy piwo na prąznik warzą i gorzałki palą, po dwie mierze od jednego słodu biorą. Szałasnikom szałasów zabraniają. Podatki od owiec podwyższają. Poddanym, którzy płótna robią a na roli

siedzą, po kilka półsetków bez pańskiego dnia robić każą a nie płacą. Od poddanego, który w gromadzie nie będzie albo do lasu na wilki i do stawu na szarwarek nie chodzi, po 6 groszy nie z roli ale z pieca wybierają, włóczyć końmi dwoma a nie jednym i to broną wielką przyniewalają. Żyta po kóp dwie a nie po snopów 40, jarzyny zaś po półtora kopy młócić zmuszają.«

Sądy referendarskie po wysłuchaniu obu stron wydały następujący wyrok: Chłopi robić mają každy dzień w tydzień od południa z łanu po dwóch, z półtanka po jednym, jednak od WW. Świętych aż do św. Wojciecha poniedziałki mają mieć wolne. Orania nie ma się im z góry wymierzać, tylko co kto może, przy widzu dworskim ma orać. Sep ma być bez żadnych czubów, ale pod rękę. Dalekie powozy i po wina mają ustać, tylko po sól jechać mają trzy razy do roku, przyczem za każdą furę ma się chłopom wytrącić 12 dni z pańszczyzny. Żydom i kupcom wynajmywać ich nie wolno. Na furę tylko jedną kłodę zboża przemyską albo jaworowską ma się ładować. Nie pieniądze ale kapłony *in natura* mają dawać na św. Marcin. Jagnięta mają się liczyć zaraz po św. Wojciechu i zaraz ma być wybierana z nich dziesięcina, albo po 15 groszy za każde jagnię dziesięcinne. Plastrów miodu pięćdziesiąt nigdy niema się mierzyć tylko podług deski i to tylko od starych a nie od młodych pszczół. Jak się miód nie zrodzi, wolni są od tej daniny. Od barci leśnych płacić mają poddani tylko po 4 grosze. Wolno im dwa dni w tydzień do lasów jeździć po drwa leżące i przewroty i do grodzienia i nic za to płacić nie mają. Na materyał budowlany otrzymywać mają drzewo bezpłatnie. Na stawy iść mają tylko w razie gwałtownym, t. j. gdy się stawy rwą. Zażyńki i obżyńki raz do roku každy gospodarz z chleba odprawować będzie; zakoski i obkoski mają być zniezione. Ryb łowić nie wolno. Gorzałki i piwa warzyć wolno raz do roku i na wesela. Na wilki i sarny chodzić nie

mają; szalasz na owce bronić im nie wolno. Za płótno dnie mają im być liczone. Zagrodnicy dwa dni pieszo od południa robić mają. Broną taką ma się włóczyć, jaką kto ma, a nie wielką; młócić mają poddani nie kopę całą ale 50 snopów. ¹⁾

Nie tak szczęśliwi, jak poddani starostwa jaworowskiego, którym dekret sądów referendarskich, jeżeli mu dzierżawcy byli posłuszni, przynieść mógł znaczne ulgi, nie tak niestety szczęśliwi byli chłopi z Wiszenki, Dobrostańskiej Woli, Czerlan, Zawidowa, Porzecza, wsi starostwa gródeckiego, którzy podnoszą także skargi przeciw swemu staroście, Władysławowi z Mirowa Myszkowskiemu. Żałoby ich nie odnosiły długo skutku, a kiedy nareście wyprawili swoich delegatów w drogę na sądy referendarskie, deputacya ta zgubiła w podróży wszystkie papiery i munimenta, które niosła zawinięte w chustce. Znalazł je przejeżdżający tą samą drogą niejaki Piskowski i dał znać do Wiszenki o znalezionej zgubie. Gromady wysłały po papiery do Piskowskiego aż pod Włodzimierz, ale nikczemnik ten zażądał od biednych chłopów 100 czerwonych złotych i nie dał się ubłagać, tak że wysłańcy płacząc wrócili do domu z próżnemi rękami. ²⁾ Zdjęci rozpaczą, straciwszy nadzieję wygrania sprawy z starostą, chłopi pomienionych wsi poczęli uciekać do inszych starostw i majątków szlacheckich albo ukrywać się tymczasem po miastach, w Szczercu i Janowie, szukając znośniejszej doli. ³⁾

Chłopi starostwa czyli raczej ekonomii samborskiej w ciągłym są procesie z Jerzym Mniszchem. W zażaleniach swoich tytułują się zawsze: »o bywa te le poddani Króla Jego Mości.« Głównym powodem do żalów był w niektó-

¹⁾ Agr. Lwowski, tom 395 pp. 357—365. Rok 1644.

²⁾ Agr. Lwowski, tom 396 p. 2733.

³⁾ Ibidem, p. 1027—1030.

rych wsiach tego starostwa uciążliwy bardzo obowiązek dowożenia drew do licznych żup solnych. W r. 1603 redukuje go król Zygmunt III. do pierwotnej prawowitej miary; chłopi obowiązani do zwózki drew mają z łanu zwieść do roku po 150 wozów, kładąc na wóz po 15 płach bukowych a po 18 płach jodłowych; który zaś z nich dla braku dobytku wozic nie może, płacić ma od fury po groszy 3. Żadnego już natomiast czynszu płacić nie są powinni. ¹⁾ Na zbadanie krzywd i nadużyć, na które zanoszą skargi chłopi innych gmin tej ekonomii, jak n. p. Medyni, Horucka, Bylic, Łuzka, Niedźwiedzy, Prus, Rykowa i t. p., zarzucający starości, że po nad inwentarze starodawne każe im robić codziennie, z wyjątkiem dni targowych, po czworgu z łanu, odbywać dalekie podwoły, dawać po 10 pni pszczoł i t. d., wysłał król w roku 1608 pisarza kancelaryi swojej ks. Stanisława Faleńskiego, zaś wkrótce potem zjeżdża z polecenia królewskiego do Sambora cała komisya, złożona z podskarbiego wielkiego kor. Jana Firleja, podczaszego łomżyńskiego Jana Zamoyskiego, proboszcza pułtuskiego a późniejszego biskupa ks. Stanisława Siecińskiego, kanonika gnieźnieńskiego ks. Stanisława Makowskiego, starosty bolimowskiego Marcina Krasickiego i dworzannina Adama Stadnickiego, która »według Boga i słuszności« ma rozpatrzyć stosunki włościańskie i usunąć nadużycia.

Chłopi opierają się w swych żalobach na inwentarzu z r. 1587 poprzedniego dzierżawcy Piotra Ślostowskiego i nie wymagają niczego innego, jak tylko powrotu do sprawiedliwej miary powinności, którą stanowił ten inwentarz a którą Mniszech przekracza samowolnie. Trzeba przyznać, że komisya ta pojmowała swoje zadanie bardzo sumiennie, nie żalowała czasu i trudu, przesłuchiwała bardzo cierpliwie chłopów, wyjeżdżała nawet w bardzo niedostę-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 319 p. 1568.

pne podówczas góry samborskie i badała stosunki bezstronnie. Chłopi zanoszą przed komisję cały szereg zażaleń. Zamiast dani baraniej i świniej *in natura* pobiera od nich starosta po 46 groszy z każdego łanu, zasłaniając się tem, że chłopi ukrywają swoje trzody i wypędzają je do Węgier. Komisya nie uznaje argumentu Mniszcha i orzeka, że powinność ta ma być oddawana *likiem*, t. j. że nie wszyscy chłopi, ale tylko ci, którzy faktycznie mają owce i świnie, dawać będą każdego dwudziestego barana lub owcę, albo płacić grosz jeden od każdego dziesiątego. Chłopi płacili według dawnego inwentarza po 4 zł. z łana a Mniszech ściągał z nich po 18 zł., twierdząc, że tym sposobem ryczałtuje tylko inne opłaty, komisya jednak z uwagi, że to sprzeciwia się inwentarzowi Ślostowskiego, który Mniszech obejmując starostwo podpisał i zachować się zobowiązał, przyznaje słuszność chłopom. Mniszech używał wybrańców i kmiecych synów do własnej posługi i parady, posprawiał im barwy i popisывał się ich eskortą na uroczystościach, n. p. na weselu króla — komisya gani mu to i nadal czynić tego nie pozwala; synów kmiecych nie ma zniewalać do prywatnej służby starosta, »chyba który sam zechce, to mu wolno być ma,« wybrańcy zaś mają być traktowani ściśle według ordynacyi króla Stefana, mają być opatrzeni w broń przepisaną i bronić włości samborskiej od napadów z węgierskiej strony. Liczbę dni roboczych ustanawia komisya według inwentarza Ślostowskiego na 12 z łana po dwojgu, a z półtanka po jednemu bez względu na różnicę wymiaru łanu, t. j. bez względu na to, czy łan obejmuje 30, 24 lub tylko 16 pretów, gdyż zdaniem komisyi niedostatek w obszarze rekompensuje dobroć ról. Z półtanka mają chłopi do żupy kłaść po dwa wozy; od wożenia soli należy im się po 5 groszy od każdej beczki. Straż starodawnym trybem ma być przez chłopów odprawiana; dwadzieścia gmin ma dostarczyć po 6 człowieka na straż bezpieczeństwa do zamku sam-

borskiego, inne tylko po dwóch; niemniej do nowego dworu Króla Jego Mości w Nowym Samborze po sześciu, w czasie zaś wyjątkowej trwogi i podczas odpustu na św. Onufry u św. Spasa liczba ta według potrzeby ma być powiększona. Król zatwierdza uchwały komisji i poleca wydać każdej gminie pismo z skarbową pieczęcią, z wyrażeniem czynszowych powinności według t. zw. inwentarza Ślostowskiego z r. 1587.¹⁾

W ziemi przemyskiej najwięcej skarg wywołuje dzierżawca królewskiego klucza medycznego, Samuel Trojecki, stolnik przemyski. Z wszystkich zapisków w aktach wpływa, że należał do najtwardszych panów, a król wysłał do niego mandat po mandacie, grożąc mu nawet w roku 1605, »że przyjdzie nam w tej sprawie z innej miary poczynać.« Najwytrwalej, z niebezpieczeństwem zdrowia, mienia a nawet życia walczył przeciw Trojeckiemu włościanie z gminy Torki. Zawzięty ich opór i nieustraszona walka z dzierżawcą tłumaczy się faktem, że jarzmo pańszczyzny dopiero wkładano na ich barki. Jeszcze w r. 1565 chłopie towarzyscy nie czynili żadnych zaciągów, nie płacili żadnych podatków, nie mieli żadnych powinności, pełnili tylko służbę około stad królewskich, które na wielką skalę utrzymywane były w medyckiem starostwie. Cała ich powinność polegała na tem, że kosili trawę i sprząтали siano dla koni, co im zajmowało kilka dni w całym roku.²⁾ Nie dziw też, że mając w świeżej pamięci przeszłość swobodną, bronili się do upadłego przeciw pańszczyźnie. Za opór i ustawiczne pozwy do króla Trojecki ściga ich zemstą. Chłopów, którzy chodzili z skargą do króla, porywa z chat, zabiera do Trójczyc i okutych w kajdany osadza w wię-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 143 pp. 131—157.

²⁾ Jabłonowski Alex. Polska XVI. w. Tom VII. część II. str. 430.

ziennych lochach. Sciga jednego z deputowanych, chłopca Steczkę Pierzchałę, którego uważa za głównego przewodzcę, odgraża się i »na gardło mu odpowiada, byle go dostał.« Pierzchała musi uchodzić ze wsi i chronić się »pod księżę,« t. j. ucieka do dóbr przeworskich księcia Ostrogińskiego, a Trojecki więzi trzynastu chłopów, których o ukrywanie zbiega posądza, grozi im rozstrzelaniem, jeśli go nie wydadzą, syna Pierzchały zakuwa w kajdany, nad matką i siostrą jego gniew swój wywiera. Oprócz Torek występuje z skargami odważnie także gmina Poździacz, która mając obowiązek dostarczania podwód królewskich na »dwanaście stron,« powinna była odrabiać tylko 6 dni pańszczyzny w roku, a Trojecki zmuszał ją do 24.¹⁾ Inne gminy klucza medyckiego powinny były odrabiać tylko 3 dni w tygodniu, Trojecki zniewalał ich do sześciu, a kiedy opierając się na dawnym swem prawie ośmieliły się przeciw temu remonstrować, zamknął najśmielszych kmieci do tarasu, a wyprowadzając ich po jednym, smagać ich kazał powrozem węzłowatym i splecionym we troje.²⁾ Trojecki ma na swoim dworze cały oddział piechoty pod komendą osobnego rotmistrza, a kiedy mu to nie wystarcza do trzymania chłopów w postrachu, pożyczają sobie żołnierstwa od Konstantego Korniańskiego. Do Torczan, idących do Przemysła, aby w grodzie oblatować mandaty królewskie, wydane w ich obronie, Trojecki każe strzelać swoim hajdukom, którzy wpędzają chłopów do Sanu i Wiaru, kilku z nich ranią a kilku topią. Trojecki pojmanych rzuca do więzienia, posyła po kątą i trzyma więźniów w udręczeniu i śmiertelnej trwodze.³⁾

Gdyby się tenutaryusze starostw i włości królewskich trzymali byli tych »starodawnych« inwentarzy, do

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 318 pp. 1261, 1535.

²⁾ Ibidem, pp. 698—701.

³⁾ Agr. Przemyskie, tom 332 p. 1809.

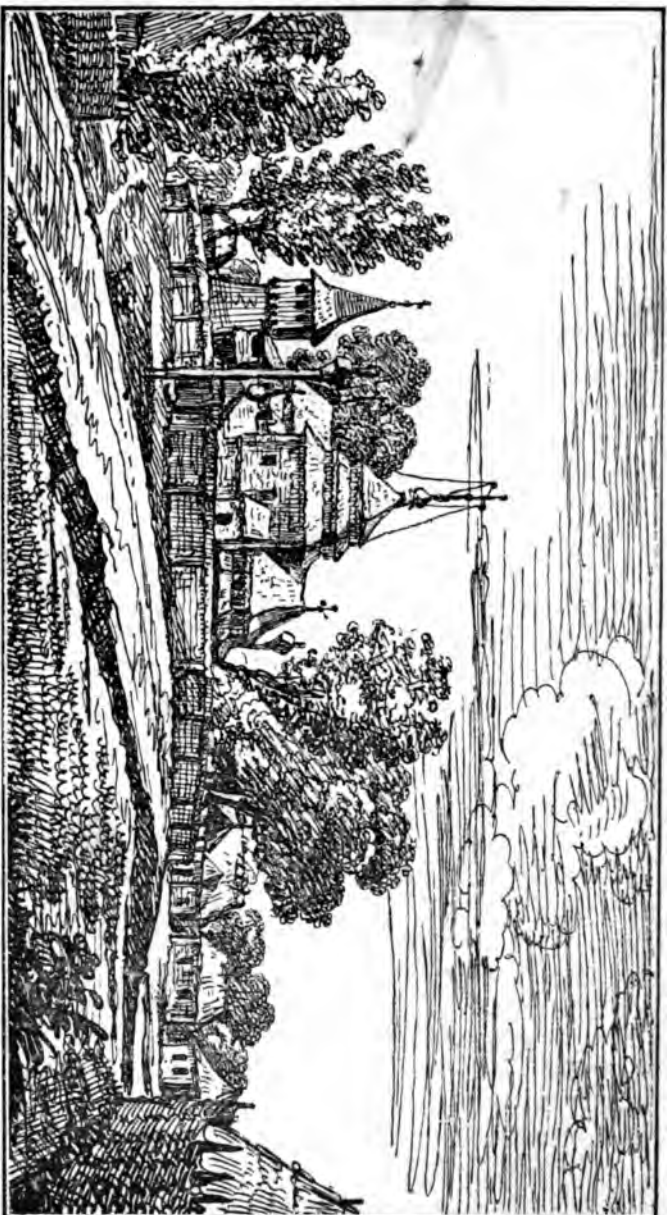


Fig. 40.

Torki pod Medyką z starożytną cerkiewką, która pamięta czasy naszego opowiadania. Rysunek Kielisińskiego.

których tęsknią, o które tak mężnie walczą kmiecie królewscy, dola ludu wiejskiego w królewskich włościach byłaby nawet w porównaniu z współczesnymi stosunkami zagranicy do pewnego stopnia pomyślną. Tak n. p. chłopci z Poździacza według przywilejów swoich, zatwierdzonych przez Władysława IV. w r. 1640, płacą od całego łanu tylko 2 zł. i 18 groszy czynszu, dają po jednym korcu owsa, po półkopie jaj i po parze kur a odrabiają pańszczyzną tylko przez dwa naście dni w całym roku;¹⁾ chłopci z dwóch dalszych wsi ziemi przemyskiej, Starzawy i Kurylówki, wedle dekretu króla Stefana mieli robić tylko jeden dzień w tygodniu z każdego półdworzyska, a do podwód wolno im było używać tylko do najbliższych miasteczek. Czynszu płacili tylko po 10 groszy od półdworzyska, owsa danego brał dzierżawca tylko po pół beczki. W roku 1600 dzierżawca Hieronim Ciechanowski każe im już wozić ciężary w dalekie strony, do Jaślik i Rymonowa, żyta każe ładować na jeden wóz po »dwie kłodzie« miary przemyskiej, a drwa po płach 60. Z półdworzyszcza ściąga od chłopów po 16 groszy na drwa i po 8 łokci przędzy. Kiedy się parobczak żeni, ma dać do dworu 12 łokci płótna. Z barci starzawskich wybiera Ciechanowski tytułem dani miodowej po 30 grzywien, »choć niemasz już nic lasów w Starzawie i barcie poginęły.«²⁾

Według inwentarza starostwa śniatyńskiego z roku 1622 orać mieli poddani dwa dni na wiosnę, dwa dni na jesień, zasiać tę zoraną rolę, zawlec, i co się urodziło, pożąć, zwieźć, zmlócić. Trzy dni w roku mieli kosić, czwartego dnia była tłoka. Młynowszczyzna czyli osep według możności kmiecia, po półmacku owsa i jęczmienia; dań pszczelna dziesiąta, owcza dwudziesta. Czynsze wedle przemożenia kmiecia po 1 do 3 zł., na wielkanoc od

¹⁾ Ibidem, tom 380 p. 1667.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 316 pp. 357—60.

każdego kmiecia kura i dziesięć jajec; z czterdziestu owiec jedno jagnię. Niektóre wsie mają małe odmiany w inwentarzu powinności; tak n. p. w Russowie płacą chłopci tylko po 20 groszy czynszu od całego dworzyszczca i żadnych podwód nie odbywają; w Rybnie, Kobakach i Kutach mają dawać pstragów pewną liczbę; w Dołhopolu i Roztokach, położonych w górach nad Czeremoszem, tuż nad wołoską granicą, chłopci »żadnych powinności nie czynią przez odległość, tylko dziesięcinę owczą oddają roczną po 10 baraniech i pstragów suchych po 30.«¹⁾ W włości królewskiej Hołhoczu w ziemi halickiej chłopci pociężni powinni robić 5 dni co tydzień od południa, szósty dzień, t. j. czwartek mają wolny. Czynszu dają po groszy 15, podymnego po groszy 2. Zamiast dani pszenicznej płacą po 3 zł., dają po 5 półmacków owsa, po 2 kapłony, po jednej kurze, po 12 jajec i po dwa łokcie przędzy; dziesięcinę owczą dwudziestą, pszczelną dziesiątą; powołowszczyznę co siedm lat. Poddani, którzy siedzą na półdworzyszczach, pracują trzy dni od południa, czynszu płacą półosma groszy, dają w dani pszenicznej półtora zł. Reszta danin także o połowę mniejsza, tylko dziesięcina owcza i pszczelna taka sama, jak u kmieci pociężnych. Komornicy w »swoich domiech« robią tylko jeden dzień co tygodnia i dają czynszu po groszy 12; komornicy ubodzy bez chałup oprócz jednego dnia roboty koło plewidła lub żniwa i 6 groszy czynszu nic nie powinni. Chłopi »słobodni nowo przysiedli« odrabiają zaorki, oborki, zakoski, obkoski, zażynki, obżynki i jedną tłokę, i dopiero po wysiedzeniu trzech lat mają robić równo z innymi komornikami.²⁾

Że lud wiejski w królewszczyznach, jeżeli tylko nie dostał się pod człowieka z tej klasy chciwych i niesumiennych wyzyskiwaczy, istnych pijawek krwi chłopskiej, która

¹⁾ Agr. Halickie, tom 120 pp. 1029—1035.

²⁾ Ibidem, pp. 774—787.

niestety zwłaszcza między dzierżawcami i rządcami miała licznych reprezentantów — dochodził do pewnego, niekiedy nawet wcale znacznego dobrobytu, na to znajdujemy niejedną wskazówkę w aktach województwa ruskiego. Osobliwie z bardzo szczegółowych, niekiedy całe wolumina obejmujących wykazów szkód i extorsyj wojskowych, stacyj żołnierskich i t. p., i z rejestrów dołączanych do skarg o zajazdy i rumacye, zestawianych z bardzo drobiazgową ścisłością, w których każda kura, każde jajo wzięte u chłopa jest wyszczególnione, można wnosić, że w chatach wiejskich niezawsze świeciła nędza, że były między nimi i zasobne. W zestawieniu n. p. takim podanem przez Elżbietę Koniecpolską w protestacyi o krzywdy wyrządzone włóściom klucza załotowskiego w r. 1619 przez powiatowego żołnierza, czytamy, że chłopom zabrano po kilka wołów, krów, koni, że w każdej chacie były połcie słoniny, zapasy miodu, wosku, gotówka, że niektórzy gospodarze stracili przez żołnierza po kilkadziesiąt owiec, że posiadali liczny drób i duże pasieki.¹⁾ W żałobie przeciw Jerzemu Bałabanowi wyliczają chłopi z Perehińska, co im tenże zabrał gwałtem przy okupacyi tej wsi w sporze z Jabłonowskim, a figurują tam takie pozycye: Aurelowi Hanusowi wzięto 75 owiec, 2 wieprze, 50 zł. gotówką, Olenie Wiśniowitce 100 owiec, 40 baranów, 30 pni pszczoł; Hryciowi Hadynce 400 zł. w gotówce, 5 koni, 60 owiec, 6 cieląt, 40 pni pszczoł; Siemionowi watanowemu synowi 200 zł. gotówką, 3 konie, 4 woły, 5 krów; Prokopowi Dziaczkowi 100 owiec, 4 sztuki bydła, 40 pni pszczoł, 3 wieprze, 18 gęsi i 168 zł. gotówką i t. d. Z Perehińska samego wybrać miał Bałaban w ciągu kilku lat tytułem czynszów, danin i win około 700 wołów, 100 krów, 1000 owiec, 150 jałowic i 12.000 gotówki.²⁾ Kiedy Jerzy Krasicki grabi chłó-

¹⁾ Agr. Halickie, tom 141 pp. 1297 i dalsze.

²⁾ Agr. Halickie, tom 133 pp. 1097, 1107.

pów Nadziejowa i Rakowa, zabiera niektórym z nich po kilkaset fur drzewa, po 150, 250, 300 zł. gotówki, po kilkadziesiąt tysięcy stołpów soli,¹⁾ po 10 wołów; u niektórych była nawet broń, po kilka rusznic i szabel, które właściciele śmiało reklamują, a więc przypisują sobie prawo ich posiadania.²⁾ Chłopi poddani Stanisława Koniecpolskiego i chorążego braclawskiego Dzika handlują wołami; chłop Hnat Pawliszyn z Myszkowic i Hrycko Szkuta z Denysowa sprzedają w r. 1638 w Gródku Jerzemu Boimowi ze Lwowa pierwszy 48, drugi 70 karmnych wołów po 22 i 27 zł. za sztukę.³⁾ Chłopi starostwa dolińskiego wyprawiają się z solą na Wołyń, Podole i Ukrainę, i wracają z sporą gotówką i wozami pełnymi krup i mąki, co im przysparza bardzo znaczne zyski; chłopi niektórych włości ekonomji samborskiej, n. p. Wołczego i Machnowca, wydzierzawiają od Mniszcha całe folwarki.

Wysoce oryginalny, od ludu wszystkich innych ziem województwa ruskiego zupełnie odmienny typ stanowi lud ziemi halickiej. Kraj to w pierwszej połowie XVI. wieku prawie bezludny i dziki, dopiero około połowy tegoż wieku nieco gęściej osadzony, pełen puszczy głuchych i gór niedostępnych, jeszcze w pierwszych latach XVII. wieku zwolna pługiem polskim zdobywany, znajduje się niejako w pierwszej dopiero fazie społecznej ewolucji i kultury. Chłop ziemi halickiej, na poły pasterz na poły opryszek, jeszcze do pierwszych lat XVII. wieku wolny, bo mu dopiero ubiegały lata slobody, »kopiący się« wśród lasów i połonin na surowym korzeniu w małe osady rolniczo-pasterskie, nie zna pańszczyzny w twardem tego słowa znaczeniu, opłaca się staroście leśnymi produktami,

¹⁾ Stołp, był to krążek soli, gruby na palec, długi na dwa palce; za 100 takich stołpów płacono się 1 grosz.

²⁾ Agr. Halickie, tom 132 pp. 423—466.

³⁾ Agr. Lwowskie, tom 389 p. 1141.

dowozem materyałów budowlanych, gontami, zwierzyną, owcami, miodem i bydłem, którego posiada wielką obfitość, bobrami, które jeszcze roją się po rzekach a zwłaszcza w Lipie, kunami, pstrągami z górskich strumieni, a w końcu i służbą zamkową i wojenną, jak n. p. chłopi Królewskiego Pola, którzy niemal do końca XVI. wieku za całą pańszczyznę tylko trzy dni w roku koszą trawę starości, a zato »każdy ma mieć konia dobrego zawsze ku potrzebie i kaftan i przyłbicę, łuk i oszczep, i tak porządnie na każdą potrzebę starosty halickiego i kołomyjskiego jechać.« Nieprzebrane lasy bukowe rozciągają się nad Dniestrem, Bystrzycą, Łukwią, odwieczne dąbrowy bołszowieckie, chorostkowskie, ihnatkowskie jeszcze nie popłynęły były do Gdańska i nie wypaliły się na potasz, Karpaty, »góry wielkie, które zowią *Alpes*«, jak się wyraża lustracya z r. 1566, pokryte ciemnymi borami, a na tych górach, wśród tych puszczy i borów tajemniczo ukryte szałasze pasterskich chłopów, wypasających owce i wieprze. Lud butny, dziki, śmiały, nie dziw, że w przełomowych latach przy końcu XVI. i na początku XVII. wieku niełatwo dał się wziąć pod jarzmo poddaństwa, że pełen jeszcze żywych, bo pamięcią jednego prawie tylko pokolenia objętych tradycyj »słobody« i niezawisłości, wszystkimi sposobami bronił się starostom i dzierżawcom a w nieszczęsnym r. 1648 rzucił się do krwawego buntu.

Na rozgraniczach ziemi halickiej, gdzie już sama odległość i nieprzystępność zapewniała chłopom pewną niezawisłość, a poblizie ziemi wołoskiej, ziejącej niejako bandami opryszków, odstraszało dzierżawców i ekonomów starościńskich, istniały jeszcze w głąb XVII. wieku gminy, żyjące jak chwast na stepie, bujnie i dziko. Dzierżawca był już kontent, jeżeli od tych poddanych, z których każdy na poły był opryskiem, dostał od czasu do czasu jakąś owcę albo kilka suszonych pstrągów. Tam też zdarzać się mogły takie postaci, jak ów Ihnat Wysoczan,

o którym już raz była wzmianka, chłop możny i butny, który żyje jak szlachcic, śmieje się z władzy starościńskiej i jak mały królik trzyma całą okolicę w zawistości i strachu, nie wyjmując nawet drobnej, zagonowej szlachty, którą pogardza. Wysoczan pochodził z Wiktorowa; był czas jakiś osadcą, t. j. osadził około r. 1620 za przywilejem starosty halickiego nową wieś »na surowym korzeniu« i nazwał ją Słobodą Wysoczańską, ale pogniewał się na starostę za to, że »do używania tej słobody, do trzymania jej *absolute*, tak jako chciał, pozwolić nie chciał,« i dlatego osadnikom rozejść się rozkazał i »*ex odio et rancore* wioskę tę spustoszył.«

Osiadłszy pod Bednarowem, bogaty i zawsze otoczony liczną drużyną, nie zna władzy nad sobą, jest magnatem chłopskim, tak samo udziałnym, jak każdy możny szlachcic owego czasu. Szlachcic zaściankowy z Bednarowa, Tomasz Sulatycki, który doświadczył na sobie buty i samowoli Wysoczana, kreśli nam w swojej protestacyi bardzo charakterystyczny wizerunek tej niezwyklej postaci. »Przywłaszczając sobie tytuły szlacheckie — mówi Sulatycki — dostawając wielokroć praw i zapisów tak dziedzicznym jak i zastawnym a przytem i gwałtownym prawem, browar sobie zbudował i szynk urządził w Bednarowie, czego *plebeis* prawa koronne bronią. Zwierzchności żadnej nad sobą mieć nie chce, owszem wolności sobie nawet większe niż szlacheckie przywłaszcza, grunta szlachcom w Bednarowie odejmuje. Dwór sobie na kilka strzelenie z łuku za wsią Bednarową zbudował, za rzeką, między lasy, na stronie od ludzi, na miejscu podejrzanem, aby tam wolną przewodnię odprawiać mógł z rozbójnikami i opryszkami. Zabierał zdobycze Tatarom po kilkakroć na szlacheckich ich pospolitych, tamecznych bednarowskich, mając do tego za używaniem wolności czasy sposobne i wiele ludzi na to przysposobionych; wiele szat kościelnych, aparatów, naczynia złotego i srebrnego, pieniędzy i szat, które Tata-

rowie w pogronie swoim porzucali, zabrał, całe wozy tem ładował. Z szlachciami spowinowaciwszy się, zubożony, w pychę urósł, zaczął nas szlachtę uciskać, domy najeżdzać, łąki wypasać. Bez wiadomości przedniejszych szlachciców, porozumiawszy się tylko z niektórymi spowinowaconymi, w cerkwi bednarowskiej w dzwony uderzyć kazał na gwałt, na co się szlachta bednarowska i ich poddani ze wszystkich stron zbiegli, a wtedy Ilnat Wysoczan synowi swemu Semie szlachcica sędziwego Tomasza Sulatyckiego zabić kazał, wołając: »Żem ja raz tylko trzech albo czterech szlachty zabił i zapłacił; a i na tych mam niejeden tysiąc złotych, że ich zapłacę, zaś na prawo jeden *czetwertynnik* pieniędzy odważę, a drugi *czetwertynnik* na pana.«¹⁾ Zobaczymy w dalszym ciągu, jaką krwawą rolę odegra ten Wysoczan w buncie chłopskim z r. 1648, na którego czele stanie jako herszt naczelny, jak będzie oblegał i zdobywał zamki, łupił i palił dwory szlacheckie, znacząc ślady swoje mordami i pożogą.

Wysoczan był z początku »osadca,« należał więc do licznej podówczas klasy przedsiębiorczych chłopów, którzy za przywilejami dziedziców lub starostów trudnili się zawodo tworzeniem nowych osad *in cruda radice*, przywabiając poddanych z ludniejszych okolic obietnicą swobód i wolności kilkunastoletniej, »koczując« chłopów, t. j. ułatwiając im ucieczkę z pod innego poddaństwa. W czasach jednak, o których piszemy, w województwie ruskiem tylko wyjątkowo powstawały nowe osady — ruch kolonizacyjny zwrócił się wyłącznie na olbrzymie niezaludnione obszary Podola i Ukrainy. Spotykamy w aktach bardzo rzadko przykłady tworzenia nowych osad a i te pochodzą głównie z końca XVI. stulecia. Jan Kostka, wojewoda sandomierski, pozwala w r. 1584 Mikołajowi Sławskiemu osadzić na surowym korzeniu wieś nową, która ma nosić nazwę

¹⁾ Agr. Halickie, tom 123 pp. 129 i dalsze.

Młodycze, a powstać na granicy włości Oleszyckiej ku rzece Rudawa. Osadnicy otrzymują wolność od robót i czynszów na lat piętnaście, poczem nastąpić mają takie same powinności, jak w skarbie jarosławskim. Sam osadca Sławski otrzymuje cztery łany na wyłączną swoją dziedziczną własność.¹⁾ Stanisław Włodek z Hermanowa, kasztelan kamieniecki, starosta halicki, sady nową wieś za konfirmacją Zygmunta III. na gruncie królewskim Pawelcze w r. 1582 i powierza stworzenie tej nowej osady trzem »osadcom,« braciom Mikołajowi, Ihnatowi i Łazarzowi Turczańskim. Według nadanego im przywileju Turczańscy mają na wyznaczonem uroczysku osadzać chłopów, »pokazować« im pola i sianożęcia, rozdawać im je do »wyprzątania,« wyznaczać i stawiać chałupy. Lasów używać ma nowa wieś wspólnie z istniejącą już wsią Jamnicą. Wszyscy osadnicy, tak oracze jak zagrodnicy, mają zapewnioną wolność do lat piętnastu, od czasu, jako który osiądzie. Wolni będą przez ten cały czas od wszelkiej powinności, czynszów, poborów, podatków, robót, powozów i innych prac, a po piętnastu latach będą mieli następujące powinności: z łanu 4 złote rocznego czynszu, od owiec dwudziestego barana, jeden owczy pas albo poprąg wałaski, co roku dziesiąty wieprz z trzody, co roku przywóz do zamku »dwojga drzewa« do budowania, także desek i gontów, kto je robi; dalej każdy oracz ma na Boże Narodzenie przywieźć do zamku dwa wozy drwa opałowego, dwa kapłony, jedną gęś, jajec kokoszych dwanaście; z pasieki, kto ją ma, daje dziesiątek; w końcu mają dwa dni do roku kosić i skoszone siano sprzątnąć i dwa dni żąć zboże. Dla przesłuchania skarg i wymiaru sprawiedliwości odbywać się będzie dwa razy do roku schadzka na zamku halickim u starosty.²⁾ Sami osadcy Turczańscy za trudy

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 314 p. 1284.

²⁾ Agr. Halickie, tom 132 pp. 661 i dalsze.

swoje otrzymują wójtostwo w nowej wsi i następujące dalsze *beneficia*: Mogą wykopać i na swój użytek obrócić 6 łanów, siódmy zaś łan ma iść na popa, a »ten pop jako bogomodlca wolen będzie od wszelkich danin i powinności;« mogą sadzić na swój użytek tyle podsadków, ile będzie można, mogą sobie sianożęcia wybierać, młyn i folwark zbudować, karcznię i browar wystawić. Z dani chłopów należeć im się będzie trzeci grosz, trzeci baran, trzeci wieprz i z kar pieniężnych (win) trzeci kwartnik. Osadcy mają zwierzchność nad osadnikami, przestrzegają »swawolnictwa i porządku« w nowej wsi, a chłopi mają im trzy dni do roku robić, jeden dzień orać, dwa dni kosić, trzy dni żąć, a na Boże Narodzenie dawać po kołacz i kurze, na Wielkanoc zaś kołacz i tyle jaj, »co być może.« Wójtostwo to otrzymują Turczańscy na wieczne czasy, a gdyby późniejszy jaki starosta chciał ich »ruszyć,« musi ich wykupić, płacąc za każdy łan po 100 grzywien.

II.

CHŁOPI W DOBRACH SZLACHECKICH. PRZYKŁAD SĄDU NA
CHŁOPA. WYPADKI OTWARTEGO OPORU. OPIEKUNOWIE LUDU.
WYBUCH W R. 1648. IHNAT WYSOCZAN, DUX PRIMARIUS.
UDZIAŁ MIAST, KSIĘŻY I SZLACHTY W BUNCIE POKUCKIM.
KAŁUSZ JAKO STOLICA RUCHU. STĘMIENIE BUNTU I ODWET.

Jak już powiedzieliśmy, akta województwa ruskiego dostarczają materiału tylko do historii ludu włości królewskich, o doli chłopów szlacheckich bardzo skąpe zawierają wzmianki. Przeciw dziedzicowi swemu chłop protestować nie śmiał i nie mógł, a gdyby nawet śmiał był i mógł, nie miał instancyi, przed którą by się mógł uskarżyć na ucisk i nadużycia. Księgi grodu były dla niego zamknięte — otwierały się dlań wtedy tylko, kiedy przy asystencyi własnego pana zanosił pozwy i protestacye przeciw krzywdom, które go spotkały ze strony trzeciej, n. p. od sąsiednich chłopów z pod innego dziedzica albo od swawolnego żołnierza. Czasem tylko i to bardzo wyjątkowo chłopci szlacheccy wnoszą żalobę przeciw dzierżawcy, widocznie tylko w takich wypadkach, w których są pewni, że znajdą poparcie swego dziedzica. Tak n. p. chłopci z Siemuszowej, mając za sobą dobrą panią cześnikową Eufrozinę Kamińską, występują w r. 1647 śmiało przeciw jej dzierżawcy i wytaczają mu pozwy.

Jedynym źródłem do poznania losu chłopów w dobrach szlacheckich są kontrakty dzierżawne, o ile w nich zawiera się także inwentarz poddanych i ich robocizny. Kontraktów takich spotkaliśmy jednak niewiele i to tylko w aktach ziemi sanockiej. Według nich najwyższa liczba dni roboczych w tygodniu wynosiłaby 4 (Dolny Jasień), najniższa półtora t. j. trzy półdnie od południa; najwyższy czynsz od łanu 21 zł. (Jasień), najniższy 22 groszy (Siniawa). Według inwentarza z roku 1644 chłop z Siniawy (własność dziedziczna Wojciecha Truskolawskiego), siedzący na całej roli, oprócz wspomnianego już czynszu 22 gr. dają po 4 kury, po jednym kapłonie, po pięciorgu jaj i po miarce orzechów co roku. Do orki, do żniwa, do grabarki, do wiązania, do zgarywania siana, do tarcia konopi, do brania lnu, do kopania warzywa wychodzić ma na robotę z każdej całej roli po dwoje; do młocki, do siekiery po jednemu. Ponadto są jeszcze inne roboty, które odprawiać się mają »za pański dzień« albo »bez pańskiego,« t. zn. które albo liczą się za dzień roboczy albo są obowiązkiem poza dniami pańszczyzny. Za pański dzień mają chłopci siniawscy wozić drwa i chrust, po jednym wozie od całej roli, swojemi końmi włóczyć, z pola zwozić i na targ z zbożem jechać, na zażen od zaranka do południa po dwoje wysyłać, podróż odprawić do Krosna, Rymanowa, Brzozowa. Bez pańskiego wyjść mają raz do roku na zakoski trawne, raz na owsiane, raz na zgrabki, mają konopie maciorki wymoczyć, wymądlić i wytrzeć, śliwy suszyć, sztukę jedną wyprząść. Dzierżawcy nie wolno wynajmywać chłopów w sąsiedztwo. Chłopi na półroli robią trzy dni od południa i płacą połowę czynszu; zagrodnicy robią dwa dni od południa i dają 14 groszy czynszu, komornicy nie płacą nic i odbywają tylko dwa półdnie od południa lekkie roboty, przyczem otrzymują strawę dzienną ze dworu. Powinnością wszystkich bez różnicy jest stawać do gromady,

kiedy pan każe, ścigać szlaki złodziejskie, ratować stawy, gdyby się rwały, na gwałt bieżeć, gdyby rozboje groziły.¹⁾

Chłopi z Łubnej, poddani kasztelana przemyskiego Stanisława Wapowskiego, płacą czynszu od całego łąnu 1 zł. 24 groszy, dają po sześć korcy owsa, na Wielkanoc po dwoje kur t. zw. »pocziwych« i po 36 jajec i robią codziennie pół dnia. Robota ujęta jest nietylko miarą czasu ale także miarą wydatności; i tak oranie ma objąć w dniu roboczym 12 zagonów o trzech skibach czyli po 12 lasek, a laska ma być na 3 łokcie wzdłuż. Kto robi około drzewa, ma w jednym dniu roboczym położyć jeden wóz drwa albo jeden wóz chrustu i zaraz chrust ten wygrodzić; kto młóci, ma się uporać z jedną kopą. Na wóz sprzężajny nie powinni brać więcej jagieł, pszenicy, grochu, żyta jak tylko po 4 korcy, jęczmienia i tatkarki po 5, owsa po 6 korcy miary dynowskiej. Po sól mają jechać raz do roku i każdy ma przywieźć po 5 kłód, za co przez 5 dni wolny jest od roboty. Kto jedzie w drogę, ma jeden dzień wolny przed wyjechaniem i jeden po powrocie. W święto nikt nie ma obowiązku odprawiać furmanki. Nadto każdy kmieć na całej roli ma oddać co roku sztukę oprawną przędzy, a jeśli da i drugą sztukę, ma 6 dni wolnych od roboty. Przędziwa dostarcza dwór, »a ma być chędogo wyprawne, nie paździerzyste, aby kmieć swoim nie przykładał.« Dnie robocze zaczynają się od południa, tylko na obżen powinni co drugi dzień wychodzić o wschodzie słońca.²⁾

Wyjątkowo mierne są powinności w tenutach Marcina Kalinowskiego, hetmana pol. kor., w włości tustanowieckiej, we wsiach Śniatynka, Stara Wieś, Hołobutów i t. d. Chłopi, co na ćwierciach siedzą a mają woły, płacą czynszu 16 gr., dają po półmiarce owsa, po jednym kapłonie, po jednej gęsi, po 10 jaj, po jednej kurce wielkanoc-

¹⁾ Agr. Sanockie, tom 157 pp. 688—94.

²⁾ Ibidem, tom 150 pp. 337—343.

nej, po jednym *powiesmie* (wieńcu) grzybów, po kwarcie kminu, po miarze orzechów. Pańszczyznę odrabiają trzy dni w tygodniu zimą i latem, ale zawsze tylko od południa. Popi, dziesiętnicy, rzemieślnicy nic nie płacą i nic nie dają.¹⁾

Do ważnej a mało znanej kwestyi sądownictwa chłopskiego, do wyjaśnienia, jakiej procedury trzymał się starosta, dzierżawca, ekonom lub dziedzic, kiedy chodziło o kryminal popelniony przez chłopą, i czy w ogóle była przytem jakaś procedura choćby tylko zwyczajowa, akta województwa ruskiego bardzo skąpego dostarczają materiału. Z nielicznych i przygodnych tylko wzmianek wypływa, że odgrywali w tem rolę w ziemi halickiej atamanowie, w przemyskiej tywunowie, w lwowskiej wójtowie, w ekonomii samborskiej kniaziowie, we wsiach t. zw. wołoskich nad Strwiążem krajnicy, że w starostwach odbywały się peryodyczne zbory, na których odbywały się sądy, że szlachta odsyłała swoich chłopów-zbrodniarzy często przed sąd ławniczy najbliższego miasta, częściej do grodu, jeśli był także w pobliżu — spotykamy jednak także przykłady, że dziedzic sam z własnej mocy jest i stroną i sądem i wykonawcą wyroku, że sam prowadzi inkwizycję, sam woła kata, sam skazuje na śmierć winowajcę w pierwszej i ostatniej instancyi. Gdzie głowę niewinnie zabitego chłopą opłacano 30 grzywnami, tam oczywiście nie wiele sobie robiono ceremonji z osądzeniem i straceniem takiego, który się dopuścił ciężkiego występku. Oczywiście nie mamy tu na myśli pospolitych wykroczeń przeciw posłuszeństwu dziedzicowi, zwykłych przewinień przeciw jego powadze lub jego interesom materialnym; z tego, co już przytoczyć mieliśmy sposobność pod tym względem, łatwy wniosek, że sąd bywał doraźny, kara bezzwłoczna a wymiar jej często surowy, zawsze dowolny.

¹⁾ Ibidem, tom 165 pp. 871—897.

Na to daje nam zresztą jasną a smutną odpowiedź literatura nasza tego czasu: Orzechowski, Skarga, Górnicki, Starowolski, Modrzewski, który mówi o »wyrzeżania godnych językach« ludzi »nieczystych,« co głosić się nie sromają, iż »ktoby wieśniaka albo chłopą zabił, jakoby psa zabił,« na to daje odpowiedź Klonowicz, który w kilku wierszach tak skreślił dolę wieśniaczą:

Bo kmiotaszek ubogi ustawnie do dwora
Robi sobą i bydłem aż do wieczora,
Karmi się ustawiczną biedą i kłopotem,
Zimnem i upaleniem, łzami, dymem, potem,
Cierpi kuny, biskupy, korbacze, gąsiory,
Osoczniki, pochlebce, podatki, pobory...¹⁾

Z zapisków, rzucających nieco światła na tę czarną stronę ówczesnego wymiaru sprawiedliwości wypływa przecieź, że sądy na chłopów-winowajców nie odbywały się bez pewnej prawnej procedury, że bywała w nich zachowywana t. zw. *figura iuris*. Najzwyczajszą formą był rodzaj ławy sądowej, złożonej z przysiężnych, wziętych z gromad sąsiednich, pod przewodnictwem »sędziego« a w asystencyi kilku szlachty. W Dwerniku n. p. sędzi chłopą »zasadzone prawo zupełne, w którym siedzi przysiężnych dwanaście a trzynasty sędzia, które prawo zgodnie zasiadłszy zagajono.«²⁾ Liczba przysiężnych bywa rozmaita. Przykład takich sądów, bardzo charakterystyczny, a kto wie, czy może nie typowy, mamy z r. 1601. Poddany szlachcica Bachowskiego schwytyany został na podpaleniu gumna dworskiego. Ponieważ indagowany przez Bachowskiego był »*varians* w powieści swej,« posłał tenże po kata i »prawo osadził,« to jest złożył sąd na zloczyńcę.

¹⁾ W orek Judaszów. Wydanie Kaźm. J. Turowskiego. Str. 132.

²⁾ Agr. Sanockie, tom 165 z r. 1648, p. 832—9.

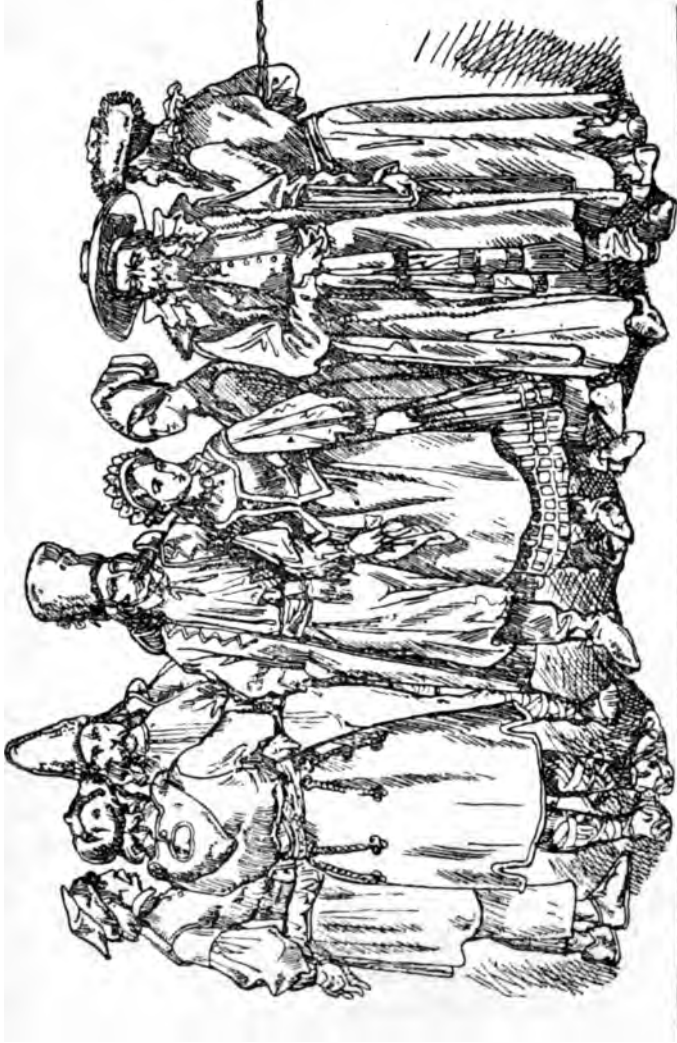


Fig. 41. Chłopi polscy z XVII. w. według rysunków Jana Matejki z współczesnych rycin i obrazów.

Do tego trybunału wezwał Bachowski przysięgłych i wójta z Dublan, z Siekierzyc, z Bilinki, przyczem też byli zaproszeni w tym celu osobno sąsiedzi jego, Adam Górski, Jan Zaleski, Wojciech Krzemieński, Iwan Biliński, Hrycko Sącki i insi. »Tamże zaraz opatrzny Marcin Zubrzycki, wójt gajny przysięgły dublański — opowiada nasza relacja — zasiadł ławicę z przysiężnikami swemi w liczbie ośmiu, na żądanie p. Bachowskiego prawo zagaił, przyczem też był woźny z Bilinki. Postępując tedy dalej przereczone prawo według Boga i sumienia swego, zdało im się tego to złoczyńcę dla dojścia lepszej prawdy jego w ręce mistrza podać, zaczem będąc na próbie acz nieco był się począł przeciw, ale gdy go mistrz dobrze na próbę wziął, przyznał się, powiadając, że go najęli chłopi z Dołobowa, Markowięta rzeczeni, dwaj bracia rodzeni, mszcząc się krzywdy swej na p. Bachowskim za ojca swego... Tu prawo zaraz obaczywszy winność tego złoczyńcy z próby go wziąć kazało, zaczem pytając, jeśliby p. Bachowski dalej im według prawa postępować kazał, p. Bachowski jednak użył prawa, aby się z sentencyą swoją zatrzymało i jachał do pp. Chłopeckich, których ci powołani chłopi Markowięta poddani byli, dowiadując się, jeźli ich wydadzą... Znowu potem prawo drugi raz zawiodło i znowu złoczyńcę pytali, który zeznania swoje powtórzył. P. Bachowski nie kwapiąc się z tym złoczyńcą użył prawa, że się jeszcze zatrzymało, chcąc to pokazać tym Markowiętom, że tego chciał po nich, aby się sprawili. Gdzie znowu w piątek rano prawo zawiodło, ci też Markowięta albo jeden z nich przybył, Ławro Markowicz, z woźnym Janem Jakubowiczem i z innymi sąsiady swymi, przyczem i sąsiedzi p. Bachowskiego wyżej mianowani byli. Tam przywieść do prawa kazano tego to złoczyńcę i pytano go, jeźli się zna do tego, który się przyznał, a gdy go pytano z czyjej naprawy, począł rzeczą mylić, nie chciał tak przyznać, jako pierwaj, ale powiadał, że jego ojciec mego ojca

o dąbrowę męczyć dał, gdzie obaczywszy prawo, że nie chciał prawdy mówić, podało go znowu mistrzowi w ręce. Tamże na próbie dopiero znowu tychże Markowiąt jako pierwszej do trzeciego razu powołał i ręką ukazał na tego właśnie Ławra Markowicza, który z kilku sąsiad swych stał tuż przy próbie. A gdy go kat spuścił z męki, znowu sobie ten Ławr obwiniony kupił prawo u mistrza, żeby go lepiej pytał. Tamże na męce od niego kupionej toż do trzeciego razu wyznał, powołując Markowięta. Co bacząc i słysząc prawo, zasiadłszy, tam go dopiero na śmierć ognio wą skazało i mistrzowi w ręce podało.«¹⁾

Nieprzebraną, godną palmy męczeńskiej była cierpliwość ludu; rzadkie są przykłady otwartego oporu, buntu, odwetu. Dopiero w roku 1648 ziemia halicka będzie widownią krwawych buntów chłopskich, ale i w nich odegra ważniejszą rolę motyw rozbójniczy, opryszkowski, aniżeli zamiar społecznego odwetu. W królewszczynach tylko, gdzie chłop trwał przy tradycyi posiadanych niegdyś praw i nie oduczył się liczyć na opiekę króla, zdarzały się wypadki oporu. Chłopi Woli Tarnawskiej odmawiają w roku 1607 dzierżawcy Stanisławowi Jaszowskiemu posłuszeństwa i robót; dwaj kmiecie stają na czele gromady i zakazują chłopom: »aby nie byli posłuszni niwczem ani się udawali w dworskie posłuszeństwo, gdyż my wszystkiego dokażemy, na cośmy się zawzięli, nawet by nam wszystkim znieść się ze wsi pod inszego pana, jeśli nam nie tak sprawy pójdą, jako chcemy, a p. Jaszowskiemu już nie będziemy posłuszni, bo tak będziemy dzierżawcę swego niszczyć i tak długo się prawować, aż nie będzie miał czem dołożyć na sprawę i musi się z nami zgodzić, tak jak będziemy chcieli.«²⁾ Chłopi z Gielarowy, Dębna i Sarzyny

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 317 pp. 151—4.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 323 pp. 801—4.

w starostwie leżajskim chwytają się także otwartego oporu jako ostatecznego środka przeciw nieprawnemu uciskowi podstarościch i ekonomów Opalińskiego, a dodaje im otuchy jakiś tajemniczy ksiądz, o którym mówi do nich podstarości Grabiński: »Komuście to uwierzyli, posłowi? Bym go był zastał tu w Leżajsku, tedybym go był rozkazał rozsiekać i w sztuki rozmiotać po rynku! Psi by się jego krwi nachleptali!« Ale kmiecie, ciemiężeni niegodziwie przez »arendarza« Marcina Kołaczkowskiego, nie ustają mimo groźb w oporze; podczas gdy jedni, jak n. p. Gielarowianie, opuścili wsie i pouchodzili do lasów, drudzy jak Dębianie zajęli groźną postawę, a arendarz Kołaczkowski żali się, że chłopi »robić nie chcą, po cudzych wsiach do karczmy chodzą, kupy ich z rusznicami, nasiekami, kosami, pałaszami, oszczepami krążą; folwarki puste, gospodarstwo ustało, zboże na polu stoi« i t. d. ¹⁾)

Jak Gielarowianie tak i włościanie z pod Kańczugi znajdują obrońcę i przewodnika w księdzu, który jednak nie ośłania się tajemnicą. Jest nim ksiądz Kasper Fabrycy, który widząc ucisk, jakiego chłopi doznają od dzierżawcy, niejakiego Mietelskiego, powiada im: »Zdobycie się na co innego a na kij się nie możecie zdobyć; zdobądźcie się na kij; kijem że dobrze Mietelskiego i zabijcie go jako psa!« Jakoż mało co do tego nie przyszło, bo kiedy Mietelski chłopą, który się na pole spóźnił, począł targać za włosy, drugi chłop niejaki Bernat, porwał za lusznę, poturbował nią dzierżawcę a uciekającego długo gonił. Prokopowi Pieniążkowi z Kruźlowej, chorążemu ziemi przemyskiej, zdesperowani chłopi wypowiadają posłuszeństwo, uzbrajają się w widły, kosy, a nawet strzelby, rzucają się na czeladź dworską i samego pana obiegają we dworze. ²⁾) Włościanie z Synowódzka, Dolhego i Stynawy w starostwie

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 331 p. 1282.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 338 pp. 748 i *passim*.

stryjskiem wypowiadają w r. 1607 posłuszeństwo Adamowi Stadnickiemu, kasztelanowi kalickiemu, nie płacą czynszów, zaprzestają robót i powinności, podnoszą bunt formalny, zabijają dwóch tywunów. Król wysyła na miejsce najpierw sekretarza swego ks. Stanisława Grochowskiego a następnie całą komisję, na której czele stoi burgrabia zamku krakowskiego Jan Skarga, a w której skład wchodzi także Fed'ko, wójt podbuski i komornik samborski, widocznie nie-szlachcic, z poleceniem, aby zjechawszy na grunt, o wszystkim się dowiedziano, skarg poddanych wysłuchano, karanie na morderców tywunów nakazano, o roboty i czynsze uznanie zrobiono, pola rozpatrzone, role poddanych na łany miarą tameczną przez miernika przysięgłego pomierzono, roboty i czynsze postanowiono, swawolnie do Węgier wyjeżdżających chłopów powstrzymano.¹⁾

Zdarza się niekiedy fakt osobliwy, że zamiast chłopów szlachcic szuka opieki prawa i pozywa swoich poddanych, jak to czyni Mikołaj Wąż, dzierżawca królewskiej wsi Smorze w starostwie przemyskim, który świadczy się woźnym przeciw chłopom, iż »oni nie są posłuszni, bunty szkodliwe przeciwko niemu czynią i żadnych powinności nie chcą oddawać; a co większa, na dwór jego nabiegają, przegróżki na zdrowie jego miotają; gwałtownie naszedłszy na dom jego własny chcieli tego Węża zamordować jako rozbójnicy i tak od tych poddanych nie jest bezpieczn zdrowia swego.«²⁾ Na Wołoszkę-hospodarównę Annę Mohilanę (Czarnkowską), która w swoim starostwie mościskiem uciskać pozwala lud prawdziwie po wołosku, napadają w r. 1649 chłopci z Laszek w jej zamku w Mościskach, docierają do jej poufnej komnaty i wśród obelg wypowiadają jej posłuszeństwo, ale gorzko za to pokutować muszą, bo zesłana na miejsce komisya pod

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 323 pp. 433—6.

²⁾ Agr. Przemyskie, tom 323 p. 42.

przewodnictwem podczaszego przemyskiego Andrzeja Stano, nie mogąc uciszyć zaburzeń łagodniejszymi środkami i jak się wyraża jej dekret: »aby z tych iskier nie zrobił się pożar,« skazuje pięciu chłopów na śmierć.¹⁾

Chłopi z Horożany, Horożanki i Ryczychowa wiodą spór zacięty z dzierżawcami jeszcze od roku 1572, w którym uzyskali korzystny bardzo dekret króla Zygmunta Augusta przeciw Mikołajowi Tarłowi, chorążemu sandomierskiemu. Dekret ten niestety na remonstrację Tarty król zniósł wkrótce, a to z powodu, »że przez poddane w niebytności dzierżawcy naszego i bez dostatecznej sprawy był otrzymany« — i odtąd chłopi wsi wymienionych w ciągłym są procesie z dzierżawcami. W r. 1625 przychodzi do zajęć gwałtownych, wywołanych uciskaniem ludu przez dzierżawcę Wojciecha Srzedzińskiego. Chłopi zgromadziwszy się u jednego z kmieci horożańskich, Pawła, »krzyż z cerkwi wzięwszy na onym przysięgli, hasło przysięgi swej wydawając: do gardła, do ostatniej koszuli nie odstępować się, a tem bardziej w konjuracji swojej serca swoje umacniając, przydawali: »By nam i do kozaków wszystkim iść na Ukrainę, gdzie nad tymi, przeciwko którym się konspirujem, mścić się będziem!« Zmyśliwszy sobie punkta, skargę i protestację — żali się Srzedziński — subordynowawszy do niej woźnego i dwóch Kulczyckich, jakoby szlachtę a rzeczą samą krawców i chłopów, na pana szczypiące honor jego pisma po grodach pozanosili, częstemi pogroźkami tak jemu jak czeladzi wszystkiej odpowiedzieli, a napomnieni do powinności, skupiwszy się gwałtem w dwór weszli i namiestnika pana swego słowy grubemi zelżyli. Zrzuciwszy sumę niemałą, do króla Jego Mości powtórnie posły wyprawili, odpowiadając: że my nad dwa dni robić ani chcemy ani będziemy, jeno według glejtu króla Jego Mości, który to glejt przyszedłszy do

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 367 p. 1308 i tom 370 p. 2401.

dwora, na stole z wielkimi furyami i pogrózkami porzucili. Komisya złożona z ks. Łukasza Kalińskiego, kanonika lwowskiego, Remigiana Zaleskiego, podstarościego grodzkiego, i Pawła Głębockiego, który się zwał rewizorem deputowanym od króla, zjechała na miejsce. Głębocki kazał zwołać gromadę, a »wziąwszy *litteras salvi conductus* Jego Kr. Mości świeżo chłopom dane, czytał i na każdy punkt przyganę dawał władzy i prawu króla. Potem rzekł pomieniony p. rewizor: »Panie Srzedziński, czyń egzekucję sobie z tych chłopów, ja wam podaję moc, bom ja przysiągł na czynienie egzekucyi Jego Król. Mości.« Egzekucya skończyła się na tem, że chłop Paweł, u którego odbyła się pierwsza schadzka chłopów horożańskich, został zabity przez czeladź dzierżawcy, a chłop inny Iwan Tolsko, po bił znowu dzierżawcę. Nastąpiły ponowne dochodzenia z polecenia króla, a skończyło się na tem, że dekret królewski skazał na śmierć »Andruszka popadi zięcia, co po krzyż do cerkwi chodził, i Iwana Tolskę, co się siepał z dzierżawcą.«¹⁾

Sroższy los spotkał w r. 1622 wieś Hrebenne w starostwie lwowskiem, która została doszczętnie zniesiona. W aktach nie znaleźliśmy żadnych szczegółów o wypadkach, które wywołały katastrofę, z mandatu królewskiego do starosty lwowskiego Bonifacego Mniszcha wypływa jednak jasno, że we wsi tej przyszło do buntu i krwawych czynów. »Acz nam nie jest tajny exces — czytamy w mandacie — który poddani ze wsi Hrebenne przez złość swoją popełnili, jednak iż już godne tego swego występku, niektórzy na gardle, niektórzy przez ciężkie więzienie a prawie wszyscy przez zniesienie chudób, domów i dostatków swych, karanie odnieśli, dlatego rozumiemy, że już w tej mierze (choć to żal i strata powininych trudno i najsroższem karaniem nagrodzona być może)

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 377 pp. 30—33, 129, 360, 761—767.

dosyć się stało sprawiedliwości, zaczem życząc tego, aby wieś ta znowu osieść mogła, która nie bez wielkiej straty Rzeczypospolitej za wyuzdaną złością ludzi swawolnych jest zniesiona, chcemy to mieć koniecznie, aby ci poddani, którzy jeszcze w więzieniu miejskiem lwowskiem są zatrzymani, oswobodzeni i wypuszczeni byli.«¹⁾

Wielki bunt chłopski, który w roku 1648 srożył się wśród pożogi, rozlewu krwi i strasznych okrucieństw przez trzy miesiące, od października do grudnia, w ziemi halickiej, nie należy już może do właściwego zakresu niniejszej pracy, wiąże się jednak tak ściśle i organicznie niejako z społecznymi i obyczajowymi stosunkami, które naszkicowaliśmy w poprzednich rozdziałach, że pominąć go nie możemy. Nie można tego ruchu uważać za nagły, elementarny wybuch tłumionej uciskiem jednej społecznej warstwy, za odwet i zemstę ludu wiejskiego, i nie masz między nim a rewolucją chłopską w Niższej i Wyższej Austrii z lat 1594—7 żadnej analogji. Nie wybuchł on, że tak powiemy: samorodną siłą i z lokalnej inicjatywy — rozgorzał od żagwi rzuconej z obozów kozackich Chmielnickiego a miał podkład na poły socjalistyczny na poły rozbójniczy. Znalazł grunt podatny w ludzie wiejskim i z niego wziął swoją siłę, ale mimo to nie był ruchem na wskrós chłopskim. Już sam fakt, że w buncie wzięli bardzo wybitny udział miasta jak Kałusz, Rohatyn, Tłumacz, Jazłowiec, że odegrała w nim smutną rolę znaczna część drobnej szlachty halickiej, bo na czele band chłopskich spotykamy Krehowieckich, Hołyńskich, Uhernickich, Żurakowskich, Berezowskich, Kniehinickich, Drohomireckich, Jazwińskich, Grabowieckich, Tatomirów, Witwickich, a nawet i Ormian jazłowieckich, że jednym z hersztów buntu był administrator włości zabłotowskich szlachcic Zołczyński a jednym z najgłówniejszych podżegaczy szlachcic Woj-

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 375 p. 1537.



Fig. 42. Chłopi polscy i żydzi z XVI. i XVII. w. według rysunków J. Matejki z współczesnych obrazów i rycin.

ciech Rokicki, ścięty następnie w Haliczu — już ten sam fakt świadczy, że ruch ten wywołany buntem Chmielnickiego, podsycany przez jego agentów, miał charakter ogólnie anarchistyczny z silną przymieszką wyznaniową, która objawiła się w gorącym udziale popów ruskich. Stało ich kilkudziesięciu na czele band chłopskich, a między nimi odznaczyli się srogością pop Korytko »pułkownik,« pop z Grabówki, »setnik *nuncupatus*,« pop z Podhajczyk, nazwany w aktach Iwan *principalis*; pop Babiński i pop Uhrynowski, który był jednym z naczelnych hersztów chłopstwa z Kałuszczyzny; popi z Pójła, z Grabowa, z Doliny, Żukowa, Strusowa, Jezierzan i t. p.

Najwybitniejszą postacią w tym buncie był znany nam już Ilnat Wysoczan z Wiktorówki, Chmielnicki halickiej ziemi, *dux primarius*, jak go nazywają akta. Zebrał on pod swoją komendę około 15.000 chłopstwa, założył główną kwaterę w Otynji, a szlachcic Łeś Żurkowski był jego głównym adjutantem i szefem sztabu. Wysoczan oblegał zamek Kuropatwów Pniów, dokąd się schroniła była okoliczna szlachta, nie zdobył go jednak. Więcej miały powodzenia inne bandy, oblegające mniejsze zamki i zameczki, zdobyły one Rożniatów, Zabłotów, Perehińsk, Pałahicze, Bołszowce Kazanowskich i Łuczę Jabłonowskich. Najgłówniejszego kontygentu dostarczyło bandom chłopstwo starostwa kałuskiego i dolińskiego, największą zażartością odznaczyli się mieszcianie kałuscy i rohatyńscy. Mordowano, palono i rabowano; nie przepuszczano i kościołom i grobom. Padł wówczas ofiarą barbarzyńskiej wściekłości bogaty bardzo w aparaty i srebra kościół rohatyński; mieszcianie tamtejsi zrabowali zeń kielichy, krzyże, monstrancye, ornaty, kosztowne szpalery, obicia i kobierce, rozmietli znaczną bibliotekę, roztlukli organy, »lackie dudki,« i pastwili się nad wszystkim, co tylko było w świątyni, niszcząc, co się zabrać nie dało. Mieszcianie dolińscy, posiłkowani chłopstwem i oddziałem kozaków,

zdobywszy szturmem zamek bukaczowiecki, złupiwszy go z kosztowności, srebra, klejnotów, i wypiwszy do dna całą piwnicę Kazanowskich, wtargnęli do kościoła, dobyli z grobowca trumny, poobdzierali z szat zwłoki i poobdzierane powyrzucali w błoto.

Wszędzie dopuszczaly się bandy morderstw i okrucieństw. Chłopi z Pójsła, Siwki, Kamienny pod wodzą popa zamordowali w Siwce właścicielkę tej wsi Rzymowską, chłopi z Dołhego i Berłohów szlachciance Zwierzchowickiej i sędzinie Kurowskiej w Turzyłowie uwiązali kamień do szyji i rzucili w rzekę Łomnę. Ciż sami chłopi wraz z chłopami z kilkunastu innych wsi, z kilku popami na czele, w liczbie 3000, »z działki, hakownicami, kobyłami i t. p. obyczajem pogańskim, idąc za przykładem łotra Chmielnickiego,« mordowali dzieci i bezbronne kobiety, piekąc niektóre żywcem na ogniu, zdobyli i złupili zameczek różniatowski, napadli na Babin, tam pojмали szlachcica Różniatowskiego i prowadzili z sobą do Kałusza, »wszystkich łotrów, hultajów i buntowników stolicy,« ale po drodze w okrutny sposób go zamordowali. Chłopi z Kopanki, Jasienia, Łukwi, Niebyłowa, Krasnego, Uhrynowa, Podmichała, Spasa i t. d. pod wodzą swego herszta Korzenia kniazia napadli miasto Dolinę, zrabowali domy mieszczan, pokatowali z nich wielu, uderzyli następnie na zameczek w Suchodole, zrabowali znaczną gotówkę i w okrutny sposób zamordowali 46 żydów, którzy uciekwszy z Doliny szukali tam schronienia. Trudno przytaczać wszystkie czyny zbrojeckie tych band, wszystkie morderstwa popełnione przez nie z najdzikszem niekiedy okrucieństwem — tom aktów grodzkich halickich z tego roku niemal w polowie zapełniony jest ich opisami.¹⁾

¹⁾ Agr. Halickie, tom 141 pp. 1127—1873 pssm, tom 142 pp. 74—503, tom 143 pp. 1590—93, i Agr. Przemyskie, tom 376 pp. 588—602, 745, 749.

Krwawy był też i odwet. Szlachta halicka uchwaliła na sejmiku wystawić mały korpus zbrojny, »*praesidium*, którego ma być 500 człowieka, t. j. husarzków 100, kozaków 300, piechoty z ognistą strzelbą 100. Panowie rotmistrze mają tylko szlachtę dobrą pod te chorągwie zaciągać a w konnych żadnego cudzoziemca, jako Wołoszyna, Czerkasa a *multo minus* kozaka, zaś w pieszych żadnego Rusina.« Regimentarzem zamianowała szlachta wojewodę podolskiego Stanisława Potockiego; kozackim chorągwiom rotmistrzowali drugi Potocki, starosta halicki, chorąży podolski Cetner i Kuropatwa. Wkrótce potem uchwaliła szlachta ponownie zaciągnąć dla własnej potrzeby, »nie wysyłając do obozu,« 900 ludzi, nad którymi regimentarstwo objął znowu Stanisław Potocki, a rotmistrzostwa Alexander Bydłowski, Łukasz Wróblewski, Stanisław Nowosielecki, Kasper Ostrowski i Alexander Gruszecki. Wobec tak groźnego niebezpieczeństwa zdobyto się z ciężkiem sercem na uchwałę, że niczyje dobra nie będą uwolnione od stacyj żołnierza, z wyjątkiem hetmana w kor. Mikołaja Potockiego, który był już w niewoli, Ludwika Wyżgi, który *ad extremam sortem* podupadł majątkowo z powodu buntów chłopstwa, i Rzeczkowski, który właśnie co dopiero z niewoli był powrócił. Na pokrycie kosztów tego wojska uchwalono czworo podymnego.¹⁾

Powiatowe chorągwie poczęły się srożyć nad zbuntowaniem chłopstwem. Osobliwie rotmistrze Nowosielecki i Ostrowski odznaczyli się w ściganiu i doraźnem karaniu buntowników. W samej wsi Łysej dwudziestu chłopów rozstrzelano lub ścięto; na mieszczanach zabłotowskich wywarto krwawą pomstę: trzydziestu z nich dało głowę pod topór kata; w Hanuszowcach padło w doraźnej egzekucyi kilkudziesięciu chłopów, wieś Błudniki doścześnie zniszczono; miasto Śniatyn padło prawie całe

¹⁾ Agr. Halickie, tom 141 pp. 1181 i dalsze.

ofiara odwetu, 300 mieszczan uciekło wtedy do Wołoch przed mieczem, a żołnierze domy ich spalili.¹⁾ Uwagi godna rzecz, że drobna szlachta chodackowa i zagonowa podzieliła się na dwa obozy; podczas gdy jedną część widzieliśmy w szeregach lub na czele zbuntowanego chłopstwa, druga równie znaczna a może znaczniejsza zaciągnęła się pod chorągwie powiatowe. Rota Zagwoyskiego, która przyczyniła się dzielnie do poskromienia buntu, składała się z tych samych Drohomireckich, Żurakowskich, Berezowskich, Grabowieckich, Hołyńskich, Witwickich, których współherbowi imiennicy stanęli po stronie takich hersztów, jak Wysoczan lub pop Korytko. Anarchiczna część drobnej szlachty, o ile nie padła pod szablą żołnierzy powiatowych, odpokutowała później gorzko swoją winę. Spada na nią odwet w formie kaduków, traci nietylko część szlachecką ale i mienie, które przechodzi na własność rotmistrzów i żołnierzy powiatowych. Takie kaduki wyrabia sobie głównie jeden z rotmistrzów, Kasper Ostrowski, któremu król przyznaje majątności kilku Tatomirów w Isakach, kilku Uhernickich, Grabowieckich i Berezowskich.

Szczęśliwszą była ziemia przemyska. Mimo iż zagon kozacko-tatarski uderzył w r. 1648 o same mury Przemyśla, nie przyszło do znaczniejszych wybuchów anarchicznych między ludem wiejskim, a drobna szlachta nie podawała mu nigdzie ręki do buntu, jak w ziemi halickiej. Nie poszły też za przykładem Kałusza, Rohatyna, Jazłowca miasteczka ziemi przemyskiej; wyjątek stanowili tylko ruscy mieszkańcy Dobromiła i Drohobycza. Mieszczanie drohobyccy przez wysłańców swoich potajemnie znieśli się z kozakami, obiecując im bogaty łup z mieszczan katolickich i żydów. Dla wszelkiego bezpieczeństwa i aby sami nie padli ofiarą pomyłki lub chciwości kozackiej, zdrajcy ci wszystkie swoje kosztowności przenieśli do cerkwi św.

¹⁾ Ibidem, pp. 1241, 1297, 1381, 1451, 1609.

Trójcy, ale oto, nim jeszcze przyszli Kozacy, dotkliwa ich spotkała kara, pop bowiem tej cerkwi skradł cały depozyt i uciekł. Kozacy wpadłszy do Drohobycza, splądrowali do szczętu miasto. Nie skończyło się na tem, bo ruscy mieszczenie pod wodzą rajcy Wasyla Łankowicza podniecili do buntu lud okoliczny i na czele 2000 chłopstwa wyprawiali rzeź między ludnością nieszczęśliwego miasta; 120 żydów padło pod nożami rozbestwionej tłuszczy.¹⁾

Taki sam los spotkał miasteczka Radymno i Mościska. Ruscy mieszczenie Dobromila połączywszy się z chłopstwem z Arłamowa i kilku wsi sąsiednich pod wodzą niejakiego Pińczowskiego napadali na dwory, i mało brakło, aby nie padł ich ofiarą późniejszy znakomity pisarz i statysta, jedna z chlub literatury polskiej, Andrzej Maxymilian Fredro, którego oblęgali przez cały dzień w Arłamowie, wołając: *Wychody jeno Lachu, budem tia na pal wbyjały!* Fredro obronił się jednak a przygodę swoją opowiedział w zanesionej przed grodem protestacyi.²⁾ Dopuszczali się napadów na dwory, rabunków i mordów chłopci z Beńkowej Wiszni, Chotyńca, Wyszatycz, Starzawy, Łodzinki, Koziejówki, Mięgisza, Lutowisk — ale ruch nie przybrał szerszych rozmiarów dzięki wczesnej organizacyi powiatowych chorągwi. Natomiast w ziemi lwowskiej, zalanej w jesieni r. 1648 kozactwem i Tatarami, pożar buntu srożył się gwałtownie i zostawił po sobie straszliwe spustoszenie. Nawet po odejściu Kozaków i hordy tatarskiej chłopci palili i plądrowali dwory, napadali na powracające do swych spustoszonych siedzib rodziny i dopuszczali się na nich mordów i rabunków. Gdzie chłop nie łączył się z bandami kozackimi lub stawiał nawet opór lupieżczym zagonom, tam padał sam ofiarą chciwości i krwa-

¹⁾ Agr. Przemyskie, tom 376 pp. 301—3 i Agr. Lwowskie tom 399 p. 961.

²⁾ Agr. Sanockie, tom 163 pp. 1175—80.

wego ich okrucieństwa. Akta przekazują nam wiadomość o wielu takich wypadkach, a co się dziać musiało w tej nieszczęsnej porze, o tem daje aż nadto dostateczne wyobrażenie tylko sama jedna manifestacya Andrzeja Stana, podczaszego ziemi lwowskiej, który podaje następujące daty o zniszczeniu siół swoich: »Stada dworskiego sztuk 113 zabrano; chałup w Pohorcach 44 spalono; koni chłopskich w Pohorcach 284, w Podolcu 80, w Tuligłowach 150, w Hołodówce 100, w Koniuszkach 113, w Susułowiu 134 wzięto. Poddanych w Pohorcach 47 zabrano, 25 ścięto, w Podolcu 37 wzięto a 13 ścięto, w Tuligłowach 11 wzięto a 16 ścięto, w Koniuszkach wszystkich zginęło 83 chłopów, w Susułowiu 47. Poddanych pozostałych na gumnach, odzieżach, pasiekach, dobytku wszelakiem i sprzętach domowych w niwec obrócono.«¹⁾

Szlachty zniszczonej już buntem doniszczyły do reszty chorągwie powiatowe. Pustoszenie siół przez chorągwie, odzianie spokojnych nawet chłopów stacyami żołnierskimi, o których wiemy, jak były ciężkie i prawie łupieżcze, było zarazem ruiną właścicieli dóbr i dzierżawców, dla których chłop był głównem źródłem dochodów, podwaliną egzystencyi, bo najcenniejszym inwentarzem. Posypały się też wkrótce protestacye i pozwy przeciw rotmistrzom z sążnistemi wykazami szkód poczynionych chłopom — mizerny, pieniacki epilog społecznego dramatu.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

¹⁾ Agr. Lwowskie, tom 399 p. 358—9.



UNIVERSITY OF MICHIGAN

